

Nowy król  
thrillera  
szpiegowskiego.  
„Mail on Sunday”

# KULAWE KONIE

MICK  
HERRON

Uczta nawet dla najbardziej wyrafinowanych fanów sensacji. Nie pamiętam, kiedy czytałem coś równie dobrego. **Vincent V. Severski**

MICK  
HERRON

**KULAWE  
KONIE**

przekład

ROBERT KĘDZIERSKI  
ANNA KROCHMAL

 **Insignis**

Tytuł oryginału  
*Slow Horses*

© Mick Herron, 2010

First published in Great Britain in 2010 by Constable,  
an imprint of Constable & Robinson

First published in 2015 by John Murray (Publishers)  
An Hachette UK Company

Przekład  
Robert Kędzierski, Anna Krochmal

Redakcja  
Marcin Piątek, Dominika Rychel

Korekta  
Pracownia 12a

Skład  
Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej  
Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2021  
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN pełnej wersji 978-83-66873-21-6



Insignis Media  
ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków  
tel. +48 (12) 636 2519

[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)  
[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)  
[@insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media)  
[@insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media)

*i.m.*

DA, SC, AJ & RL

*źródło które kocha moja zagubiona świeca jak świetlik*

John Berryman

# **KULawe KONIE**

Oto w jaki sposób River Cartwright wypadł z szybkiego toru i dołączył do „kulawych koni”.

We wtorek rano dwadzieścia po ósmej na King’s Cross roiło się od ludzi, których S.D. nazywał „pozostałymi”: „To niebiorący udziału w walkach, River. Całkiem zacne zajęcie w czasach pokoju”. Miał kodycył. „Nie mieliśmy pokoju od września 1914 roku”.

Myśl o S.D. sprawia, że River przekształca liczbę w głowie na rzymskie cyfry. MCMXIV.

Przystanął i udał, że zerka na zegarek; gest, którego nie da się odróżnić od prawdziwego zerkania na zegarek. Dojeżdżający do pracy opływali go niczym woda skałę, dając upust swojemu poirytowaniu chrząknięciami i głośnymi westchnieniami. Przy najbliższym wyjściu – w jasnej przestrzeni, przez którą wpadało słabe styczniowe światło – stali niczym posągi dwaj ubrani na czarno „zadaniowcy”. Niebiorący udziału w walkach, dla których rok 1914 był już odległą przeszłością, nie zauważali ich ciężkiego uzbrojenia.

Zadaniowcy, nazywani tak, bo potrafili wykonać swoją robotę, zgodnie z instrukcjami trzymali się sporo za nim.

Prawie dwadzieścia metrów przed nim znajdował się cel.

– Biały T-shirt, niebieska koszula – powtórzył szeptem River.

Teraz dodawał szczegóły do skąpego opisu podanego przez Spidera: młody mężczyzna, z wyglądu prawdopodobnie z Bliskiego Wschodu; podwinięte rękawy niebieskiej koszuli; czarne dżinsy, nowe i jeszcze sztywne. Kto by kupował nowe spodnie na taki wypad? Odsunął od siebie tę informację. Na takie pytania przyjdzie czas później.

Plecak na prawym ramieniu celu mocno ciążył ku ziemi, więc pewnie sporo ważył. Kabel wsunięty w ucho, jak u Rivera, mógł być od iPoda.

– Potwierdź kontakt wzrokowy.

River dotknął lewą ręką lewego ucha i powiedział cicho do czegoś, co wyglądało jak guzik na mankiecie:

– Potwierdzam.

W hali tłoczyła się grupka turystów; ułożenie ich bagaży świadczyło o tym, że ustawiali się przy wejściach do wagonów. River obszedł ich, nie odrywając wzroku od celu, który zmierzał na perony w dalszym budynku – te, z których odchodziły pociągi w kierunku Cambridge i na wschód.

Pociągi z reguły mniej zatłoczone niż ekspresowe HST jadące na północ.

W jego głowie pojawiły się nieproszone obrazy: poskręcane kawałki metalu rozrzucone na odcinku wielu kilometrów popękanych torów. Płonące krzaki przy

torach, wiszące na nich kawałki mięsa.

„Musisz brać pod uwagę – jak ujął to S.D. – że czasem dochodzi do najgorszego”.  
Najgorsze przyrastało w tempie wykładniczym przez ostatnich kilka lat.

Dwaj gliniarze z BTP przy przejściu biletowym zignorowali cel, ale przyglądali się uważnie Riverowi. Nie podchodźcie – ostrzegł ich bez słów. Nawet się do mnie nie zbliżajcie.

To za sprawą drobnych szczegółów upadały wielkie przedsięwzięcia. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, była słyszalna wymiana zdań; cokolwiek, co mogłoby zaniepokoić cel.

Gliniarze wrócili do rozmowy. River przystanął i mentalnie się przegrupował.

River Cartwright był młodym człowiekiem średniego wzrostu. Jasnowłosość, o bladej cerze i szarych oczach o spojrzeniu, które często wyrażało wewnętrzne skupienie, z dość ostrym nosem i małym pieprzykiem na górnej wardze. Kiedy się koncentrował, marszczył brwi w taki sposób, że można to było wziąć za wyraz konsternacji. Dziś był ubrany w niebieskie dżinsy i ciemną kurtkę. Jednak gdyby ktoś zapytał go tego ranka o jego wygląd, wspomniałby o swoich włosach. Ostatnio lubił chodzić do tureckiego fryzjera, który obcinał go dość krótko, a potem traktował uszy żywym ogniem. Nie dają człowiekowi żadnego ostrzeżenia, że coś takiego ma się zaraz stać. Po tych zabiegach River wstawał z fotela wyszorowany i wyparzony jak próg drzwi. Nawet teraz w podmuchach przeciągu czuł mrowienie na czubku głowy.

Nie odrywając wzroku od celu, znajdującego się teraz trzydzieści pięć metrów przed nim – a konkretnie: nie odrywając wzroku od jego plecaka – River znów powiedział do guzika:

– Idźcie za nim. Ale utrzymujcie dystans.

Jeśli za najgorsze uznać detonację w pociągu, to na drugim miejscu plasowałyby się detonacja na peronie. Niedawne wydarzenia pokazały, że ludzie są najbardziej bezbronni w drodze do pracy. Nie dlatego, że są słabsi, ale dlatego, że jest ich wielu, ściśniętych w zamkniętych pomieszczeniach.

Nie obejrzał się; ufał, że ubrani na czarno zadaniowcy są niedaleko za nim.

Po lewej stronie od Rivera znajdowały się punkty z kanapkami i kawą, pub i stoisko z wypiekami. Po prawej miał za chwilę odjechać długi pociąg. Podróżni na peronie wpychali walizki przez drzwi, nad głową gołębie hałaśliwie przelatywały z belki na belkę. Z megafonu padł komunikat i tłum za plecami Rivera zafalował, gdy zaczęli się od niego oddzielać pojedynczy podróżni.

Na stacjach kolejowych zawsze jest to poczucie zdławionego ruchu. Tłum jest jak eksplozja, która ma dopiero nastąpić. Ludzie to odłamki. Po prostu jeszcze o tym nie wiedzą.

Cel znikł za gromadką podróżnych. River przesunął się w lewo i cel znów się pojawił.

River minął jeden z punktów z kawą i na widok siedzącej pary powróciło wspomnienie. Wczoraj o tej porze był w Islington. Jego ocena sprawności obejmowała stworzenie dossier jakiejś osoby publicznej: Riverowi przydzielono ministra kultury z gabinetu cieni, który niedawno miał dwa niewielkie wylewy

i przebywał w prywatnej klinice w Herfordshire. Wyglądało na to, że proces nominowania jego zastępcy nie został uruchomiony, więc River wybrał jednego z własnej inicjatywy i przez dwa dni śledził Lady Di, nie pozwalając się zauważyć – biuro/siłownia/biuro/winiarnia/biuro/dom/kawiarnia/biuro/siłownia... To właśnie logo tego miejsca wywołało skojarzenia. S.D. w jego głowie warknął karcąco: „Skup się na robocie. To samo miejsce, dobry pomysł?”.

Dobry pomysł.

Cel odbił w lewo.

– Potterville – mruknął do siebie River.

Przeszedł pod wiaduktem i też skręcił w lewo.

Rzut oka na niebo nad głową – szare i wilgotne jak ścierka do naczyń – i River był już przy wejściu do małej hali mieszczącej perony 9, 10 i 11. Ze ściany po jej zewnętrznej stronie wystawała połowa wózka na bagaż: peron 9 i  $\frac{3}{4}$ , skąd odjeżdżał pociąg do Hogwartu. Wszedł do środka. Cel schodził już na dół, na peron 10.

Wszystko przyspieszyło.

Wokół nie było wielu ludzi – następny pociąg odjeżdżał dopiero za piętnaście minut. Jakiś mężczyzna czytający gazetę na ławce, i w sumie to tyle. River przyśpieszył kroku, zmniejszył dystans. Wychwycił za plecami zmianę dźwięków – z wszechobecnego gwaru na pełen skupienia pomruk – i domyślił się, że to zadaniowcy przyciągnęli uwagę.

Cel się jednak nie obejrzał. Poruszał się dalej, jakby zamierzał wsiąść do najbliższego wagonu: biały T-shirt, niebieska koszula, plecak i tak dalej.

River znów zbliżył usta do guzika. Wypowiedział słowa: „Brać go”, i puścił się biegiem.

– Wszyscy na ziemię!

Mężczyzna na ławce podniósł się i natychmiast został powalony przez postać w czerni.

– Na ziemię!

Z przodu jeszcze dwóch mężczyzn zeskoczyło z dachu pociągu i przecięło drogę celowi. Ten odwrócił się i zobaczył Riverę, który pokazywał mu ręką, żeby padł na ziemię.

Zadaniowcy wykrzykiwali polecenia.

„Plecak!”

„Rzuć plecak!”

– Połóż plecak na ziemię – powiedział River. – I uklęknij.

– Ale ja nie...

– Rzuć plecak!

Cel rzucił plecak. Natychmiast przejęła go czyjaś ręka. Inne ręce chwyciły za kończyny: cel leżał płasko na ziemi, z rozrzuconymi rękoma i nogami, a tymczasem plecak podano Riverowi. On zaś umieścił go ostrożnie na pustej teraz ławce i rozsunął suwak.

Gdzieś nad jego głową rozległ się z głośników automatyczny komunikat. 000">Inspektor Samms proszony o zgłoszenie się do centrum dowodzenia.



Książki, notes formatu A4, metalowy piórnik.

*Inspektor Samms...*

Plastikowy pojemnik na jedzenie, w nim kanapka z serem i jabłko.

*001">...proszony o zgłoszenie się do...*

River podniósł wzrok. Drgała mu warga. Całkiem spokojnie...

*...centrum dowodzenia.*

...powiedział:

– Przeszukać go.

– Nie róbcie mi krzywdy! – Głos chłopaka był zduszony. Leżał z twarzą wciśniętą w podłogę, jego głowa znajdowała się na celowniku.

Celu, upomniał się River. Nie chłopaka. Celu.

*Inspektor Samms...*

– Przeszukać go! – Znów skupił się na plecaku. W piórniku były trzy długopisy i spinacz.

*...proszony o zgłoszenie się do...*

– Jest czysty.

River rzucił piórnik na ławkę i obrócił plecak do góry dnem. Książki, notes, jakiś zbłąkany ołówek, paczuszka chusteczek higienicznych.

*...centrum dowodzenia...*

Wszystko rozsypało się po podłodze. Potrząsnął plecakiem. W kieszeniach nic nie było.

– Sprawdźcie go jeszcze raz.

– Jest czysty.

*Inspektor Samms...*

– Czy ktoś w końcu wyłączy to gównno?

Wychwycił nutę paniki we własnym głosie i zacisnął usta.

– Jest czysty. Sir.

*...proszony o zgłoszenie się do...*

River jeszcze raz potrząsnął plecakiem, jakby to był szczur, upuścił go.

*...centrum dowodzenia...*

Jeden z zadaniowców zaczął cicho i z przejściem mówić coś do mikrofonu wpiętego w kołnierzyk.

River uświadomił sobie, że ktoś wpatruje się w niego przez okno czekającego pociągu. Zignorował tę kobietę i ruszył truchtem wzdłuż peronu.

– Sir?

Słysząc w tym było pewien sarkazm.

*Inspektor Samms proszony o zgłoszenie się do centrum dowodzenia.*

Niebieska koszula, biały T-shirt, pomyślał River.

Biała koszula, niebieski T-shirt?

Przyspieszył kroku. Gdy dotarł do barierki na przejściu biletowym, policjant z BTP zrobił krok w jego stronę, ale River wyminął go w biegu, krzyknął nieskładnie jakieś polecenie i pognął ile sił w nogach z powrotem do głównej hali.

*Inspektor Samms...* – i w tym miejscu urwał się nagrany komunikat, zakodowana

wiadomość dla personelu, że wykryto zagrożenie i trwa alarm. Zamiast tego rozległ się głos prawdziwej osoby:

– W związku ze zdarzeniem naruszającym ochronę dworzec zostanie ewakuowany. Proszę skierować się do najbliższego wyjścia.

Miał góra trzy minuty, zanim przyjadą „psy”.

Stopy Rivera jakby same niosły go w stronę głównej hali, póki wciąż miał dość miejsca, by się poruszać. Ale wszędzie wokół ludzie wysiadali z pociągów, komunikaty spowodowały wstrzymanie podróży, które jeszcze się nie rozpoczęły, i bardzo niewiele brakowało do wybuchu paniki – w takich miejscach jak dworce kolejowe i lotniska zbiorowa panika zawsze czai się tuż pod powierzchnią. Często wspomniany flegmatyczny spokój Brytyjczyków niewiele ma wspólnego z rzeczywistością.

Szum i trzaski z głośników.

– 002”>Proszę spokojnie udać się do najbliższego wyjścia – rozległo się z głośników. – W tej chwili dworzec jest zamknięty.

– River?

– Spider?! – wrzasnął do guzika. – Ty kretynie, źle podałeś kolory!

– Co się tu, do diabła, dzieje? Tłumy wychodzą każdym...

– Biały T-shirt, niebieska koszula. Tak powiedziałeś.

– Nie, mówiłem niebieski T-shirt, biała...

– Pierdol się, Spider. – River wyszarpnął słuchawkę z ucha.

Dotarł do schodów – miejsca, gdzie tłum jest zasysany do metra. Teraz się z niego wylewał. Dominowało poirytowanie, ale dało się też wyczuć inne emocje: strach, tłumiony popłoch. Większość z nas uważa, że niektóre rzeczy przytrafiają się tylko innym. Wielu z nas sądzi, że jedną z takich rzeczy jest śmierć. Słowa płynące z głośników osłabiły to przekonanie.

– W tej chwili dworzec jest zamknięty. Proszę udać się do najbliższego wyjścia.

To metro jest główną arterią miasta, pomyślał River. Nie peron, z którego odjeżdżają pociągi na wschód. Metro.

Wcisnął się w tłum ewakuowanych, ignorując ich wrogość. „Proszę mnie przepuścić”. To niewiele dało. „Ochrona. Proszę mnie przepuścić”. To podziało lepiej. Wprawdzie nie otworzyła się przed nim ścieżka, ale ludzie przestali spychać go do tyłu.

Dwie minuty do przyjazdu psów. Niecałe.

Korytarz rozszerzał się u dołu schodów. River pognał za róg, gdzie było trochę więcej przestrzeni – automaty z biletami przy ścianach, okienka kas z poopuszczanymi żaluzjami; ludzie, którzy jeszcze niedawno stali w kolejkach, dołączyli do tłumy zmierzającego gdzie indziej. Zbiorowisko już się przerzedziło. Zatrzymano ruchome schody i zabezpieczono je taśmą, żeby idioci trzymali się od nich z daleka. Na peronach poniżej było coraz mniej pasażerów.

Rivera zatrzymał gliniarz z BTP.

– Dworzec jest ewakuowany. Nie słyszysz cholernych megafonów?

– Jestem z wywiadu. Perony już puste?

- Z wywia...?
- Perony puste?
- Są ewakuowane.
- Jesteś pewien?
- Tak mi powie...
- Macie tu monitoring?
- Oczywiście, mamy...
- Zaprowadź mnie.

Hałas wokół trochę przycichł; echa oddalających się podróżnych odbijały się od sufitów. Zbliżały się jednak inne dźwięki: szybkie, ciężkie kroki na wyłożonej kafelkami podłodze. Psy. River miał niewiele czasu, żeby wszystko naprawić.

– Teraz.

Gliniarz zamrugał, ale wychwycił nagłą ton Rivera – trudno go było nie zauważyć – i wskazał przez ramię na drzwi z napisem „Zakaz wstępu”. River przeszedł przez nie, nim zjawiły się psy.

W małym pomieszczeniu bez okien pachniało bekonem. Wyglądało jak kryjówka podglądacza. Obrotowe krzesło naprzeciw rzędu monitorów. Każdy z nich miarowo mrugał, pokazując z różnych ujęć tę samą scenę: opuszczony peron metra. To było jak nudny film science fiction.

Powiew przeciągu zawiadomił go, że gliniarz wszedł do środka.

– Który peron jest który?

Gliniarz mu pokazał: pogrupowane po cztery.

– Północny. Piccadilly. Victoria.

River przyglądał się im. Co dwie sekundy kolejne mrugnięcie.

Spod podłogi dobiegł odległy pomruk.

– Co to?

Gliniarz gapił się na niego.

– Co?

– To pociąg metra.

– To one kursują?

– Dworzec jest zamknięty – wyjaśnił policjant, jakby rozmawiał z idiotą – ale linie działają normalnie.

– Wszystkie?

– Tak. Ale żaden pociąg się tu nie zatrzyma.

Nie musiał się zatrzymywać.

– Co jest następne?

– Co jest...?

– Następny pociąg, do cholery. Z którego peronu?

– Victoria. Na północ.

River był już za drzwiami.

U góry schodów stał niski ciemnowłosy mężczyzna, zagradzając mu drogę powrotną do głównej hali dworca. Rozmawiał przez słuchawki. Na widok Rivera ton jego głosu nagle się zmienił.

– Jest tutaj.

Ale Rivera już nie było. Przeskoczył przez barierkę i był u szczytu najbliższych ruchomych schodów; zerwał zabezpieczającą je taśmę; zbiegał po zwykłych schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Na dole było upiornie pusto. Znów ten klimat z filmu SF.

Pociągi metra przejeżdżały przez nieczynne stacje bardzo powoli. River dotarł na opustoszały peron dokładnie w chwili, gdy pociąg wtaczał się na niego jak wielkie, ociążałe zwierzę z oczyma utkwionymi tylko w nim. A miał wiele oczu. River czuł je wszystkie na sobie, spojrzenia ludzi uwięzionych w brzuchu bestii; wpatrywali się w niego, gdy popatrzył wzdłuż peronu i zobaczył kogoś, kto właśnie pojawił się w wejściu na drugim końcu.

Biała koszula. Niebieski T-shirt.

River rzucił się biegiem.

Za nim biegł ktoś jeszcze, wołając go po imieniu, ale to nie miało znaczenia. River ścigał się z pociągiem. Ścigał się i wygrywał – zrównał się z nim i go wyprzedzał; jak w zwolnionym tempie słyszał jego mechaniczny zgrzyt potęgowany panicznym, narastającym w środku strachem. Słyszał łomotanie w okna. Zdawał sobie sprawę, że maszynista wpatruje się w niego z przerażeniem, przekonany, że biegnący zaraz rzuci się na tory. River nie mógł jednak nic poradzić na to, co myślą inni – River mógł tylko robić to, co robił, czyli biec wzdłuż peronu dokładnie z taką szybkością, z jaką biegł.

Przed nim – w niebieskim T-shircie i białej koszuli – ktoś także robił jedyne, co mógł.

Riverowi nie starczyło tchu, żeby krzyknąć. Ledwie starczało mu tchu, żeby przeć naprzód, ale udało mu się...

Niemal mu się udało. Niemal był wystarczająco szybki.

Za nim ktoś znów zawołał go po imieniu. Za nim pociąg nabierał prędkości.

Zdał sobie sprawę, że wyprzedza go kabina maszynisty, pięć jardów od celu.

Bo to był cel. To od początku był cel.

Dystans między nimi błyskawicznie się kurczył i River zobaczył, że to młody chłopak – osiemnaście, dziewiętnaście lat? Czarne włosy. Śniady. W niebieskim T-shircie i białej koszuli – pierdol się, Spider – którą właśnie rozpinał, odsłaniając pas napakowany...

Pociąg zrównał się z celem.

River wyciągnął rękę, jakby chciał przyciągnąć do siebie metę.

Kroki za jego plecami zwolniły i ucichły. Ktoś zaklął.

River był już tuż przy celu – pół sekundy od niego.

To jednak nie wystarczyło.

Cel pociągnął linkę przy pasie.

I to by było wszystko.

CZĘŚĆ PIERWSZA

**Slough House**

Wyjaśnijmy sobie przynajmniej tyle: Slough House ani nie znajduje się w Slough, ani nie jest domem. Jego drzwi wejściowe czają się w zakurzonej zakamarku między lokalami handlowymi w gminie Finsbury, rzut beretem od stacji metra Barbican. Na lewo od nich mieści się dawny kiosk z gazetami (obecnie kiosk połączony ze sklepikiem spożywczym, monopolowym i wypożyczalnią DVD); na prawo – chińska restauracja New Empire, której okna zawsze są zasłonięte grubą czerwoną zasłoną. Napisane na maszynie menu oparte o szybę pożółkło z biegiem lat, ale nigdy go nie wymieniono; zmiany są po prostu nanoszone markerem. O ile dla przetrwania kiosku kluczowe okazało się poszerzenie działalności, o tyle długoterminową strategią New Empire jest oszczędność; dania są regularnie wykreślane z menu niczym numery z karty do bingo. Jackson Lamb jest przekonany, że w końcu New Empire będzie oferować tylko ryż smażony po kantońsku i wieprzowinę w sosie słodko-kwaśnym. A wszystko to serwowane za grubymi czerwonymi zasłonami, jakby niewielki wybór był tajemnicą wagi państwowej.

Frontowe drzwi, jak już wspomniano, czają się w zakamarku. Są pokryte zestarzałą już czarną farbą i ochlapane przez przejeżdżające samochody, a przez szybę u góry nie widać światła. Pusta butelka po mleku już od tak dawna stoi w ich cieniu, że miejskie porosty na dobre przytwierdziły ją do chodnika. Nie ma dzwonka, a skrzynka na listy zasklepiła się jak rana z dzieciństwa: jakikolwiek list – a pod ten adres nigdy nie przychodzi żadna poczta – popychałby tylko jej klapkę, ale nie dałby rady wpaść do środka. Zupełnie jakby te drzwi były atrapą istniejącą tylko po to, by stworzyć strefę buforową między sklepikiem a restauracją. I rzeczywiście, można by całymi dniami siedzieć na przystanku autobusowym naprzeciwko i ani razu nie zobaczyć nikogo, kto by ich używał.

Tyle tylko że gdyby ktoś zbyt długo siedział na tym przystanku, zainteresowano by się jego obecnością. Obok takiej osoby mógłby usiąść krępy mężczyzna, prawdopodobnie żujący gumę. Jego obecność działałaby zniechęcająco. Otaczałaby go aura tłumionej agresji, urazy żywionej na tyle długo, że przestało być dla niego ważne, na kim się wyładowuje. Ten facet będzie cię obserwował, dopóki sobie nie pójdziesz.

Tymczasem do kiosku co jakiś czas ktoś wchodzi albo stamtąd wychodzi. I zawsze coś się dzieje na chodniku, ciągle przechodzą ludzie zmierzający w jedną czy w drugą stronę. Ulicą przetacza się zamiatarka, obrotowe szczotki zgarniają niedopałki papierosów, odłamki szkła i kapsle od butelek. Dwóch mężczyzn próbuje się wyminąć i wykonuje ten taniec uników – każdy ruch jednego jest lustrzanym odbiciem ruchów drugiego – ale jakoś udaje im się na siebie nie wpaść. Kobieta rozmawiająca przez komórkę, przechodząc, zerka na swoje odbicie w szybie. Daleko w górze z warkotem przelatuje helikopter relacjonujący dla jakiejś stacji radiowej,

gdzie trwają roboty drogowe.

I codziennie gdy to wszystko się dzieje, drzwi pozostają zamknięte. Nad New Empire i sklepikiem wznoszą się ku ponuremu październikowemu niebu cztery piętra Slough House; na ramach okien łąszczy się farba, szyby są brudne, ale da się przez nie zajrzeć do środka. Pasażerowi siedzącemu na górnym piętrze przejeżdżającego autobusu, który na dłuższą chwilę musi się tu zatrzymać – a coś takiego z łatwością może się zdarzyć, wystarczy kombinacja czerwonych świateł, nieustannych robót drogowych i słynnej inercji londyńskich autobusów – okna oferują widok na pomieszczenia na pierwszym piętrze, w których dominują żółcie i szarości. Stare żółcie i stare szarości. Żółte są ściany, a raczej te ich fragmenty, których nie zasłaniają szare szafki na dokumenty i szare biurowe regały z nieaktualnymi pozycjami referencyjnymi; niektóre leżą, inne opierają się o towarzyszy, żeby się nie przewrócić, kilka wciąż stoi prosto, a litery na ich grzbietach wyglądają jak widma w sztucznym świetle, które miesza się z naturalnym. W innych miejscach widać poupychane jak popadnie segregatory; wiele z nich jest powciskanych na półki tak ciasno, że niektóre wystają, jakby w każdej chwili mogły spaść. Sufity też mają niezdrowy, żółtawy kolor, tu i ówdzie pokryte są pajęczynami. A biurka i krzesła w pokojach na pierwszym piętrze są metalowe i funkcjonalne tak jak regały; prawdopodobnie pozyskano je z tego samego źródła – z likwidowanych koszar albo z bloku administracyjnego jakiegoś więzienia. Nie są to krzesła, na których można wygodnie się rozsiąść i w zamyśleniu patrzeć przed siebie. I nie są to biurka, które można traktować jak przedłużenie własnej osobowości, ustawiając na nich zdjęcia i maskotki. Te fakty same w sobie dostarczają pewnych informacji: a mianowicie że ci, którzy tutaj pracują, nie są na tyle cenieni, by pracodawców obchodził ich komfort. Mają siedzieć i robić to, co do nich należy, tak by nic ich przy tym nie rozpraszało. A potem mają wyjść tylnymi drzwiami, niezauważeni przez kierowcę zamiatarki czy kobiety rozmawiające przez komórkę.

Z górnego piętra autobusu nie za dobrze widać pomieszczenia piętro wyżej, ale można dojrzeć takie same pożółkłe od nikoty sufity. Jednak nawet trzy poziomowy autobus wniósłby niewiele nowego: biura na drugim piętrze są przygnębiająco podobne do tych poniżej. A poza tym informacja zapisana złotymi literami na ich oknach skutecznie sprawia, że każdy traci zainteresowanie. „W.W. Henderson” – głosi. „Kancelaria notarialno-prawna”. Od czasu do czasu za ekstrawagancko szeryfowymi czcionkami tego od dawna nieaktualnego logo pojawi się jakaś postać i spojrzy na ulicę w dole, jakby patrzyła na coś zupełnie innego. Jednak cokolwiek to jest, nie przykuje uwagi mężczyzny na dłużej. Za chwilę już go tam nie będzie.

Najwyższe piętro nie zapewnia takich rozrywek, ponieważ jego okna są zasłonięte. Ktokolwiek zamieszkuje ten poziom, najwyraźniej nie ma ochoty, by przypomniano mu o świecie zewnętrznym ani by przypadkowy promień słońca przeniknął przez otaczający go mrok. Jednak to również jest pewna wskazówka, ponieważ sugeruje, że duch nawiedzający owo piętro ma wolność wyboru i może się zdecydować na ciemność, a wolność wyboru zasadniczo przysługuje tylko szefom. A więc Slough House – nazwa ta nie pojawia się w żadnych oficjalnych

dokumentach, nagłówkach papieru listowego, na żadnych tabliczkach, rachunkach czy umowie dzierżawy ani na wizytówkach, w książce telefonicznej czy w bazie biura nieruchomości i w ogóle nie jest nazwą tego budynku, chyba że jedynie w najbardziej potocznym sensie – jest ewidentnie zarządzane z górnego piętra, choć sądząc po monotonnym, żalosnym wystroju, tutejsza hierarchia ma ograniczony charakter. Albo jesteś na samej górze, albo nie. A na samej górze jest tylko Jackson Lamb.

W końcu światła się zmieniają. Autobus krztusi się, rusza i zaczyna się toczyć w stronę katedry Świętego Pawła. I w ciągu tych ostatnich kilku sekund nasz pasażer na górnym piętrze autobusu może się zastanawiać, jak to jest pracować w tych biurach. Może nawet fantazja na chwilę podsunie mu wizję, w której ów budynek nie jest podupadłą kancelarią, lecz nadziemnym lochem, do którego trafiają za karę nieudacznicy z jakichś służb. Trafiają tu za „003”>narkotyki, pijaństwo i rozwiązłość; z powodów politycznych i za zdradę; za to, że są nieszczęśliwi i popadają w zwątpienie, i za niewybaczalne niedbalstwo polegające na dopuszczeniu do tego, by mężczyzna wysadził się w powietrze na peronie metra, zabijając lub ciężko raniąc około stu dwudziestu osób i powodując realne straty w wysokości trzydziestu milionów funtów oraz prognozowany spadek dochodów z turystyki w wysokości dwóch i pół miliarda. W efekcie budynek staje się więc administracyjnym miejscem zsyłki, do którego trafia nadmiar papierów sprzed epoki cyfrowej oraz partacze i wyrzutki, którzy przestali być potrzebni – i gdzie to wszystko może spokojnie porastać kurzem.

Naturalnie takie złudzenie nie przetrwałoby czasu, jakiego potrzebuje autobus, by przejechać pod pobliską kładką dla pieszych. Ale jedno podejrzenie mogłoby przetrwać trochę dłużej: że żółcie i szarości dominujące w wystroju nie są tym, czym się w pierwszej chwili wydają – że żółć nie jest wcale żółcią, lecz znużoną bielą brudną od nieświeżych oddechów, tytoniu, oparów zupek instant i płaszczy suszących się na kaloryferach; i że szarość wcale nie jest szarością, lecz czernią, która straciła wolę walki. Jednak również ta myśl szybko wyblaknie, bo niewiele rzeczy związanych ze Slough House pozostaje w pamięci. Trwała okazała się tylko jego nazwa, która narodziła się wiele lat temu, w trakcie swobodnej rozmowy dwóch szpiegów:

„Lamb trafił na zsyłkę”.

„Gdzie go wysłali? W jakieś okropne miejsce?”

„Gorzej być nie może”.

„Rany, chyba nie do Slough?”

„Całkiem możliwe”.

A to w świecie tajemnic i legend wystarczyło, by ukuć nazwę dla nowego królestwa Jacksona Lamba: miejsca żółci i szarości, gdzie kiedyś wszystko było czarne i białe.

Tuż po siódmej rano zapaliło się światło w oknie na drugim piętrze i za napisem „W.W. Henderson. Kancelaria notarialno-prawna” pojawiła się postać. W dole ulicą przejechał, terkocząc, elektryczny wózek z mlekiem. Postać przez chwilę stała w oknie, jakby spodziewała się, że wózek okaże się niebezpieczny, ale wycofała się,



gdy zniknął z pola widzenia. Mężczyzna powrócił do tego, czym się zajmował: odwrócił do góry dnem mokry czarny worek na śmieci i wysypał jego zawartość na gazetę rozłożoną na zniszczonym, wyblakłym dywanie.

W powietrzu natychmiast rozszedł się nieświeży zapach.

Marszcząc nos, w gumowych rękawiczkach na rękach, opadł na kolana i zaczął przeglądać bajzel z worka.

Skorupki po jajkach, ścinki warzyw, fusy po kawie w rozpadających się papierowych filtrach, torebki herbaty w kolorze pergaminu, kawałek mydła, etykiety ze słoików, zgnieciona plastikowa butelka, zmięte poplamione papierowe ręczniczki, rozerwane brązowe koperty, korki, zakrętki od butelek, spirala i kartonowa okładka notatnika, kilka kawałków stłuczonego naczynia, które do siebie nie pasowały, aluminiowe tacki po posiłkach na wynos, pogniecione samoprzylepne karteczki do notatek, pudełko po pizzy, wyciśnięta tubka pasty do zębów, dwa kartony po sokach, pusta puszka po paście do butów, plastikowa miarka i siedem paczuszek starannie zawiniętych w strony „Searchlight”.

Na dywan wypadła zawartość popielniczki.

Pokręcił głową i odrzucił rozmiękłą gazetę z powrotem na stertę.

Od strony schodów na tyłach budynku dobiegł dźwięk i mężczyzna przerwał to, co robił, ale odgłos się nie powtórzył. Wejść albo wyjść ze Slough House można było tylko od podwórza na tyłach z oślizłymi, przeżartymi grzybem ścianami. Każdy, kto wchodził, wywoływał przykry, głośny hałas, bo drzwi się zacinają i – podobnie jak większość używających je ludzi – potrzebowały porządnego kopniaka. Ten dźwięk był jednak zupełnie inny, więc mężczyzna tylko pokręcił głową i doszedł do wniosku, że to po prostu budynek się budzi; rozprostowuje nadproża czy co tam stare budynki robią rano po deszczowej nocy. Nocy, którą spędził na zewnątrz, żeby zabrać śmieci tego dziennikarza.

Skorupki po jajkach, ścinki warzyw, fusy po kawie w rozpadających się papierowych filtrach...

Sięgnął po kolejną z paczuszek ze zmiętym nagłówkiem potępiającym ostatnie demo Brytyjskiej Partii Narodowej i wstępnie ją powąchał. Nie śmierdziała popielniczką.

– Poczucie humoru potrafi być skończonym sukinsynem – powiedział Jackson Lamb.

River upuścił paczuszkę.

Lamb opierał się o drzwi, jego policzki lekko lśniły, jak zwykle po wysiłku. A zaliczało się do niego wchodzenie po schodach, chociaż kiedy to robił, nawet nie skrzypnęły. River nie potrafiłby się tak skradać, a nie dźwigał tyle ciała – u Lamba w większości zebrało się ono w pasie, jakby był w ciąży. W tej chwili przesłaniał je sfatygowany płaszcz przeciwdeszczowy, a z przewieszzonego przez jego ramię parasola kapiała woda.

River, próbując ukryć, że jego serce właśnie zderzyło się z żebrami, spytał:

– Myślisz, że nazywa nas nazistami?

– Cóż, tak. Oczywiście, że nazywa nas nazistami. Ale chodziło mi o to, że robisz

to na połowie pokoju, która należy do Sid.

River podniósł zawiniątko, ale rozmiękły papier rozpadł mu się w ręce. Wysypało się z niego trochę małych kosteczek i zeszkrobanej skóry, które przez jedną paskudną chwilę wyglądały jak dowody na brutalne morderstwo niemowlaka. A potem z tych resztek wyłonił się kształt kurczaka. Zniekształconego kurczaka, który składał się tylko z nóg i skrzydełek, ale bez wątplenia były to resztki ptaka. Lamb parsknął. River potarł obleczone w rękawiczki dłonie, zbijając przemoczone resztki gazet w kulki, po czym strząsnął je na stertę. Czerwony i czarny tusz nie chciały tak łatwo puścić. Wcześniej żółte rękawiczki przyjęły teraz kolor palców górnik.

– To nie było za mądre – stwierdził Lamb.

Dzięki, pomyślał River. Dzięki, że zwróciłeś mi na to uwagę.

Przez ostatnią noc od północy czaił się pod mieszkaniem tego dziennikarza, próbując się schronić pod niewielkim okapem budynku naprzeciwko, a deszcz lał, jakby miał nadejść biblijny potop. Większość sąsiadów wykonała już swój obywatelski obowiązek: czarne worki ustawione w szereg, przypominające siedzące świnie, albo pełne pojemniki na śmieci, zapewniane przez lokalny samorząd, stojące przy drzwiach niczym wartownicy. Ale nic przed budynkiem tego dziennikarza. Zimny deszcz spływał Riverowi po karku i dalej, aż do samej dupy. I wiedział, że bez względu na to, jak długo tu postoi, to na pewno nie będzie zabawne.

– Nie daj się złapać – powiedział mu przedtem Lamb.

Cholera, jasne, że nie dam się złapać, pomyślał.

– Spróbuję.

– Parking tylko dla mieszkańców – dodał jeszcze Lamb takim tonem, jakby zdradzał mu jakieś supertajne hasło.

Parking tylko dla mieszkańców. I co z tego?

To, że nie mógł siedzieć w samochodzie, uświadomił sobie poniewczasie. Nie mógł wygodnie się rozsiąść, słuchać, jak deszcz bębni o dach, i czekać, aż pojawią się śmieci. Szanse na to, że parkingowy – czy jak tam ich teraz nazywali – zrobi obchód po północy, były niewielkie, ale istniały.

Tylko tego by mu jeszcze brakowało – mandatu za parkowanie. Jego nazwiska w jakiejś bazie.

„Nie daj się złapać”.

W strugach deszczu pozostał mu więc niewielki okap. Jeszcze gorsze od tego było migoczące światło za cienkimi zasłonami w oknie na parterze, gdzie siedział ten dziennikarz; co jakiś czas pojawiał się na nich cień. Jakby pismak siedział sobie tam w środku, w suchym miejscu i zrywał boki na myśl o Riverze na deszczu, wyczekującym wystawienia śmieci, żeby móc je zgarnąć i potajemnie zbadać. Jakby dziennikarz o tym wszystkim wiedział.

Tuż po północy Riverowi przysłała do głowy myśl: może i wiedział.

I tak było przez ostatnich osiem miesięcy. Co jakiś czas przyglądał się temu z szerszej perspektywy i potrząsał tym, co widział, jak kawałkami puzzli. Czasami układały się inaczej; czasem w ogóle do siebie nie pasowały. Dlaczego Jacksonowi Lambowi do tego stopnia zależało na śmieciach dziennikarza, że dał Riverowi

pierwsze zadanie w terenie od czasu, kiedy przenieśli go do Slough House? Może wcale nie chodziło o zdobycie tych śmieci? Może po prostu River godzinami miał stać w deszczu, podczas gdy ten pismak śmiał się z tego, rozmawiając z Lambem przez telefon?

O tym deszczu mówili w prognozach. Cholera, padało, kiedy Lamb przydzielił mu to zadanie.

„Parking tylko dla mieszkańców” – powiedział.

„Nie daj się złapać”.

Po kolejnych dziesięciu minutach River doszedł do wniosku, że ma tego dość. Nie będzie żadnego worka ze śmieciami, a jeśli nawet, to i tak bez znaczenia, po prostu wysłano go z idiotycznym zadaniem... Ruszył z powrotem, po drodze zabierając pierwszy lepszy worek ze śmieciami; wrzucił go do bagażnika samochodu, który zostawił przy najbliższym parkometrze. Pojechał do domu. Położył się.

Leżał tam przez dwie godziny, patrząc, jak puzzle zaczynają się układać inaczej. „Nie daj się złapać” Jacksona Lamba mogło oznaczać właśnie to: że River dostał ważne zadanie i nie wolno mu dać się złapać. Nie bardzo ważne – bo gdyby tak było, Lamb wysłałby Sid albo może Moody’ego – ale na tyle ważne, że trzeba je wykonać.

Albo może to była próba. Próba mająca sprawdzić, czy River był w stanie wystawić się na deszcz i przynieść worek śmieci.

Znów wyszedł na dwór, wrzucił przypadkowy worek do pierwszego mijanego kosza. Powoli przejeżdżając obok mieszkania dziennikarza, ledwie mógł uwierzyć, że stał tam, oparty o ścianę pod oknem – zawiązany czarny worek.

Zawartość tego worka leżała teraz rozsypana na podłodze przed nim.

– Zostawię cię, żebyś mógł to posprzątać, dobrze? – powiedział Lamb.

– A czego tak dokładnie szukam? – spytał River.

Ale Lamb już sobie poszedł; tym razem było słychać, jak wchodzi po schodach. Każde skrzypnięcie i jęk odbijały się echem i River został sam, na połowie pokoju należącej do Sid, wciąż otoczony tym śmierdzącym syfem i wciąż przytłoczony tym niejasnym, ale wyraźnym wrażeniem, że jest workiem treningowym Jacksona Lamba.

W Max’s stoliki zawsze były ustawione zbyt blisko siebie, jakby w optymistycznym przygotowaniu na napływ klientów, który miał nigdy nie nastąpić. Max’s nie był popularny, ponieważ nie był za dobry; potrafili po kilka razy zaparzać tę samą kawę, a rogaliki były czerstwe. Powracający tu klienci stanowili wyjątek, nie zasadę. Istniał jednak jeden stały klient i każdego ranka, kiedy wchodził z gazetami pod pachą, osoba przy ladzie zaczynała napełniać jego filiżankę. Nie miało znaczenia, jak często zmieniał się personel – jego rysopis przekazywano sobie razem z instrukcjami dotyczącymi ekspresu do cappuccino. „Beżowy płaszcz przeciwdeszczowy. Rzadkie ciemnoblonde włosy. Ciągłe poirytowany”. No i oczywiście te gazety.

Tego ranka szyby były zamglone od mżawki. Krople z jego płaszcza kapą na linoleum z wzorem w szachownicę. Gdyby nie przyniósł gazet w plastikowej torbie, zmieniłyby się w papier mâché, czekającą na to, aż ktoś coś z niej uformuje.

– Dzień dobry.

- To paskudny dzień.
- Ale zawsze miło pana widzieć.

To ostatnie powiedział dzisiejszy Max, bo dla Roberta Hobdena oni wszyscy nosili takie imię. Przecież nie mógł ich odróżniać, skoro pracowali za tą samą ladą.

Usiadł w tym samym kącie co zwykle. Przy stoliku obok, koło okna, siedziała rudowłosa kobieta, jedna z zaledwie trojga klientów. Na oparciu jej krzesła wisiał czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Była ubrana w białą koszulę bez kołnierzyka i czarne legginsy do kostek. Zauważył to, ponieważ owinęła stopy wokół nóg krzesła tak, jak to czasem robią dzieci. Przed nią stał miniaturowy laptop. Nie podniosła wzroku.

Max przyniósł mu latte. Hobden burknął coś do niego i jak zwykle wyłożył na stół klucze, komórkę i portfel. Nie znosił siedzieć, mając to wszystko w kieszeniach. Do tego dołożył pisak i notebook. Pisak był cienki; w breloczku znajdowała się karta pamięci. Jeśli zaś chodzi o gazety, były to porządne dzienniki oraz „Daily Mail”. Razem tworzyły dziesięciocentymetrową stertę, z której zamierzał przeczytać mniej więcej trzy centymetry; znacznie mniej w poniedziałki, kiedy było więcej relacji sportowych. Dziś był wtorek, trochę po siódmej. Znowu padał deszcz. Padał przez całą noc.

„Telegraph”, „Times”, „Mail”, „Independent”, „Guardian”.

W jakimś momencie w przeszłości pisywał dla nich wszystkich. Nie była to myśl, która przyszła mu do głowy, raczej świadomość towarzysząca mu przez większość poranków, mniej więcej o tej porze. Początkujący reporter – absurdalne określenie – w Peterborough, potem nieuniknione przeniesienie do Londynu i zróżnicowane tempo głównych dziedzin, przestępczości i polityki, nim w wieku czterdziestu ośmiu lat dorobił się tego, co mu się słusznie należało: własnej cotygodniowej rubryki. A właściwie dwóch. W niedziele i w środy. Regularnie się pojawiał w „Question Time”. Od podżegacza do akceptowalnego przedstawiciela odmiennych poglądów; trzeba przyznać, że w jego przypadku była to długa trajektoria, ale dzięki temu tym słodsze wydawało się dotarcie do celu. Gdyby mógł wtedy zatrzymać czas, miałby niewiele powodów do narzekania.

Teraz nie pisywał już dla gazet. A gdy taksówkarze go rozpoznawali, robili to z niewłaściwych powodów.

Beżowy płaszcz, w tej chwili zdjęty i odłożony na bok; zawsze rzadkie ciemnoblond włosy – no i ta poirytowana mina. Robert Hobden zdjął nasadkę z mazaka, upił łyk latte i zabrał się do pracy.

W oknach paliły się światła. Jeszcze zanim Ho otworzył drzwi, wiedział, że w Slough House ktoś jest. Ale i tak by się zorientował po mokrych śladach butów na schodach i zapachu deszczu w powietrzu. Od wielkiego dzwonu Jackson Lamb zjawiał się przed Ho; to sporadyczne pojawianie się przed świtem miało czysto terytorialny charakter. Możesz sobie nawiedzać to miejsce ile chcesz, mówił przez to Lamb. Ale kiedy wyburzą ściany i policzą kości, to moje znajdą na samej górze. Istniało wiele dobrych powodów, żeby nie lubić Jacksona Lamba, i dla Ho to był jeden z ulubionych.

Ale to nie był Lamb. Albo nie tylko on. Na górze był ktoś jeszcze.

Mógł to być Jed Moody, ale tylko we śnie. Moody zwykle nie zjawiał się przed wpół do dziesiątej i ogólnie przed jedenastą nie był gotów na nic bardziej skomplikowanego niż wypicie czegoś gorącego. Roderick Ho nie lubił Jeda Moody'ego, ale to nie był żaden problem: Moody nie spodziewał się, że będzie lubiany. Nawet zanim przeniesiono go do Slough House, miał prawdopodobnie mniej przyjaciół niż rąk. A więc Ho i Moody nie najgorzej się dogadywali, dzieląc pokój: nie lubili się nawzajem i żadnego nie obchodziło, że ten drugi o tym wie.

Nie było jednak szans, żeby Moody zjawił się tu przed nim. Była dopiero siódma.

Bardziej prawdopodobne, że to Catherine Standish. Ho nie potrafił sobie przypomnieć, by Catherine Standish kiedykolwiek przyszła pierwsza, co oznaczało, że coś takiego nigdy nie miało miejsca. Ale zwykle zjawiała się zaraz po nim. Słyszał wtedy udręczony jęk otwieranych drzwi, ciche skrzypienie jej kroków na schodach, a potem nic. Pracowała dwa piętra wyżej, w małym pokoiku obok Lamba, a ponieważ pozostawała niewidoczna, łatwo było o niej zapomnieć. Właściwie to łatwo było o niej zapomnieć, kiedy stało się obok niej. Szanse na wycucie jej obecności nie były duże. A więc to musiał być ktoś inny.

Ho to odpowiadało. Nie lubił Standish.

Wszedł na pierwsze piętro. W swoim pokoju odwiesił płaszcz przeciwdeszczowy na haczyk, włączył komputer, a potem poszedł do kuchni. Od strony schodów prowadzących na górę czuć było dziwny zapach. Woń deszczu zastąpiło coś zgniłego.

Lista podejrzanych przedstawiała się następująco: Min Harper, który był nerwowym idiotą, ciągle obmacującym się po kieszeniach, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zgubił; Louisa Guy, która wyglądała, jakby puszczała parę uszami i kojarzyła się Ho z szybkowarem; Struan Loy, biurowy dowcipniś. Ho nie lubił nikogo z nich, ale zwłaszcza Loya – biurowi dowcipnisie byli wyjątkowo upierdliwi – oraz Kay White, która kiedyś pracowała na najwyższym piętrze i dzieliła pokój z Catherine, ale została zesłana na dół za „ciągłe hałasowanie”: dzięki, Lamb. Dzięki, że teraz wszyscy musimy to znosić. Jeśli nie jesteś w stanie znieść jej trajkotania, czemu nie odeślesz jej z powrotem do Regent's Park? Tyle tylko że żadne z nich nigdy nie wróci do Regent's Park, bo wszyscy pozostawili tam kawałek historii; jakąś brzydką plamę w annałach tajnych służb.

A Ho znał kolory i kształty każdej plamy: wykroczeń związanych z narkotykami, pijaństwem i rozwiązłością; z polityką i zdradą – Slough House był pełen sekretów i Ho znał rozmiary i głębie każdego z nich, z wyjątkiem dwóch.

Co nasunęło mu na myśl Sid. To ona mogła być tam na górze.

Bo o to właśnie chodziło z Sid Baker: Ho nie wiedział, za jaką zbrodnię ją karano. To był jeden z tych dwóch sekretów, które mu umykały. Prawdopodobnie właśnie dlatego nie lubił Sid.

Gdy gotowała się woda, Ho przeglądał w myślach niektóre z sekretów Slough House. Myślał o tym nerwowym idiocie Minie Harperze, który zostawił w pociągu dysk z tajnymi danymi. I może by mu się nawet upiekło, gdyby dysk nie był we wściekle czerwonym woreczku z napisem „Ścisłe tajne”. I gdyby tamta kobieta, która

go znalazła, nie przekazała go BBC. Niektóre rzeczy są zbyt dobre, by mogły być prawdziwe, chyba że to akurat tobie się przytrafiają. Dla Mina Harpera ten epizod był zbyt okropny, by był w stanie w to uwierzyć, ale i tak mu się przytrafił. I właśnie dlatego ostatnie dwa lata niegdyś obiecującej kariery Min spędził, obsługując niszczarkę na pierwszym piętrze.

Z czajnika buchnęła para. W kuchni była kiepska wentylacja i z sufitu często sypał się gips. Jeszcze trochę i całe to cholerstwo się zawali. Ho nalał wrzątku do kubka z torebką herbaty. Jego dni były podzielone na takie segmenty, chwile spędzane na zalewaniu herbaty w kubku czy wyprawie po kanapki i dalej podzielone mentalnie na zastanawianie się nad wszystkimi tajemnicami Slough House, z wyjątkiem dwóch... Przez resztę czasu Ho siedział przed swoim monitorem, rzekomo wprowadzając dane z dawno zamkniętych spraw, podczas gdy tak naprawdę szukał drugiego sekretu – tego, który go zżerał i nigdy nie przestawał dręczyć.

Wyłowił łyżeczką torebkę herbaty, wrzucił ją do zlewu i wtedy uderzyła go myśl: wiem, kto jest na górze. River Cartwright. To musi być on.

Nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego Cartwright miałby tu być o tej porze rano. Ale mimo wszystko obstawmy. Ho obstawiał Cartwrighta. To on był w tej chwili na górze.

To by się zgadzało. Ho naprawdę nie lubił Rivera Cartwrighta.

Zaniósł kubek na swoje biurko. Monitor zdążył się już włączyć.

Hobden odłożył „Telegraph”; zdjęcie na pierwszej stronie przedstawiało groteskowo skrzywionego Petera Judda. Zrobił kilka notatek o zbliżających się wyborach uzupełniających – minister kultury z gabinetu cieni wycofał się z gry; udary, które miał w styczniu, zakończyły jego karierę – ale nic poza tym. Gdy politycy z własnej woli zrzekali się władzy, warto było się temu dokładniej przyjrzeć, ale Robert Hobden był weteranem w analizowaniu takich historii. Wciąż czytał je tak, jakby były napisane brajlem: nierówności języka podpowiadały mu, kiedy miał do czynienia z zakazami publikowania informacji zagrażających bezpieczeństwu państwa; kiedy ci z Regent’s Park maczali w tym palce i manipulowali faktami. Najprawdopodobniej to było tym, czym się zdawało: polityk wracający na zadupie po tym, jak wystraszył go stan własnego zdrowia. A Robert Hobden ufał swoim instynktom. Człowiek nie przestaje być dziennikarzem tylko dlatego, że już nikt go nie drukuje. Zwłaszcza jeśli wie, że ma jakąś historię, i tylko czeka, aż jej płetwa wynurzy się nad falami codziennych wiadomości. Prędzej czy później się wynurzy. A kiedy już się tak stanie, on rozpozna, z czym ma do czynienia.

Tymczasem kontynuował swój codzienny połów w tym morzu drukowanego tekstu. Właściwie nie miał zbyt wiele do roboty. Z dawnych koneksji Hobdena niewiele już zostało.

Powiedzmy to wprost: Hobden był pariasem.

I to również wiązało się z Regent’s Park. W tym czy innym okresie pisywał dla wszystkich tych gazet, ale pieprzeni tajniacy położyli temu kres. No więc teraz spędzał poranki w Max’s, polując na jakiś sensacyjny materiał... Tak się właśnie działo, jeśli było się blisko jakiejś dobrej historii: zaczynałeś się martwić, że wszyscy

inni też są na jej tropie. Że twoja bomba jest zagrożona. A to zagrożenie się podwajało, kiedy byli w to zamieszani tajniacy. Hobden nie był idiotą. W notebooku nie miał nic, co nie byłoby dostępne dla wszystkich; kiedy zapisywał notatki uzupełnione o własne spekulacje, zachowywał je na karcie pamięci, żeby twardy dysk pozostał czysty. I miał też atrapę, na wypadek gdyby ktoś był naprawdę bystry. Poprzedniego wieczoru, krążąc po mieszkaniu zaniepokojony poczuciem, że coś mu umknęło, przeanalizował wszystkie niespodziewane spotkania, jakie mu się ostatnio przytrafiły, nieznanym, którzy go zagadywali, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Potem przyjrzał się innym swoim spotkaniom w ostatnim czasie – z byłą żoną, z dziećmi, z dawnymi kolegami z pracy i przyjaciółmi, ale nic takiego też nie miało miejsca. Tylko w Max's ktokolwiek mówił mu „dzień dobry”. Tym, co mu umknęło, było wystawienie śmieci, ale w końcu to sobie przypomniał.

– Przepraszam?

Powiedziała to ta ładna ruda siedząca przy sąsiednim stoliku.

– Proszę pana? Przepraszam?

Okazało się, że mówi do niego.

Resztki ryby. Ostatnia paczuszka ze strony „Searchlight” zawierała resztki ryby – nie ości czy głowy, które sugerowałyby, że pismak sam coś przygotowywał w kuchni, tylko stwardniałe kawałki panierki i skóry oraz grudkę zwęglonych frytek, co wskazywało, że jego lokal z jedzeniem na wynos nie należał do najlepszych.

River przesortował już większość śmieci i nie znalazł w nich żadnej wskazówki. Nawet starannie rozwinięte przez niego samoprzylepne karteczki nie zawierały nic prócz list zakupów. Jajka, herbata ekspresowa, sok, pasta do zębów – podstawy planu, na którym opierał się ten cały bajzel. A kartonowa okładka notesu ze spiralką była tylko okładką; nie przetrwały żadne strony. Przesunął palcem po kartonie, na wypadek gdyby odcisnęły się tam jakieś bązgroły, ale nic nie znalazł.

Usłyszał walenie w sufit. Ulubiony sposób Lamba na wzywanie do siebie podwładnych.

Nie byli już jedynymi w Slough House. Dochodziła ósma; drzwi otwierały się już dwa razy, a schody jak zwykle wyskrzypiały powitanie. Piętro niżej ucichły odgłosy, co oznaczało, że przyszedł Roderick Ho. Ho zwykle przychodził pierwszy, często wychodził ostatni, a to, jak spędzał tu godziny, pozostawało dla Rivera zagadką, choć puszki coli i pudełka po pizzy otaczające jego biurko wskazywały, że budował fortecę.

Odgłos kroków znów minął piętro Rivera – to Catherine. Musiał przez chwilę szukać w pamięci jej nazwiska: Catherine Standish. Lepiej pasowałyby do niej Havisham. River nie znał się na sukniach ślubnych, ale równie dobrze mogłaby chodzić owinięta w pajęczynę.

Kolejne walnięcie w sufit. Gdyby miał pod ręką miotłę, odpowiedziałby tak samo.

Tymczasem śmietnik zdążył się przenieść. Na początku ograniczał się do wysepki z rozłożonej przez niego gazety; teraz się rozprzestrzenił, zajmując większość podłogi na połowie Sid. Smród był bardziej demokratyczny i zajął cały pokój.

Pod biurkiem leżał zwinięty kawałek skórki pomarańczy, nieczytelny niczym

podpis lekarza.

Kolejne walenie w sufit.

Nie zdejmując gumowych rękawiczek, River wstał i ruszył do drzwi.

Miał pięćdziesiąt sześć lat, młode, ładne rudowłose z nim nie rozmawiały. Gdy jednak Robert Hobden posłał jej pytające spojrzenie, uśmiechnęła się i kiwnęła głową – sygnał otwartości wysyłany przez jedno zwierzę drugiemu, kiedy czegoś chce albo potrzebuje.

– W czym mogę pomóc?

– Mam napisać? Tę pracę?

Nie znosił tej pytającej intonacji. Skąd młodzi wiedzieli, kiedy potrzebna była odpowiedź? Ale miała jasne piegi i na tyle rozpiętą koszulę, by dostrzec, że wychodziły aż na piersi. I cienki srebrny łańcuszek z wisiorkiem. Żadnej obrączki na palcu. Nadal dostrzegał takie szczegóły, długo po tym, jak przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Tak?

– Tylko że przypadkiem zauważyłam nagłówek... Pańskiej gazety? Jednej z pańskich gazet...

Wyciągnęła rękę i popukała w egzemplarz „Guardiana”, i mógł się lepiej przyjrzeć tym piegom. Nie chodziło jej jednak o nagłówek, tylko o teaser nad winiętą: wywiad z Russellem Daviesem w dodatku.

– Ta moja praca jest o bohaterach mediów?

– Oczywiście, że tak.

– Co proszę?

– Proszę się nie krępować.

Wysunął z gazety G2 i jej podał.

Ślicznie się do niego uśmiechnęła i podziękowała. Zwrócił uwagę, że miała ładne niebieskozielone oczy i trochę zbyt pełną śliczną dolną wargę.

Kiedy jednak siadała z powrotem na swoim miejscu, musiała nie do końca panować nad swoimi ślicznymi kończynami, bo w następnej chwili wszędzie było cappuccino, a jej język stał się niegodny damy.

– O cholera, tak mi przykro.

– Max!

– Musiałam...

– Możemy prosić o jakąś ścierkę?

Dla Catherine Standish Slough House był tym, czym skała dla Pinchera Martina: czymś brzydkim, wilgotnym, do bólu znajomym, do czego można przywrzeć, kiedy zaczynają uderzać fale. Ale otwieranie drzwi było walką. Można by to było łatwo naprawić, ale ponieważ Slough House był tym, czym był, nie dało się po prostu sprowadzić stolarza. Trzeba było wypełnić formularz na prace remontowe w budynku, złożyć podanie o środki, załatwić przepustkę dla zatwierdzonego rzemieślnika – outsourcing był „fiskalnie właściwy”, jak mówiły instrukcje, ale przeczyły temu sumy wydatkowane na remonty. A kiedy już wypełniło się te wszystkie formularze, wysyłało się je do Regent’s Park, gdzie miały zostać przeczytane, podpisane,



opatrzone pieczętkami i zignorowane. A więc co rano musiała przez to przechodzić: napierała na drzwi z parasolką w jednej ręce, a kluczami w drugiej, garbiąc się, żeby torebka nie wysliznęła jej się z ramienia na ziemię. I przez cały ten czas miała nadzieję, że uda jej się nie stracić równowagi, kiedy drzwi raczą się otworzyć. Pincher Martin miał łatwo. Jego skała na Atlantyku była pozbawiona drzwi. Chociaż tam też padało.

W końcu drzwi jak zwykle ustąpiły z jękiem. Przystanąła, by strząsnąć nadmiar wody z parasolki. Zerknęła w niebo. Wciąż było szare i ciężkie. Potrząsnęła jeszcze raz, a potem wsunęła parasolkę pod ramię. W przedpokoju był stojak, ale skorzystanie z niego wiązało się z utratą parasolki na stałe. Na pierwszym piętrze przez uchylone drzwi zobaczyła Ho siedzącego przy swoim biurku. Nie podniósł wzroku, ale wiedziała, że ją zauważył. Ona z kolei udała, że go nie widzi, albo tak to przynajmniej musiało wyglądać. W rzeczywistości brała go za mebel, co wymagało mniej wysiłku.

Na drugim piętrze drzwi obu pokoi były zamknięte, ale w szparze pod drzwiami pokoju Rivera i Sid było widać światło. W powietrzu unosił się obrzydliwy zapach: starej ryby i gnijących warzyw.

W swoim pokoju na najwyższym piętrze odwiesiła płaszcz na wieszak, otworzyła parasolkę, żeby porządnie wyschła, i spytała zamknięte drzwi Jacksona Lamba, czy mają ochotę na herbatę. Nie doczekała się odpowiedzi. Przepłukała czajnik, napełniła go świeżą wodą i wstawiła, żeby się zagotowała. Poszła do swojego pokoju, włączyła komputer, a potem poprawiła szminkę i przeczesała włosy.

Catherine w lusterku puderniczki zawsze była o dziesięć lat starsza od tej, którą spodziewała się zobaczyć. Ale to była wyłącznie jej wina.

Wciąż miała blond włosy, ale tylko jeśli przyjrzeć im się z bliska, a nikt nie przyglądał im się z bliska. Z daleka wydawały się szare, choć wciąż gęste i kręcone; oczy były tego samego koloru, przez co sprawiała wrażenie, jakby zblakła do monochromu. Poruszała się cicho i ubierała jak postać z ilustracji w przedwojennej książce dla dzieci: zwykle kapelusz; nigdy żadnych dżinsów czy spodni – ani nawet spódnic – zawsze sukienki z koronkowymi mankietami. Gdy zbliżyła lusterko do twarzy, była w stanie dostrzec zniszczoną cerę; widziała linie, przez które wyciekła jej młodość. Proces ten przyśpieszyły niemądre wybory, choć – patrząc wstecz – to uderzające, jak często wybory wcale nie wydawały się wyborami, lecz po prostu kwestią zrobienia kolejnego kroku, jeden po drugim. W przyszłym roku miała skończyć pięćdziesiątkę. To było całkiem sporo kroków jeden po drugim.

Woda w czajniku się zagotowała. Catherine zaparzyła sobie kubek herbaty. Z powrotem przy biurku – w przestrzeni, której, dzięki Bogu, nie musiała z nikim dzielić, odkąd na rozkaz Lamba Kay White wyleciała na dół – zaczęła od miejsca, gdzie skończyła wczoraj: raport o zakupach nieruchomości w ciągu ostatnich trzech lat w rejonie Leeds/Bradford, zestawienie z danymi o imigrantach z tego samego okresu. Nazwiska pojawiające się pod oboma nagłówkami były sprawdzane z listą osób obserwowanych sporządzoną przez Regent's Park. Catherine jeszcze się nie zdarzyło znaleźć nazwiska, które uruchomiłoby alarmy, ale i tak każdego sprawdzała, a potem sporządzała listę wyników według kraju pochodzenia, z Pakistanem na samej

górze. W zależności od tego, jak patrzyło się na te wyniki, mogły być albo dowodem na przypadkowe przemieszczanie się populacji i inwestycje w nieruchomości, albo też wykresem, z którego w końcu miał wyniknąć jakiś wzorzec czytelny tylko dla stojących wyżej niż ona w hierarchii zbierania danych wywiadowczych. W zeszłym miesiącu napisała podobny raport dla obszaru metropolitalnego Manchesteru. Następne miało być Birmingham albo Nottingham. Jej raporty były potem dostarczane przez kuriera do Regent's Park i liczyła, że tam Królowe Bazy Danych poświęcą im więcej uwagi niż jej podaniom o prace remontowe.

Po półgodzinie przerwała i znów uczesała włosy.

Pięć minut później River Cartwright wszedł na górę i bez pukania otworzył drzwi gabinetu Lamba.

Dziewczyna zerwała się na nogi i używając gazety, starała się skierować cappuccino jak najdalej od laptopa.

Przez ułamek sekundy Hobden czuł poirytowanie wynikające z poczucia własności – to przecież jego gazeta, nie będzie się przez nią nadawała do czytania – ale to nie trwało długo, a poza tym tak czy inaczej potrzebowali szmatki.

– Max!

Hobden nie znosił scen. Dlaczego ludzie są tacy niezdarni?

Wstał i ruszył w stronę lady, ale zaraz nadział się na Maxa ze szmatką w ręce, który oszczędzał uśmiech dla rudej. Ta wciąż bezskutecznie próbowała ratować się „Guardianem”.

– Nic się nie stało! Nic się nie stało – zapewniał ją Max.

Cóż, coś się jednak stało, pomyślał Robert Hobden. Coś się jednak stało, bo zrobiło się straszne zamieszanie, wszędzie była kawa, a on chciał tylko, żeby zostawili go w spokoju, by mógł dalej przeglądać poranną prasę.

– Bardzo przepraszam – powiedziała dziewczyna.

– Żaden problem – skłamał.

– No i proszę, już gotowe! – oświadczył Max.

– Dziękuję – odparła dziewczyna.

– Doleję pani kawy.

– Nie, mogę zapłacić...

To jednak też nie był żaden problem. Ruda usiadła z powrotem przy stoliku i przepraszająco spojrzała na oblaną cappuccino gazetę.

– Przynieść panu nową...

– Nie.

– Ale ja...

– Nie. To nieważne.

Hobden zdawał sobie sprawę, że w takich chwilach brakuje mu wdzięku i swobody. Może powinien brać lekcje od Maxa, który już wrócił, niosąc świeże napoje dla nich obojga. Hobden burknął coś w podziękowaniu. Ruda słodko szczebiotała, ale to było udawane. Była okropnie zakłopotana; ewidentnie wolałaby spakować laptop i wyjść.

Dokończył pierwszą filiżankę, odstawił ją na bok. Upił łyk z drugiej.

Pochylił się nad „Timesem”.

– Dudniłeś? – spytał River.

Patrząc na rozwalonego przy biurku Lamba, trudno było sobie wyobrazić, że w ogóle byłby do tego zdolny; trudno było nawet sobie wyobrazić, że mógłby wstać i otworzyć okno.

– Fajne rękawiczki – odparł Lamb.

Sufit opadał wraz z pochyłością dachu. Znajdowało się w nim mansardowe okno z zaciągniętą na stałe zasłoną. Lamb nie lubił oświetlenia sufitowego, więc panował półmrok; głównym źródłem światła była lampa stojąca na stercie książek telefonicznych. Wyglądało to bardziej jak legowisko niż jak biuro. Ciężki zegar w rogu biurka tykał zadowolony z siebie. Korkowa tablica na ścianie była cała zasłonięta czymś, co wyglądało na kupony rabatowe; niektóre były tak pożółkłe i pozwijane, że na pewno straciły już ważność.

River pomyślał o tym, żeby ściągnąć gumowe rękawice, ale to byłoby dość skomplikowane; wymagałoby chwycenia za końcówkę każdego palca, a potem pociągnięcia, więc postanowił tego nie robić.

– Brudna robota – powiedział zamiast tego.

Niespodziewanie Lamb wydał ordynarny dźwięk.

Brzuszyśko Lamba było zakryte za biurkiem, choć to nie wystarczało, by je ukryć. Lamb mógłby być za zamkniętymi drzwiami, a jego bebeczki i tak były oczywiste. Ponieważ był w jego głosie, nie wspominając nawet o twarzy czy oczach. Był w sposobie, w jaki wydał ten ordynarny dźwięk. Ktoś kiedyś zauważył, że przypomina zapuszczonego Timothy’ego Spalla (otwarte pozostawało pytanie, jak mógłby wyglądać niezapuszczony Timothy Spall), co trafnie oddawało istotę rzeczy. Ale pomijając Spalla, ten brzuch, nieogolone policzki, włosy – brudny blond, przyлизane do tyłu od wysokiego czoła i zaczynające się zawijać w miejscu, gdzie dotykały kołnierzyka – czyniły z niego niezłego kandydata na Jacka Falstaffa, pomyślał River. Rola, którą Timothy Spall powinien wziąć pod uwagę.

– Słuszna uwaga – zauważył. – Dobra robota.

– Wydawało mi się, że mógł w tym być jakiś zawołowany krytycyzm – powiedział Jackson Lamb.

– Nic podobnego nie przyszło mi do głowy.

– No tak, cóż. Ale przyszło ci do głowy, żeby wykonywać tę brudną robotę na połowie pokoju Sid.

– Trudno utrzymać cały wór odpadów w jednym miejscu – odparł River. – Eksperci nazywają to rozpełzaniem się śmieci.

– Nie przepadasz za Sid, co?

Nie odpowiedział.

– Cóż, Sid też nie jest twoją największą fanką – stwierdził Lamb. – Zresztą rywalizacja o bycie twoim fanem nie jest szczególnie zaciekle. Znalazłeś coś ciekawego?

– Zdefiniuj „ciekawe”.

– Poudawajmy przez chwilę, że jestem twoim szefem.

- Było mniej więcej tak ciekawe, jak może być tylko worek domowych śmieci.
- Sir.
- Zechciałbyś to rozwinąć?
  - Opróżnia popielniczkę na rozłożoną gazetę. A potem zawija ją jak prezent.
  - Wygląda na to, że to jakiś dziwak.
  - Dzięki temu nie śmierdzi mu z kosza na śmieci.
  - Kosze na śmieci mają śmierdzieć. To stąd człowiek wie, czym są.
  - Po co to robiłem?
  - Wydawało mi się, że chcesz się wyrwać z biura. Czy nie mówiłeś, że chcesz się wyrwać z biura? Od paru miesięcy. Jakieś trzy razy dziennie.
  - Jasne. W służbie Jej Królewskiej Mości, i tak dalej. Więc teraz przeszukuję kosze na śmieci jak jakiś śmieciowy nurek. Czego tak właściwie szukam?
  - A kto powiedział, że czegoś szukasz?
- River się nad tym zastanowił.
- Czyli po prostu chcemy, żeby wiedział, że mu się przyglądamy?
  - Jacy my, blada twarzy? Ty nic nie chcesz. Ty chcesz tylko tego, co ja ci każę chcieć. Nie było żadnych starych notesów? Podartych listów?
  - Część notesu. Ze spiralką. Ale bez żadnych stron. Tylko tekturowa okładka.
  - Dowody na używanie środków farmakologicznych?
  - Puste opakowanie po paracetamolu.
  - Prezerwatywy?
  - Przypuszczam, że spłukuje je w kiblu – odparł River. – O ile nadarzy się okazja.
  - Sprzedają je w małych foliowych paczuszkach.
  - O ile dobrze pamiętam. Nie. Nic takiego nie było.
  - Puste butelki po alkoholu?
  - Przypuszczam, że są w jego koszu na surowce wtórne.
  - Puszki po piwie?
  - Tak samo.
  - Boże – westchnął Jackson Lamb. – To tylko mi się tak wydaje, czy wszystko przestało być zabawne mniej więcej po 1979?
- River nie zamierzał udawać, że go to obchodzi.
- Wydawało mi się, że nasza praca obejmuje ochronę demokracji – oznajmił. – Jak ma w tym pomóc nękanie jakiegoś dziennikarza?
  - Mówisz poważnie? To powinien być jeden z naszych kluczowych wskaźników wydajności.
- Lamb powiedział to tak, jakby znalazł to stwierdzenie w jakimś formularzu, który niedawno wrzucił do kosza na śmieci.
- No to w tym konkretnym przypadku.
  - Postaraj się nie myśleć o nim jak o dziennikarzu. Bardziej jak o potencjalnym zagrożeniu dla integralności państwa.
  - A jest nim?
  - Nie wiem. Coś w jego śmieciach sugeruje, że może być?
  - Cóż, pali papierosy. Ale jeszcze nie wyniesiono tego do rangi zagrożenia dla

bezpieczeństwa.

– Jak na razie – odparł Lamb, który lubił sobie popalać w gabinecie. Zastanawiał się przez chwilę. Potem powiedział: – No dobra, zapisz to.

– Zapisać to – powtórzył River. Nie do końca zrobił z tego pytanie.

– Masz jakiś problem, Cartwright?

– Czuję się, jakbym pracował dla brukowca.

– Miałybyś niezłego fuksa. Wiesz, ile te sukinsyny zarabiają?

– Chcesz, żebym wziął go pod obserwację?

Lamb się roześmiał.

River czekał. Trochę to trwało. Śmiech Lamba nie był autentyczną oznaką rozbawienia; bardziej przypominał chwilowy obłęd. Nie był to śmiech, który chciało się usłyszeć od kogoś, kto trzyma kij.

Kiedy przestał, było to tak nagłe, jakby nigdy w ogóle nie zaczynał.

– Myślisz, że gdybym tego chciał, wybrałbym do tego ciebie?

– Mógłbym to zrobić.

– Naprawdę?

– Mógłbym to zrobić – powtórzył River.

– Pozwól, że ujmę to inaczej – powiedział Jackson Lamb. – Załóżmy, że chciałbym, żeby to zostało zrobione bez zabijania kilkudziesięciu przypadkowych ludzi. Myślisz, że mógłbyś sobie poradzić?

River nie odpowiedział.

– Cartwright?

Pieprz się, miał ochotę powiedzieć. Niemal zdecydował się na ponowne „mógłbym to zrobić”, ale powtórzenie sprawiało, że zabrzmiało to jak przyznanie się do kłębki. Mógł to zrobić. Naprawdę mógł?

– Nikomu nic by się nie stało – zapewnił.

– Jak to miło, że tak się angażujesz – skwitował Lamb. – Ale nie było tak ostatnim razem.

Następny zjawił się Min Harper, a zaraz po nim Louisa Guy. Przez chwilę gadali w kuchni i oboje za bardzo się starali. Tydzień temu w pubie po drugiej stronie ulicy, okropnej spelunie, coś między nimi zaskoczyło. Pub był ciemną dziurą bez okien, przeznaczoną wyłącznie dla amatorów lagera i tequili. Ale i tak tam poszli, bo oboje czuli palącą potrzebę napięcia się czegoś w ciągu sześćdziesięciu sekund od wyjścia ze Slough House, a to wykluczało dotarcie do jakiegoś sympatyczniejszego miejsca.

Ich rozmowa najpierw była bardzo konkretna (Jackson Lamb to sukinsyn), potem przybrała charakter spekulacji (co sprawia, że Jackson Lamb jest takim sukinsynem?), a na koniec odplynęła w sferę sentymentalną (czy nie byłoby cudownie, gdyby Jackson Lamb wpadł pod młockarnię?). Kiedy potem szli razem do metra, nastąpiła ta niezręczna chwila, kiedy się rozstawali – o co właściwie w tym chodziło? Po prostu poszli się czegoś napić po pracy, tyle tylko że nikt w Slough House nie chodził się czegoś napić po pracy – ale jakoś przez to przebrnęli, udając, że tak naprawdę wcale nie byli razem, i każde bez słowa poszło na swój peron. Ale od tego czasu przestali się aktywnie unikać, a to było niezwykle. W Slough House prawie nigdy nie spotykało

się w kuchni więcej niż jednej osoby.

Wypłukali kubki. Włączyli czajnik.

– Wydaje mi się, czy coś tu gdzieś dziwnie pachnie?

Na górze zatrzasnęły się drzwi. Na dole otworzyły się inne.

– Gdybym powiedział, że ci się wydaje, bardzo by cię to zmartwiło?

Wymienili spojrzenia i uśmiechy, które zgasły u obojga dokładnie w tej samej chwili.

River bez problemu potrafił sobie przypomnieć najistotniejszą rozmowę, jaką odbył z Jacksonem Lambem. Miało to miejsce osiem miesięcy temu i zaczęło się od pytania Rivera, kiedy dostanie coś porządnego do roboty.

– Kiedy opadnie kurz.

– Czyli kiedy?

Lamb westchnął, ubolewając nad tym, że musi odpowiadać na głupie pytania.

– Jedynym powodem, dla którego w ogóle jest jakiś kurz, są twoje koneksje, Cartwright. Gdyby nie twój dziadek, nie dyskutowalibyśmy o kurzu. Dyskutowalibyśmy o lodowcach. Gadalibyśmy o tym, kiedy stopnieją lodowce. Tyle tylko że w ogóle byśmy nie gadali, bo byłbyś wyłącznie odległym wspomnieniem. Kimś, kogo można by było od czasu do czasu powspominać, żeby Moody przez chwilę nie myślał o tym, co spierdolił, albo żeby Standish nie myślała o butelce. – River zmierzył dystans między krzesłem Lamba a oknem. Ta zasłona nie stawiałaaby oporu. Gdyby River dobrze to rozegrał, Lamb stałby się plamą w kształcie pizzy na chodniku. Ale dalej oddychał i mówił właśnie: – Ale nie, ty masz dziadka. No, kurwa, gratuluję! Wciąż masz robotę. Ale minus jest taki, że to nie jest robota, która ci się będzie podobać. Ani teraz, ani nigdy. – Zabębnił dwoma palcami w biurko. – Rozkazy z góry, Cartwright. Przykro mi, nie ja ustalam zasady.

Uśmiechnął się, pokazując przy tym żółte zęby. Nic w tym uśmiechu nie świadczyło o tym, że jest mu przykro.

– To jakieś pieprzenie – wkurzył się River.

– Nie. Powiem ci, co to jest pieprzenie. Stu dwudziestu zabitych lub rannych. Trzydzieści milionów funtów rzeczywistych strat. I dwa i pół miliarda dochodów z turystyki też poszło się pieprzyć. I to wszystko twoja zasługa. O tak, to jest prawdziwe pieprzenie.

– To się nie wydarzyło – powiedział River Cartwright.

– Tak myślisz? Jest nagranie z monitoringu, na którym widać, jak dzieciak pociąga za sznurek. W Regent's Park wciąż je sobie oglądają. No wiesz, żeby przypominać sobie o tym, jaki może powstać bajzel, jeśli nie będą dobrze wykonywać swojej roboty.

– To były tylko ćwiczenia w ramach szkolenia.

– A ty zrobiłeś z tego cyrk. Unieruchomiłeś King's Cross.

– Na dwadzieścia minut. Po dwudziestu minutach wszystko działało jak trzeba.

– Unieruchomiłeś King's Cross, Cartwright. W godzinach szczytu. Zrobiłeś cyrk ze swojej oceny sprawności.

River wyraźnie odnosił wrażenie, że Lamba to bawi.

- Nikt nie zginął – stwierdził.
- Jeden wylew. Jedna złamana noga. Trzy...
- On i tak by miał wylew. To był staruszek.
- Miał sześćdziesiąt dwa lata.
- Cieszę się, że się zgadzamy.
- Burmistrz chciał twojej głowy na tacy.
- Burmistrz był zachwycony. Teraz może sobie gadać o komisjach nadzoru i o potrzebie jasno nakreślonych procesów bezpieczeństwa. Dzięki temu wygląda jak poważny polityk.
- I uważasz, że to dobry pomysł?
- Nie zaszkodzi. Przy założeniu, że jest idiotą.
- Spróbujmy się na chwilę skupić – zaproponował Lamb. – Uważasz, że to dobry pomysł, że wplątałeś tajne służby w polityczną rozgrywkę przez to, że byłeś... jak by to określić... głuchy na kolory?
- Niebieska koszula, biały T-shirt.
- Biała koszula, niebieski T-shirt...
- Słyszałem to, co słyszałem – odrzekł River.
- Mam głęboko w dupie, co słyszałeś. Nawaliłeś. A więc teraz jesteś tutaj zamiast w Regent's Park, a to, co mogło być błyskotliwą karierą, jest... Zgadnij czym? Żalostną urzędniczą robotą, specjalnie tak zaplanowaną, żebyś wszystkim oszczędził mnóstwa kłopotów i dał sobie spokój. I tylko tyle dostałeś, ze względu na dziadka. – Kolejny błysk żółtych zębów. – Wiesz, dlaczego nazywają to miejsce Slough House? – ciągnął Lamb.
- Tak.
- Bo równie dobrze mogłoby być w...
- W Slough. Tak. I wiem też, jak nazywają nas.
- Nazywają nas kulawymi końmi ze Slough – wyjaśnił Lamb, jakby River się w ogóle nie odzywał. – Slough. Slow. Zabawne? Jesteśmy kulawi, więc poruszamy się powoli.
- Przypuszczam, że to zależy od twojej definicji...
- Pytałeś, kiedy dostaniesz coś porządnego do roboty.
- River się zamknął.
- Cóż, zapewne wtedy, gdy wszyscy zapomną, że unieruchomiłeś King's Cross.
- River milczał.
- Wtedy, gdy wszyscy zapomną, że dołączyłeś do kulawych koni.
- River milczał.
- A zanim ta chwila nastąpi, upłynie kurewsko dużo czasu – dodał Lamb, jakby tego, co powiedział, można było jakimś cudem nie zrozumieć.
- River odwrócił się do wyjścia. Ale najpierw musiał się czegoś dowiedzieć.
- Co trzy? – spytał.
- Co trzy?
- Mówiłeś, że czegoś było trzy. Na King's Cross. Nie powiedziałeś czego.
- Ataków paniki – odparł Lamb. – Trzy ataki paniki.

River kiwnął głową.

– Nie licząc twojego – dorzucił Lamb.

I to była najistotniejsza rozmowa, jaką River odbył z Jacksonem Lambem.

Aż do dziś.

Jed Moody w końcu miał się pojawić. Ze dwie godziny po wszystkich, ale nikt nie robił z tego problemu, bo nikogo to nie obchodziło, a poza tym nikt nie wiedział, co myśleć o Moodym, więc na wszelki wypadek o nim nie myśleli. Dobry dzień dla Moody'ego to był taki dzień, gdy jakaś postać siadała na przystanku po drugiej stronie ulicy albo ktoś długo siedział na jednym ze skwerków w kompleksie Barbican naprzeciwko. Kiedy coś takiego miało miejsce, Moody zawsze tam szedł, chociaż nigdy nie chodziło o nic poważnego – to zawsze były jakieś dzieciaki z pobliskiej szkoły teatralnej albo bezdomny, który chciał sobie gdzieś w spokoju posiedzieć. Jednak bez względu na to, kto to był, Moody tam laził, żując gumę, i siadał obok takiej osoby. Nigdy nie zaczynał rozmowy, po prostu siedział i żuł gumę. Niczego więcej nie było trzeba. A kiedy wracał, przez pięć minut jakby poruszał się lżejszym krokiem – nie na tyle, by człowiek dobrze się czuł w jego towarzystwie, ale przynajmniej można było go wtedy minąć na schodach, nie martwiąc się, że podstawi ci nogę.

Nie robił tajemnicy z tego, że nienawidzi być jednym z kulawych koni. Kiedyś należał do psów, ale wszyscy wiedzieli, co takiego spieprzył Jed Moody: pozwolił, żeby jakiś gryziپیórek dał mu w pysk i zwiął z mnóstwem kasy. Nie było to zbyt dobre posunięcie dla należącego do psów – wewnętrznego wydziału bezpieczeństwa tajnych służb – nawet bez tego bajzlu na koniec. A więc teraz Moody pojawiał się późno i rzucał wszystkim wyzwanie, licząc na to, że ktoś zacznie się go czepiać. Nikt tego jednak nie robił. Bo nikogo to nie obchodziło.

Tymczasem Moody jeszcze nie przyszedł, a River Cartwright wciąż był na górze u Jacksona Lamba.

Lamb rozparł się na krześle i założył ręce. Nic nie było słychać, ale stało się oczywiste, że pierdnął. Smutno pokręcił głową, jakby przypisując to Riverowi, i powiedział:

– Nawet nie wiesz, kim on jest, co?

River, który wciąż był myślami na King's Cross, spytał:

– Hobden?

– Pewnie wciąż chodziłeś do szkoły, kiedy odnosił sukcesy.

– Pamiętam go jak przez mgłę. Nie był przypadkiem komunistą?

– W tamtym pokoleniu byli sami komuniści. Poducz się historii.

– Jesteś mniej więcej w tym samym wieku, prawda?

Lamb to zignorował.

– Wiesz, zimna wojna miała swoje plusy. To mimo wszystko coś, gdy nastolatki wyładowują swoje niezadowolenie, nosząc legitymację zamiast noża. Chodzą na niekończące się spotkania na zapleczach pubów. Demonstrują dla spraw, dla których nikomu innemu nie chciałoby się wstać z łóżka.



– Przykro mi, że to przegapiłem. Można to obejrzeć na DVD?

Zamiast odpowiedzieć, Lamb spojrział ponad ramieniem Rivera, sugerując, że nie są sami. River się odwrócił. W drzwiach stała kobieta. Miała rude włosy i delikatne piegi na policzkach, a jej czarny płaszcz – wciąż lśniący od porannego deszczu – był rozpięty, odsłaniając białą koszulę bez kołnierzyka. Na szyi nosiła wisiorek na srebrnym łańcuszku. Na jej ustach zakwitł lekki uśmiech.

Pod pachą trzymała laptop wielkości zeszytu.

– Udało się? – spytał Lamb.

Kiwnęła głową.

– Nieźle, Sid – pochwalił ją.

Sidonie Baker położyła laptop na biurku Lamba. Nie patrząc na Rivera, stwierdziła:

- Zdarzył się jakiś wypadek. Piętro niżej.
- Dotyczący śmieci? – spytał Lamb.
- Tak.
- No to się nie przejmuj. To nie był wypadek.
- Czyje to? – chciał wiedzieć River.
- Co? – spytała Sid.
- Ten laptop.

Sid Baker wyglądała jak żywcem wyjęta z jakiejś reklamy. Nieważne, jakiego produktu. Cała była czystymi liniami i świeżością; wydawało się, że nawet jej piegi mają starannie dobraną gradację. W jej zapachu River wyczuł leciutką woń świeżego prania.

- W porządku. Możesz się nim nie przejmować – stwierdził Lamb.
- River nie potrzebował więcej wskazówek.

– To Hobdena?

Kiwnęła głową.

– Ukradłś mu laptop.

Przecząco pokręciła głową.

– Ukradłam mu pliki.

River zwrócił się do Lamba:

– Ciekawe, czy to było ważniejsze, czy mniej ważne od jego śmieci.

Lamb go zignorował.

– Zauważył coś? – spytał.

– Nie – odparła Sidonie.

– Jesteś pewna?

– Całkiem pewna.

Lamb podniósł głos:

– Catherine!

Pojawiła się w drzwiach jak upiorny kamerdyner.

– Teczka depozytowa.

Zniknęła.

– Niech zgadnę. Kobiece sztuczki? – spytał River.

– Nazywasz mnie wabikiem na facetów?

– Jeśli ten stereotyp pasuje.

Catherine Standish wróciła z teczką, którą położyła na biurku Lamba obok zegara. Odczekała chwilę, ale Lamb nic nie powiedział.

– Nie ma za co – rzuciła do niego i wyszła.

Gdy już jej nie było, Lamb zachęcił:

- Powiedz mu.
  - W jego breloczku na klucze jest karta pamięci – wyjaśniła Sid.
  - Pendrive – stwierdził River.
  - Właśnie.
  - I trzyma tam kopie zapasowe plików?
  - To chyba rozsądny wniosek. Biorąc pod uwagę, że wszędzie go ze sobą nosi.
  - Chyba nie ma w tym nic dziwnego, skoro jest przyczepiony do jego kluczy?
  - Na pewno coś na nim jest. Kilka megabajtów danych.
  - Może pisze powieść – stwierdził River.
  - Może i tak. Nie znalazłeś przypadkiem rękopisu w jego śmieciach?
- Zanosił się, że przegra tę wymianę zdań, jeśli nie będzie uważał.
- Więc go obrobiłaś?

– Ma silne przyzwyczajenia. Co rano ta sama kawiarnia. Taka sama latte. I zanim siada, wyklada na stolik wszystko, co ma w kieszeniach. – Sidonie wyjęła z kieszeni spinkę do włosów. River pomyślał, że tak to się chyba nazywa. Spinka. – Podmieniłam jego kartę na atrapę, kiedy był zajęty czymś innym.

Czyli miała przy sobie atrapę, co oznaczało, że od jakiegoś czasu obserwowała Hobdena. Bo w przeciwnym razie skąd miałyby identyczną kartę pamięci?

- A potem skopiowałam jej zawartość na laptop.

Wsunęła spinkę za lewe ucho, nadając fryzurze kształt jak z science fiction. Nie ma mowy, żeby wiedziała, jak to wygląda, pomyślał River. A przez to tym dziwniejsze było, że ten kształt wydawał się zamierzony.

- A później z powrotem ją podmieniłam.
- Kiedy był zajęty czymś innym.
- Zgadza się. – Sid uśmiechnęła się promiennie.

Lamb sprawiał wrażenie znudzonego. Sięgnął po teczkę depozytową. Była rozmiaru segregatora A4, z automatyczną blokadą, i jakkolwiek próba otwarcia jej bez klucza seryjnego doprowadziłaby do powstania małego pożaru. Lamb wziął laptop.

- Wciąż tam był, kiedy wychodziłaś?
- Nie. Odczekałam, aż sobie pójdzie.
- Dobrze. – Lamb włożył laptop do teczki depozytywnej. – Karta pamięci?
- Nic na niej nie ma.
- Pytałem o to?

Sidonie wyjęła kartę pamięci, identyczną z tą przy kółku z kluczami Hobdena. Lamb wrzucił ją do teczki depozytywnej i zatrzasnął wieko.

- Abrakadabra – powiedział.

River i Sid nie bardzo wiedzieli, jak na to zareagować.

– A teraz muszę gdzieś zadzwonić – oświadczył Lamb. – Może byście łaskawie raczyli, no wiecie... – Machnął ręką w stronę drzwi. – Stąd wypierdalać.

Ze schodów River zobaczył Catherine przy swoim biurku w sąsiednim pokoju; była pochłonięta papierkową robotą z absolutnym skupieniem kogoś, kto wie, że jest obserwowany.

Sid rzuciła coś przez ramię, ale nie dosłyszał co.

W swoim gabinecie Lamb rozmawiał przez telefon.

– Wisisz mi przysługę. Tak, załatwione. Wszystkie jego pliki, a w każdym razie wszystko, co miał na karcie. Nie, śmieci były czyste. Niejako. Tak, dobra. Dziś rano. Wyślę Baker. – Ziewnął, podrapał się po karku, a potem przyjrzał się uważnie swoim paznokciom. – A, i jeszcze jedno. Następnym razem, kiedy przyjdzie ci ochota wysłać kogoś na posyłki, wyślij swoich chłopaków. W Regent's Park masz ich na pęczki.

Rozłączył się, po czym rozparł się na krześle i zamknął oczy. Wyglądało to zupełnie tak, jakby uciął sobie drzemkę.

Piętro niżej River i Sid omietli wzrokiem porozrzucane śmieci. River miał nieprzyjemne wrażenie, że ten dowcip przestał być zabawny, a nawet jeśli kiedyś taki był, to on sam padł jego ofiarą w takim samym stopniu co Sid. Zapach niezupełnie trzymał się jej strony pokoju. Ale w świetle tego, co się właśnie stało, o przeprosinach nie mogło być mowy. Zeszłej nocy, gdy stał pod okapem w trakcie lejącego strugami deszczu, udało mu się na kilka minut przekonać samego siebie, że robi coś ważnego; że znalazł się na pierwszym miejscu drabiny prowadzącej z powrotem do światła. Nawet jeśli to uczucie przetrwałoby ulewę i grzebanie w śmieciach dziś rano, i tak nie przetrwałoby tego. Nie chciał spojrzeć na Sid. Nie chciał widzieć uśmiechu na jej ustach, kiedy mówiła. Ale chciał się dowiedzieć, co kombinowała.

– Od dawna pogrywasz sobie z Hobdenem? – spytał.

– Nie pogrywam sobie z nim.

– Obserwowałaś go, kiedy jadał śniadania.

– Tylko na tyle często, żeby poznać jego przyzwyczajenia.

– Mhm.

– Zamierzasz posprzątać ten bajzel?

– Słyszałaś w ogóle, żeby ktoś wysłał gościa samego w teren? To znaczy w kraju.

W samym środku Londynu – powiedział River.

To ją rozbawiło.

– To teraz jestem gościem?

– I jak to możliwe, że Lamb prowadzi operację z własnej inicjatywy?

– Będziesz musiał go o to zapytać. Ja idę na kawę.

– Byłaś już na kawie.

– A więc dobrze. Idę gdzie indziej, dopóki nie pozbędziesz się tego całego gówna.

– Jeszcze tego nie pospisywałem.

– No to nie będzie mnie przez jakiś czas. A tak w ogóle, do twarzy ci w tych rękawiczkach.

– Nabijasz się ze mnie?

– Nawet bym nie wiedziała, od czego zacząć.

Zdjęła torebkę z oparcia krzesła i wyszła.

River kopnął puszkę, która mogła leżeć tam, gdzie leżała, właśnie w tym celu. Odbiła się od ściany, zostawiając jasnoczerwony ślad, i spadła na podłogę.

Ściągnął gumowe rękawiczki i dorzucił je do worka. Kiedy otworzył okno, do

pokoju wpadł podmuch zimnego londyńskiego powietrza, dodając do zapachowej mieszanki smród spalin. Potem znajome walenie w sufit rozkołysało klosz od lampy.

Sięgnął po telefon i wybrał wewnętrzny Lamba. Chwilę później usłyszał, jak jego telefon dzwoni piętro wyżej. Czuł się, jakby grał jakąś zakulisową rolę w cudzym dramacie.

– Gdzie Sid? – spytał Lamb.

– Poszła na kawę.

– Kiedy wróci?

Oczywiście obowiązywał biurowy kodeks. Nie wrabiało się kolegi.

– Nie będzie jej przez jakiś czas. Wydaje mi się, że dokładnie tak to ujęła – odparł.

Lamb przez chwilę milczał. Potem powiedział:

– Chodź tu.

Zanim River zdążył zapytać po co, usłyszał ciągły sygnał w słuchawce. Wziął głęboki wdech, policzył do pięciu i ruszył z powrotem na górę.

– Wszystko posprzątane? – spytał Lamb.

– Mniej więcej.

– Dobra. Masz. – Tłustym paluchem popukał leżącą przed nim teczkę depozytową. – Dostarcz to.

– Dostarcz to?

– Mamy tu echo?

– Gdzie to dostarczyć?

– Mamy tu echo? – powtórzył Lamb i się roześmiał; przecież zażartował. – A jak myślisz? Do Regent's Park.

Regent's Park było światłem u szczytu drabiny. Było miejscem, gdzie byłby teraz River, gdyby nie nawalił na King's Cross.

– Czyli ten Hobden to sprawa dla Regent's Park? – spytał.

– Cholera, jasne. Nie prowadzimy operacji ze Slough House. Wydawało mi się, że chociaż do tego udało ci się samemu dojść.

– Jak to możliwe, że Sid dostała prawdziwą robotę? A ja musiałem grzebać w śmieciach.

– Wiesz co? – powiedział Lamb – Długo i starannie się nad tym zastanów i zobacz, czy uda ci się samemu wymyślić odpowiedź.

– A tak w ogóle, to dlaczego ci z Regent's Park chcieli, żebyśmy się tym zajmowali? Nie brakuje im własnych talentów.

– Mam nadzieję, że to nie była seksistowska uwaga, Cartwright.

– Świetnie wiesz, o co mi chodzi.

Lamb spojrzał na niego obojętnie i River odniósł wrażenie, że głęboko nad czymś myśli albo chce, żeby Riverowi się wydawało, że głęboko nad czymś myśli. Ale tylko wzruszył ramionami.

– I dlaczego chcą, żebym ja to dostarczył?

– Nie chcą – odparł Lamb. – Chcieli Sid. Ale Sid nie ma, więc wysłałam ciebie.

River wziął teczkę i zawartość przesunęła się na jedną stronę.

– Komu mam to dostarczyć?

– Nazywa się Webb. Czy to przypadkiem nie twój stary kumpel?  
I żółądek Rivera też przesunął się na jedną stronę.

Z teczką depozytową pod pachą przeszedł przez osiedle do rzędu sklepów: supermarketu, kiosku, sklepu papierniczego, fryzjera, włoskiej restauracji. Piętnaście minut później był przy Moorgate. Stamtąd część drogi przejechał metrem, a potem przeszedł przez park. Wreszcie przestało padać, ale na ścieżkach zrobiły się wielkie kałuże. Niebo wciąż było szare, a w powietrzu unosił się zapach trawy. Ludzie uprawiający jogging, z nogawkami dresów przyklejonymi do nóg, mijali go sprężystym krokiem.

Nie podobało mu się, że Lamb wysłał go z tym zadaniem. Jeszcze mniej podobała mu się świadomość, że Lamb o tym wie i wie, że on też to wie.

W tygodniach, które nastąpiły po King's Cross, River przyzwyczaił się do uczucia, że ciągnie resztkami sił, jakby tamten desperacki bieg po peronie – jego skazana na niepowodzenie próba, żeby w ostatniej chwili wszystko naprawić – pozostawił trwałe ślady. Gdzieś w środku ciągle czuł się tak, jakby była czwarta nad ranem, jakby za dużo wypił i właśnie rzuciła go dziewczyna. Przeprowadzono dochodzenie – kiedy unieruchomisz King's Cross, to nie przechodzi bez echa – które wykazało, że River w ciągu ośmiu minut popełnił szesnaście podstawowych błędów. Pieprzenie, zupełnie jak BHP. Tak jak wtedy, gdy w biurze wybucha pożar, a potem każą wszystkim odłączać czajnik z gniazdka, kiedy nie jest używany, chociaż to wcale nie czajnik wywołał ten pożar. Nie można liczyć podłączonego do gniazdka czajnika jako błędu. Wszyscy tak robią i jeszcze prawie nikt od tego nie umarł.

„Przeanalizowaliśmy liczby” – powiedzieli mu.

W Regent's Park lubili analizować liczby. I przepiksłowywać. River niedawno to usłyszał: „przepiksłowaliśmy to” – to znaczy przepuściliśmy przez jakiś program. Mamy rzuty ekranu. Zbyt technicznie to brzmiało, żeby przyjęło się w żargonie tajnych służb. River widział, że na S.D. nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

To wszystko było tylko szumem w tle; jego umysł opuszczał zasłonę, bo River nie chciał usłyszeć tych liczb.

Ale okazało się, że przed liczbami nie ma ucieczki. Rano ostatniego dnia w Regent's Park słyszał, jak szeptano je w korytarzach. Stu dwudziestu zabitych lub rannych; trzydzieści milionów funtów strat. I do tego dwa i pół miliarda funtów prognozowanego spadku dochodów z turystyki.

Nie miało znaczenia, że żadna z tych liczb nie była rzeczywista, że zostały po prostu wyciągnięte z kapelusza przez ludzi, którym szczególną przyjemność sprawia wymyślanie najgorszych możliwych scenariuszy. Znaczenie miało natomiast to, że zostały przelane na papier i trafiły do różnych komisji. Że wylądowały na biurku Taverner. A nikt, kto miał nadzieję, że jego błędy zostaną zapomniane, nie chciał, by wylądowały na tym biurku.

„Ale nie, ty masz dziadka” – powiedział mu Lamb. „No kurwa, gratuluję! Wciąż masz robotę”.

Choć River nie miał najmniejszej ochoty tego przyznać, to była prawda. Gdyby nie S.D., nawet Slough House byłby poza jego zasięgiem.

„Ale minus jest taki, że to nie jest robota, która ci się będzie podobać. Ani teraz, ani nigdy”.

Kariera polegająca na przerzucaniu papierów z jednej sterty na drugą. Na transkrybowaniu przechwyconych przez komórkę rozmów. Na przeglądaniu strona po stronie raportów z dawnych operacji, żeby znaleźć podobieństwa z bieżącą sytuacją...

Połowa przyszłości jest zakopana w przeszłości. Takie założenie dominowało w kulturze tajnych służb. Stąd to obsesyjne przesiewanie ziemi, która została już dwukrotnie przeorana, próby zrozumienia historii, zanim znów się powtórzy. Współczesna rzeczywistość, w której mężczyźni, kobiety i dzieci wchodzili do centrum miasta z materiałami wybuchowymi przypiętymi na piersi, zniszczyła niejedno życie, ale nie zniszczyła szablonów. Albo taka była operacyjna mądrość, ku przerażeniu wielu osób.

Na przykład ku przerażeniu Taverner. River słyszał, że desperacko pragnęła zmienić reguły gry; nie tyle wymienić pionki na szachownicy, ile wyrzucić szachownicę i zaprojektować nową. Ale Taverner była Drugim Biurkiem, nie Pierwszym, a poza tym nawet gdyby to ona była szefem, w dzisiejszych czasach odpowiadało się jeszcze przed komisjami. Żaden szef tajnych służb nie miał wolnej ręki od czasów Charlesa Partnera: pierwszego, który zmarł, sprawując tę funkcję, i ostatniego, który tym wszystkim rządził. Przy czym Partner od obszytego futrem kołnierza aż po rękawice bez palców był wojownikiem z czasów zimnej wojny, a wtedy wszystko było prostsze. Łatwiej było udawać, że wszystko sprowadza się do kwestii „my i oni”.

To było oczywiście przed czasami Rivera. Wyłapywał takie fragmenty od S.D. Jego dziadek był wcieleniem dyskrecji albo lubił tak o sobie myśleć; wyobrażał sobie, że całe życie milczenia zbliżyło go do jakiejś tajemnicy. Uparcie trwał w tym przekonaniu, choć prawda była taka, że najbardziej na świecie kochał plotki z kręgu tajnych służb. Może to właśnie robi z człowiekiem starość, myślał River. Utwierdza cię w twoim wyobrażeniu o sobie i równocześnie odrywa cię od rzeczywistości, sprawiając, że stajesz się strzępem człowieka, którym kiedyś byłeś.

Bolała go ręka. Miał nadzieję, że za bardzo tego nie widać. W tej chwili nic nie mógł jednak na to poradzić. Od Regent's Park dzieliło go kilka minut drogi, a spóźnienie nie wyglądałoby dobrze.

W holu kobieta w średnim wieku o twarzy policjantki z drogówki kazała mu czekać dziesięć minut, zanim wydała mu przepustkę dla gości. Laptop w wyściełanej kopercie został przepuszczony przez skaner rentgenowski i River zastanawiał się, czy cała jego zawartość nie uległa przy tym skasowaniu. Czy gdyby był Sid, też kazaliby mu czekać? A może James Webb zostawił specjalne instrukcje, że River ma tkwić przy wejściu, dopóki nie dotrze do niego oczywisty fakt: że przepustka dla gości to najlepsze, co kiedykolwiek dostanie?

Jeśli chodzi o Spidera, River łatwo wpadał w paranoję.

Gdy wreszcie miał to za sobą, przepuszczono go przez wielkie drewniane drzwi, za nimi stało kolejne biurko, tym razem zajmowane przez łysiejącego, rumianego typu, który mógłby uchodzić za bagażowego z Oxfordu, ale bez wątpienia był byłym

gliniarzem. Wskazał Riverowi ławkę. River usiadł, chowając obolałą rękę do kieszeni. Kopertę położył obok siebie. Na przeciwległej ścianie wisiał zegar. Przyglądanie się powolnym ruchom sekundnika było dołujące, ale trudno było tego nie robić.

Za biurkiem znajdowały się kręcone schody prowadzące na piętro. Nie były na tyle duże, żeby stworzyć na nich choreografię jakiegoś tańca, ale niewiele im brakowało. Z jakichś niewyjaśnionych powodów River przez moment miał wizję Sid schodzącej po tych schodach; jej obcasy tak głośno stukwały o marmur, że wszyscy przystawali i na nią patrzyli.

Zamrugał i ten obraz znikł. Jeszcze przez chwilę kroki odbijały się echem, ale to były kroki innych ludzi.

Kiedy po raz pierwszy znalazł się w tym budynku, pomyślał, że przypomina klub dla dżentelmenów. Teraz przyszło mu do głowy, że w rzeczywistości może być na odwrót: że to kluby dla dżentelmenów były takie jak kiedyś siedziby tajnych służb. W czasach gdy to, czym się zajmowały, nazywano Wielką Grą.

Wreszcie zjawił się inny były gliniarz.

– To dla Webba?

River kiwnął głową, zaborczo kładąc rękę na kopercie.

– Zadbam, żeby to dostał.

– Mam mu to przekazać do rąk własnych.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Dostał przecież przepustkę dla gości i w ogóle.

Jego nowy przyjaciel się nie stawiał, trzeba mu to przyznać.

– W takim razie tędy proszę.

– W porządku, sam trafię – odrzekł River, ale tylko po to, żeby go zdenerwować.

Nie udało mu się.

Mężczyzna poprowadził go nie na schody, lecz przez drzwi na lewo od biurka i dalej korytarzem, którym River nigdy dotąd nie szedł. Wyściełana koperta wydawała mu się jak prezent, który niósł Spiderowi, choć był to mało prawdopodobny scenariusz.

004">005"> „Biały T-shirt, niebieska koszula. Tak powiedziałaś”.

„Nie, mówiłem niebieski T-shirt, biała...”

Pierdol się, Spider.

– Słucham?

– Nic nie mówiłem – zapewnił go River.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi przeciwpożarowe prowadzące na klatkę schodową. Przez okno River zobaczył samochód zjeżdżający na podziemny parking. Wszedł za swoim przewodnikiem piętro wyżej, potem jeszcze jedno. Na każdym mruła kamera, ale oparł się pokusie, żeby do niej pomachać.

Przeszli przez kolejne drzwi przeciwpożarowe.

– Daleko jeszcze?

Przewodnik spojrział na niego sardonicznie. W połowie korytarza przystanął i dwukrotnie zapukał do drzwi.

I River nagle pożałował, że nie zostawił tej paczki w recepcji. Nie widział Jamesa



Webba od 006">ośmiu miesięcy. Przedtem przez rok byli właściwie nierozłączni. Dlaczego niby spotkanie się z nim teraz miało być dobrym pomysłem?

„Biały T-shirt, niebieska koszula. Tak powiedziałeś”.

Niezależnie od wszystkiego, chęć, żeby temu sukinsynowi przywalić, mogła się okazać silniejsza od niego.

Za drzwiami ktoś zawołał: „Proszę!”.

– Proszę wejść, sir.

River wszedł.

Pokój nie był tak duży jak ten, który dzielił z Sid, ale za to o wiele ładniejszy. Ścianę po prawej stronie od podłogi do sufitu zajmowały regały, na których stały oznaczone różnymi kolorami teczki, zaś naprzeciw Rivera tkwiło wielkie drewniane biurko, które mogło zostać wyrzeźbione z kądłuba jakiegoś statku. Przed biurkiem ustawiono dwa wygodne krzesła dla gości, a za nim znajdowało się wysokie okno z widokiem na park, w którym teraz dominowały stłumione brązy, ale wiosną i latem z pewnością wyglądał wspaniale. Również za biurkiem, zasłaniając część widoku, siedział oczywiście Spider: James Webb.

...widział go pierwszy raz od ośmiu miesięcy, choć przedtem przez rok byli właściwie nierozłączni. „Przyjaciele” to nie było właściwe słowo – było równocześnie za wielkie i za małe, żeby to opisać.

Przyjaciel to ktoś, z kim idziesz się napić, spędzasz wolny czas, wspólnie się śmiejesz. Robił ze Spiderem te wszystkie rzeczy, ale nie dlatego, że właśnie z nim najbardziej chciał je robić; raczej dlatego, że spędził ze Spiderem wiele dni na wojskowych poligonach na Dartmoor, co wydawało się najtrudniejszą częścią szkolenia aż do czasu, gdy gdzieś na granicy z Walią zaczęto ich uczyć technik opierania się torturom. Technik opierania się torturom uczono powoli. Pewne rzeczy trzeba było złamać, a potem budowano je od nowa. To łamanie odbywało się najlepiej w ciemności. Kiedy człowiek coś takiego przeszedł, miał ochotę być w pobliżu innych, którzy też przez to przeszli. Nie dlatego, że chciało się o tym pogadać, ale dlatego, że ci, z którymi byłeś, dzielali twoją potrzebę, by o tym nie gadać.

W każdym razie przyjaźń najlepiej wychodziła na równym gruncie. Bez podtekstu rywalizacji, który rodzi się z wiedzy, że tylko jeden z nich awansuje.

„Biały T-shirt, niebieska koszula. Tak powiedziałeś”

„Pierdol się, Spider”.

No i oto był, osiem miesięcy później – nie urósł, nie przytył, wyglądał tak samo.

– River! – zwołał, wstając i wyciągając do niego rękę.

River Cartwright i James Webb byli w tym samym wieku i podobnej postury: obaj szczupli i silni. Ale Webb miał ciemne włosy, a River jasne, w kolorze piasku. Webb lubił eleganckie garnitury i wyczyszczone do połysku buty i wyglądał, jakby właśnie zszedł z billboardu. River podejrzewał, że dla Spidera najgorsze na tych poligonach było to, że przez wiele dni z rzędu był cały ubłocony. Dziś miał na sobie ciemnografitowy dwuczęściowy garnitur w lekkie kredowobiałe prążki i szarą koszulę z przypinanym na dwa guziki kołnierzykiem, a wokół szyi obowiązkowo zawiązana była plama intensywnego koloru. Widać było, że niedawno był u drogiego fryzjera

i River nie byłby zaskoczony, gdyby się dowiedział, że w drodze tutaj wstąpił się ogolić – zapłacił komuś, żeby zrobił to z ciepłym ręcznikiem i paroma pochlebstwami.

Komuś, kto udawał przyjaciela tak długo, jak długo trwała ta chwila.

River zignorował wyciągniętą rękę.

– Ktoś ci się zrzygał na krawat – powiedział.

– To Karl Unger. Wieśniaku.

– Jak leci, Spider?

– Nieźle. Nieźle. – River czekał. – Trzeba się do tego przyzwyczaić, ale...

– Chciałem tylko być uprzejmy.

Spider opadł z powrotem na krzesło.

– Zamierzasz to utrudniać?

– I tak jest trudne. Nic, co zrobię, tego nie zmieni. – Rozejrzał się po pokoju i jego spojrzenie padło na regał. – Trzymasz mnóstwo kopii na papierze. Dlaczego?

– Nie pogrywaj sobie.

– Nie, mówię poważnie. Co takiego się drukuje? – River przeniósł wzrok z regału na elegancki, cieniutki jak kartka monitor na biurku, potem spojrzał z powrotem na regał. I dodał: – O nie! Jezu. Nie mów mi.

– To powyżej twoich kwalifikacji, River.

– To podania o pracę? To one, prawda? Zajmujesz się podaniami o pracę.

– Nie zajmuję się tylko podaniami. Masz w ogóle pojęcie, ile papierów produkuje organizacja rozmiarów...

– Jezus, Spider. Jesteś w dziale kadr. Gratulacje!

Spider oblizał wargi.

– W tym miesiącu już dwa razy spotkałem się z ministrem. A jak tam twoja kariera?

– Cóż, nie mam cudzej dupy pięć centymetrów przed nosem, więc widok jest lepszy niż u ciebie.

– Laptop, River.

River usiadł na jednym z krzeseł dla gości i podał Webbowi wyściełaną kopertę. Webb wyjął pieczętkę i starannie ją przyłożył.

– Robisz to każdego ranka?

– Co?

– Zmieniasz datę na stemplu?

– Kiedy o tym pamiętam – odparł Webb.

– Ech, ta odpowiedzialność przychodząca z rangą...

– Co tam u cudownej Sidonie?

River rozpoznał próbę odzyskania przewagi.

– Nie jestem pewien. Dziś rano wyszła zaraz po tym, jak się zjawiała. Nie wykazywała zbyt wiele zaangażowania.

– Jest błyskotliwą agentką.

– Nie wierzę, że to powiedziałeś.

– To przecież prawda.

– Może i tak, ale Jezu, Spider... błyskotliwą agentką? Wiesz, nie jesteś już w Eton.

Webb otworzył usta.

River wiedział, że po to, by wyjaśnić, że nie uczył się w Eton, ale w porę się zreflektował.

– Jadłeś śniadanie? Mamy tu stołówkę.

– Pamiętam stołówkę, Spider. Pamiętam nawet, gdzie jest.

– Nikt mnie już tak nie nazywa.

– Może nie wtedy, kiedy słyszysz. Ale pogódź się z tym, wszyscy cię tak nazywają.

– To dziecinada, River.

– Nia na na nia nia.

Webb otworzył usta i znów je zamknął. Wyściełana koperta leżała przed nim. Zabębnił w nią szybko palcami.

– Mój pokój jest większy niż twój – stwierdził River.

– Na twoim końcu miasta nieruchomości są tańsze.

– Wydawało mi się, że cała akcja dzieje się piętro wyżej. W centrali.

– Często tam bywam. Lady Di...

– Pozwala ci się tak nazywać?

– Nieżył z tobą ubaw, River. Lady Di... Taverner dba o to, żebym miał co robić. – River uniósł brew. – Nie wiem, po co się w ogóle fatyguję.

– Zamierzasz kiedykolwiek przyznać, że popełniłeś błąd?

Webb się roześmiał.

– A ty wciąż o tym?

– Miał na sobie biały T-shirt i niebieską koszulę. Tak mi powiedziałeś. Tylko że było inaczej, prawda? Miał niebieski T-shirt i...

– Kolesi był ubrany tak, jak powiedziałem, River. To znaczy co? Mylą mi się kolory i akurat tak się składa, że dokładnie w tamtej chwili jest tam ktoś ubrany tak, jak powiedziałem? Ten sam ogólny profil co cel? Jakie jest prawdopodobieństwo?

– I taśma nie działa. Nie zapominaj, że jeszcze nie działała taśma. Jakie są na to szanse?

– SSS, River. Ciągłe się to zdarza.

– Oświeć mnie.

– Sprzęt się spierdolił. Wydaje ci się, że rozdają najlepszy sprzęt do ćwiczeń w terenie? Mamy ograniczenia budżetowe, River. Nie chciałbyś, żeby Taverner zaczęła ci o tym opowiadać... ale chwila, ty tego nie usłyszysz, prawda? Ponieważ siedzisz w Slough House i możesz się zbliżyć do prawdziwych agentów, co najwyżej czytając czyjeś wspomnienia.

– To nie ma na to żadnego akronimu? CCW?

– Wiesz co, River? Dorośnij w końcu.

– A ty w końcu przyznaj, że to był twój błąd.

– Błąd? – Webb odsłonił zęby w uśmiechu. – Wolę to nazywać fiaskiem.

– Gdybym był na twoim miejscu i się tak krzywo uśmiechał, kazałbym komuś

pilnować moich pleców.

– Och, ja gram według londyńskich zasad. Nie potrzebuję nikogo do pilnowania mi pleców, sam potrafię o to zadbać.

– Nie stawiałbym na to.

– Pora na ciebie.

– Mam zawołać jakiegoś przewodnika? A może nacisnąłeś tajny przycisk?

Ale Webb kręcił głową – nie w odpowiedzi, lecz w reakcji na obecność Rivera, która go znużyła, bo miał ważniejsze rzeczy na głowie.

I tak żadne słowa Rivera nie wpłynęłyby na Webba na tyle, by przyznał, że to on nawalił. A poza tym, jaką by to zrobiło różnicę? To River był na tamtym peronie, on był gwiazdą taśm z monitoringu. Kiedy docierało się na poziom gabinetów, granie fair nie było nawet punktem na liście. Nie miało znaczenia, kto nawalił; najważniejsze stawało się, kto był widoczny, kiedy coś zostało spieprzone. Webb mógłby w tej chwili podnieść ręce do góry, a Diany Taverner i tak by to nie obeszło.

„Jedynym powodem, dla którego wciąż tu jesteś, są twoje koneksje, Cartwright. Gdyby nie twój dziadek, byłbyś tylko odległym wspomnieniem”.

River stał, licząc na to, że przyjdzie mu do głowy jakaś dobra puenta, zanim dotrze do drzwi. Coś, co by sprawiło, że nie czułby się tak bardzo odprawiony – przez pieprzonego Spidera Webba.

Który spytał:

– Lamb nie miał teczki depozytowej?

– Czego?

– Teczki depozytowej, River. – Popukał w wyściełaną kopertę. – Takiej, której nie da się otworzyć bez klucza. Chyba że chcesz zobaczyć rozbłysk magnezu.

– Słyszałem o takich. Ale szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że w Slough House mamy koperty z folią bąbelkową.

Potrzeba wymyślenia jakiejś puenty nagle się ulotniła. River wyszedł z oparzoną ręką, mocno zaciśniętą na karcie pamięci w kieszeni.

Gdy piękna kobieta zrobi coś głupiego, trudno przewidzieć, czym to się skończy. Tak to się stało? To bez znaczenia. Gdy piękna kobieta zrobi coś głupiego, musi to przynieść jakiś skutek.

Takie myśli przychodziły jej do głowy z bezlitosną regularnością; były równie znajome jak odgłos własnych kroków na schodach bloku, w którym mieszkała. Piękna kobieta robi coś głupiego. Tekst, który wpadł jej w ucho dziś wieczorem, jakaś reklama w metrze.

Gdy piękna kobieta robi coś głupiego, gównem wpada w wentylator.

Catherine Standish, dla której czterdzieste ósme urodziny były już wspomnieniem, wiedziała, że trudno przewidzieć, czym to się skończy. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była przypominająca jej o tym własna podświadomość.

I naprawdę była kiedyś piękna. Wielu jej tak mówiło. A zwłaszcza jeden: „Jesteś piękna” – mówił jej. „Ale wyglądasz, jakbyś przeżyła jakieś straszne chwile”. Nawet teraz sądziła, że to miał być komplement.

Ale teraz nie było już nikogo, kto by jej mówił, że jest piękna, a nawet gdyby ktoś taki był, wątpiła, czy by tak mówił. Straszne chwile wygrały. Dla Catherine brzmiało to jak definicja starzenia się. Straszne chwile wygrały.

Przy drzwiach mieszkania odstawiła zakupy na podłogę i zaczęła szperać w poszukiwaniu kluczy. Znalazła je. Weszła do środka. W przedpokoju paliło się światło, bo tak był ustawiony programator czasowy. Catherine nie lubiła wchodzić w ciemność, nawet na sekundę, jaką trwało naciśnięcie włącznika. W kuchni rozpakowała zakupy. Kawa do szafki, sałatka do lodówki. Potem zabrała pastę do zębów do łazienki, gdzie programator też włączył światło. To również miało swoje powody.

Najgorszą straszną chwilą, jaką przeżyła, był ten poranek, gdy zjawiała się w mieszkaniu szefa i znalazła go martwego w łazience. Użył broni. Usiadł w tym celu w wannie, jakby nie chciał narobić bałaganu.

„Miałaś klucz do jego domu?” – pytano ją. „Miałaś klucz? Od kiedy?”

Oczywiście pytały ją o to psy. A zwłaszcza jeden z nich: Sam Chapman, którego nazywali Złym Samem. Był mrocznym, trudnym typem. I świetnie wiedział, że miała klucze do domu Charlesa Partnera, bo wszyscy wiedzieli, że miała klucze do domu Charlesa Partnera. I wiedzieli, że nie było tak ze względu na jakiś romans, tylko po prostu dlatego, że Charles Partner był beznadziejny w dbaniu o siebie – problem sprawiały mu pozornie proste rzeczy, takie jak pamiętanie, żeby kupić jedzenie, pamiętanie, żeby je ugotować, a potem pamiętanie, żeby je wyrzucić, kiedy zapomniał zjeść. Charles był od niej o dwadzieścia lat starszy, ale ich relacje nie przypominały też tych między ojcem a córką. Wygodnie było tak to zaszufladkować, ale rzeczywistość wyglądała inaczej: pracowała dla Charlesa Partnera, dbała o niego,

robiła mu zakupy. I kiedy się zastrzelił, znalazła go martwego w łazience. Zły Sam mógł sobie warczeć, ile chciał, ale robił to tylko, żeby zachować pozory, bo to Catherine znalazła zwłoki.

Zabawne, jak szybko to się stało; jak szybko przestawało się być Charlesem Partnerem – człowiekiem, którego nazwisko nie było co prawda znane opinii publicznej, ale od jego decyzji zależało, czy znaczna liczba ludzi będzie żyła, czy umrze, a to było coś warte – a zaczynało się być „zwłokami”. Wystarczyła tylko jedna zaplanowana chwila w wannie. Nie chciał narobić bałaganu, ale bałagan, jakiego narobił, musieli posprzątać inni. Zabawne.

Mniej zabawne było to, jak szybko skumulowały się straszne chwile.

Ponieważ była w łazience, a światło już się paliło, Catherine trudno było nie zerknąć na swoje odbicie w lustrze. Nie zaskoczyło jej to, co zobaczyła. Tak, straszne chwile się kumulowały, ale to miało najmniejsze znaczenie. Niektóre rzeczy dostawało się w prezencie od genów. Niektóre odkrywało się samemu. Na zimnie czubek jej nosa stawał się czerwony, podobnie jak policzki. Wyglądała wtedy trochę jak stara wiedźma. Nic na to nie mogła poradzić. Ale reszta – pajęczna siatka popękanych naczynek, cienka, naciągnięta skóra na czole i skroniach – opowiadała inną historię; historię, którą napisała sama.

Mam na imię Catherine i jestem alkoholiczką.

Zanim dotarła do etapu, na którym sformułowała to zdanie, alkohol był już problemem. Wcześniej wydawał się rozwiązaniem. Nie, zbyt gładko to brzmiało: raczej w ogóle niczym się nie wydawał. Był po prostu tym, co się robi. Może i pobrzmiwały w tym nuty melodramatyczne (butelka na pocieszenie – tak oklepany motyw, że bez szklaneczki w ręce odnosiło się wrażenie, jakby nie pasowało to do kogoś, kto ma złamane serce), ale częściej było to po prostu zwyczajne tło. Stanowił oczywisty dodatek do samotnych wieczorów przed telewizorem i był absolutnie niezbędny, kiedy wychodziło się na miasto z przyjaciółkami. A do tego dochodziły jeszcze randki, na które w tamtym czasie Catherine często chodziła, i nie dało się pójść na randkę i się nie napić. Posiłek oznaczał drinka; kino oznaczało, że później szło się na drinka. A jeśli zbierałaś się na odwagę, żeby zaprosić go na kawę, drink był koniecznością; i ostatecznie... Ostatecznie, jeśli kogoś potrzebowałaś, bo nie chciałaś obudzić się w środku nocy ze świadomością, że jesteś sama, musiałaś się z kimś pieprzyć i prędzej czy później musiałaś pieprzyć się z kimkolwiek, a to już bez dwóch zdań wymagało napicia się.

Istniało takie sformułowanie: równia pochyła. Pochyłość oznaczała szybkość i zamazany obraz oraz nieustannie obecne zagrożenie, że się przewrócisz. Kończyło się w pozycji leżącej, płasko na plecach, z charczącym oddechem. Ale podróż Catherine bardziej przypominała ruchome schody niż równię pochyłą; powolne poruszanie się w dół; raczej nuda niż szok. Spoglądanie na ludzi, którzy zmierzają w górę, i zastanawianie się, czy nie byłby to przypadkiem lepszy pomysł. W jakiś sposób jednak wiedziała, że będzie musiała dojechać na sam dół, zanim uda jej się zmienić kierunek.

Kiedy to się stało, Charles Partner przy niej był. Dzięki Bogu, nie w dosłownym

sensie; nie był obecny, gdy obudziła się w mieszkaniu obcego faceta ze złamaną kością policzkową i siniakami w kształcie palców na udach. Ale był przy niej, by posklejać z powrotem kawałki, na które się rozpadła. Catherine spędziła jakiś czas w ośrodku, na który nigdy w życiu nie byłoby jej stać, gdyby to ona za to płaciła. Przeszła solidną kurację, obejmującą pomoc psychologiczną. Powiedziano jej, że to wszystko jest zgodne z protokołem tajnych służb („Myślisz, że jesteś pierwsza?” – pytano ją. „Myślisz, że jesteś jedyną, którą to w końcu dopada?”), ale kryło się w tym coś więcej, była tego pewna. Bo po odwyku, po tym, jak odstawiła alkohol i przeżyła w trzeźwości pierwszych sześć ciągnących się w nieskończoność miesięcy, zjawiała się w Regent’s Park, oczekując, że przydzielą ją do jakiejś roboty zupełnie bez znaczenia, ale nie: wróciła do swoich normalnych obowiązków jako asystentka Charlesa.

W tamtym czasie większość rzeczy w jej życiu pobudzała ją do płaczu, ale tym razem chyba naprawdę miała ku temu powód. Nie było nawet tak, że byli sobie bliscy. Czasem nazywał ją Moneypenny, ale to wszystko. I nawet po tym wszystkim też trudno by ich było nazwać przyjaciółmi, choć nie umknęło jej, że już nigdy potem nie nazwał jej Moneypenny. Nie rozmawiali też o tym, co się stało, z wyjątkiem pierwszego dnia rano, gdy spytał, czy „znowu jest sobą”. Udzieliła mu takiej odpowiedzi, jaką chciał usłyszeć, ale wiedziała, że jej dawne ja już nie istnieje. I od tego punktu ciągnęli to dalej, tak jak wcześniej.

Ale zadbał o nią, kiedy to było naprawdę ważne, a ona w zamian dbała o niego. Pracowali razem przez kolejne trzy lata i zanim pierwszy rok dobiegł końca, odgrywała pewną rolę w jego życiu poza pracą. Nie miał żony. Dawno temu zauważyła, że zaczął się zaniedbywać. Nie chodziło o to, że się zapuścił, ale w tym kierunku mogło to zmierzać; wiedziała, że źle się odżywia. Potrzebował opieki. A ona też czegoś potrzebowała. Nie budzenia się obok kolejnych nieznanomych, ale czegoś. Tym czymś okazał się Partner.

A więc dbała o to, żeby miał pełną lodówkę, i załatwiła mu sprzątanie raz na tydzień; wzięła do ręki jego terminarz i zatroszczyła się o to, żeby od czasu do czasu miał wolny dzień. Stała się barierą chroniącą go przed najgorszymi z jego podwładnych – na początek przed tą okropną Dianą Taverner. I robiła to wszystko, będąc jedynie częścią wzoru na tapecie: nigdy nie doszło do żadnego fizycznego kontaktu, a on nigdy nie przyznał, że była kimś więcej niż sekretarką. Ale dbała o niego.

Chociaż nie na tyle, by się zorientować, że potrzebował więcej pomocy, niż była w stanie mu dać.

Teraz przekrzywiła głowę, pozwalając, by włosy opadły jej na twarz. Zastanawiała się, czy ich nie ufarbować, czy nie podkreślić tego, że są blond, ale w sumie dla kogo? I czy ktokolwiek by to w ogóle zauważył? Oprócz tego obrzydliwego Jacksona Lamba, który by ją wyśmiał.

Zdołała pogodzić się z tym, że po śmierci Charlesa Partnera nie było dla niej miejsca w Regent’s Park. Ale Slough House wydawał się odroczonej karą za coś, co już odpokutowała. Czasami zastanawiała się, czy jej zbrodnia poległa na czymś więcej niż zamroczona od wina przeszłość; czy uznano, że w jakiś sposób była

odpowiedzialna za samobójstwo Charlesa. Za to, że nie zorientowała się, do czego to zmierza. Ale skąd mogła wiedzieć? Charles Partner przez całe życie zajmował się tajemnicami innych ludzi i jeśli czegokolwiek się dzięki temu nauczył, to jak nie zdradzać własnych. „Miałś klucz do jego domu?” – pytano ją. Albo: „Spodziewałaś się, że to się stanie?”. Oczywiście, że się nie spodziewała. Teraz jednak zastanawiała się, czy ktokolwiek jej uwierzył.

To była prehistoria. Z Charlesa Partnera zostały tylko kości, ale wciąż prawie codziennie o nim myślała.

Wracając do lustra. Wracając do jej życia. Piękna kobieta zrobiła coś głupiego i oto, do czego ją to doprowadziło.

Mam na imię Catherine i jestem alkoholiczką.

Nie tknęła alkoholu od dziesięciu lat. Ale mimo wszystko.

Mam na imię Catherine i jestem alkoholiczką.

Wyłączyła światło w łazience i poszła zrobić sobie kolację.

Min Harper spędził sporą część wieczoru, rozmawiając przez telefon ze swoimi synami: dziewięć i jedenaście lat. Rok temu wiedziałyby po tym czasie więcej, niżby potrzebował, na temat gier komputerowych i seriali, ale wyglądało na to, że obaj przekroczyli jakąś granicę w tym samym czasie i teraz bardziej przypominało to próbę nawiązania rozmowy z dwiema lodówkami. Jak to się stało? Zmianom powinno towarzyszyć jakieś ostrzeżenie; a poza tym czy nie powinno być chwili wytchnienia, jeśli chodzi o dziewięciolatka? Jeszcze trochę wynegocjowanego dzieciństwa, zanim nadejdzie okres dojrzewania? Ale wydobywanie z niego informacji było jak drapanie skały. Zanim do telefonu podeszła była żona Mina, był gotów się na niej wyładować, ale nawet nie zamierzała tego słuchać.

– To tylko faza. Wobec mnie są tacy sami. Tyle tylko że kiedy pomrukują i nic nie mówią, gotuję im i po nich zmywam. A więc nie mów mi, że masz z tym problem, dobrze?

– Ty przynajmniej ich widzisz.

– Wiesz, gdzie jesteśmy. Gdybyś zjawił się częściej niż raz w tygodniu, korona by ci z głowy nie spadła.

Mógłby zaciekle się bronić – godziny pracy; dystans, jaki musiałby pokonać – ale małżeństwo nauczyło go, że wytyczono już linie frontu, porażka jest tylko kwestią czasu.

Potem nie mógł się uspokoić. Po takich rozmowach trudno było nie zacząć myśleć o trajektorii, jaką obrało jego życie; o swobodnym opadaniu, które mógł połączyć z jedną konkretną chwilą. Przed tą bezrefleksyjną chwilą miał małżeństwo, rodzinę i karierę, wraz ze wszystkimi towarzyszącymi im parafernaliai – wizytami u stomatologa, zamartwianiem się o spłatę kredytu i bieżącym regulowaniem rachunków. Oczywiście niektóre z tych rzeczy wciąż się zdarzały, ale Chwila Głupoty sprawiła, że straciły znaczenie, przestały być dowodem na to, że budował normalne życie; to była ta chwila, kiedy zostawił dysk komputerowy w metrze. I aż do następnego dnia rano nie zorientował się, że to zrobił.

Podejrzewał, że jest bardzo niewielu ludzi, którym karierę zniszczyło Radio 4. To



wspomnienie bolało. Nie ten paskudny ścisk w brzuchu, kiedy do niego dotarło, że przedmiot, o którym mowa, miał być pod jego opieką, ale tych kilka chwil wcześniej, gdy spokojnie się golił, myśląc: „Cieszę się, że to nie ja jestem tym biednym sukinsynem, który za to odpowiada”. Właśnie to bolało: przeświadczenie, że wszędzie, w całym kraju, innym ludziom przychodziła do głowy dokładnie ta sama myśl, a on był jedynym, który na nią nie zasługiwał.

Potem nastąpiły inne, dłuższe bolesne chwile. Przesłuchania z udziałem psów. Żarty o idiotach z wywiadu w programach telewizyjnych. Ludzie na ulicy nie wiedzieli, że te skecze były o Minie, ale i tak to z niego się śmiali.

A najgorsze ze wszystkiego było założenie, że nawalił z powodu niekompetencji. Nikt nie zasugerował zdrady; nikt nie podejrzewał, że zostawienie w metrze linii Piccadilly raportu wyszczególniającego luki w procedurach bezpieczeństwa na Terminalu 5 było nieudaną próbą przekazania materiału innemu agentowi. To by oznaczało okazanie Minowi Harperowi odrobiny szacunku. Mógł się kierować źle pojętym idealizmem albo skusić się na jakieś bogactwa, albo przynajmniej podjąć świadomą decyzję, ale nie – nawet psy uznały go za idiotę. W każdym innym roku by go wyrzucili, ale w tamtym okresie brak nowego naboru i cięcia budżetowe oznaczały, że wraz z Minem odeszłoby też jego miejsce pracy, więc okazało się, że dyplomatycznie będzie go zatrzymać na listach płac do chwili, gdy po jego odejściu będzie można zatrudnić kogoś nowego.

Regent's Park należało jednak do przeszłości.

Min sprawdził kieszenie; upomniał się, żeby tego nie robić, po czym nalał sobie drinka i ustawił radio na kanał sportowy. Powietrze wypełniły głosy komentatorów, jakiś mecz międzypaństwowy, a jemu tłukła się po głowie napisana od nowa historia: bardziej akceptowalna wersja jego życia, w której był w połowie drogi na peron przy Gloucester Road, ale się odwrócił i zobaczył dysk na siedzeniu. Mógłby się cofnąć i zabrać go, poczułby na karku zimny dreszcz o włos unikniętej katastrofy – doznanie, które towarzyszyłoby mu tego wieczoru, gdy kładłby chłopców do łóżka, i o którym później całkowicie by zapomniał, a jego kariera i życie toczyłyby się spokojnie dalej: małżeństwo, rodzina, kariera; wizyty u stomatologa, zamartwianie się o spłatę kredytu i bieżące regulowanie rachunków.

Jak to się często zdarzało, kiedy próbował oddalić takie myśli, wystraszył samego siebie głośnym jękiem, ale nikt tego nie usłyszał. Był sam. Grało tylko radio. A co do telefonu – kiedy już pogadał ze swoimi niekomunikatywnymi dziećmi i pokłócił się z byłą, cóż, nie miał się już do kogo odezwać. A więc go wyłączył.

Louisa Guy wróciła do swojej wynajmowanej kawalerki, przyjrzała się jej czterem ścianom – to znaczy temu, co było z nich widać spoza stert płyt CD, książek i wilgotnego prania na składanych suszarkach – i niemal od razu znów by wyszła, ale nie była w stanie znieść wyborów, z jakimi to by się wiązało. Zamiast tego podgrzała sobie w mikrofalówce lasagne i obejrzała program o rynku nieruchomości. Ceny domów gwałtownie spadały, jeśli było się właścicielem. Pozostawały absurdalnie kosmiczne dla tych, którzy wynajmowali mieszkania.

Jej telefon milczał. Nie było w tym nic niezwykłego, ale mimo wszystko można

by pomyśleć, że ktoś znajdzie czas, żeby wybrać numer. Zapytać Louise, co u niej słychać. Czy ostatnio robiła coś ciekawego.

Wstawiła talerz do zlewu, żeby się odmoczył. Zmieniła kanał. Trafiała na kogoś, kto jej mówił, że placebo w kolorze różowym są skuteczniejsze niż te niebieskie. Czy to mogła być prawda? Aż tak łatwo można było oszukać mózg?

Jej mózg ciągle czuł się oszukany; nie tyle omamiony, ile stłamszony, by wymusić posłuszeństwo. Wieczorem, kiedy zamykała oczy, pod jej powiekami przewijały się nieczytelne dane. Wielokrotnie wyrывało ją ze snu to, że wyczuwała jakiś błąd; miała wrażenie, że coś z jakiegoś powodu nie pasuje do sekwencji, a ona prawie rozumiała ten powód, a zrozumienie go pozwoliłoby jej znów wrócić na ścieżkę kariery. Ale to jej zawsze umykało i znów była całkiem rozbudzona, z głową na poduszce, która wydawała się za cienka i za ciepła, bez względu na chłód reszty łóżka.

Jezu, myślała za każdym razem, nie mogę mieć choć chwili wytchnienia? Nie mogę się nawet porządnie wyspać? Proszę.

A rano miała znów robić to samo.

Wpatrywać się w monitor. Nie w tym celu wstąpiła do tajnych służb, ale skończyła, robiąc właśnie to. I nawet czuła, że zbliża się do końca; czuła, że nie ma innej przyszłości niż ta, która czekała co rano za łuszczącymi się drzwiami na tyłach Slough House i ciągnęła się w nieskończoność minuta po minucie do chwili, gdy te drzwi zamykały się za nią, gdy wychodziła. A w czasie między jednym a drugim wściekała się, jakie to wszystko jest niesprawiedliwe.

Powinna odejść. Tak właśnie powinna zrobić. Powinna po prostu odejść.

Ale gdyby odeszła, przyznałaby, że jest kimś, kto łatwo się poddaje. Nie wstąpiła do tajnych służb po to, by być kimś, kto się łatwo poddaje.

Wpatrywanie się w monitor było wirtualną obserwacją, trollowaniem wśród zmutowanych prostaków blogosfery. Niektóre ze stron, jakimi się zajmowała, były końmi trojańskimi zaprojektowanymi przez tajne służby, by przyciągać niezadowolonych; inne mogły należeć do pewnych organów państwowych. Czasami się zastanawiała, czy nie czai się w chat roomach, do których wchodzi wyłącznie szpiedzy; tajnych odpowiednikach stron dla nastolatków odwiedzanych jedynie przez mężczyzn w średnim wieku. Autentyczne czy nie, strony te obejmowały cały wachlarz nastrojów, od „prosto z mostu” (jak zrobić własną bombę), przez pozornie edukacyjne („prawdziwy sens islamu”), aż po dostępne dla wszystkich fora, gdzie argumenty tryskały na wszystkie strony jak olej z rozgrzanej patelni, a wściekłość nie tolerowała żadnych zasad gramatyki.

Chcąc uchodzić za prawdziwą w internetowym świecie, musiała zapomnieć o wszystkim, co wiedziała o gramatyce, dowcipie, zasadach pisowni, dobrych manierach i krytyce literackiej.

Wydawało się to bez sensu, a nawet gorzej, wydawało się niewykonalne... Skąd można było wiedzieć, że chodzi o coś gorszego niż słowa, kiedy tylko na słowach możesz się oprzeć? Kiedy te słowa są zawsze takie same: wściekłe, bezwzględne, mordercze. Kilka razy doszła do wniosku, że jakiś głos brzmi mroczniej niż pozostałe, i przekazała tę informację komuś wyżej. A tam prawdopodobnie na tej podstawie

zadziałano; namierzono adresy ISP, wysłedzono wściekłych młodych mężczyzn w ich podmiejskich sypialniach. Ale może tylko się oszukiwała. Może wszyscy potencjalni terroryści, jakich kiedykolwiek zidentyfikowała, byli takimi samymi duchami jak ona; innymi agentami w swoich biurach, którzy wysyłali jej nick komuś wyżej, gdy ona robiła to samo z ich nickami. Nie byłby to jedyny aspekt wojny z terroryzmem, który okazał się grupową masturbacją. Powinna być na ulicy, zajmować się prawdziwą robotą. Ale już tego próbowała i nawaliła.

Za każdym razem, gdy o tym myślała – a często jej się to zdarzało – jej zęby same się zaciskały. Czasami przyłapywała się na tym, że bezwiednie o tym myśli, a wskazówką zawsze było zgrzytanie zębów i ból zaciskanej szczęki.

Jej pierwsza robota w terenie, śledzenie celu – pierwszy raz, gdy robiła to na serio. Śledziła chłopaka. To znaczy nie pierwszy raz kogoś śledziła, ale pierwszy raz w taki sposób: na dystans, cały czas utrzymując go w polu widzenia, ale nie zbliżając się na tyle, by mógł wyczuć jej obecność.

Śledzenie przeprowadzało się w minimum trzyosobowych zespołach. Tamtego dnia było ich pięcioro: dwoje z przodu, troje z tyłu. Tych troje z tyłu ciągle zamieniało się miejscami, jakby wykonywali jakiś taniec country. Tyle że wszystko odbywało się na ulicach miasta.

Obserwowany cel – czarnoskóry chłopak, który nie mógłby bardziej odbiegać od obrazów przekazywanych przez brukowce: ubrany w garnitur w prążki, w okularach w plastikowych oprawkach – był przywódcą grupy podejrzewanej o przejęcie broni. Tydzień wcześniej przechwycono tajny skład wycofanej z użytku broni krótkiej, która miała zostać przetopiona. „Wycofany z użytku” było jak „singel” albo „żonaty” – czyli status podlegający gwałtownym zmianom. Broń nie została przechwycona, bo byłyby z niej ładne obciążniki do papieru. Została przechwycona, żeby trafić na ulicę.

– Trójka? Przejmujesz.

Instrukcja w słuchawce nakazująca jej przejść na przód kolejki.

Agent, który był najbliżej celu, wycofał się; miał przez chwilę pokręcić się przy stoisku z gazetami i ponownie dołączyć do całej procesji. Tymczasem to ona była u steru. Cel utrzymywał stałe tempo. Oznaczało to, że albo nie miał pojęcia, że jest obserwowany, albo tak się do tego przyzwyczaił, że nie robiło to na nim wrażenia.

Pamiętała jednak, że myślała: „On nie ma pojęcia”.

On nie ma pojęcia. On nie ma pojęcia. Po wystarczającej liczbie powtórzeń każda fraza traci znaczenie. „On nie ma pojęcia”.

Niecałą minutę później cel wszedł do sklepu odzieżowego.

To wcale nie musiało być istotne. Lubił ciuchy, to było widać. Ale sklepy były dobrym miejscem na spotkanie. Kolejki, czasem tłok. Były przebieralnie. To stwarzało dobre okazje. Wszedł do sklepu, a ona za nim.

I natychmiast go zgubiła.

W tym, co wydarzyło się później tamtego dnia i ciągnęło się tygodniami, niewypowiedzianym na głos oskarżeniem był rasizm. Że nie potrafiła odróżnić jednego czarnego chłopaka od innego. To nie była prawda. Miała w głowie wyraźny obraz celu i pamiętała go nawet teraz: dołeczek w podbródku, ostra jak brzytwa linia

włosów. Chodziło tylko o to, że w sklepie było co najmniej sześciu innych młodych mężczyzn – tego samego wzrostu i koloru skóry, w takich samych garniturach i z taką samą fryzurą – i wszyscy brali w tym udział.

Potem wyjaśniło się, że spędził w tym sklepie niecałe trzy minuty. Wszedł do przebieralni, zdjął garnitur. Kiedy wyszedł z powrotem na ulicę, był ubrany tak, jak można się było po kimś takim spodziewać: okulary przeciwsłoneczne, luźny szary podkoszulek, workowate dżinsy. Przeszedł tuż obok Dwójki, która wchodziła akurat do sklepu, żeby pomóc Louisie, i niezauważony minął Jedynekę, Czwórkę i Piątkę. Louisa – Trójka – dopiero zaczynała panikować. To nie był dobry dzień w biurze.

A zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy broń zaczęła znów się pojawiać: w napadach na banki, napadach z bronią w rękę, w ulicznych strzelaninach.

Wśród ofiar była kariera Louisy Guy.

Zastanowiła się, czy nie nalać sobie jeszcze jednego drinka, a potem postanowiła wyłączyć telewizor i pójść do łóżka. Przez to poranek stanie się bliższy, ale przynajmniej między teraz a wtedy będzie zapomnienie.

Musiała jednak na nie trochę poczekać. Co najmniej przez godzinę leżała w ciemności, dręczona zbłąkanymi myślami.

Zastanawiała się, co robi Min Harper.

Jed Moody przecisnął się obok tłumu przy wejściu i zajął stolik w ogródku, gdzie do pierwszego piwa wypalił trzy papierosy. Sklepy naprzeciwko były palindromem High Street – koreański sklep spożywczy, usługi kurierskie, agencja wynajmu nieruchomości, usługi kurierskie, koreański sklep spożywczy – i regularnie przejeżdżały tędy hałasujące autobusy. Gdy dopił piwo, wszedł na chwilę do lokalu, ale tym razem zaniósł swój kufel na górę, do stolików ustawionych wzdłuż wewnętrznego balkonu z widokiem na kotłujący się tłum poniżej. Był w połowie kufła, kiedy dołączył do niego Nick Duffy.

– Jed.

– Nick.

Duffy usiadł.

Nick Duffy, mocno po czterdziestce, był rówieśnikiem Moody'ego. W tym samym czasie ukończyli szkolenie i kilkanaście lat później obaj trafili do psów, wydziału wewnętrznego tajnych służb. Psiarnia mieściła się w Regent's Park, ale psy miały licencję na szwendanie się. Moody dotarł najdalej do Marsylii – został tam zadźgany agent przez transseksualną prostytutkę i okazało się, że pomyłono go z kimś innym – a Duffy aż do Waszyngtonu. Nosił teraz krótko obcięte siwe włosy i podobnie jak Moody, miał na sobie marynarkę, ale bez krawata. Musieli przypominać dwóch coś tam po pracy, pomyślał Moody. Księgowych, agentów biura nieruchomości, bukmacherów; niewykluczone, że bardziej przenikliwy obserwator uznałby ich za gliniarzy. Może jeden na milion domyśliłby się, że są z MI5. A Moody zażyczyłby sobie, żeby takiego sukinsyna dokładnie sprawdzić.

– Dużo roboty? – spytał.

– Sam wiesz.

Co znaczyło, że nie wiedział. I że nie wolno mu było tego wiedzieć.

– Nie chodzi mi o tajne informacje, Nick. Pytam, jak leci.

Duffy przekrzywił głowę i spojrział na bar w dole.

– Na samym końcu. Zobacz.

W pierwszej chwili Moody pomyślał, że Duffy jest śledzony. Ale zaraz to do niego dotarło. Och. W porządku. Na końcu baru siedziały dwie kobiety, których spódniczki, gdyby je połączyć, utworzyłyby całkiem przyzwoitą ściereczkę do okularów.

Jedna nosiła czerwoną bieliznę.

Duffy czekał.

– Jezus, żartujesz sobie, co? – powiedział Moody.

– Czujesz się stary?

– Nie zapraszałem cię na podryw.

– Dlaczego mnie to nie zaskakuje.

– A gdybym tak zrobił, to na pewno nie tutaj. Nie bez penicyliny.

– Dowcipniś z ciebie, Jed. – Jakby zaprzeczając tym słowom, Duffy zerknął na zegarek, a potem powoli upił duży łyk piwa.

Moody przeszedł więc od razu do rzeczy.

– Masz dużo do czynienia z Taverner?

Duffy poprawił podkładkę pod kufel i odstawił na nią piwo.

– Jest dostępna?

– Chcesz pogadać o dostępności? – spytał Duffy. – Tamta blondynka wysyła sygnały dymne.

– Nick.

– Naprawdę chcesz to przerabiać?

I to był koniec, jeszcze zanim zaczęli.

Cztery słowa, w których Duffy powiedział mu, że równie dobrze może się zamknąć.

– Potrzebuję tylko szansy, Nick. Jednej małej szansy. Drugi raz nie nawalę.

– Prawie jej nie widuję, Jed.

– Jesteś dziesięć razy bliżej niż ja.

– Czegokolwiek od niej chcesz...

– Nie chcę niczego od niej...

– ...nic z tego nie będzie.

Moody zamarł.

Duffy ciągnął dalej:

– Po bajzlu w zeszłym roku potrzebowali kogoś do rzucenia wilkom na pożarcie. Chapman sam się prosił i to był jakiś początek, ale chcieli kozła ofiarnego. I to byłeś ty.

– Ale mnie nie wywalili.

– Tak uważasz?

Moody nie odpowiedział.

Duffy zaczął kopać leżącego, bo na tym polegała jego robota.

– Slough House się nie liczy, Jed. To Regent's Park jest centrum świata. Psy... no

wiesz. Szwendamy się w przejściach. Obwąchujemy, kogo nam się spodoba. Dbamy o to, żeby wszyscy robili to, co mają robić, i żeby nikt nie robił, czego mu nie wolno. A jeśli ktoś to robi, gryziemy. Dlatego nazywają nas psami. – Przez cały ten wywód mówił lekkim, swobodnym tonem. Każdy, kto by go obserwował, pomyślałby, że opowiada kawał. – Natomiast w Slough House możesz sobie... Przypomnij mi, co takiego tam robisz, Jed. Możesz straszyć ludzi, jeśli za długo kręcą się na przystanku. Możesz dbać, żeby nikt nie podkradał spinaczy. Kręcić się koło automatu z kawą i słuchać o tym, kto jeszcze nawalił. I to wszystko.

Moody nic na to nie powiedział.

– Nikt mnie nie śledził – ciągnął Duffy. – Wiem to, bo sam jestem tym, który mówi, kto ma kogo śledzić. I ciebie też nikt nie śledził, bo nikogo to nie obchodzi. Możesz mi wierzyć. Nikt cię nie obserwuje, Jed. Szef zrobił znaczek na kartce i zapomniał o tym, że kiedykolwiek żyłeś. Koniec, kropka. – Moody nic nie powiedział. – I jeśli dalej cię to męczy, spróbuj znaleźć sobie inną robotę. Gliniarze wyrzuceni z pracy idą do ochrony. Zastanawiałeś się nad tym, Jed? Dostałbyś mundur i w ogóle. Miałbyś fajny widok na parking. Znowu miałbyś jakieś życie.

– Nie wyrzucili mnie z pracy.

– Nie, ale myśleli, że sam odejdziesz. Jeszcze do tego nie doszedłeś?

Moody skrzywił się i sięgnął do kieszeni po papierosy, ale zaraz dogoniła go rzeczywistość. Kiedy ostatni raz mógł sobie zapalić w pubie? I dalej: kiedy ostatni raz poszedł się napić z kolegą i żartował na temat pracy? Albo kiedy ostatni raz czuł się dobrze, będąc Jedem Moodym? Zaciśnął pięść w kieszeni. Rozluźnił dłoń, wyprostował palce, położył obie dłonie na stoliku.

– On coś kombinuje – powiedział.

– Kto?

– Jackson Lamb.

– Kiedy ostatnim razem Jackson Lamb wysilił się, żeby zrobić coś bardziej forsownego niż pierdnięcie, Geoffrey Boycott grał jeszcze dla Anglii.

– Wysłał Sid Baker na misję.

– Aha.

– Na prawdziwą misję.

– Jed, wiemy o tym, dobrze? Wiemy. Wydaje ci się, że Lamb może pierdnąć bez pozwolenia? – Nick znów uniósł do ust kufel, ale nie było w nim już piwa. Odstawił go. – Muszę lecieć. Rano mam spotkanie. Wiesz, jak jest.

– To ma związek z jakimś dziennikarzem. – Moody usiłował ukryć desperację w głosie. Utrzymać go na poziomie, który dla Duffy'ego byłby zrozumiały: że jeśli ze Slough House przeprowadzano jakąś operację, Moody powinien brać w niej udział. Bóg mu świadkiem, że miał więcej doświadczenia niż oni wszyscy razem wzięci. Sid Baker ledwie wyrosła ze sportowego stanika, Cartwright zaważył King's Cross, Ho był maniakiem komputerowym, a pozostali to pierdolone magnesy na lodówkę. Tylko Moody kopniakiem wyważał drzwi. I niech mu nikt nie mówi, że nie chodzi o wyważanie drzwi kopniakiem. Wiedział, że nie o to chodzi. Ale kiedy prowadziło się operację, chciało się mieć kogoś, kto potrafi kopniakiem wyważyć drzwi, bo

prędzej czy później właśnie o to będzie chodzić.

– Poradzę ci coś, Jed – powiedział Duffy. – Jackson Lamb ma tyle władzy co sprzedawczyni na stoisku z lizakami. A ty jesteś o trzy szczeble niżej. Wiemy, co robił Baker, i tylko skończony amator nazwałby to misją. To było jak zrobić zakupy. Pojmujesz różnicę? Zrobić zakupy. Wydaje ci się, że powierzylibyśmy mu coś ważniejszego?

Zanim skończył mówić, zaczął już wstawać.

– Postawię ci jedno. Bez urazy, dobra? Jeśli coś wyniknie, dam ci znać. Ale nic z tego nie wyniknie.

Moody przyglądał się, jak Duffy znika na schodach, potem pojawia się w barze na dole, daje pieniądze barmanowi i wskazuje kciukiem w jego stronę. Barman zerknął na górę, kiwnął głową i nakarmił kasę.

Wychodząc, Duffy przystanął przy blondynce w krótkiej spódniczce. Coś do niej powiedział, a jej oczy się rozszerzyły i wybuchnęła śmiechem. Zanim Duffy wyszedł, pochyliła się do koleżanki i powtórzyła jego słowa. Odrobina poufałych sprośności w zwykły wieczór, zapodał temat i się zmył.

Jed Moody dopił piwo i rozparł się na krześle. Dobra, ty skurwielu, pomyślał. Ty wiesz wszystko, ja nie wiem nic. I ja tkwię na zadupiu, kiedy ty masz spotkania wcześniej rano i decydujesz, kto kogo śledzi. Ja mam gówna. Ty masz cały księżyc.

Ale skoro jesteś taki mądry, to jak to możliwe, że myślisz, że Sid Baker to facet?

Nie zawracał sobie głowy odebraniem piwa, za które zapłacił Duffy. To było drobne zwycięstwo, ale drobne zwycięstwa się sumują.

Wiele lat temu – i nie podziękowałby ci, gdybyś mu o tym przypomniał – Roderick Ho wymyślił, jaką będzie miał ksywę w tajnych służbach. I nie tylko, wymyślił też swoje możliwe odpowiedzi, kiedy po raz pierwszy ktoś tej ksywy użyje. „Tak, uprzyjemnij mi dzień” – powiedziałaby. Albo: „Czy masz dziś szczęście, śmieciu?”. Bo coś takiego się mówiło, kiedy ludzie nazywali cię Clint.

Roderick Ho = Westward Ho = Eastward Ho = Clint.

Nikt nigdy nie nazwał go jednak Clintem. Być może poprawność polityczna nie pozwalała im dokonać orientalnej elizji z Westward do Eastwood.

A może za dużo od nich wymagał. Może nigdy nie słyszeli o *Westward Ho!*, po prostu.

W sumie to banda ciołków. Pracował z bandą ciołków. Nie potrafiliby zrozumieć gry słów, nawet gdyby dać im słownik i planszę do scrabble.

Podobnie jak Louisa Guy i Min Harper, Ho spędzał ten wieczór w domu, choć ten dom do niego należał i był domem, a nie mieszkaniem. To był dziwny dom, ale to nie miało żadnego związku z Ho – był już dziwny, kiedy go kupował. Dziwność domu polegała na oranżerii na piętrze; znajdowała się tam antresola ze szklanym dachem i kafelkami na podłodze. Agentka z biura nieruchomości dużo o tym gadała, wymieniła nawet całe mnóstwo roślin, które tworzyły tam mikroklimat; wrzuciła do swojej gadki takie słowa jak „naturalny”, „zielony” i „eko” coś tam. Ho kiwał głową, jakby go to interesowało, obliczając, ile sprzętu elektronicznego uda mu się tam upchnąć, kiedy już pozbędzie się całego tego ekogówna. Oszacował, że całkiem

sporo. I ten szacunek okazał się całkiem precyzyjny.

A więc teraz siedział otoczony całkiem sporą ilością sprzętu; niektóre urządzenia cicho czekały na jego dotyk, inne przyjemnie szumiały, wykonując wcześniej zaprogramowane polecenia. A z jednego ryczał death metal na poziomie głośności, który zgodnie z nazwą gatunku był wręcz śmiertcionośny.

Był za stary na taką muzykę i o tym wiedział. Był też za stary na to, by tak głośno jej słuchać – i o tym również wiedział. Ale to była jego muzyka, jego dom, a sąsiedzi byli studentami. Musiałby słuchać ich hałasu, gdyby nie robił własnego.

W tej chwili przeglądał pliki personelu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie szukał niczego szczególnego. Po prostu je przeglądał, bo mógł.

Rodzice Ho opuścili Hongkong na dziesięć lat przed przekazaniem miasta Chinom i Ho – który miał obsesję na punkcie „co by było, gdyby” i jako nastolatek, kiedy bez przerwy zarywając noce, nie grał akurat w *Dungeons and Dragons*, pochłaniał książki w stylu „to ty podejmujesz decyzje” – często się zastanawiał, co by się z nim działo, gdyby tam zostali. Stawiał, że byłby maniakiem komputerowym w jakiejś bardziej komercyjnej dziedzinie – programowanie albo efekty specjalne – albo wysługiwałyby się nim jakaś ogromna bezosobowa korporacja, której macki sięgają każdego zakątka świata. Stawiał, że zgarniałby grubszą kasę niż teraz. Ale nie miałby takich możliwości.

Wieczorem był na randce z kobietą, którą poznał tego dnia rano w metrze. Nie zamienili ani słowa. Pierwsze randki takie są. Miała włosy koloru mysi blond i przepisowy strój w londyńskim City – ciemnografitowa marynarka i spódnica, biała bluzka – ale Ho najbardziej zainteresowała jej przepustka wisząca na łańcuszku na szyi. Stał dwadzieścia centymetrów od kobiety, więc bez problemu odczytał jej nazwisko; dziesięć minut po dotarciu do Slough House ustalił już jej adres i stan cywilny (wolna), historię kredytową (całkiem niezła), dokumentację medyczną (zwyčajne kobiece rzeczy) i był w trakcie przeglądania jej e-maili. Praca. Spam. Trochę flirtowała z kolegą, ale donikąd to nie prowadziło. A poza tym chciała kupić używany samochód i zareagowała na ogłoszenie w lokalnej darmowej gazecie. Właściciel samochodu nie odpowiedział.

A więc Ho zadzwonił do niego i ustalił, że facet sprzedał już ten samochód, ale nie pofatygował się poinformować o tym biedaków, którzy byli zainteresowani kupnem. Nic nie szkodzi, zapewnił go Ho, a potem sam zadzwonił do tej kobiety, żeby zapytać, czy wciąż ją interesuje sześćioletni saab. Interesował ją, więc umówili się na spotkanie w winiarni wieczorem. Zanim się zjawiała, Ho zajął sobie miejsce w kącie i przez kolejną godzinę obserwował jej narastającą frustrację; przyszło mu nawet do głowy, czy do niej nie podejść – nie przysiąc się i nie wyjaśnić, że nie ma czegoś takiego jak nadmierna ostrożność, po prostu nie ma. Bądź zbyt ostrożna. Przepustka na łańcuszku na szyi? Czemu od razu nie założyć sobie plakietki z napisem „Zgwałć moje życie”? Szczegóły finansowe, ulubione strony internetowe, wybierane numery, odbierane połączenia. Wystarczyło tylko nazwisko i jeszcze jeden punkt zaczepienia. Na przykład miejsce pracy. Kody podatkowe, kartoteka kryminalna, karty lojalnościowe, bony turystyczne. Nie chodziło tylko o to, że można było znaleźć te rzeczy i całą



resztę. Chodziło o to, że można je było zmienić. A wtedy pewnego dnia rano wychodzisz z domu z przepustką na szyi jak dzwonek u krowy i zanim docierasz do pracy, twoje życie nie należy już do ciebie.

Roderick Ho przyszedł powiedzieć o tym wszystkim tej kobiecie.

Ale oczywiście tego nie zrobił. Obserwował ją, póki się nie poddała i nie wyszła jak chmura niemej furii, a potem dopił swoje bezalkoholowe piwo i wrócił do domu pieszo, zadowolony, że miał ją jak na tacy.

To była jego tajemnica.

Jedna z wielu.

Teraz siedział przed monitorem, nie słysząc ryczącej w pokoju muzyki; nawet nie mrugając. Równie dobrze mógłby obok niego stać lokaj z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który zapraszałby go, żeby pogrzebał sobie w szafkach na dokumenty. Podawałby mu klucz. Czy sir raczy się napić bezalkoholowego piwa, kiedy będzie tu szperał? Cóż, tak. Sir raczy.

Ho sięgnął po puszkę w uchwycie przykręconym do biurka.

„Dzięki, lokaju”.

Zastanawiał się, czy nie podmienić dat urodzenia paru wyżej postawionych aparatczyków, żeby namieszać w kilku planach emerytalnych, ale jego uwagę przykuł link do zewnętrznej strony, który zaprowadził go na kolejną, a potem jeszcze kolejną. Zdumiewające, jak szybko mijał czas: kiedy następnym razem oderwał wzrok od monitora, była już północ i zawędrował wiele kilometrów od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych; nawigował po stronach jakiejś małej fabryki plastiku, która miała dobrze ukryte powiązania z Ministerstwem Obrony. Kolejne sekrety. Urodził się, żeby biegać po tym placu zabaw – nie miało znaczenia, gdzie skończyli jego rodzice. To był jego żywioł i będzie w nim grzebał, póki nie skończy mu się czas, niczym skąpiec przesiewający sterty pyłu w poszukiwaniu złotego samorodka.

To wszystko było dla praktyki, nic więcej. Żadne z jego poszukiwań nie zbliżyły go ani trochę do odkrycia tajemnicy, która naprawdę nie dawała mu spokoju.

Roderick Ho dokładnie wiedział, jakie grzechy sprawiły, że jego koledzy trafili do Slough House; świetnie znał naturę gaf i błędów, które skazały ich na półmrok bycia ludźmi drugiej kategorii. Rozpracował ich wykroczenia w najdrobniejszych szczegółach, znał daty i miejsca, gdzie zawiedli, i rozumiał konsekwencje ich porażek lepiej niż oni sami, bo czytał napisane później przez ich przełożonych e-maile, w których próbowali kryć własne dupy. W każdym przypadku dokładnie wiedział, czyja ręka wskazała kciukiem w dół. Mógłby zacytować rozdział i wers, rozdział i wers.

W każdym przypadku oprócz dwóch.

Jednym była Sid Baker – i zaczynał mieć w tej sprawie swoje podejrzenia.

Jeśli chodzi o drugi, to pozostawał równie nieuchwytny co ten ukryty samorodek.

Ho znów uniósł puszkę do ust, ale była pusta. Nie oglądając się, rzucił ją przez ramię; zapomniał o niej, zanim uderzyła o ścianę.

Nie odrywał oczu od monitora.

„W każdym przypadku oprócz dwóch”.

Dni, w których Jackson Lamb działał instynktownie, należały do przeszłości. Należały do jego szczuplejszej i gładszej wersji. Ale dawne życia nigdy tak naprawdę nie znikają. Skóry, które rzucamy, odwieszamy do szafy – tak na wszelki wypadek, gdybyśmy znów musieli je założyć.

Zbliżając się do swojego domu, wyczuł jakąś postać przyczajoną w cieniu w sąsiedniej uliczce.

Nietrudno byłoby sporządzić listę głównych podejrzanych. Na przestrzeni lat Lamb narobił sobie wrogów. Szczerze mówiąc, Lamb robił sobie wrogów na przestrzeni dni – nigdy nie zajmowało mu to dużo czasu. A więc zbliżając się do skrzyżowania, zwinął swój „Standard” w rulon i machnął nim kilka razy, jakby w myślach dyrygował orkiestrą. Musiał wyglądać jak ktoś, kto nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje. Musiał wyglądać jak łatwy cel.

Dwie sekundy później musiał wydawać się znacznie mniej przyjazny.

Jego ręce znały ten ruch. Jak spadanie z roweru.

– Jezu, człowieku...

A potem gazeta zdławiła ten głos – krótki przedsmak emocjonujących przeżyć, jakich możesz się spodziewać, kiedy dźgniesz śpiącą bestię zbyt krótkim kijkiem.

W pobliżu zapaliło się światło. W tej okolicy było mało prawdopodobne, by ktoś wyszedł z domu i zadawał pytania, ale nie było nic niezwykłego w tym, że mieszkańcy chcą widzieć, co się dzieje.

W żółtym blasku, zanim ktoś odsunął zasłonę, Lamb zobaczył, że złapał jakiegoś dzieciaka, kolejnego nastoletniego gnojka. Twarz chłopaka była tak poznaczona trądzikiem, jakby ktoś rzeźbił w niej nożem. Powoli wyciągnął gazetę z ust chłopaka. Ten natychmiast zwymiotował.

Lamb mógł po prostu sobie pójść. Nie było przecież tak, że chłopak by go śledził, żeby się zemścić. Jednak mieszkał niedaleko. Dzieciak by zobaczył, do którego wszedł domu. Życie Lamba składało się z chwil, w których decydował, kto powinien o czym wiedzieć. W tym konkretnym przypadku doszedł do wniosku, że nie chce, żeby ten chłopak dowiedział się czegoś nowego. Czekał więc, prawą ręką trzymając dzieciaka za kołnierz. Lewą odrzucił gazetę, która jeszcze szybciej niż zwykle zmieniała się w makulaturę.

W końcu dzieciak wydusił z siebie:

– Jezu Chryste...

Lamb go puścił.

– Pilnowałem własnego nosa.

Lamb z zaciekawieniem stwierdził, że tylko lekko się zasapał.

– Jesteś jakimś pierdolonym świrem? – wydusił młody.

Tyle tylko że gdy się lepiej nad tym zastanowił, strasznie waliło mu serce i czuł dziwnie nieprzyjemne gorąco pulsujące na czole i na policzkach.

Dzieciak gadał dalej.

– Nie robię nic złego.

W tym stwierdzeniu słyhać było uzalanie się nad sobą, jakby to było jakieś chwilowe zwycięstwo.

Lamb odsunął od siebie przykre myśli o własnej kondycji.

– To co robisz? – spytał.

– Tak się kręcę.

– Dlaczego akurat tutaj?

Pociągnięcie nosem.

– Każdy musi gdzieś być.

– Nie ty – powiedział Lamb. – Ty stąd znikaj, idź sobie gdzie indziej. – Znalazł w kieszeni monetę: dwa funty, dwa pensy? Nie wiedział i miał to gdzieś. Rzucił ją nad ramieniem chłopaka. – Dobra?

Kiedy dzieciak zniknął z pola widzenia, Lamb odczekał jeszcze kilka minut.

Jego serce zwolniło do normalnego rytmu. Pot na czole ostygł.

Potem Jackson Lamb poszedł do domu.

Nie wszyscy tej nocy mieli tyle szczęścia.

Miał dziewiętnaście lat. Strasznie się bał. Nie miało znaczenia, jak się nazywa.

„Myślisz, że nas obchodzi, co ty za jeden?”

Zaparkował samochód dwie ulice dalej, bo bliżej się nie dało. Ten rejon Leeds powoli się przeludniał – za dużo imigrantów, śmiał się jego ojciec; przyjeżdża tu za dużo Polaków i wschodnich Europejczyków i „zabierają nam pracę”; ha, ha, tato – i gdy się cofał, układał sobie w głowie ten niezły kawał z samochodami: nie ma żadnej innej rzeczy, którą posiadasz i którą zostawiasz na noc dwie ulice dalej, spodziewając się, że rano ją tam znajdziesz. Coś w tym było, wiedział o tym. Wrzucić tutaj chwilę milczenia...

„I wiecie co? Oto, co się zdarzy w naszej okolicy”.

Z punktami już tak jest, że muszą natychmiast wskoczyć na właściwe miejsce. Nie ma przestrzeni na dwuznaczność. I nigdy nie używaj dwóch słów, kiedy wystarczy jedno, ale to jedno musi wykonać swoją robotę. „Oto, co się zdarzy”. Miał przez to na myśli: oczywiście w naszej okolicy, jeśli zostawisz na noc samochód, ktoś go ukradnie. Czy publiczność od razu by to zrozumiała? Wszystko zależało od tego, jak by to powiedział.

„I wiecie co? OTO, co się zdarzy w naszej okolicy”.

Milczenie.

„W naszej okolicy, kiedy zostawiasz na noc dom na ulicy...”

I wtedy pojawiła się pierwsza postać, i wiedział, że ma kłopoty.

Był w bocznej uliczce. Nie powinien był iść na skrót, ale tak się właśnie działo, kiedy wymyślał dowcipy: jego mózg się wyłączał, nogi niosły go same. Jeśli się nad tym zastanowić, kreatywność to taki stan, jakbyś był pijany. Powinien to sobie zanotować, ale teraz nie było na to czasu, bo pierwszy kształt wyłonił się z drzwi garażu. Mógł tam szczać, palić papierosa albo zrobić coś zupełnie niewinnego, gdyby nie ten jeden szczegół: miał na głowie pończochę.

Walka czy ucieczka? Głupie pytanie.

„Jeśli kiedyś będziesz miał kłopoty, trafisz na... uliczną bójkę?” – to było coś, co kiedyś mówił mu ojciec.

„Tato, nawet nie próbuj”.

„Rozróbę?”

„Tato...”

„Zadymę?”

„Wiem, co próbujesz powiedzieć, tato. Wyraź to swoimi słowami, dobrze?”

„Wiej” – rzekł w końcu ojciec.

Złota myśl.

Ale tutaj nie było gdzie uciekać, bo pierwsza postać była dopiero pierwszą. Kiedy się odwrócił, zobaczył drugą. I trzecią. Wszyscy mieli pończochy na twarzach. Reszta ich garderoby nie miała znaczenia.

„Wiej!”

Możecie wierzyć, próbował.

Zdołał przebiec trzy metry, zanim powalili go na ziemię.

Gdy znów otworzył oczy, był na tyłach furgonetki. Paskudny posmak w ustach i wspomnienie waty. Odurzili go czymś? Wóz podskakiwał, trwało to w nieskończoność. Ręce i nogi były ciężkie. Bolała go głowa. Znów zasnął.

Gdy ponownie otworzył oczy, miał worek na głowie i związane ręce. Nie miał na sobie nic poza bokserkami. Powietrze było wilgotne i chłodne. Jakaś piwnica. Nie musiał jej widzieć, żeby się zorientować. I nie musiał usłyszeć głosu, by wiedzieć, że nie jest sam.

– Teraz będziesz grzeczny.

To nie było pytanie.

– Nie będziesz robił żadnych kłopotów i nie będziesz próbował zwiewać. –

Chwila milczenia. – I tak nie masz, kurwa, szans.

Próbował coś powiedzieć, ale wyszedł mu z tego tylko jęk.

– Jak będziesz musiał się wyszczać, tu jest wiadro.

Tym razem udało mu się wydobyć głos.

– G... gdzie?

W odpowiedzi usłyszał, jak ktoś kopie wiadro po lewej stronie.

– Słyszysz to?

Kiwnął głową.

– Tu masz szczać. Srać. Czy coś tam.

Potem ciągnęli coś po podłodze. Coś, czego nie widział, ale brzmiało to strasznie i groźnie; jakieś urządzenie, do którego go przypną, zanim potraktują delikatniejsze części jego ciała czymś ostrym...

– A tu jest krzesło.

Krzesło?

– I tyle.

A potem znów był sam. Oddalające się kroki. Odgłos zamykanych drzwi. Zgrzyt przesuwanego rygła. Właśnie tak, przesuwanego, jakby jakakolwiek szansa na otwarcie tych drzwi przesunęła się daleko poza jego zasięg.

Miał mocno związane ręce, ale przynajmniej były z przodu. Uniósł je do głowy i ściągnął worek. Prawie się przy tym zadławił, ale dał radę. Chociaż jedno małe

zwycięstwo. Rzucił go na podłogę, jakby to on był winien wszystkiemu, co się stało w ciągu ostatnich... No właśnie. Godzin?

Ile minęło czasu, odkąd złapali go w uliczkę?

Gdzie teraz był?

I dlaczego? O co w tym wszystkim chodziło? Kim oni byli i dlaczego tu był?

Kopnął szmatę na podłodze. Po policzkach spływały mu łzy, jak długo już płakał? Czy zaczął, zanim ten głos opuścił pomieszczenie? Czy głos słyszał jego płacz?

Miał dziewiętnaście lat, strasznie się bał i bardziej niż publiczności – bardziej niż całej sali ludzi śmiejących się z jego dowcipów – potrzebował matki.

Przed nim stało krzesło, zwykłe krzesło, takie jak z jadalni – przewrócił je jednym szybkim kopniakiem.

I w kącie stało wiadro, tak jak mu obiecali. Je również by kopnął, ale dał sobie spokój.

„G... gdzie?”

Nienawidził siebie za to, że to powiedział. „Gdzie jest wiadro?”

Jakby pytał w pensjonacie, gdzie jest toaleta. Jakby był za to wdzięczny.

Kim byli ci ludzie? I czego chcieli? I dlaczego on?

„Tu masz srać. Srać. Czy coś tam”.

Zamierzali go tu trzymać na tyle długo, że będzie musiał się wysrać?

Na tę myśl ugięły się pod nim kolana. Płacz może człowieka wykończyć. Osunął się na zimną kamienną podłogę.

Gdyby nie kopnął tego krzesła, usiadłby na nim. Ale zadanie postawienia go z powrotem na nogi było ponad jego siły.

Czego oni ode mnie chcą?

Nie powiedział tego na głos. Ale te słowa i tak pełzły z powrotem do niego ze wszystkich zakamarków.

Czego oni chcą?

Nie miał pod ręką żadnych odpowiedzi.

Piwnicę oświetlała pojedyncza żarówka. Bez klosza, wisiała jakiś metr nad nim i teraz zdał sobie sprawę z jej istnienia głównie dlatego, że zgasła. Przez kilka sekund jej blask wisiał w powietrzu, a potem on też zniknął tam, gdzie duchy znikają w ciemności.

Myślał, że przedtem czuł panikę, ale to było nic w porównaniu z tym, czego doświadczał teraz.

Przez następnych kilka chwil był tylko w swojej głowie i to okazało się najstraszniejszym miejscem, w jakim kiedykolwiek się znalazł. Kryły się tam niewypowiedziane potworności żywiące się koszmarami z dzieciństwa. Bił zegar, ale nieprawdziwy. To był zegar, który kiedyś go obudził, gdy miał trzy albo cztery latka. Przez resztę nocy nie mógł zasnąć, przerażony, że jego tykanie to zbliżający się potwór na patykowatych, pajęczych nogach. Gdyby zasnął, potwór by go dorwał.

Ale już nigdy nie będzie miał trzech czy czterech lat. Wołanie rodziców nic mu nie da. Było ciemno, ale był już wcześniej w ciemności. Był przerażony, ale...

Był przerażony, ale żywy i zły, i to mogło być to – ten numer, który potrafili

wywinąć fajniejsi chłopacy na kampusie.

Zły. Tego powinien się trzymać. Był zły.

– Dobra, chłopaki – powiedział na głos – zabawiliście się moim kosztem. Ale znudziło mi się udawanie, że się boję.

Drżał mu głos, ale nie za bardzo. Jak na te okoliczności.

– Chłopaki? Powiedziałem, że znudziło mi się udawanie.

To był kawał. Taki numer z *Big Brothera*, tyle że z nim w roli głównej.

– Chłopaki? Fajni jesteście, dobra. Tak wam się wydaje. Ale wiecie co?

Nie widział swoich związanych rąk, gdy uniósł je na wysokość twarzy i wyciągnął oba środkowe palce.

– Walcie się, chłopaki. Pierdolicie się, i tyle.

A potem postawił krzesło z powrotem na nogi i na nim usiadł. Miał nadzieję, że jego ramiona nie zdradzają, jak urywany ma oddech.

To było ważne – żeby nad sobą panował.

Nie wolno mu było stracić głowy.

Wcześniej tego wieczoru River dołączył do tłumu wracających z pracy. Wsiadł na przystanku London Bridge i koło ósmej był już na obrzeżach Tonbridge. Nie uprzedzał wcześniej, że się zjawi, zadzwonił tylko, gdy już był w drodze, ale nie miał poczucia, że zaskoczył S.D. – na kolację był zapiekany makaron i wielka sałatka własnej roboty.

– Zastanawiałeś się, czy nie zastaniesz mnie przed telewizorem z puszką fasoli?

– Nigdy w życiu.

– Wiesz, River, nie jest ze mną tak źle. W moim wieku człowiek jest albo samotny, albo już nie żyje. Tak czy inaczej, da się do tego przyzwyczaić.

Babcia Rivera zmarła cztery lata temu. Teraz Stary Drań, jak nazywała go matka Rivera, tłukł się sam po czteropokojowym domu.

„Powinien sprzedać ten dom, kochanie” – powiedziała matka podczas jednej z coraz rzadszych odwiedzin u syna. „Kupić sobie mały, ładny bungalow. Albo wprowadzić się do jednego z tych kompleksów mieszkaniowych”.

„Już go widzę, jak to robi”.

„W dzisiejszych czasach nie siedzą tam przez cały dzień przed telewizorem i nie wkurzają się na wszystko. Mają tam... – machnęła nonszalancko rękę, jak zawsze, gdy chodziło jej o jakiś trywialny szczegół – ...swoje przepisy”.

„Mogliby nawet mieć przykazania” – odparł River. „To by go i tak nie oderwało od ogródka. Chodzi ci o jego pieniądze?”

„Nie, kochanie. Po prostu chcę, żeby był nieszczęśliwy”.

To mógł być dowcip.

Gdy River i jego dziadek już zjedli, przeszli do gabinetu, czyli pokoju, w którym pijało się alkohole. Pomimo stanowczych zapewnień, że wcale tak nie jest, S.D. kurczowo trzymał się zasad określonych przez jego żonę.

Z glenmorangie w ręce, w blasku ognia tańczącym na ścianach, River zapytał:

– Znasz Roberta Hobdena?

– Tę gadzinę? Czemu się nim interesujesz?

Próbował powiedzieć to znudzonym tonem, ale zdradził go błysk w oku.

– Tak ogólnie – odparł River. – Nie chodzi mi o nic konkretnego.

– Facet się wypalił.

– Specjalizujemy się w takich. W Slough House.

Dziadek przyjrzał mu się uważnie znad krawędzi okularów. Możliwość robienia tego była całkiem niezłym argumentem przemawiającym za tym, by nosić okulary.

– Wiesz, nie będą cię tam wiecznie trzymać.

– Dali mi do zrozumienia, że mogą – odparł River.

– Oto właśnie chodzi. Gdybyś wiedział, że to tylko na pół roku, nie zabołałoby cię.

Minęło już więcej niż pół roku, ale obaj o tym wiedzieli, więc River tego nie skomentował.

– Musisz to przeczekać. Wykonywać niewdzięczną robotę, którą wciśnie ci Jackson Lamb. A potem znowu trafisz do Regent's Park i wszystko ci wybaczą. Zaczynasz od nowa.

– Co przeskrobał Lamb?

S.D. udał, że tego nie słyszy.

– Hobden w swoich czasach był gwiazdą. Zwłaszcza gdy pracował dla „Telegraph”. Był ich reporterem od przestępczości i napisał serię artykułów o handlu narkotykami w Manchesterze; te teksty wielu ludziom otworzyły oczy. Wcześniej większości się wydawało, że narkotyki to amerykański problem. Odwalił kawał dobrej roboty, bez dwóch zdań.

– Nie wiedziałem, że był reporterem. Myślałem, że pisał felietony.

– Na koniec tak. Ale w tamtych czasach większość z nich była reporterami. Dzisiaj wystarczy mieć licencjat z medioznawstwa i wujka, który pracuje w redakcji. Ale nie chcesz, żebym zaczął ci opowiadać, jak spadła wartość tego zawodu.

– Racja – zgodził się z nim River. – Zamierzam wrócić dziś wieczorem do domu.

– Możesz zostać, jeśli chcesz.

– Lepiej nie. Nie należał przypadkiem do partii komunistycznej?

– Pewnie tak.

– I to nikogo nie bulwersowało?

– Rzeczy nie zawsze są czarne albo białe, River. Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że nie ufałby nikomu, kto w młodości nie był radykałem, a wtedy komunizm był preferowaną formą radykalizmu. Co ci się stało w rękę?

– Mały wypadek w kuchni.

– Igrasz z ogniem? – Wyraz jego twarzy się zmienił. – Dasz mi rękę?

River pomógł mu wstać.

– Wszystko w porządku?

– Cholerna sikawka. Nigdy się nie zestarzej, River.

Wyszedł, powłócząc nogami. Chwilę później zamknęły się drzwi łazienki na dole.

River siedział. Skórzane obicie jego fotela było miękkie jak oprawa pamiątnika. Zegar w gabinecie przyjemnie tykał. Zakołysał whisky w szklance.

S.D. przez całe życie pracował w służbie dla kraju w czasach, gdy linie frontu przebiegały mniej zawile niż dziś, ale gdy River pierwszy raz go zobaczył, klęczał przy rabacie z kwiatami i nie mógł bardziej różnić się od wyobrażenia bohatera w wojnach tajnych służb.

Miał na głowie kapelusik, pot spływał mu na czoło, a jego twarz lśniła jak ser. Na widok zbliżającego się River'a bez słowa oderwał kolana od ziemi i kucnął z ogrodową łopatką w ręce. River miał wtedy siedem lat i przyjechał piętnaście minut wcześniej, odstawiony tu przez matkę i mężczyznę, który wówczas dotrzymywał jej towarzystwa.

Zostawili go na progu; matka pocałowała go szybko, a mężczyzna krótko kiwnął głową. Do tego poranka nie miał pojęcia, że ma dziadków.



– Będą zachwyceni, że u nich jesteś – zapewniła go matka, wrzucając przypadkowe ubrania do jego walizki.

– Dlaczego? Nawet nie wiedzą, kim jestem!

– Nie bądź głuptasem. Wysyłałam im zdjęcia.

– Kiedy? Kiedy w ogóle...?

– River, mówiłam ci. Mamusia musi wyjechać. To ważne. Przecież chcesz, żeby mamusia była szczęśliwa, prawda?

Nie odpowiedział. Nie chciał, żeby mamusia była szczęśliwa. Chciał, żeby mamusia była przy nim. To było ważne.

– No cóż, niedługo wrócę. A wtedy – wrzuciła do walizki niedbale złożoną koszulę i odwróciła się do niego – może będę miała dla ciebie niespodziankę.

– Nie chcę niespodzianki!

– Nawet nowego tatusia?

– Nienawidzę go – powiedział River. – I ciebie też nienawidzę.

To były ostatnie słowa, jakie do niej powiedział, zanim zjawiła się dwa lata później.

Babcia najpierw była zszokowana, potem miła, szczebiotała nad nim w kuchni. Kiedy tylko odwróciła się plecami, wymknął się tylnymi drzwiami, żeby uciec, i natknął się na tego mężczyznę klęczącego przy rabatce; mężczyznę, który bardzo długo nic nie mówił, ale jego milczenie sprawiło, że River stał jak wryty. I w tym wspomnieniu odbyli następującą długą rozmowę, choć prawda może być taka, że wydarzyło się to w innym czasie, a może nawet nigdy, i że był to po prostu jeden z tych epizodów, jakie umysł tworzy w retrospekcji, by znaleźć wyjaśnienie zdarzeń, które w przeciwnym razie wydawałyby się przypadkowe.

– Ty musisz być River – powiedział jego dziadek.

Nie odpowiedział.

– Cholernie głupie imię. Ale mimo wszystko mogło być gorzej.

Doświadczenia Rivera z wielu różnych szkół wskazywały, że w tej kwestii starszy pan się mylił.

– Nie myśl o niej źle.

River nie wiedział, czy należy odpowiedzieć „tak” albo „nie”, więc znów się nie odezwał.

– Miej pretensje do mnie. Nie do niej. A już tym bardziej nie wiń jej matki. Czyli twojej babci. Tej pani w kuchni. Nigdy ci o nas nie mówiła, prawda?

To zdecydowanie nie wymagało odpowiedzi.

Po jakimś czasie dziadek wydał usta i przyjrzał się poletku ziemi, którym się zajmował. River nie miał pojęcia, co robił – sadił kwiatki czy może wyrwał chwasty. River spędził całe życie w mieszkaniach. Kwiatki zjawiały się w kolorowych papierach albo rosły w parkach. Gdyby w jakiś magiczny sposób mógł się przenieść do jednego z tych mieszkań, zrobiłby tak, ale magia nie była dostępna. Dziadkowie, na których trafiał w bajkach, byli czasami, ale nie zawsze, życzliwi. Pozostawała możliwość, że mogą mieć mordercze zamiary.

– Z psami jest łatwiej – ciągnął jego dziadek.

River nie lubił psów, ale postanowił zachować tę informację dla siebie, dopóki nie wyczuje, z której strony wiatr wieje.

– Patrzy im się na łapy. Wiedziałaś o tym?

Tym razem wyglądało na to, że trzeba coś odpowiedzieć.

– Nie – odezwał się River po jakichś trzech minutach.

– Co „nie”?

– Nie wiedziałem o tym.

– O czym nie wiedziałaś?

– Tego, co mówiłaś. O psach.

– Patrzy się im na łapy. Jeśli chce się wiedzieć, jak duże urosną. – Znow zaczął kopać w ziemi, zadowolony, że River wniósł jakiś wkład do tej rozmowy. – Psy poznaje się po łapach. Dzieci nie. Ich nogi rosną razem z nimi.

River obserwował ziemię zsypującą się z krawędzi łopatki. Na chwilę pojawiło się coś czerwonoszarego, wiło się.

Szybki ruch łopatki i zniknęło.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że twoja matka urosła większa, niż się spodziewaliśmy.

To była dżdżownica.

To była dżdżownica, a teraz – jeśli to, co River słyszał, było prawdą – to były dwie dżdżownice w dwóch różnych miejscach. Zastanawiał się, czy dżdżownica pamięta, że była tylko jedną dżdżownicą, i czy to było dwa razy lepsze, czy o połowę gorsze. Nie dało się odpowiedzieć na takie pytania. Można się było uczyć biologii, ale to wszystko.

– Chodziło mi o to, że nie mogliśmy wiedzieć, że będzie trzpiotką.

Znow parę ruchów łopatką.

– Twoja matka podjęła wiele złych decyzji. Twoje imię jest najmniej ważną z nich. A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze?

To również wymagało odpowiedzi, ale River był w stanie tylko pokręcić głową.

– Jeszcze tego nie zauważyła. – Dziadek kopał teraz bardziej zawzięcie, jakby w ziemi było coś, co trzeba wydobyć na światło. – Wszyscy popełniamy błędy, River. Mnie też się parę przydarzyło i skrzywdziło to innych. To są te, nad którymi nie powinieneś przechodzić do porządku dziennego. Na takich błędach powinieneś się uczyć. Ale twoja matka tak nie robi. Wygląda na to, że się uparła, żeby wciąż i wciąż popełniać ten sam błąd, i to nikomu nie pomaga. A już najmniej tobie. – Podniósł wzrok na Rivera. – Nie wolno ci jednak źle o niej myśleć. Chcę przez to powiedzieć, że to leży w jej naturze.

To leżało w jej naturze, pomyślał teraz River, czekając, aż dziadek wróci z łazienki. Patrząc wstecz, trudno było temu zaprzeczyć. Od tamtego czasu wciąż popełniała te same błędy i nic nie wskazywało na to, by zamierzała zwolnić.

A co do staruszka: kiedy River wracał myślami do scen takich jak tamta – do kapelusika, swetra z dziurą na łokciu, ogrodniczej łopatki i strużek potu spływających po jego okrągłej, wiejskiej twarzy – trudno było nie zauważyć, że to wszystko było grą. Rekwizyty oczywiście były pod ręką: wielki dom z rozległym ogrodem, konie

w pobliżu. Dzentelmen z angielskiej wsi, także za sprawą słownictwa, jakiego używał: „trzpiotka” to było słowo z powieści z początków XX wieku; ze świata, w którym 007”>Waughowie i Mitfordowie grywali w karty przy stolikach zaprojektowanych specjalnie do tego celu.

Tyle tylko, że to przedstawienie niepostrzeżenie przechodziło w rzeczywistość. We wspomnieniach Rivera z dzieciństwa w tym domu zawsze była pełnia lata, a na niebie nie widniała ani jedna chmurka. A więc może ta gra, w którą grał S.D., jednak zadziałała; wszystkie te truizmy, po które sięgał lub udawał, że po nie sięga, zostawiły u Rivera ślad. Angielskie słońce i pola ciągnące się w oddali. Gdy urósł na tyle, by się dowiedzieć, co jego dziadek naprawdę w życiu robił, i postanowił robić to samo, właśnie o tych obrazach myślał, bez względu na to, czy były prawdziwe, czy nie. A S.D. i na to znalazłby odpowiedź. „To nieważne, że to nie było prawdziwe. Musisz bronić idei”.

„Będę tu teraz mieszkać?” – spytał tamtego ranka.

„Tak. Nie przychodzi mi do głowy nic innego, co byśmy mogli z tobą zrobić”.

A teraz dziadek wszedł do pokoju bardziej dziarskim krokiem, niż kiedy z niego wychodził. River miał na końcu języka pytanie, czy wszystko w porządku, ale postanowił użyć języka mądrzej i zamiast tego pociągnął łyček whisky.

Dziadek usadowił się w fotelu.

– Jeśli masz na radarze Hobdena, jest to polityczna sprawa.

– Wpadło mi w ucho jego nazwisko. Nie pamiętam, w jakim kontekście. Z czymś mi się skojarzyło, to wszystko.

– W twoim zawodzie kłamstwo może być kwestią życia lub śmierci. Będziesz musiał trochę poćwiczyć, River. A tak *à propos*, co tak naprawdę stało ci się w rękę?

– Otwierałem teczkę depozytową bez kodu.

– Kretyński pomysł. Po co?

– Chciałem sprawdzić, czy uda mi się to zrobić i się nie oparzyć.

– To już masz odpowiedź, prawda? Byłeś z tym u lekarza?

To była lewa ręka. Gdyby River użył prawej, może byłby szybszy i wcale by się nie oparzył, ale przyjął pragmatyczne podejście: jeśli teczka miała wybuchnąć jak granat, wolał stracić rękę, której mniej potrzebował. Zgasił płomień wodą z butelki. Zawartość teczki się zamoczyła, ale nic się nie uszkodziło. Skopiował pliki na nową kartę pamięci, a potem wsunął laptop do koperty z folią bąbelkową, którą podobnie jak kartę kupił w sklepie papierniczym w pobliżu Slough House. A wszystko to na ławce przy placu zabaw dla dzieci.

Z ręką nie było źle – tylko trochę zaczerwieniona i obolała. Gdyby chciał z tej historii wyciągnąć jakiś morał, brzmiałby on następująco: teczki depozytowe to nic takiego. Chociaż Spider radośnie uwierzył, że w Slough House nie mają nawet tak prostej technologii.

Jeśli chciałby wyciągnąć inny morał, to byłby on następujący: zastanów się dobrze, co chcesz zrobić, zanim to zrobisz. Cały ten epizod wynikał z wciąż tłącego się w nim żalu: że wysłano go, żeby jak idiota grzebał w śmieciach, podczas gdy Sid była na prawdziwej misji; a przede wszystkim, że zrobiono z niego chłopca na posyłki

Spidera Webba... Nie przejrzał jeszcze plików. Samo posiadanie tej cholernej karty było przestępstwem, za które mógł trafić do więzienia.

– Nic mi się nie stało – zapewnił dziadka. – Trochę się oparzyłem. Nic, czym warto by się było przejmować.

– A jednak coś cię gryzie.

– Wiesz, co robiłem przez ostatni miesiąc?

– Cokolwiek to jest, wątpię, żeby było ci wolno mi o tym mówić.

– Myślę, że mogę ci zaufać. Czytałem rozmowy z telefonów komórkowych.

– To poniżej twoich kwalifikacji.

– To strata czasu. Są zbierane z obszarów objętych specjalnym nadzorem, głównie z okolic bardziej radykalnych meczetów, a transkrypcje są generowane przez program do rozpoznawania głosu. Dają mi tylko takie po angielsku, ale i tak są ich tysiące. Ten program przetwarza mnóstwo z nich na bełkot, ale wszystkie trzeba przeczytać i ocenić pod kątem tego, jak bardzo są podejrzane. W skali od jednego do dziesięciu. Dziesiątka oznacza, że coś jest bardzo podejrzane. Do dzisiejszego popołudnia przeczytałem ich osiemset czterdzieści dwie. Wiesz, ile oceniłem na więcej niż jeden?

Dziadek sięgnął po butelkę.

River połączył kciuk i palec wskazujący, demonstrując zero.

– Mam nadzieję, że nie planujesz nic głupiego, River – powiedział dziadek.

– To poniżej moich kwalifikacji.

– Oni robią przeszkody, a ty masz przez nie skakać.

– Skakałem. Ciągłe skacze i skacze.

– Nie będą cię tam trzymać wiecznie.

– Tak myślisz? A co, no nie wiem, z Catherine Standish? Myślisz, że przydzielili ją tam tylko tymczasowo? Albo z Minem Harperem? Zostawił dysk w pociągu. W Ministerstwie Obrony mają cały klub paniczyków, którzy zapomnieli dysków z tajnymi danymi w taksówkach i nie cofnęli im nawet prawa płacenia za lunch kartą ministerstwa. Ale Harper już nie wróci do Regent's Park, prawda? I ja też nie.

– Nie znam tych ludzi, River.

– Nie. Nie. – Potarł czoło ręką i poczuł w nozdrzach gryzący zapach maści. – Przepraszam. Jestem sfrustrowany, to wszystko.

S.D. napełnił sobie szklaneczkę. River zdecydowanie nie potrzebował więcej whisky, ale nie protestował. Zdawał sobie sprawę, że to wszystko nie jest dla dziadka łatwe; podejrzewał, że to, co parę miesięcy temu powiedział mu Jackson Lamb, było prawdą. Że gdyby nie S.D., wyleciałby na zbity pysk. Bez tych koneksji River nie byłby kulawym koniem. Przerobili go na klej. I być może Lamb miał też rację co do tego, że ta nudna, niewdzięczna robota miała sprawić, że się podda i odejdzie. I w sumie – czy to by było takie złe? Nie przekroczył nawet trzydziestki. Miałby dość czasu, żeby się pozbierać i zacząć robić coś, co być może – kto wie? – pozwoliłoby mu trochę zarobić. Tyle tylko że gdy taka myśl zaczynała nabierać kształtów, od razu pakowała manatki i znikła za horyzontem. Jeżeli River odziedziczył cokolwiek po człowieku, z którym teraz siedział, to właśnie owo uparte poczucie, że jeśli się już na coś zdecydujesz, powinieneś doprowadzić to do końca.

– Hobden – powiedział teraz dziadek. – Nie pogrywasz sobie z nim, prawda?

– Nie – zapewnił River. – Trafiłem na jego nazwisko, nic poza tym.

– Kiedyś miał wpływy. Nigdy dla nas nie pracował, nic w tym stylu, za bardzo lubi się przechwalać, ale słuchało go parę ważnych osób.

River rzekł coś nieistotnego o wielkich, którzy upadli.

– Nie bez powodu to się stało komunalem. Kiedy taki Robert Hobden publicznie kogoś wkurwi, takich rzeczy się nie zapomina. – S.D. rzadko zniżał się do wulgaryzmów. Chciał przykuć uwagę Rivera. – Klub, do jakiego należał, nie zmienia zdania na temat tego, czy cię wywalić. Ale zapamiętaj sobie, River. Hobden nie został ekskomunikowany ze względu na jego przekonania. Spotkało go to, bo jeśli chcesz się obracać w najwyższych kręgach, pewne przekonania powinieneś zachować dla siebie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ludzi w jego otoczeniu nie zaskoczyło to, w co wierzył?

– Oczywiście, że nie. – Po raz pierwszy od wycieczki do łazienki dziadek Rivera rozparł się wygodnie w fotelu. Jego oczy były teraz zamglone, jakby patrzyły gdzieś daleko, i River odniósł wrażenie, że S.D. sięga pamięcią w przeszłość, gdy robił podobne rzeczy jak teraz River. – A więc jeśli myślisz o zerwaniu się ze smyczy, to bądź ostrożny. Towarzystwo, w którym Hobden się obracał, zanim wypadł z łask, jest o wiele bardziej nieciekawe niż typ, z którym zadaje się od tego czasu.

– Nie pogrywam sobie z nim. Nie zamierzam zrywać się ze smyczy. – Czy każdy zawód ma swój własny język? – A Hobden mnie w sumie nie interesuje. Nie martw się, staruszk. Nie szukam kłopotów.

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, a będziesz je miał. – Wyczuwając naturalny koniec rozmowy, River zaczął zbierać się do wyjścia, ale jego dziadek jeszcze nie skończył. – I się nie martwię. Choć w sumie tak, martwię się, ale to jest zupełnie bez sensu. I tak zrobisz to, co zamierzasz, i nic, co powiem, tego nie zmieni.

Riverowi zrobiło się głupio.

– Wiesz, że zawsze słucham...

– Nie skarżę się, River. Jesteś synem swojej matki, to wszystko. – Zaśmiał się cicho na widok miny, która przemknęła po twarzy Rivera. – Myślisz, że masz to po mnie, co? Chciałbym móc sobie przypisać tę zasługę.

– Wychowałeś mnie – powiedział River. – Ty i Rose.

– Ale do siódmego roku życia byłeś z nią. Jezuici mogliby się od niej niejednego nauczyć. Odzywała się do ciebie ostatnio?

Tę ostatnią uwagę rzucił swobodnym tonem, jakby rozmawiali o dawnym koledze z pracy.

– Kilka miesięcy temu – odparł River. – Zadzwoiła z Barcelony, żeby mi przypomnieć, że zapomniałem o jej urodzinach.

S.D. odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się ze szczerym rozbawieniem.

– No i proszę, chłopcze. Tak to się robi. Tak się wytycza własne plany.

– Będę ostrożny – zapewnił go River.

Kiedy pochylił się, by pocałować go w policzek na pożegnanie, staruszek złapał Rivera za łokieć.

– Bądź bardziej niż ostrożny, chłopcze. Nie zasługujesz na Slough House. Jeśli jednak narozrabiasz, próbując się stamtąd wyrwać, nic, co ktokolwiek powie, nie uratuje twojej kariery.

Jak dotąd to było najbliższe przyznaniu się, że dziadek wstawił się za nim, kiedy zawalił King's Cross.

– Będę ostrożny – powtórzył River i wyszedł, żeby zdążyć na pociąg.

Następnego dnia rano wciąż o tym myślał. „Będę ostrożny”. Ile razy się to słyszało tuż przed tym, jak ktoś miał wypadek? „Będę ostrożny”. Ale karta pamięci w kieszeni nie świadczyła o żadnej ostrożności; nie znajdowała się w jego posiadaniu przez przypadek. Dotychczas zachował ostrożność jedynie w tym zakresie, że się jej nie przyjrzał.

Zrobienie tego wtajemniczyłoby go w informacje, do których nie miała dostępu Sid Baker i prawdopodobnie nawet Spider Webb. To by dało mu przewagę, sprawiłoby, że znów by się poczuł jak pełnowartościowy agent. Ale mógłby też za to trafić do więzienia. Jakiego słowa użył S.D.? Ekskomunikowany... „Bo jeśli chcesz się obracać w najwyższych kręgach, pewne przekonania powinieneś zachować dla siebie”. River był bardzo daleko od najwyższych kręgów, ale mógł spaść jeszcze niżej. I gdyby go złapano z tą kartą pamięci, właśnie tak by się stało, bez dwóch zdań.

Chociaż gdyby do tego doszło, wszyscy i tak by zakładali, że przeczytał to, co było na karcie...

Jego myśli kręciły się w kółko. Nie mógł okazywać, że ma coś na sumieniu – to byłoby najgorsze. Wchodząc po schodach do Slough House, musiał zapanować nad wyrazem twarzy i zmienić go na taki, jaki zwykle miewał o tej porze rano: „Kiedy musisz zachowywać się naturalnie, nie myśl o tym, co robisz”. Stara lekcja. „Myśl o czymś innym. Myśl o książce, którą ostatnio przeczytałeś”. Nie potrafił sobie przypomnieć, co ostatnio czytał. Nigdy się jednak nie dowiedział, czy te próby sprawiły, że wyglądał mniej lub bardziej naturalnie – tego dnia rano nikogo nie interesowało, co ma w głowie.

Drzwi pokoju Rodericka Ho były otwarte i River już ze schodów zobaczył, że wszyscy się tam zebrali – bezprecedensowe zdarzenie. Ale przynajmniej nie rozmawiali ze sobą. Wpatrywali się w monitor Ho, największy w całym budynku.

– Co się dzieje? – spytał River, ale właściwie nie musiał.

Już wchodząc, dostrzegł nad ramieniem Ho kiepsko oświetloną piwnicę i ubraną na pomarańczowo postać z workiem na głowie siedzącą na krześle. Dłonie w rękawiczkach trzymały angielską gazetę, która się trzęsła. To miało sens. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś siedział w kiepsko oświetlonej piwnicy, ściskając przed kamerą aktualną gazetę, i nie czuł przy tym strachu.

– Zakładnik – stwierdziła Sid Baker, nie odrywając wzroku od monitora.

River ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć: „Przecież widzę”.

– Kto to? Kim oni są?

– Nie wiemy.

– A co wiemy?

– Że zamierzają uciąć mu głowę – odparła Sid.

Nie wszyscy byli w pokoju Ho, kiedy River tam dotarł. Jak to się stało, że nie zauważył nieobecności Jacksona Lamba? Wkrótce jednak to się zmieniło: ciężkie dudnienie na schodach i głośne burczenie, które mogło się wydobywać tylko z czyjegoś brzucha. Lamb potrafił poruszać się cicho, kiedy chciał, ale gdy mu na tym nie zależało, każdy wiedział, że się zbliża. A teraz nie tyle wszedł do pokoju Ho, co nim zawładnął, ciężko sapiąc i milcząc. Na monitorze dalej nic się nie działo: chłopak w pomarańczowym kombinezonie, rękawiczkach i z workiem na głowie trzymający angielską gazetę tak, żeby było widać jej ostatnią stronę. Zajęło chwilę, nim do Rivera dotarło, że doszedł do takiego wniosku – że ta postać to chłopak.

– Nie minęła jeszcze dziewiąta, a wy już oglądacie porno z torturami? – wciął mu się w myśli Lamb.

– A kiedy jest dobra pora, żeby oglądać... – odezwał się Struan Loy.

– Zamknij się – rzuciła Sid Baker.

Lamb kiwnął głową.

– Dobry pomysł. Zamknij się, Loy. To na żywo?

– Pojawiło się jako zapis na żywo z kamery – powiedział Ho.

– To jakaś różnica?

– Naprawdę chcesz, żebym ci to wyjaśnił?

– Słuszna uwaga. Ale to dzisiejsza gazeta. – Lamb znów kiwnął głową, zadowolony ze swojej błyskotliwej dedukcji. – Czyli jeśli nie na żywo, to prawie. Jak na to trafiliście?

– Przez blogi – rzekła Sid. – Pojawiło się koło czwartej.

– Jakiś prolog?

– Mówią, że obetną mu głowę.

– Oni?

Wzruszyła ramionami.

– Jeszcze nie wiemy. Ale to przykuwa uwagę.

– Mówili, czego chcą?

– Chcą mu odciąć głowę – powiedziała Sid.

– Kiedy?

– Za czterdzieści osiem godzin.

– Dlaczego za czterdzieści osiem? – spytał Lamb. – Czemu nie za siedemdziesiąt dwie? Prosić o trzy dni to za wiele?

Nikt nie ośmielił się zapytać, z czym ma problem. Ale i tak im to powiedział.

– To zawsze jest jeden dzień albo trzy. Dostaje się dwadzieścia cztery godziny albo siedemdziesiąt dwie. Nie czterdzieści osiem. Wiecie, czego już nienawidzę w tych pacanach?

– Że nie umiejemy liczyć? – podsunął River.

– Że nie mają żadnego szacunku dla tradycji – oświadczył Lamb. – Wątpię, żeby mówili, kim jest ta mała ślepa myszka, co?

– Groźba, że utną mu głowę, pojawiła się na blogach, razem z linkiem – odpowiedział Roderick Ho. – I z terminem. Nie ma żadnych innych informacji. I zapis jest bez dźwięku.

Przez cały ten czas żadne z nich nie oderwało wzroku od monitora.

– Skąd ta nieśmiałość? – zastanawiał się Lamb. – Jeśli zamierzasz odciąć komuś głowę, coś chcesz przez to powiedzieć. Ale jeśli nikt nie wie, po co to robisz, to w niczym nie pomoże twojej sprawie, prawda?

– Obcinanie głów nie pomaga w żadnej sprawie – zaprotestowała Sid.

– Owszem, jeśli twoja sprawa obejmuje obcinanie ludziom głów. Wtedy trafiasz prosto do swoich niszowych odbiorców.

– Co za różnica, kim są? – spytał Ho. – To Al-Kaida, czy jak tam się teraz nazywają. Synowie Pustyni. Miecze Allaha. Gniew Księgi. Są z Al-Kaidy.

Zjawił się jeszcze jeden spóźniony: Jed Moody, wciąż ubrany w płaszcz.

– Słyszeliście?

– Właśnie to oglądamy.

Kay White otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

Gdyby wszyscy byli akurat w nastroju na prawienie złośliwości, każdy by to skomentował.

– To co robimy? – spytał River.

– Robimy? – zdziwił się Lamb.

– Tak. Co robimy?

– To, co do tej pory. A myślałeś, że co?

– Jezu, przecież nie możemy się zachowywać, jakby to się nie działo...

– Nie?

To krótkie, ostre słowo przedziurawiło balonik Rivera.

Głos Lamba stał się beznamiętny, monotony. Chłopak na monitorze, worek na jego głowie, gazeta, którą trzymał – to wszystko równie dobrze mogłoby być wygaszaczem ekranu.

– Wydaje ci się, że zaraz rozgrzeje się gorąca linia i Lady Di krzyknie: „Wszystkie ręce na pokład!”? – spytał. – Nie. Będziemy to oglądać w telewizji, jak wszyscy pozostali. Ale nic nie zrobimy. To jest dla dużych chłopców, a wy tutaj nie bawicie się z dużymi chłopcami. Zapomnieliście o tym?

Nikt się nie odezwał.

– A teraz wracajcie przekładać papiery z kupy na kupę. Dlaczego wszyscy jesteście w tym pokoju?

A więc jeden po drugim wszyscy wyszli, z wyjątkiem Ho i Moody’ego, bo to był ich pokój. Moody powiesił prochowiec na haczyku na drzwiach. Zrobił to w milczeniu, a nawet gdyby się odezwał, Ho i tak by mu nie odpowiedział.

Lamb stał jeszcze przez chwilę. Na górnej wardze miał ślady cukru pudru z migdałowego rogalika i gdy wpatrywał się w monitor, na którym dalej nie działo się nic nowego, jego język odkrył tę plamkę słodczy i zgarnął ją do ust. Ale oczy nie



miały pojęcia o tym, co robił język, i gdyby Ho lub Moody odwrócili się w jego stronę, mogliby się wystraszyć.

Przez krótką chwilę ten otyły, skończony człowiek płonął zimnym gniewem.

Potem się odwrócił i zaczął ciężko brnąć po schodach do swojego gabinetu.

W swoim pokoju River odpalił komputer, a potem siedział, przeklinając czas, jaki zajmowało jego uruchomienie. Nie zauważył, kiedy weszła Sid Baker, i aż podskoczył, gdy się odezwała.

– Myślisz...

– Jezu!

Sid pierwsza doszła do siebie.

– Przepraszam! Rany! Wiesz, to jest też mój pokój.

– Wiem, wiem. Próbowałem... się skupić.

– No jasne. Włączanie komputera to skomplikowana sprawa. Nic dziwnego, że pochłania całą twoją uwagę.

– Sid, nie miałem pojęcia, że weszłaś. To wszystko. Czego chcesz?

– Nieważne.

Usiadła przy swoim biurku. Tymczasem monitor Rivera jak zwykle wszedł w fazę pseudoprzebudzenia: ekran zrobił się niebieski, a potem znowu czarny. Czekać, River zerknął na Sid. Miała dziś związane z tyłu włosy i wydawała się bledsza niż zwykle – może za sprawą tego czarnego kaszmirowego sweterka z dekoltem w szpic, a może przez te dziesięć minut, które dopiero co spędziła, oglądając młodego mężczyznę z workiem na głowie, który został skazany na śmierć.

I nie miała dziś srebrnego wisiora. Gdyby go zapytano, czy to coś niezwykłego, odparłby, że nie ma pojęcia, ale ponieważ często pojawiała się też bez niego, doszedł do wniosku, że ten wisior nie ma dla niej szczególnego znaczenia emocjonalnego. Choć pewnie nikt go o to nie zapyta.

Jego komputer wydał z siebie ten wysoki pisk, w którym zawsze pobrzmiwało zniecierpliwienie, jakby to River kazał mu czekać, a nie na odwrót.

– Jeśli chodzi o wczoraj – zaczął, nie do końca zdając sobie sprawę, że zamierza to zrobić – to przepraszam. To było głupie.

– Było.

– Wtedy mi się wydawało, że to będzie zabawne.

– Z głupotami często tak jest – odparła Sid.

– W każdym razie może poprawi ci humor, jeśli powiem, że sprzątanie tego nie było zabawne.

– Poprawiłoby mi, gdybyś zrobił to porządnie. Dziś rano pod moim biurkiem wciąż leżały skorupki po jajkach.

Ale uśmiechnęła się, więc ten epizod mieli już prawdopodobnie za sobą.

Chociaż pytanie, dlaczego to Sid została wysłana na prawdziwą misję, dalej go uwierało.

Jego komputer już się obudził, ale w ten znajomy, ludzki sposób, co oznaczało, że minie jeszcze kilka minut, zanim rozkręci się na dobre. River kliknął w ikonę przeglądarki.

– Myślisz, że Ho ma rację? – odezwała się znowu Sid. – Że to Al-Kaida?

River już miał rzucić jakąś przemądrzałą uwagę, ale ugryzł się w język. Jaki by to miało sens?

– A kto inny? – spytał. – Przecież widzieliśmy już takie rzeczy.

Oboje umilkli, przypominając sobie podobne transmisje sprzed kilku lat; zakładnika, którego ścięto za zbrodnię polegającą na tym, że był z Zachodu.

– Namierzają ich – powiedziała Sid.

River kiwnął głową.

– Wszystko to, co robimy tu i w Regent's Park, w Centrali Łączności Rządowej... sito jest dość gęste. Kiedy już ustalą, kim jest ten dzieciak i gdzie to się dzieje, sporządzą listę głównych podejrzanych. Prawda?

W końcu wszedł do sieci.

– Jaki to był link?

– Chwila.

Moment później na jego monitorze zamrugał nowy e-mail. Kliknął zawarty w nim link i w przeglądarce zamiast nijakiego logo służby cywilnej pojawił się znajomy już chłopak, worek w piwnicy.

W czasie, jaki upłynął, odkąd wyszli z pokoju Ho, nic się nie zmieniło.

Znowu siedzieli w milczeniu, ale było to inne milczenie niż to, które zwykle panowało w ich pokoju. Tym razem było wspólne, a nie podyktowane niezręczną sytuacją.

Ale jeśli którekolwiek z nich liczyło na to, że przerwie je głos z tamtej piwnicy, to się zawiedli.

W końcu odezwał się River.

– Na obserwacje grup ekstremistycznych poświęca się dużo czasu, pieniędzy i wysiłku.

Sid już zapomniała, że zadała to pytanie.

– Ale w terenie jest niewiele zasobów.

– Ludzi – powiedziała.

Każdego innego dnia River by parsknął.

– Ludzi – zgodził się z nią. – Infiltrowanie ekstremistycznych grup kiedyś było łatwiejsze.

– Mówisz, jakbyś sporo o tym wiedział.

– Wychowałem się na tych historiach.

– Twój dziadek – domyśliła się. – To był David Cartwright, prawda?

– Wciąż jest.

– Nie chodziło mi o...

– On wciąż żyje. I to jak! – Rozejrzał się. Odsunęła krzesło od biurka i nie wpatrywała się w monitor, tylko w niego. – I nie myśl sobie, że opowiadał mi tajemnice państwowe zamiast bajek na dobranoc.

– Nie zamierzałam tego sugerować.

– Ale pierwszą bajką na dobranoc, jaką kiedykolwiek mi przeczytał, był *Kim*. – River widział, że rozpoznała tytuł, więc tego nie rozwijał. – A potem, cóż, Conrad,

Green. Somerset Maugham.

– *Ashenden*.

– Sama widzisz. Na dwunaste urodziny kupił mi dzieła zebrane le Carré. Wciąż pamiętam, co mi o nich powiedział.

„Są wymyślone. Ale to nie znaczy, że nie są prawdziwe”.

River znów skupił uwagę na monitorze. Gazeta w rękach chłopaka drżała. Tylko czemu trzymał ją tak, żeby było widać ostatnią stronę? *Anglia triumfuje* – mecz eliminacji mistrzostw świata, który odbył się wczoraj wieczorem.

– BBC – powiedział na głos, mając na myśli link, który wysłała mu Sid.

– Jakiś blog na ich stronach. Tam zamieszczono link razem z groźbą dekapitacji. Potem to wybuchło. Teraz na pewno jest już wszędzie.

River nagle zobaczył zaciemnione pokoje w całym kraju i na całym świecie; głowy pochylone nad monitorami, ludzi wpatrzonych w iPhone’y, oglądających, jak powoli mija czas i nic się nie dzieje. W sercach niektórych widzów było to samo chore przerażenie, które teraz czuł; w sercach innych była potworna radość.

– Możemy namierzyć ten link? – spytała Sid. – To znaczy ISP? Skąd to jest nadawane?

– To zależy – odparł. – Jeśli są inteligentni, nie. Jeśli są głupi...

Ale oboje wiedzieli, że to się tak szybko i szczęśliwie nie skończy.

– Wkurzył cię, prawda? – spytała Sid. – To znaczy: bardziej niż zwykle?

River nie musiał pytać, chodziło jej o Jacksona Lamba.

– Jak długo tu już jesteś? – spytał.

– Dopiero kilka miesięcy.

– Ile dokładnie?

– Dokładnie nie wiem. Jakoś od sierpnia.

Około dwóch miesięcy.

– Ja jestem tutaj od ośmiu miesięcy, dwóch tygodni i czterech dni.

Sid Baker milczała dłuższą chwilę, a potem powiedziała:

– W porządku. Ale nie dostałbyś medalu za długoletnią służbę.

– Nie rozumiesz, prawda? Bycie tutaj oznacza, że muszę siedzieć tu i oglądać to jak wszyscy inni. Nie po to dołączyłem do tajnych służb.

– Może będą nas potrzebować.

– Nie. To właśnie oznacza bycie w Slough House. Oznacza niebycie potrzebnym.

– Jeśli tak tego nienawidzisz, to czemu nie odejdziesz?

– I co miałbym robić?

– No nie wiem. Co byś zechciał.

– Bankowość? – spytał. – Ubezpieczenia?

Milczała.

– Prawo? Handel nieruchomościami?

– Teraz się nabijasz.

– Po to tu jestem. – Wskazał na monitor, na chłopaka z workiem na głowie siedzącego na krześle w piwnicy. – Żeby nie dochodziło do takich rzeczy. A kiedy już do nich dochodzi, żeby je przerwać. W tym rzecz, Sidonie. Nie chcę robić nic innego.

Nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek dotąd tak ją nazwał.

– Przepraszam – powiedziała.

– Za co?

Odwróciła się, a potem pokręciła głową.

– Przykro mi, że tak się czujesz. Ale jeden błąd nie znaczy, że twoja kariera się skończyła. Dostaniesz kolejną szansę.

– Co zrobiłaś? – spytał.

– Co zrobiłam?

– Żeby sobie zasłużyć na Slough House.

– Nasza praca tutaj jest przydatna – odparła. – Ktoś musi to robić.

– Mogłoby to robić stado wytresowanych małp.

– Wielkie dzięki.

– To prawda.

– A wczoraj rano? To, jak zabrałam pliki Hobdena?

– Dobra, słuchaj: musisz...

– Nie napawam się tym. Po prostu ci pokazuję, że może coś się zmienia. Może Slough House nie jest takim ślepyim zaułkiem. Zrobiłam coś prawdziwego. Ty też wyszedłeś...

– Żeby przynieść śmieci.

– No dobra. Małpa mogłaby to zrobić.

River się roześmiał. Pokręcił głową. Na monitorze nic się nie zmieniło. Śmiech miał gorzki posmak.

– Ten biedny sukinsyn potrzebuje po swojej stronie kogoś więcej niż małp – stwierdził.

Sid kiwnęła głową.

Ręka Rivera opadła na udo i poczuł twarde kontury karty pamięci w kieszeni spodni.

Przypuszczał, że chciała dobrze, ale jej poprzednik odszedł z tajnych służb zniechęcony nużącymi zadaniami. Podobnie jak jego poprzednik – facet o nazwisku Black, który wytrwał tylko sześć miesięcy i zmył się, zanim zjawił się River. Właśnie taki cel wyznaczono Slough House. W ten sposób pozbywano się ludzi bez prawnych utarczek i gróźb przed trybunałami. I przyszło mu do głowy, że być może po to jest tu obecna Sid – jej młodość i świeżość miały być kontrastem dla porażki kulawych koni, przez co stawała się ona jeszcze dotkliwsza. Czuł teraz ten zapach. Patrząc na chłopaka z workiem na głowie, River czuł zapach porażki na własnej skórze. Nie mógł pomóc temu dzieciakowi. Cokolwiek z tym zrobią tajne służby, stanie się to bez jego pomocy.

– O co chodzi?

Odwrócił się z powrotem do Sid.

– Z czym?

– Wyglądasz, jakby ci coś przyszło na myśl.

Pokręcił głową.

– Nie. Nic.

Na jego biurku leżała świeża sterta transkrypcji. Catherine Standish musiała je dostarczyć, zanim rozeszła się wiadomość. Wziął do ręki leżącą na samej górze, a potem ją upuścił. Ten cichy odgłos upadającego papieru był jedynym, co miało po tym kiedykolwiek pozostać. Mógł spędzić następną godzinę, pisząc raport o kolejnej pogaduszce z innego, ponoć ważnego punktu, a w Regent's Park ktoś jedynie pobieżnie rzucił na to okiem. Sid powiedziała coś jeszcze, nie dosłyszał co. Utkwił wzrok w monitorze: w chłopaku z workiem na głowie, który za niecałe czterdzieści osiem godzin miał zostać stracony z jakiegoś powodu, albo w ogóle bez powodu, i jeśli wierzyć gazecie, którą trzymał, działo się to tutaj, w Wielkiej Brytanii.

Już bomby w pociągach były wystarczająco złe. A coś takiego błyskawicznie obiegnie cały świat.

Cokolwiek mówiła Sidonie Baker, teraz to powtórzyła. Coś o rękawiczkach.

– Jak myślisz, dlaczego ma rękawiczki?

– Nie wiem.

Dobre pytanie. Ale River nie znał odpowiedzi.

Wiedział tylko tyle, że musi zrobić coś prawdziwego, coś pożytecznego. Coś więcej niż przrzucanie papierów.

Znów poczuł twarde kontury karty pamięci.

Cokolwiek zawierała, znajdowało się w jego kieszeni. Było owocem prawdziwej misji.

Jeśli obejrzenie jej zawartości oznaczało przekroczenie jakiejś granicy, River był gotów uczynić ten krok.

W Max's kawa była kiepska, a gazety nudne. Robert Hobden przewertował „Timesa”, nie facygując się, żeby sięgnąć po notebook, i właśnie przyglądał się blondynce z pierwszej strony dzisiejszego „Telegraphu”, kiedy wychwycił jakiś pomruk w tle. Podniósł wzrok. Max stał przy ladzie z jakimś klientem i obaj wpatrywali się w stojący w kącie telewizor. Zwykle Hobden nalegał, żeby go przyciszyli. Dzisiaj postawił cały świat na głowie, domagając się czegoś odwrotnego.

„...nie przyznała się jeszcze do porwania, a na wizji nie pojawił się nikt, oprócz młodego mężczyzny, którego teraz widzimy, ale według anonimowego wpisu, jaki pojawił się na blogu o bieżących wydarzeniach na stronach BBC o godzinie czwartej dziś rano, młody mężczyzna, którego państwo oglądacie, zostanie stracony za czterdzieści osiem godzin...”

– Uwierzyłybyś w to gówno? – mówił Max.

– To potwory – powiedział klient. – Po prostu potwory. Należałoby ich wszystkich powystrzelać.

Ale Hobden prawie tego nie słyszał.

„Czasami wiesz, że masz jakąś historię, i tylko czekasz, aż jej płetwa wynurzy się nad falami codziennych wiadomości”.

I oto była. Właśnie wynurzała się nad powierzchnię.

– Uwierzyłybyś w to? – znów zapytał Max.

Ale Hobden był już z powrotem przy stoliku i zbierał klucze, komórkę, portfel, pisak i notebooka; upchnął do torby wszystko, z wyjątkiem gazet.

Zostawił je tam, gdzie leżały.

Było trochę po dziewiątej. Na Londyn padły blade promienie słońca – zapowiedź dobrej pogody, jeśli było się w optymistycznym nastroju. Padły na duży biały budynek w pobliżu Regent's Park niczym obietnica: jest tak dobrze, że lepiej być nie może.

Diana Taverner miała gabinet na najwyższym piętrze. Kiedyś mogła się cieszyć drugim widokiem, ale po atakach terrorystycznych 7 lipca 2005 roku starszy rangą personel odsunięto od zewnętrznych ścian i teraz jej jedynym oknem była wielka szyba, przez którą mogła mieć na oku swój zespół i przez którą oni mogli zerkać na nią, żeby mieć na oku, czy ma ich na oku. W centrali też nie było okien, ale światło, które na nią padało, było łagodne i niebieskawe, według jakiegoś raportu – do znalezienia gdzieś w kartotece, opatrzonego etykietą, zarchiwizowanego i dostępnego na życzenie – stanowiło najbliższy elektryczny odpowiednik naturalnego światła.

Taverner to pochwałała. Nie żałowała młodszemu pokoleniu zdobyczy, jakie wywalczyło dla niego jej własne. Nie było sensu dwa razy toczyć tych samych bitew.

Rozpoczęła służbę pod sam koniec zimnej wojny i czasami zdawało jej się, że ten okres był najłatwiejszy. W tajnych służbach istniała długa i zaszczytna tradycja kobiet ginących za linią wroga, ale jeśli chodzi o sadzanie ich przy ważnych biurkach, służby były znacznie mniej entuzjastyczne. Taverner – dla wszystkich Lady Di, chyba że ktoś rozmawiał z nią twarzą w twarz – zrobiła, co mogła, żeby to zmienić, i gdyby ktoś jej powiedział dekadę temu, że za dziesięć lat służbami będzie kierować kobieta, założyłaby, że będzie nią właśnie ona.

Historia ma jednak tendencję, by wszystko działało się nie tak, jak trzeba. Wraz ze śmiercią Charlesa Partnera pojawiło się uczucie, że w korytarzach powiał nowy wiatr, że trzeba nowego spojrzenia. Powracającym często określeniem było: trudne czasy. Potrzebna była para pewnych rąk, które, jak się okazało, należały do Ingrid Tearney. Fakt, że Tearney była kobietą, działałby na Taverner niczym kojący balsam, gdyby nie to, że wywołał reakcję jak silny środek drażniący.

Mimo wszystko to był postęp. Odczuwałaby to bardziej jako postęp, gdyby chodziło o nią, ale i tak to był postęp. A ona, Taverner, była Drugim Biurkiem, choć nowy system zakładał, że jest kilka drugich biurów; a jej zespół miał oświetlenie przypominające wiosenne promienie słońca oraz ergonomiczne krzesła, i to też było w porządku. Bo mieli też młodych mężczyzn z bombami w plecakach w metrze. Wszystko, co pomagało im wykonywać ich pracę, było dla Taverner w porządku.

Tego dnia rano mieli też groźbę egzekucji.

Link pojawił się na blogu na stronach BBC około czwartej nad ranem, a towarzysząca mu wiadomość była krótka, ale skuteczna: „zetniemy mu głowę czterdzieści osiem godzin”. Bez znaków interpunkcyjnych. Zwięźle. Radykalne grupy, zwłaszcza te religijne, miały skłonność do prawienia kazań: pomiot szatana, wieczny ogień i tak dalej.

W tym wypadku tego brakowało, co było jeszcze bardziej niepokojące. Gdyby to była mistyfikacja, na pewno towarzyszyłaby jej gadka szmatka.

A teraz, tak jak w przypadku wszystkich zakończonych sukcesem wydarzeń

medialnych, odtwarzano to na każdym monitorze w zasięgu wzroku. Na pewno leciało to na wszystkich ekranach w kraju: w domach i w biurach, nad bieżniami w siłowniach, na PalmPilotech i iPhonach, na tylnych siedzeniach czarnych taksówek. Na całym świecie ludzie o różnych porach będą sprawdzać, co nowego, i ich pierwsza reakcja będzie taka sama jak zespołu w centrali: „To nie może się dzieć w Wielkiej Brytanii”. W innych częściach świata było dość krajów, w których panowało bezprawie. Powiedz przeciętnemu człowiekowi z Zachodu, że w Kazachstanie grają w polo ludzkimi głowami, a pokiwa głową. „Tak, słyszałem o tym”. Ale nawet na najdzikszych osiedlach brytyjskich miast nie odrąbywano ludziom głów. W każdym razie nie na kanale BBC.

I tak się nie stanie, powiedziała sobie Taverner. Tak się nie stanie. Powstrzymanie tego będzie kulminacyjnym punktem jej kariery i zakończy paskudny okres dla MI5: wiele lat szemranych dossier, podejrzanych zgonów. Dzięki temu wróca do łask: ona, jej przełożeni i wszyscy chłopacy i dziewczyny z Centrali; ciężko pracujący, niedostatecznie wynagradzani strażnicy państwa, którzy byli w pierwszym szeregu, gdy wzywał obowiązek, a ostatni w kolejce, gdy coś poszło dobrze... Nie minęło jeszcze dwanaście miesięcy od czasu, gdy jej zespół zgarnął komórkę terrorystyczną, która zaplanowała zakrojony na szeroką skalę atak na stolicę. Przez dwa dni podziwiano aresztowania, przejętą broń. Ale podczas procesu główne pytanie brzmiało: jak to możliwe, że ta komórka mogła tak długo działać? Jak to możliwe, że prawie udało jej się zrealizować swoje cele?

Rocznicę porażek obchodzono na ulicach, masy wylegały z biur, by uczcić minutą ciszy niewinne ofiary. Sukcesy ginęły w tłumie; z pierwszych stron gazet wypierały je skandale celebrytów oraz kryzysy gospodarcze.

Taverner zerknęła na zegarek. Na jej biurko miało trafić mnóstwo papierów – w każdej chwili mogła się spodziewać pierwszego raportu o sytuacji; za trzydzieści sekund miało się odbyć spotkanie sztabu kryzysowego, za niecałą godzinę briefing dla ministra, potem komisja. Prasa też będzie się domagać jakiegoś oświadczenia. Ingrid Tearney była w Waszyngtonie – tym również Diana Taverner będzie musiała się zająć. Właściwie Tearney byłaby z tego zadowolona. Będzie chciała, żeby Taverner zostawiła odciski palców na tej sprawie, na wypadek gdyby zrobił się burdel i ktoś w telewizji, na żywo, odrąbał głowę brytyjskiemu obywatelowi.

A zanim to wszystko nastąpi, był jeszcze ktoś pod drzwiami: Nick Duffy, szef psów.

Nie miało znaczenia, na jakim byłes szczeblu drabiny – kiedy psy pojawiały się bez zaproszenia, pierwszą reakcją było poczucie winy.

– O co chodzi?

– Uznałem, że powinnaś o czymś wiedzieć.

– Jestem zajęta.

– Nie wątpię, szefowo.

– No, wyrzuć to z siebie.

– Wczoraj wieczorem byłem na piwie z dawnym kolegą. Nazywa się Moody. Jed Moody.

– Wyleciał po tej sprawie z Miro Weissem – stwierdziła. – Nie jest przypadkiem w Slough House?

– Tak. I nie podoba mu się to.

Otworzyły się drzwi. Dzieciak o imieniu Tom położył na biurku Taverner szarą teczkę. Pierwszy raport o sytuacji, który wyglądał nieprzekonująco cienko.

Taverner kiwnęła głową, a Tom wyszedł bez słowa.

– Za trzydzieści sekund muszę gdzieś być – powiedziała Duffy’emu.

– Moody gadał o jakiejś operacji.

– To podchodzi pod ustawę. – Wzięła do ręki teczkę. – Jeśli gędzi o swoich dawnych dniach chwały, daj mu nauczki. Albo niech to zrobi jakiś oswojony gliniarz. Naprawdę mam ci mówić, jak masz wykonywać swoją robotę?

– Nie mówił o przeszłości. Twierdził, że Jackson Lamb prowadzi operację.

Milczała przez chwilę, a potem stwierdziła:

– Ze Slough House nie prowadzi się operacji.

– Dlatego uznałem, że powinnaś wiedzieć.

Chwilę przez szybę wpatrywała się ponad jego ramieniem w swój zespół w centrali. Potem jej uwagę przykuło własne odbicie. Miała czterdzieści dziewięć lat. Stres, ciężka praca i pieprzony tatuś czas zrobiły swoje, ale mimo wszystko miała dobre geny i los pobłogosławił ją niezłą figurą. Wiedziała, jak wykorzystać jedno i drugie i dziś nosiła ciemną marynarkę i bladą różową bluzkę – ta ostatnia podkreślała kolor jej sięgających ramion włosów. Wyglądała w porządku. Trochę konserwacji między spotkaniami i może uda jej się dotrzeć do wieczora, nie wyglądając jak coś, co świnie targały po wiejskim podwórzu.

Pod warunkiem że nie spotka jej wiele niespodzianek.

– I jaki kształt przybrała ta operacja? – spytała.

– Kogoś, kogo z początku uznałem za faceta, ale...

– Sidonie Baker – stwierdziła Taverner. Jej głos mógłby przecinać szkło. – Jackson Lamb poszczuł ją na dziennikarza. Na Roberta Hobdena.

Nick Duffy kiwnął głową – ale zrobiła mu wyrwę w poranku. Przynieść kość szefowej to jedna rzecz, ale dowiedzieć się, że ona tę kość zakopała – to już zupełnie coś innego.

– No tak, jasne – powiedział. – Chodzi tylko o to ... – Posłała mu stalowe spojrzenie, ale trzeba mu było przyznać, że się nie cofnęła. – Cóż, jak sama zauważyłaś, ze Slough House nie prowadzi się operacji.

– To nie była operacja. To było jak pójść na zakupy.

Duffy powiedział Jedowi Moody’emu coś tak podobnego, że aż go to na chwilę przeraziło.

– Kiedy nasze kulawe konie nie bawią się długopisami – odparła Taverner – przekładają papiery. Ale można im powierzyć drobną kradzież. Mamy braki kadrowe, Duffy. Trudne czasy.

Przyłapał się na tym, że mówi:

– Wszystkie ręce na pokład.

– Można to tak ująć. Coś jeszcze?



Potrząsnął głową.

– Przepraszam, że zawracałem ci głowę.

– Nie zawracałeś. Dobrze mieć głowę na karku.

Duffy odwrócił się do wyjścia. Był już przy drzwiach, gdy znów się odezwała.

– A, i Nick?

Obejrzał się.

– Są ludzie, którzy źle by to przyjęli, gdyby dowiedzieli się, że zleciłam coś podwykonawcom. Mogliby uznać, że to oznaka braku wiary.

– Jasne, szefowo.

– Tymczasem to tylko rozsądne wykorzystywanie zasobów.

– Tylko do moich uszu – powiedział. I wyszedł.

Diana Taverner nie należała do ludzi, którzy coś notują, kiedy można tego uniknąć. Jed Moody – to nie było wiele do zapamiętania.

W telewizorze na ścianie trwała relacja: ubrany na pomarańczowo chłopak z zasłoniętą głową. Dla tysięcy ludzi na całym świecie stał się już obiektem współczucia, modlitw i niezliczonych spekulacji. Dla Diany Taverner był figurą na planszy. Musiał nią być. Nie byłaby w stanie robić tego, co musiała i co miało doprowadzić do jego bezpiecznego powrotu do domu, gdyby pozwoliła sobie na rozkojarzenie wywołane emocjami. Będzie wykonywać swoją robotę. Jej zespół wykona swoją. Dzieciak przeżyje. Koniec, kropka.

Wstała, zebrała papiery i ruszyła w stronę drzwi, a potem wróciła do biurka, otworzyła szufladę i zamknęła w niej na klucz kartę pamięci, którą poprzedniego popołudnia dał jej James Webb. Pliki z karty pamięci Hobdena skopiowane przez Sid Baker, powiedział jej. Bezpiecznie dostarczone. Nieprzejrzane. Laptop, na którym przez jakiś czas były, wyczyszczony. Wierzyła mu. Gdyby sądziła, że do nich zajrzy, miałyby o nim lepsze zdanie, ale nie powierzyłaby mu tego zadania.

W telewizji chłopak z workiem na głowie siedział w milczeniu, szeleściła gazeta. Przeżyje, powiedziała sobie Diana Taverner.

Chociaż nawet ona musiała przyznać, że z całą pewnością był przerażony.

Strach mieszka w trzewiach. Tam urządza sobie dom. Wprowadza się, przestawia rzeczy; opróżnia dla siebie miejsce – lubi, kiedy uderzenia jego skrzydeł odbijają się echem. Lubi zapach własnych pierdów.

Jego brawura trwała według niego dziesięć minut – w rzeczywistości niecałe trzy. Potem strach poprzestawiał meble. Opróżnił jego wnętrzości do wiadra w kącie; ścisnął i rozluźnił uścisk, aż rozboleł go brzuch, i na długo, zanim skończył, wiedział, że to nie otrzęsiny. Nieważne, jak zdenerwowane były te sukinsyny, to zdecydowanie nie była zabawa. Na tym etapie wkraczała policja. „Tylko żartowaliśmy” nie ma racji bytu w sądzie.

Nie wiedział, czy jest dzień czy noc. Jak długo był w furgonetce? Mogli nagrywać go wczoraj albo dwie godziny temu. Cholera, to mogło być nawet jutro, a ta gazeta była fałszywką pełną wiadomości o rzeczach, które jeszcze się nie wydarzyły...

Skup się. Panuj nad sobą. Nie pozwól, żeby Larry, Moe i Curly rozpieprzyli ci umysł na kawałki.

Tak ich nazywał: Larry, Moe i Curly. Bo było ich trzech, a jego tata nazywał tak klientów, którzy przychodzili trójkami. Kiedy zjawiali się parami, mówił na nich Laurel i Hardy.

Dawniej wydawało mu się to takie lamerskie: te imiona i to, że tata używał ich dwa czy trzy razy w tygodniu. Larry, Moe i Curly to, Laurel i Hardy tamto. Wymyśl jakiś nowy scenariusz, tato. Ale teraz słowa taty go pocieszały, słyszał nawet jego głos: „Z ładną ekipą komików się zadałeś”. To nie moja wina, tato. Nie moja wina. Szedłem po prostu uliczką o niewłaściwej porze.

Ale szedł i myślał o niebieskich migdałach, przypomniał sobie. Jego umysł znów płątał mu figle, zajmował się jakimś numerem, gagiem, który rozkojarzył go na tyle długo, żeby te matoly mogły go dorwać... Tyle że to też było warte śmiechu, prawda? Mogłoby go „dorwać” trzech dwunastolatków. Niespecjalnie był twardzielem.

Ale złapali go, odurzyli, rozebrali do bokserek i wrzucili do tej piwnicy; zostawili go tam na godzinę, dwie czy trzy, a może na dwa tygodnie, aż tak bardzo przywykł do ciemności, że gdy nagle włączyli światło, to było tak, jakby rozerwało się niebo.

Larry, Moe i Curly. Silne ręce, mocne głosy.

„Boże, ty pieprzony brudasie...”

„Co za smród...”

A potem wpychali go w nowy uniform, pomarańczowy kombinezon, i założyli mu worek na głowę. Rękawiczki na ręce.

– Dłaczego...

– Zamknij się.

– Jestem nikiem. Jestem tylko...

– Myślisz, że nas obchodzi, coś ty za jeden?

Pchnęli go na krzesło. Wetknęli mu w ręce gazetę. Sądząc po odgłosach i po tym, co mówili, przypuszczał, że ustawiali kamerę. Uświadomił sobie, że płacze. Nie wiedział, że coś takiego zdarza się dorosłym ludziom: że mogą płakać i nie mieć o tym pojęcia.

– Przestań się ruszać.

Nie dało się skorzystać z tej rady. To było jak „niech cię przestanie swędzieć”.

– Nie ruszaj się.

Nie ruszaj się...

Nie ruszał się, pod workiem spływały łzy. Nikt się nie odzywał, ale słychać było szum, pewnie z ich kamery; i jakiś szelest, którego przez dłuższą chwilę nie mógł zidentyfikować: to strony gazety szeleściły, kiedy się trząsał. I pomyślał: to za mało hałasu. Powinien krzyczeć. Powinien przeklinać jak szewc, pokazać tym sukinsynom, że się nie boi, nie takich pieprzonych tchórzy jak oni; powinien krzyczeć, wrzeszczeć i przeklinać, ale tego nie zrobił. Bo jakaś część niego mówiła: jeśli będziesz przeklinał, może im się to nie spodobać. Pomyślał, że jesteś złym człowiekiem. A jeśli tak pomyślał, kto wie, co wtedy zrobią... Cichy głosik szeptał mu takie rady, szeleściła gazeta, szumiała kamera, aż wreszcie jeden z komików powiedział „dobra” i szum ustał. Wyrwano mu z rąk gazetę. Zepchnięto go z krzesła.

Upadając, przegryzł sobie wargę i to mógł być ten moment, kiedy rzuciłby

wiązankę. Ale zanim wydobyl z siebie jakikolwiek dzwiek, tuż przy nim znalazła się ciężka głowa, szepcząc mu do ucha ohydą wiadomość, która wżerała się w jego mózg wraz z gorącym odorem cebuli. A potem mężczyźni wyszli i pochłonęła go ciemność. I cichy głosik w jego głowie wydał ostatnie tchnienie, ponieważ dotarła do niego prawda o tym, co się działo, i że nie ma znaczenia, co sobie o nim pomyślą, czy będzie klął, czy potulnie wykonywał polecenia, bo już dawno zdecydowali, czym dla nich będzie. Wystarczył kolor jego skóry. To, że nie wyznawał ich religii. To, że nie mogli znieść jego obecności, a nawet samego faktu, że istniał. Że był dla nich obelgą – równe dobrze mógł przeklinać, albo uklęknąć i każdemu z nich obciągnąć; to nie miało znaczenia. Jego zbrodnia polegała na tym, kim był. I już zdecydowali, jaka spotka go za to kara.

„Utniemy ci głowę”.

To powiedział ten głos.

„Pokażemy to w internecie”.

Właśnie to powiedział.

„Ty pierdolony Pakistańcu”.

Hassan się rozpłakał.

W okropnym pubie po drugiej stronie ulicy podawali jakieś żarcie i było tam sporo spokojnych zakamarków. River zrobił sobie przerwę na lunch na tyle wcześnie, że podchodziłoby to raczej pod późne śniadanie, ale wszyscy w Slough House byli pochłonięci porannymi wiadomościami i przypuszczał, że nikt nie zauważy jego nieobecności. Musiał zrobić coś, co nie było papierkową robotą; chciał poczuć posmak tego, co być może robi w tej chwili Spider Webb. Odpalił laptop i wsunął kartę pamięci. Technicznie rzecz biorąc, było to przestępstwo, ale River był wkurzony. W życiu młodego mężczyzny zawsze są takie chwile, kiedy to się wydaje wystarczającym powodem.

Dziesięć minut później wydawało się nim znacznie mniej.

Bagietka z bekonem, którą zamówił, leżała nietknięta; kawa była syfem, którego nie dało się pić. Z filiżanką po jednej stronie, talerzem po drugiej, a laptopem pośrodku przeglądał pliki, które Sid ukradła Hobdenowi. Tylko że to niemożliwe, doszedł do wniosku River. Niemożliwe, chyba że...

– Co robisz?

Gdyby River został przyłapany na oglądaniu pornografii dziecięcej, nie mógłby wyglądać na bardziej winnego.

– Pracuję – odpowiedział.

Sid Baker usiadła naprzeciwko.

– Mamy od tego biuro.

– Zgłodniałem.

– Widzę. – Jej wzrok zatrzymał się na nietkniętej bagietce.

– Czego chcesz, Sid?

– Pomyślałam, że może poszedłes się upić.

– No i?

– I wydawało mi się, że to niezbyt mądry ruch.

Zamknął laptop.

– Co się dzieje? – spytał.

– Ho mówi, że to pętla.

– Nie zauważyłem.

– Nie jesteś Ho.

– Twierdzi, że nagranie trwa trzydzieści parę minut, trzydzieści siedem albo osiem.

– Czyli nie jest na żywo.

– Ale z tego ranka. Bo trzyma...

– Bo trzyma gazetę, tak, załapałem. Co z lokalizacją?

– Ho nie mówił. Przerzucają to na komputery z połowy świata. Zanim namierzysz następny w kolejce, są już trzydzieści komputerów przed tobą. Ale zauważ, że to Ho.

Centrala Łączności Rządowej może mieć większe szanse.

– Zbyt skomplikowane jak na mistyfikację?

– Dopóki się nie dowiemy, kim jest ten dzieciak i kto go ma, nikt niczego nie wyklucza. Ale ogląda to cały świat, więc musimy to traktować jak autentyk.

Odchylił się do tyłu.

– To było podniecające. Musimy?

Zarumieniła się.

– Wiesz, co mam na myśli. A poza tym to wszystko nie odpowiada na moje pytanie. Co tutaj robisz?

– Najwyraźniej chowam się przed gadką motywacyjną.

– Czy ty kiedykolwiek odpowiadasz wprost?

– A ty?

– Wypróbuj mnie.

– Jak dokładnie sprawdzałaś Hobdena?

Jej oczy się zmieniły.

– Nie za dokładnie.

– Ale na tyle, żeby się dowiedzieć, gdzie jada śniadania.

– To nie było podchwytliwe pytanie, River.

– Zwykle nie nazywasz mnie River.

– Zwykle nikogo tak nie nazywam. To niecodzienne imię.

– To przez moją matkę. Miała hipisowską fazę. Lamb kazał ci nikomu nie mówić o tej robocie?

– Nie, kazał mi napisać o tym na blogu. Wszystko znajdziesz na: kretyńskie pytania, kropka, gov, kropka, uk. Moja kolej. Ile wiesz o Hobdenie?

– Kiedyś był czołowym reporterem. Zapalony lewicowiec, z wiekiem przesunął się na prawo. Skończył, pisząc reakcyjne felietony dla nacjonalistycznej prasy, w których wyjaśniał, dlaczego wszystkie problemy tego kraju sprowadzają się do imigracji, państwa opiekuńczego i kolesia o nazwisku Roy Jenkins.

– Minister spraw wewnętrznych z Partii Pracy w latach sześćdziesiątych – wyjaśniła słodko Sid.

– Matura z historii?

– Google.

– Jasne. W każdym razie typowy emerytowany pułkownik, z tym wyjątkiem, że mógł się wykrzyknąć w paru gazetach o ogólnokrajowym zasięgu. I od czasu do czasu zjawiał się w *Question Time*.

– To lepsze niż perorowanie na przyjęciu u pastora – stwierdziła.

– No to mamy Roberta Hobdena. Młodego gniewnego, który po dwudziestu latach zmienił się w rozdrażnionego pierdziela.

– Często tak bywa.

– Tyle że w jego przypadku wyglądało to bardziej skrajnie. I kiedy się okazało, że jest pełnoprawnym członkiem Brytyjskiej Partii Patriotycznej, jego kariera rozpadła się na kawałki.

– Ostatnia linia obrony narodu, jak piszą na swojej stronie.

– Złożona z tych, którzy uważają, że Brytyjska Partia Narodowa stała się zbyt miękka.

River stwierdził, że sprawia mu to przyjemność.

– I z tych, którzy nie zamierzali pozwolić, żeby jakaś nowomodna poprawność polityczna stanęła na drodze dawnym cnotom.

– Chyba nazwali to bezpośrednim podejściem – rzuciła Sid.

– Nazwali to nagonką na Pakistańców – odparł River.

– Można by pomyśleć, że powinien trzymać to w tajemnicy.

– Trudno to zrobić, kiedy lista członków pojawia się w internecie.

Tym razem wymienili uśmiechy.

– I to był koniec prawie wspaniałej kariery – stwierdził River. Przypomniał sobie słowa dziadka. „Hobden nie został ekskomunikowany ze względu na jego przekonania. Spotkało go to, bo jeśli chcesz się obracać w najwyższych kręgach, pewne przekonania powinieneś zachować dla siebie”.

Wszystko to był efekt godzinnych wyszukiwań w internecie po powrocie do domu.

– To naprawdę z MI5 wyciekła ta lista?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak. Lamb ci niczego nie sugerował?

– Nie powinnam o tym mówić.

– Nie powinnaś być w pubie.

– Nie sugerował. Nie.

– I tak byś tak powiedziała.

– To musi być dla ciebie strasznie frustrujące. Wiesz, że to nasza najdłuższa rozmowa ze wszystkich, jakie odbyliśmy?

Rekord, który pobili już dziś dwa razy.

– Naprawdę czytałaś *Ashenden*? – spytał.

– Chodzi ci o całość?

– To odpowiada na moje pytanie.

– Gram w pub quizy. Znam tytuły mnóstwa książek, których nigdy nie czytałam. – Skupiła uwagę na laptopie. – Co tak właściwie robisz? Wciąż się zajmujesz tymi transkrypcjami?

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyciągnęła rękę i odwróciła laptop, otwierając go. Jej oczom ukazała się strona pełna liczb, w którą się wcześniej wpatrywał.

– Paj – powiedziała.

– O to będziesz musiała poprosić w barze.

– Ha, ha, bardzo śmieszne. Pi.

– Wiem.

Przewinęła plik w dół.

– I to chyba do milionowego miejsca po przecinku.

– Wiem.

Odwrócił laptop z powrotem w swoją stronę i zamknął plik. Na karcie pamięci było ich piętnaście i otworzył dopiero siedem, ale wszystkie zawierały tylko liczbę pi.

Chyba do milionowego miejsca po przecinku.

Postawiłby swoją niezjedzoną kanapkę z bekonem na to, że pozostałych osiem wygląda tak samo.

Sid czekała. Uniosła brew.

– Co?

– Co właściwie robisz? Uczysz się tego na pamięć?

– Nic.

– No jasne – powiedziała. – Nic.

Zamknął laptop.

– Spędzasz zwykle lunch w pubie? – spytała.

– Tylko kiedy zależy mi na prywatności.

Pokręciła głową.

– „Pub” pochodzi od „publiczny”. Wskazówka jest w nazwie. – Zerknęła na zegarek. – Cóż, widzę, że wciąż jesteś wśród żywych. Lepiej już będę wracać.

– Naprawdę skopiowałaś pliki Hobdena?

To było coś, co powiedział mu kiedyś S.D. „Wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi, bo nikomu nie przychodzi do głowy, żeby je zadać”.

– Już to przerabialiśmy.

– Powiedz mi jeszcze raz.

Westchnęła.

– Ma silne przyzwyczajenia. Co rano pije kawę w tej samej kawiarni. Najpierw wyklada wszystko, co ma w kieszeniach, na stół. W tym także kartę pamięci. – Czekala przez chwilę, ale River się nie odzywał. – Zrobiłam zamieszanie, rozlewając trochę kawy. Kiedy poszedł przynieść ścierkę, zamieniłam jego kartę na atrapę i skopiowałam wszystko na mój laptop. Później podmieniłam je z powrotem. – Przerwała na chwilę. – To był ten laptop, który dostarczyłeś do Regent’s Park.

– Zaglądałaś do plików?

– Oczywiście, że nie.

Istniały sposoby, żeby stwierdzić, czy ktoś kłamie. Na przykład strony, w którą zwracały się oczy: lewa strona pamięć, prawa strona kreacja. Ale oczy Sid były skierowane prosto na Rivera. Co oznaczało, że nie kłamała albo robiła to bardzo dobrze. Bądź co bądź chodzili na te same kursy.

– Dobra, no to...

Ale już sobie poszła.

Pokręcił głową i znów zajął się laptopem. Już po pięciu minutach potwierdził, że wszystkie pliki wyglądają tak samo. Niekończące się ciągi cyfr mapujące nieskończony cykl. Hobden nie zrobił z pi czegoś nadzwyczajnego i wydawało się mało prawdopodobne, żeby ludziom z Regent’s Park o to chodziło. A więc albo Hobden był kompletnym paranoikiem, który specjalnie afiszował się z atrapami backupów swoich sekretów, albo Sid dała się wyrolować.

Albo działo się coś jeszcze innego, a River nie miał pojęcia co.

To brzmiało prawdopodobnie. Nawet całkiem prawdopodobnie... Zostawił kanapkę i ruszył z powrotem do Slough House.

Gdy wrócił, zobaczył, że wszyscy znów zebrali się razem. Kiedy wszedł na piętro, Louisa Guy i Min Harper zawołali go do pokoju Ho, jakby tylko czekali, żeby podzielić się z kimś najnowszymi wiadomościami.

– Pokazują nowy film.

– Nowy?

– Nowy. – To ostatnie powiedział Ho siedzący przed swoim monitorem. Pozostali zebrali się wokół niego, Sid również. – Pierwszy był zapętłony – dodał. Nie było w tych słowach żadnej szczególnej modulacji, ale do wszystkich i tak dotarło ukryte znaczenie: pierwszy był zapętłony i zauważył to on i nikt inny. – Teraz jest nowy. Też zapętłony.

River przeszedł na bok, starając się nad głowami innych zobaczyć, co jest na monitorze.

– I nie uwierzysz w to – powiedział Struan Loy.

Ale River już wierzył, bo widział to na monitorze: ten sam układ co poprzednio, tylko że tym razem dzieciak był bez worka na głowie. Było wyraźnie widać jego twarz, i nie była to twarz, jaką spodziewali się zobaczyć.

Ktoś rzucił:

– To nie znaczy, że to nie islamiści. Ci, którzy go mają.

– Zależy od tego, kim jest ten dzieciak.

– Okazuje się rekrutem, muzułmańskim rekrutem. To dokładnie taki rodzaj ofiary, jakiego szukają.

– Nie wygląda na rekruta – zauważyła Sid Baker.

To prawda, nie wyglądał. Wydawał się delikatny. I aż sztywny z przerażenia. Wprawdzie nawet rekrut może być sztywny z przerażenia, ale to sięgało głębiej. W jego rysach można było dostrzec to coś, co z rekrutów już na samym początku wybija się kopniakami.

– Dlatego kazali mu założyć rękawiczki – powiedziała Sid. – Chcieli ukryć kolor jego skóry.

– Ile trwa pętla? – spytał River.

– Dwanaście minut. Dwanaście z hakiem – odparł Ho.

– Dlaczego to robią?

– Nieprzerywaną transmisję byłoby łatwiej namierzyć. W każdym razie byłoby to mniej niemożliwe. – Ho westchnął. Lubił, kiedy ludzie dostrzegali, że wie takie rzeczy, ale nie cierpiał ich wyjaśniać. – Miałbyś co jakiś czas małe przerwy w transmisji, za każdym razem, kiedy zmienialiby komputer. Gdyby ich sieć była ograniczona do określonej liczby proxy, to mogłoby dać nam przewagę w namierzeniu ich.

– Co to jest, tam w tle? – spytała Catherine Standish.

River do tej pory jej nie zauważył.

– Co?

– To nad jego lewym ramieniem.

Jakieś dwa metry za chłopakiem coś opierało się o ścianę.

– Kawałek drewna.



– Jakaś rączka.

– Wydaje mi się, że to siekiera – powiedziała Catherine.

Loy wciąż zamartwiał się tożsamością dzieciaka.

– Jeśli nie jest rekrutem, to może ma znane nazwisko. Ciekawe, kim są jego rodzice.

– Zaginał ktoś z listy dyplomatów?

– Cóż, możliwe. Ale my się przecież o tym nie dowiemy. Poza tym, gdyby to był dzieciak kogoś znanego, porywacze by o tym powiedzieli. To zwiększa oglądalność.

– Dobra, załóżmy, że nie jest rekrutem ani smarkaczem kogoś z ambasady – powiedziała Sid. – To kim jest?

– Jednym z nich, który w ich mniemaniu zdradził.

– Albo złapali go z dziwką.

– Albo z piwem i świerszczykiem – dorzucił Loy.

– Chyba że nie jest jednym z nich – odezwał się River.

– To znaczy?

– Chyba że jest jakimś przypadkowym dzieciakiem, który akurat miał właściwy kolor skóry.

– A to ci wygląda na właściwy kolor? – spytał Ho.

– Zależy, kto go ma – zauważyła Sid. – O to ci chodziło, prawda?

River kiwnął głową.

– Przecież już to obgadaliśmy – rzucił Ho. – Miecze Pustyni, Gniew Allaha. Nieważne, jak się nazywają. Są z Al-Kaidy.

– Chyba że nie są – rzekł River.

Bez żadnych fanfar pojawił się wśród nich Jackson Lamb. Przez całe piętnaście sekund wpatrywał się w monitor, a potem stwierdził:

– On jest Pakistańczykiem.

– Albo Hindusem, albo Lankijczykiem. Albo... – zaczęła Sid.

– Jest Pakistańczykiem – rzucił beznamiętnie Lamb.

– Mamy nazwisko? – spytał River.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Ale to nie Al-Kaida go ma, prawda?

To, że River właśnie miał powiedzieć coś podobnego, nie powstrzymało go przed zaprotestowaniem.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– A poza tym kto jeszcze tak robi? – zauważył Ho. – Odrąbać dzieciakowi głowę w czasie najwyższej oglądalności? Nikt tak nie robi, oprócz...

– Idioci – powiedział Lamb. – Wszyscy jesteście idiotami. – Powoli omiół ich wszystkich wzrokiem: Rivera, Sid i Ho; Mina Harpera i Louise Guy; Struana Loya i Kay White; Catherine Standish, której zdawał się przyglądać chwilę dłużej ze szczególną pogardą. – Już wszystko jasne. Nie rozumiecie? Oni odrąbują głowy, więc my też możemy. To jest ten wielki plan, który kryje się za tym wielkim przedstawieniem. Niedługo ktoś gdzieś użyje słów: „Zwalczaj ogień ogniem”. Jakiś inny ciul powie, że to, co działa w Karaczi, równie dobrze sprawdzi się w Birmingham. – Zauważył, że Loy zaczyna otwierać usta. – Albo gdziekolwiek. –

Loy je zamknął. – Możecie mi wierzyć, jest Pakistańczykiem, bo dla przeciętnego matała to jest równoznaczne z muzułmaninem. I ktokolwiek przywiązał go do tego krzesła, nie jest z Al-Kaidy. Przywiązali go do tego krzesła, bo to on jest z Al-Kaidy albo nada się do czasu, kiedy trafi im się prawdziwy terrorysta. To nie są islamistyczne pojeby toczące wojnę z psami szatana. To nasze rodzime pojeby, którym się wydaje, że przenoszą ją na teren wroga.

Nikt się nie odezwał.

– Jestem zawiedziony. Nikt nie powie, że urwałem się z choinki?

River prędzej wyrwałby sobie język, niż przyznałby, że myślał podobnie.

– Jeśli masz rację, czemu tego nie powiedzieli? Po co, aż do teraz, chowali go pod workiem?

– Ja bym tak zrobił – powiedział Lamb. – Gdybym chciał przykuć jak najwięcej uwagi. Najpierw pozwoliłbym wszystkim myśleć, że wiedzą, co się dzieje. I zanim bym wyjaśnił, na czym to naprawdę ma polegać, wszyscy mieliby już wyrobione zdanie.

On ma rację, pomyślał River. Tłusty sukinsyn ma pewnie rację. Teraz wszędzie wszyscy będą robić to, co powiedział Lamb: zmieniać swoje wcześniejsze podejście, że to skrajni islamiści. I zastanawiał się, ilu ludzi przeżyje krótką czkawkę, zanim znów powróci cywilizowane oburzenie; ilu przeżyje taką chwilę, w której pojawi się myśl, że ta obrzydliwa groźba, choć nie jest ani słuszna, ani sprawiedliwa, stanowi przynajmniej coś w rodzaju przywrócenia równowagi.

– Mam już dość – powiedziała Catherine i wyszła.

– A właśnie – odezwał się Lamb. – Zakładam, że to małe zgromadzenie oznacza, że wszyscy skończyliście swoje bieżące zadania? Bo przed trzecią chcę dostać świeże wydruki. Razem z dziesięciopunktowym wyjaśnieniem, dlaczego to takie kluczowe, żebyśmy dla każdej z tych obserwacji dostali przedłużenie na następnych sześć miesięcy. – Rozejrzał się dookoła. Nikt nawet nie mrugnął. – Dobra. Przecież nie chcemy, żeby obcięli nam fundusze, bo wyglądamy na bandę bezużytecznych nieudaczników, prawda?

Na monitorze Ho leciutkie migotanie zasygnalizowało, że pętla dobiegła końca i odtwarzanie materiału znów się zaczyna. Twarz chłopaka pozostawała łagodna i delikatna, ale jego oczy były jak szyby ginące w otchłaniach mroku.

– A tak w ogóle, gdzie jest Moody? – spytał Lamb.

Nikt tego jednak nie wiedział. Albo nikt nie powiedział.

Kormoran czubaty pływał w tę i z powrotem po Tamizie, zajmując dla siebie odcinek rzeki między Hungerford Bridge a Canary Wharf. Niewiele wiedziała o zachowaniach ptaków – nie była w stu procentach pewna, że to kormoran czubaty – ale podejrzewała, że gdyby zjawił się drugi, doszłoby do bójki; poleciałyby pióra i przegrany skoczyłby dalej w dół rzeki, szukając dla siebie spokojnego miejsca. Tak się zwykle działo, kiedy chodziło o terytorium.

Weźmy na przykład to miejsce. Ławeczkę, na której można siedzieć plecami do Globe. Każdej godziny przewijały się tędy tłumy turystów i po obu stronach zonglujący ogniem uliczni artyści i wędrowni poeci zazdrośnie strzegli swoich fragmentów chodnika; kiedy jeden naruszał teren drugiego, dochodziło do bójek na pięści, a nawet do pchnięć nożem. Stawką były dochody. Dla kormorana nagrodą było jedzenie, dla ulicznego kanciarza – srebro turystów. Żaden z nich nie znał jednak prawdziwej wartości tego terenu, która polegała na tym, że był tutaj ślepy punkt. Ławka, na której siedziała Diana Taverner, znajdowała się w dwunastometrowym korytarzu nieobjętym żadną kamerą monitoringu. To była mała bezpieczna szafa na otwartym powietrzu, zarezerwowana tylko dla niej dzięki paskudnej plamie ptasich odchodów na niemal całej długości; to ohydztwo sprawiało, że nawet najbardziej zmęczony turysta poszukałby innego miejsca, by na chwilę odsapnąć. W rzeczywistości te odchody były plastikową imitacją.

A więc nieobserwowana i spuszczone ze smyczy zapaliła papierosa i głęboko wciągnęła w płuca słodką truciznę. Podobnie jak większość przyjemności, ta również słabła, im częściej się to robiło. W normalnych okolicznościach Lady Di paliła paczkę na miesiąc, ale podejrzewała, że dziś może pobić rekord.

Słabe światło słońca padło na rzekę. Z obu brzegów dobiegały zwykłe odgłosy: warkot i klaksony samochodów, nieustanny szum milionów rozmów. Nad jej głową samoloty pasażerskie zmierzały na Heathrow, a bliżej ziemi jakiś śmigłowiec odkrył nowy skrót między jedną stroną Londynu a drugą.

Taverner wypuściła dym, który przez dwie sekundy wisiał w powietrzu, a potem zniknął jak marzenie. Żeby go ominąć, mijający ją mężczyzna uprawiający jogging zmienił kurs. Palenie gwarantowało prywatność niemal tak dobrze jak atrapa ptasiego gówna. Ale jeszcze jakiś rok lub dwa i stanie się pewnie wykroczeniem, za które będzie cię można aresztować.

Jej obecne zapotrzebowanie na nikotynę wynikało z faktu, że dopiero co wyszła z trzeciego spotkania tego dnia, tego z komisją. Komisja była jak skrzyżowanie absolwentów Oxfordu i Cambridge z peronem kolejowym: zbiorowiska cudów z cofniętymi podbródkami ze szczyptą weteranów z doświadczeniem w pracy w terenie. Miałoby się większe szanse uzyskania konsensusu, gdyby przeprowadzić referendum w sprawie pasty Marmite. Ci w garniturkach nienawidzili operacji, bo

operacje kosztują. Ci, którzy mieli doświadczenie w terenie, kochali je, bo najlepsze z nich przynosiły czyste złoto. Z zewnątrz mogłoby się zdawać, że Taverner należy do garniturków, ale jej serce było po stronie tych od roboty w terenie. Poza tym, gdyby usunąć operacje z programu, bezpieczeństwo sprowadzałoby się do założenia czapki z daszkiem i lśniącej odznaki. Jeśli chodzi o wojnę z terroryzmem, równie dobrze można by zacząć kopać okopy i rozdawać blaszane hełmy.

Teczki, które zabrała na to konkretne spotkanie, wszystkie były tego samego żółtawego koloru; wszystkie zostały datowane piętnaście minut wcześniej i miały logo z Mozartem, które w tym roku oznaczało najwyższy stopień tajności. Rozeszły się przy stole jeszcze szybciej niż wypieki.

Przez kilka chwil panowała niemal kompletna cisza.

W końcu odezwał się słabym głosem któryś z garniturków.

– Jest pani tego całkowicie pewna?

– Oczywiście.

– Humint?

Parsknięcie. Weterani uwielbiali, kiedy laicy używali wywiadowczych terminów.

– Rozpoznanie osobowe – powiedziała Taverner. – Tak.

– A ci z Albionu?

– Moglibyśmy to zrobić według porządku spotkania? – odezwał się ktoś inny.

Ogólne pochrząkiwanie, szelest papierów.

Tradycja nakazywała, by zebrania komisji były protokołowane niezależnie od tego, czy sesja była oznaczona jako otwarta, a tym samym nagrywana, czy też jako zamknięta, a tym samym oficjalnie nienagrywana. A więc według porządku wyglądało to tak: data, pora dnia, uczestnicy. Przewodniczący Leonard Bradley z Westminster Parish. Na gorącym krześle Lady Di. Nie żeby ktoś ją tak nazywał.

– Dla tych, którzy nie wiedzą, pani Tearney, Ingrid, jest w tym tygodniu w Waszyngtonie, bo w przeciwnym razie oczywiście by tu była. Jesteśmy wdzięczni Dianie, że zechciała ją tu zastąpić, ale z drugiej strony wszyscy wiemy, jak jest kompetentna. Diano!

– Dziękuję, Leonardzie. Dzień dobry wszystkim. – Szmer odpowiedzi. Popukała w teczkę. – Wszyscy dowiedzieliśmy się o tym, kiedy pojawiło się na blogu BBC o 4:22 rano.

– Nie chciałbym przeszkadzać – odezwał się jakiś garniturek. Niemal słyszalne wywracanie wielu oczu sugerowało, że to nie do końca prawda. – Czy takich wpisów nie da się namierzyć przez... ech... to się chyba nazywało...

– Gdybyśmy mogli go namierzyć – odpowiedziała Diana Taverner – to spotkanie byłoby niepotrzebne. Zakończylibyśmy całą sprawę przed dzisiejszą emisją *Today*.

Bradley wykonał ręką gest, który wyglądałby konkretniej, gdyby trzymał w niej fajkę.

– Może pozwólmy Dianie skończyć. Albo chociaż zacząć.

– Hassan Ahmed – rzekła. – Urodzony w Birmingham w 1990 roku. Jego dziadkowie przyjechali z Islamabadu na początku lat siedemdziesiątych. Jego dziadek prowadził sklep z tkaninami i obiciami, który przejął jego ojciec, gdy starszy pan

przeszedł na emeryturę. Hassan jest najmłodszym z czwórki rodzeństwa, studiuje zarządzanie na drugim roku na uniwersytecie w Leeds. Wynajmuje mieszkanie z trójką innych studentów, według wszystkich relacji jest nieśmiałym dzieciakiem. Nic nie wiadomo o żadnej dziewczynie ani chłopaku. Opiekun jego roku nie był w stanie sobie go przypomnieć. Należy do stowarzyszenia studenckiego o nazwie „Kto się śmieje ostatni” zrzeszającego początkujących stand-uperów, ale nikt z nich nie jest w stanie za wiele o nim powiedzieć. Najwyraźniej nie rozpała towarzystwa. – Przerwała, żeby upić łyk wody. – Jest muzułmaninem, ale tylko z nazwy. Zanim poszedł na studia, regularnie uczęszczał do miejscowego meczetu, który nie jest i nigdy nie był na naszej liście. Ale nie jest specjalnie religijny, a jego ojciec wydaje się traktować chodzenie do meczetu jako okazję do nawiązywania kontaktów. Nie posługują się w domu językiem urdu i nie jest jasne, czy Hassan go zna. Nie ma żadnych danych świadczących o tym, by miał kiedykolwiek kontakt z ekstremistami, i nie zarejestrowano go na żadnych demonstracjach ani marszach. Jego nazwisko pojawiło się pod petycją przeciwko wyrokowi skazującym z 21 lipca, ale możliwe, że zostało wpisane bez jego wiedzy. A nawet jeśli nie, to mógł po prostu akurat być na miejscu, kiedy puszczono petycję z rąk do rąk.

Odstawiła szklankę na podstawkę, zwracając szczególną uwagę, by postawić ją na samym środku.

– To krótki profil i wszyscy wiemy, że najzagorzalsi ekstremiści mogą się wywodzić z umiarkowanych środowisk, ale nie mamy absolutnie nic o Hassanie, co sugerowałoby, że jest kimś innym, niż się wydaje. Brytyjskim Azjatą studiującym, żeby zdobyć dyplom. Tak czy inaczej, wiemy, że porwano go wczoraj późno w nocy, kiedy wracał do domu z klubu komediowego. Został schwytany w bocznej uliczce niedaleko miejsca zamieszkania, kiedy szedł na skróty od miejsca, gdzie zaparkował samochód. Porywacze...

– Jeździ samochodem? – spytał ktoś z obecnych.

– Dostał go w prezencie od ojca – odparła Taverner.

Odczekała chwilę, co najwyraźniej zadowolilo pytającego.

– Porywacze nazywają się Głosem Albionu.

Teraz Leonard Bradley pochylił się do przodu, a jego twarz zmarszczyła się, zmieniając w maskę konsternacji, którą lubił zakładać, kiedy szukał dziury w całym.

– Jeśli mi wybaczysz... – Machnęła na niego ręką jak miły kierowca przepuszczający autobus. – Wydawało mi się, że nie było jeszcze kontaktu z tymi porywaczami. Ale wam już udało się ich zidentyfikować? Świetna robota. Naprawdę świetna.

Dały się słyszeć dwa, trzy pomruki aprobaty.

– Nie było z nimi kontaktu, zgadza się – powiedziała Diana Taverner. – To znaczy nie wysunęli żadnych żądań ani się nie przyznali do tego konkretnego... hm... epizodu.

– Ale mieliście ich na oku.

– Myślę, że się pan zgodzi, że to się całkowicie mieści w naszych kompetencjach.

– Jak najbardziej. Jak najbardziej. Całkowicie się z tym zgadzam.

Siedzący przy stole Roger Barrowby mlasnął językiem.

Barrowby'ego zwykle nazywano Barrowboy; nie cierpiał tego przezwiska i udawał, że je uwielbia. Miał rzadkie jasnoblonde włosy, wydatny podbródek i nawyk wciskania palca w dołek w brodzie, jakby chciał wepchnąć ją w szczękę. Wyglądało jednak, że zrobił coś ze swoim łupieżem.

– Roger! – w tonie Leonarda Bradleya słychać było taką serdeczność, jakby byli na wspólnym grillu. – Chcesz coś wtrącić? Zgłosić sprzeciw? – Tę życzliwość można było kroić nożem. Taverner zastanawiała się, dlaczego tych dwóch tak bardzo się nie znosi.

– Spostrzeżenie, Len. Tylko spostrzeżenie.

– Zechciałbyś się nim podzielić?

– Co za cholerne szczęście, to wszystko – odparł Barrowby. – Mamy pozwolenie na obserwację kilku oryginalnych myślicieli i tak się akurat składa, że w tym czasie czegoś próbują? Jak często coś takiego się zdarza?

Wbrew sobie Taverner uśmiechnęła się, słysząc określenie „oryginalni myśliciele”.

– Moglibyśmy się spierać o darowane konie i plany opieki stomatologicznej – stwierdził Bradley. – Ale może Diana zechciałaby się na ten temat wypowiedzieć?

– Pozwolenie na obserwację to trochę mocno powiedziane – odparła Diana. – Są jedną z siedemnastu grup, które mamy w tej chwili pod obserwacją, i może się wydawać, że to całkiem sporo, ale pojawiły się pogłoski, że szykuje się coś takiego. I...

– Że co proszę?

To był znów Barrowby.

– Pogłoski?

Odpowiedziały na to, ale wiedziały, że nie ma mowy, by zgromadzeni byli oficerowie wywiadu tego nie skomentowali. Rozległ się chór ich głosów.

– To nie w naszej gestii, Roger.

– To daleko od tego.

– Zbieranie danych wywiadowczych wykracza poza kompetencje tej komisji.

– Oczywiście – zgodził się z nimi Barrowby – ale skoro już płacimy za kolację, możemy chociaż zerknąć na menu, prawda?

– Sprawdzimy księgi po zamknięciu roku fiskalnego – odezwał się ktoś inny. – Ale to sprawa Operacji, jak wydają swoje fundusze.

Bradley pokiwał głową.

– Będziemy mogli posmakować kiełbasek, Roger, jeśli pozwolisz, że pociągnę dalej twoją metaforę. Ale nie będziemy mogli popatrzeć, jak się je robi.

Barrowby uniósł ręce w kpiącym geście, że się poddaje.

– Diano, wybacz. Słyszałaś pogłoski. Przydzieliłaś zasoby. Zgoda. Wygląda na to, że ktoś: ty albo może pani Tearney, podjął mądrą operacyjną decyzję.

Nie odnosząc się do stopnia zaangażowana Ingrid Tearney w tę sprawę, Diana ciągnęła:

– Tak jak mówię, to nie było pozwolenie na obserwację. Właściwie ich nie

obserwowaliśmy, bo wówczas ten cały wyskok w ogóle nie miałby miejsca. I zgodzę się z tym, że to byłoby cholerne szczęście. W zaistniałej sytuacji jestem przekonana, że możemy to szybko zakończyć.

– Zanim odrąbią głowę młodemu Hassanowi – odezwał się Leonard Bradley.

– Właśnie.

– Cóż, nie ma potrzeby wyjaśniać aspektów public relations, prawda? Ta połowa kraju, która jeszcze tego nie ogląda, przed kolacją będzie ślęczeć przed telewizorami. – Zerknął na leżące przed nim papiery. – Głos Albionu, co? Zrobiliby na mnie większe wrażenie, gdyby istniała szansa, że któryś z tych półgłówków rzeczywiście czytał Blake’a.

Powitano to milczeniem.

– Nasi niebiescy przyjaciele? – spytał.

– Nie ujawniliśmy tych szczegółów ani powiązań z Głosem Albionu – powiedziała Taverner. – W razie konieczności to zrobimy, ale jestem przekonana, że jutro o tej porze będziemy mogli dać im cały pakiet.

– Chłopaka porwano w centrum Leeds? – pisnął ktoś cicho.

– Niezupełnie w centrum. W Headingley.

– Nie mają tam monitoringu? Miałem wrażenie, że człowiek nie da rady przejść ulicą, nie stając się gwiazdą reality TV.

– Wygląda na to, że system monitoringu ruchu ulicznego nie działał wczorajszej nocy przez sześć godzin. Wyłączono go wkrótce po północy i włączono dopiero niedawno. Powiedziano nam, że z powodu rutynowej konserwacji.

– Trochę za duży zbieg okoliczności.

– Wyjaśniamy to. A właściwie zajmuje się tym policja. Nie sądzę jednak, żeby Albion miał taki zasięg. W teczkach znajdziecie państwo wydruk ich strony domowej, jeśli chcecie państwo wyrobić sobie pogląd na to, jakie mają wpływy.

Rozległ się szelest przewracanych stron.

Bradley podniósł wzrok.

– „Naordowa czystość” – zauważył z niesmakiem. Trudno było powiedzieć, czy bardziej była mu nie w smak sama koncepcja czy literówka.

– Nie mamy do czynienia z mistrzami intelektu – zgodziła się Taverner.

– Nie możecie ich namierzyć przez ich stronę? – spytał Barrowby.

– Cóż, pod tym względem wykazali się zdrowym rozsądkiem – odparła. – Serwer proxy znajduje się w Szwecji, a tam przywileje klienta są traktowane bardzo poważnie. Uzyskanie szczegółów trochę potrwa. Dłużej, niż pozwala na to termin wyznaczony przez porywaczy. Ale pozwólcie państwo, że powtórzę: jestem całkowicie przekonana, że będziemy mieli sprawę pod kontrolą, zanim termin stanie się problemem.

Bradley znów wykonał ten gest ręką i powiedział:

– Chciałbym w imieniu nas wszystkich podziękować Dianie za niezwykle pełny obraz nakreślony w niesamowicie krótkim czasie. I powiedzieć, że będziemy równie wdzięczni za codzienne aktualizacje o sytuacji i dalszych działaniach prowadzących do szybkiego i szczęśliwego zakończenia.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Tom ze złożoną kartką w ręce. Bez słowa podał ją Dianie Taverner i wyszedł.

Taverner rozłożyła ją i w milczeniu przeczytała to, co na niej napisano. Wyraz jej twarzy w najmniejszym stopniu nie zdradzał, czy ta informacja jest dla niej nowością, potwierdzeniem czegoś, co już podejrzewała, czy może nieaktualnym raportem o pogodzie w jakimś zupełnie innym miejscu. Jednak gdy podniosła wzrok, atmosfera się zmieniła.

– To świeża wiadomość. Za chwilę dostaniecie państwo kopie.

– Czy mogłabyś... – zaczął Bradley.

Mogła. I zrobiła to.

– Panowie, wygląda na to, że to nie jest przypadkowe porwanie, tak jak sądziliśmy.

Nowe informacje wymagały co najmniej tyle samo działania co debaty. Rolą Diany Taverner było wyjść i zająć się tym pierwszym, zaś rolą wszystkich pozostałych – rozpocząć dyskusję. A raczej prawie wszystkich. Była w połowie drogi do windy, gdy złapał ją Barrowboy – niemal w dosłownym sensie: kiedy się odwróciła, zobaczyła, że wyciąga do niej rękę. Spojrzenie, jakie mu posłała, wrażliwszego człowieka przebiłoby na wylot.

– To nie jest dobry moment, Roger.

– A w ogóle kiedyś bywa? Diano, jeśli chodzi o te nowe informacje...

– Wiesz tyle co ja.

– W to wątpię. Ale tak czy inaczej, to nic nie zmienia, prawda?

– Tak sądzisz? Nawet trochę?

– Chodzi mi o to, że wydawałaś się pewna swego, jeszcze zanim wybuchła ta rzekoma bomba. To, kim on jest, nie utrudni ci pracy.

– Rzekoma?

Każda samogłoska w tym słowie była osobnym soptem lodu.

– Źle dobrałem słowa. Chodzi mi tylko o to, że macie na miejscu człowieka, tak? Nie zdobywa się informacji stopnia Mozart, odbierając przypadkowy telefon czy sprawdzając listę podejrzanych wniosków o kredyt.

– Miło usłyszeć opinię eksperta, Rogerze. Przypomnij mi, kiedy to były twoje najlepsze czasy. W Bejrucie? W Bagdadzie? Czy może przy barze we Frontline Club?

Ale to po nim spłynęło.

– Chodziło mi tylko o to, że takimi rzeczami zajmują się w Slough House. – Zaśmiał się, zadowolony z siebie. – Żeby nieudacznicy dali sobie spokój i odeszli. Ale to jest wyższy poziom. Czyli macie tam kogoś.

Dźgnęła przycisk windy palcem wskazującym.

– Tak, Roger. Mamy kogoś. Tak działa zbieranie informacji.

– Ale nie wiedział o tym ostatnim zwrocie akcji?

– Gdyby wiedział o wszystkim, nie byłby człowiekiem, Roger. Byłby Wikipedią.

– To jak blisko jest samych wydarzeń?

– Dość blisko.

– Praktycznie.



– Niektórzy mogliby tak powiedzieć. Inni nazwaliby to dalekowzrocnością.

– Cóż, jest dalekowzrocność i dalekowzrocność, prawda? To żaden wyczyn wróżyć z kart, jeśli sama je ułożyłaś.

– Najpierw rzekoma bomba, a teraz to. Próbujesz mi coś powiedzieć, Roger?

Przyjechała winda. Zanim drzwi się do końca otworzyły, Taverner była już w środku; wciskała przycisk parteru. Właściwie to wcisnęła go trzy razy. Kiedyś ktoś wymyślił przycisk, dzięki któremu rzeczy będą się działy tym szybciej, im więcej razy się go naciśnie.

– Właściwie to nie, Diano. Tylko tyle że może dobrze będzie zachować ostrożność. – Drzwi nie do końca przerwały mu epilog. – To trochę jak pływanie z rekinami.

Pływanie z rekinami, pomyślała teraz, miażdżąc niedopałek obcasem. Zerknęła na zegarek. Za piętnaście sekund pierwsza.

Zbliżał się od wschodu i nawet gdyby przed zadzwonieniem do niego nie zajrzała do jego akt, i tak by go poznała. W Regent's Park nazywali ich kulawymi końmi i połowa tej zabawy polegała na tym, żeby kulawe konie o tym wiedziały. A więc stało się to samospełniającym się proroctwem: kiedy Slough House spotykał się z Regent's Park, zawsze było wiadomo, kto tu rządzi. A teraz zbliżał się do niej z determinacją kulawego konia, jakby dotarcie do mety oznaczało, że wygrał, choć każdy, kto ma hodowlę, wie, że liczy się tylko jedno – kto dotrze na nią pierwszy.

Posłał jej trochę agresywne, a trochę defensywne spojrzenie, niczym skrzywdzony kochanek, a potem skrzywił się na widok ławki.

– To atrapa – powiedziała. – Jest zupełnie sucho. – Wyglądał, jakby w to wątpił. – Na litość boską, to pożyteczna ławka. Myślisz, że pozwolilibyśmy, żeby srały na nią mewy?

Jed Moody usiadł.

Kormoran na rzece był w połowie drugiego okrążenia, a przy Bankside Pier jakiś uliczny kaznodzieja stał na wymyślonej przez siebie ambonie i rzucał gromy na mijających go przechodniów. Innymi słowy, wszystko w normie.

– Słyszałam, że skontaktowałeś się wczoraj wieczorem – zaczęła Taverner.

– Nick to mój stary przyjaciel – odparł Moody.

– Zamknij się. Powiedziałaś mu, że Jackson Lamb prowadzi operację, że wysłał jedną z twoich młodszych koleżanek, żeby ukradła dane. Że Slough House nie zajmuje się takimi rzeczami, a gdyby się zajmowało, powinieś to robić ty.

– To prawda. Spędziłem sześć lat...

– Zamknij się. Interesuje mnie, jak się o tym dowiedziałeś.

– O czym, proszę pani?

Do tej pory przyglądała się budynkom na drugim brzegu rzeki, ale teraz odwróciła się do niego.

– Nawet przez chwilę sobie nie wyobrażaj, że prowadzimy rozmowę. Kiedy pytam o jakąś informację, ty ją podajesz. Nie udajesz, że nie wiesz, o co mi chodzi, i nawet nie marzysz o tym, żeby powiedzieć mi cokolwiek innego prócz prawdy. Bo inaczej przekonasz się, że istnieją zimniejsze i głębsze miejsca niż ta rzeka, a ja

z przyjemnością umieszczę cię w jednym z nich. Rozumiemy się?

– Jak na razie.

– Dobrze. Wydałam Lambowi konkretne instrukcje dotyczące konkretnego zadania. Nie przypominam sobie, żebym kazała mu o tym powiedzieć tobie. Jak się dowiedziałeś?

– Jest podsłuch – odparł.

– Jest podsłuch.

To właściwie nie było pytanie. A więc Moody właściwie nie odpowiedział. Przełknął tylko głośno.

– Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że założyłeś podsłuch w gabinecie Jacksona Lamba?

– Tak.

– Słodki Jezu! – Odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem. Potem umilkła. – Słodki Jezu – powtórzyła.

– To nie było...

– Co? To nie było coś, za co mógłbyś dostać jakieś trzydzieści lat? Przy obecnych nastrojach?

– Ma pani w ogóle pojęcie, jak to jest?

Ale już kręciła głową, nie interesował jej jego zaplanowany wybuch. Mógł być sfrustrowany, zniechęcony, czuć, że musi płacić za bajzel, jakiego narobiły tajne służby. Ale faktem było, że i tak by nigdy nie awansował. Gdyby ktoś potrzebował definicji szeregowego agenta, wystarczyłoby zajrzeć do akt Jeda Moody'ego.

– Nie obchodzi mnie to. Interesuje mnie tylko, jak to możliwe, że sprawdzanie pod kątem podsłuchów nic nie wykazało. O nie! Nie mów mi.

A więc jej nie powiedział.

– To ty zajmujesz się sprawdzaniem.

Kiwnął głową.

– Wyślij złodzieja, żeby złapał złodzieja... Jezu! Co jeszcze tam wyprawiacie? Nie, nawet nie zaczynaj. Nie chcę wiedzieć.

Zgodnie z tym, co wcześniej podpowiadało jej przecucie, Diana Taverner znów sięgnęła po papierosy. Podsunęła paczkę Moody'emu. Zdążył już wyjąć zapalniczkę i osłaniając płomyk wielką dłonią, odpalił jej i sobie. Na krótką chwilę połączyło ich członkostwo w XXI-wiecznym klubie pariasów.

– Nie podsłuchiwałem – powiedział. – To znaczy podsłuchiwałem, ale tylko dla siebie. Kiedyś byłem psem. Gdy obok zatrudniają nowego kelnera, Lamb każe mi go sprawdzać. Nie dlatego, że myśli, że ktoś podstawiłby tam agenta. Po prostu robi sobie ze mnie jaja i nie obchodzi go, że o tym wiem.

– To czemu nie odejdziesz?

– Bo tym właśnie się zajmuję.

– Ale nie jesteś szczęśliwy.

– W Slough House nikt nie jest szczęśliwy.

Taverner skupiła się na swoim papierosie, a raczej udawała, że się na nim skupia. Całkiem sporo widziała kątem oka i studiowała Jeda Moody'ego. Kiedyś pewnie był

przydatny, ale picie i palenie położyły temu kres i było wyraźnie widać, że wygnanie przypieczętowało jego zsuwanie się po równi pochyłej. Ostatnio, pewnie z poczucia winy, wyżywał się na siłowni; siedmiodzinne treningi, które miały nadrobić wszystkie opuszczone weekendy. Oszukiwał się, że to działa. Za każdym razem, kiedy zaczynała docierać do niego prawda, pił kolejnego drinka i zapalał kolejnego papierosa.

– Nawet Lamb? – spytała.

Ku jej zaskoczeniu odpowiedział wprost:

– Wypalił się. To tłusty, leniwy skurwiel.

– Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego jest w Slough House?

– A na co by się przydał gdzie indziej?

To już nie było tak wprost. Z tego, że Lambowi pozwolono rządzić własnym małym królestwem – nawet takim domem wariatów, jakim był Slough House – jasno wynikało, że musiał wiedzieć, gdzie zakopano niejedne zwłoki. Moody nie chciał tego poruszać z Dianą Taverner. Wynioskowoła z tego, że wolał zachować wobec niej ostrożność. I to jej odpowiadało.

Papieros Moody’ego spalił się aż do filtra. Upuścił go i niedopałek potoczył się w szparę między płytami chodnikowymi.

Spojrzał na nią – jej wzrok nie pozostawiał wątpliwości, kto tutaj rządzi.

– Oto, co teraz będzie – powiedziała. – Wyświadczysz mi przysługę albo dwie. Nieoficjalnie.

– Nielegalnie.

– Tak. A to znaczy, że jeśli z jakiegoś powodu coś pójdzie choć trochę nie tak i znajdziesz się w ciasnym pokoju, w którym będą cię przesłuchiwać nieprzyjemni faceci, nie ma mowy, żebym udawała, że kiedykolwiek o tobie słyszałam. Rozumiemy się?

– Tak – odparł Moody.

– I jesteśmy z tego zadowoleni?

Moody znów powtórzył „tak” i wyczuła, że to prawda. Tak jak inne kulawe konie przed nim, chciał powrócić do gry.

Wyjęła z torebki komórkę i mu ją podała.

– Tylko połączenia przychodzące – powiedziała.

Kiwnął głową.

– I usuń ten podsłuch. Może Slough House jest ślepym zaułkiem, ale to część MI5. Jeśli to wyjdzie na jaw, twoi dawni koledzy z wydziału wewnętrznego rozerwą cię na strzępy.

Podniosła się, ale zamiast ruszyć przed siebie, stała jeszcze przez chwilę.

– A, i Moody? Tytułem ostrzeżenia: Lamb wypalił się nie bez powodu.

– To znaczy?

– To znaczy, że kiedy pracował w terenie, miał więcej zmartwień niż rozliczanie wydatków. Na przykład schwywanie, tortury; mogli go zastrzelić. Udało mu się przetrwać. Powinieneś o tym pamiętać.

Zostawiła go siedzącego na ławce; kupionego i opłaconego człowieka. Niektórzy

byli tańsi od innych. I już wiedziała, do czego mógł jej się przydać.

River wyjrzał przez okno na korek przy Aldersgate, sznur ofiar robót drogowych, nieustannie dręczących tę ulicę. Sid siedziała przy biurku, a na jej monitorze wciąż odtwarzała się dwunastominutowa pętla z chłopakiem w piwnicy; pierwsze dwanaście minut dawno minęło, ale z każdym powtórzeniem ubywało mu czasu.

– Skrajnie prawicowa grupa – powiedział River i choć nie odzywali się do siebie od jakiegoś czasu, Sid Baker natychmiast to podchwyciła.

– Jest ich więcej.

Odwrócił się.

– Wiem. Chcesz, żebym wymienił te mniej znane...

– River...

– ...grupy pojebów, na wypadek gdyby któraś wyleciała ci z pamięci?

– Nie zakładaj, że to ekipa Hobdena. Tylko tyle chciałam powiedzieć.

– Bo to pewnie przypadek, że pojawia się na radarze MI5 na dzień przed tym?

– Pojawił się na twoim radarze na dzień przed tym. Podejrzewam, że MI5 obserwowało go o wiele dłużej.

Dziadek Rivera od razu rozpoznałby jego upartą minę. Ale Sid ciągnęła dalej:

– Brytyjska Partia Patriotyczna to zwykli nieudacznicy obwiniający o swój brak perspektyw pierwszą lepszą poszkodowaną grupę. Po paru piwkach będą tłuc szyby w oknach i pobiją sklepikarza. Ale to nie ich liga.

– Nie sądzisz, że Hobden miałby dość rozumu, żeby to zaplanować?

– Rozumu? Tak. Ale po co miałby to robić? A poza tym gdyby MI5 myślało, że to on za tym stoi, uważasz, że ukradliby mu pliki? Odpowiadałby już na pytania w jakiejś piwnicy.

– Może – odparł River. – A może ma tylu wysoko postawionych przyjaciół, że nie można go wrzucić do furgonetki, nie denerwując przy tym paru osób.

– Tak myślisz? Przez ostatnich parę lat publicznie piętnowały go szmatławce, dla których pisał.

– Bo nie mogą sobie pozwolić na to, żeby ktoś myślał, że go popierają.

– Och, na litość boską! Piętnowały go, bo na to zasłużył. W mainstreamie nie ma litości dla takich poglądów jak jego. Dwadzieścia lat temu, może. Ale czasy się zmieniły.

– I wciąż się zmieniają. Trwa recesja, nie zauważyłeś? Poglądy są wyrazistsze. Ale odbiegamy od tematu. Mamy tu skrajnie prawicową grupę dokonującą aktu terrorystycznego w tym samym dniu, w którym kradniemy dane najważniejszemu prawicowemu świrowi w całym kraju. Niemożliwe, żeby to nie miało ze sobą związku.

Sid odwróciła się z powrotem do swojego monitora.

– Ciągłe powtarzasz, że w Slough House nie robimy nic ważnego. Jak do tego pasuje, że nagle jesteśmy bliżej niż cała reszta MI5? Gdyby Hobden za tym stał i gdyby tajne służby go sprawdzały, nie wiedzielibyśmy o tym, prawda?

Na to nie miał odpowiedzi.

– Znajdą go. 008">Nie dojdzie do tego, River. Nikt nie odrąbie temu chłopakowi

głowy przed kamerą. Ani jutro, ani w żaden inny dzień.

– Mam nadzieję, że masz rację. Ale...

Nie dokończył tego zdania.

– Ale co?

– Nic.

– Chciałeś coś powiedzieć, nie udawaj, że nie.

„Ale widziałem, co ukradłeś z laptopa Hobdena, i to był bełkot. Cokolwiek próbowałaś zdobyć, nie udało ci się. A to znaczy, że jeśli jest w to zamieszany, to wyprzedza MI5 co najmniej o krok, a to źle wróży temu dzieciakowi...”

– Chodzi o to, co oglądałeś w pubie?

– Nie.

– Kłamiesz.

– Dobra, kłamię. Dzięki.

– Daj spokój. Ja też bym kłamała, gdybym weszła w posiadanie informacji, których nie powinnam mieć. To znaczy: jesteśmy przecież agentami i w ogóle.

Dotarło do niego, że próbowała go rozbawić. To było dziwne uczucie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jakaś kobieta starała się chociaż sprawić, żeby się uśmiechnął.

Ale to nie zadziała.

– To nie było nic ważnego – powiedział. – Tylko jakieś uszkodzone pliki.

– Dziwna forma uszkodzenia, przekładanie wszystkiego na pi.

– Prawda?

– Bardziej mi to wygląda na jakieś szyfrowanie.

– Posłuchaj, Sid. To nie było nic takiego. I nawet gdyby było, to nie twoja sprawa.

Sądząc po jej minie, miało upłynąć sporo czasu, nim znów spróbuje sprawić, by się uśmiechnął.

– Dobra – powiedziała w końcu. – W porządku. Przepraszam, że żyję. – Gwałtownie wstała i jej krzesło przewróciło się do tyłu. – A tak w ogóle, w tym pokoju dalej śmierdzi. Możesz otworzyć to cholerne okno?

Wyszła.

Zamiast otworzyć okno, River znów przez nie wyjrzał. Korek prawie się nie przesunął. Mógłby tam stać przez resztę dnia i w tym zdaniu nic nie trzeba by było zmieniać.

„Nie dojdzie do tego, River. Nikt nie odrąbie temu chłopakowi głowy przed kamerą. Ani jutro, ani w żaden inny dzień”.

Miał nadzieję, że miała rację. Ale nie stawiałby na to.

Policja znalazła jednak Hassana całego i zdrowego.

Okazało się, że znalazł się świadek porwania; jakaś kobieta widziała z okna swojej sypialni – jak to ujęła – „rozrabiających” u wylotu uliczki chłopaków, którzy potem wsiedli do białej furgonetki marki Ford i odjechali na wschód. Wtedy nie zastanawiała się nad tym, ale wiadomości poruszyły coś w jej pamięci, więc przekazała ten strzęp informacji miejscowym gliniarzom. Tam, gdzie skierowała się furgonetka, były światła; nad skrzyżowaniem znajdowały się kamery monitoringu. Udało się ustalić

część numeru rejestracyjnego. Ten fragment szybko rozpowszechniono w całym kraju; policja i inne służby próbowały go dopasować do widzianych bądź zarejestrowanych na taśmach monitoringu białych furgonetek marki Ford na autostradach, w centrum miast i na parkingach. Potem wszystko było już tylko kwestią czasu. Jednak to był dziwny szczęśliwy traf, że udało się rozwiązać sprawę i do piwnicy Hassana wtargnął oddział antyterrorystów; wyglądało na to, że miejscowy bezdomny...

Hassan otworzył oczy. Spoglądała na niego ciemność. Znów je zamknął. Do piwnicy wtargnął oddział antyterrorystów. Otworzył je. A jednak nie.

Nie miał pojęcia, że czas potrafi tak się wlec.

I nie miał też pojęcia, że strach potrafi cię tak porwać. Nie tylko z czasu, ale z twojego ciała. Gdy tak siedział z workiem na głowie i kombinezonie jak pacjent jakiejś surrealistycznej poczekalni, tracił kontakt z tu i teraz i znów obudził się ten piskliwy głos z tyłu głowy, który podsuwał mu najlepsze gagi. Roztrzęsiony, ale jego własny, próbujący udawać, że żadna z tych rzeczy nie dzieje się naprawdę; albo że to się wydarzyło, ale jest już po wszystkim; co więcej – że teraz to materiał na najbardziej chwytający za jaja stand-up wszech czasów. Wszyscy inni zakładnicy – ci, którzy spędzili całe lata przykuci do kaloryferów – pisali książki, kręcili filmy dokumentalne albo prowadzili programy w radiu. Ale ilu z nich próbowało stand-upu?

Opowiem wam o moim worze.

Chwila milczenia.

Nie, poważnie. Opowiem wam o moim worku, serio.

I niezależnie od tego, co tam komu przyszło do głowy, teraz załapią; publiczność wreszcie zrozumie, że chodzi o worek, który włożyli mu na głowę terroryści.

Ale ten piskliwy głos dalej nie dotarł. Bo wcale nie było po wszystkim. Za bardzo tu śmierdziało, by mogło być po wszystkim: wymiocinami, gównem, szczynami, wszystkim, co strach usunął z drogi, kiedy robił dla siebie miejsce.

Był tutaj. I nie miał żadnej publiczności. Nigdy jej nie miał; każdego wieczoru w Student U, gdy byle kto mógł podejść do mikrofonu, był tam z głową pełną materiału i grudą w gardle, nigdy jednak nie odważył się wejść na scenę.

Zabawne, wydawało mu się wtedy, że to był strach. Lęk, że wyjdzie na idiotę przed podpitymi studentami – wydawało mu się, że to był strach. Jak zahaczyć palcem u nogi o podkład kolejowy i podskakiwać w miejscu z bólu, nie widząc nadjeżdżającego pociągu.

W jednej chwili szedł do domu. W następnej siedział w piwnicy, trzymając gazetę przed kamerą.

To był prawdziwy strach.

I to też: „Utniemy ci głowę i pokażemy to w internecie”.

Lubił internet. Podobało mu się to, że zbliżał do siebie ludzi. Jego pokolenie otoczyło ramionami cały świat, tweetując i blogując ile dusza zapagnie, i kiedy rozmawiało się na czacie z użytkownikiem o nicku PartyDog, nie wiedziało się, czy to chłopak, czy dziewczyna, nie wspominając nawet o tym, czy jest czarny czy biały, młody czy stary, czy jest muzułmaninem czy ateistą, i to chyba musiało być dobre,

prawda...?

Tyle tylko że Hassan czytał kiedyś o jakimś gnojku, który zobaczył kobietę przewracającą się na ulicy i zamiast spróbować jej pomóc jak normalny człowiek – albo minąć ją szybkim krokiem jak normalny człowiek – on na nią naszczał, naprawdę na nią naszczał, i nagrywał to telefonem, a potem wrzucił filmik do internetu, żeby inne gnojki miały się z czego pośmiać. To było tak, jakby internet usprawiedliwiał pewne zachowania. Przez króciutką chwilę dobrze było mieć coś, co można było obwiniać za to wszystko, nawet jeśli obwiniał internet, który nigdy się tym nie przejmie.

A potem ta króciutka chwila stała się kolejnym odłamkiem odłupanym od gwałtownie kurczącego się bloku; i świadomość, że ta chwila już minęła, pochłonęła następną chwilę, i jeszcze następną, i w żadnej z tych chwil, ani w żadnej, która nastąpiła po nich, do piwnicy nie wtargnął oddział antyterrorystów i nie znalazł Hassana całego i zdrowego.

Kuchnia nie była miejscem, gdzie chciałoby się przyrządzić posiłek. Ale z drugiej strony nie była też miejscem, gdzie cokolwiek przyrządzano; wszystkie powierzchnie były zavalone pojemnikami po jedzeniu na wynos i plastikowymi sztućcami, zatłuszczonymi torbami z brązowego papieru i pudełkami po pizzy, butelkami po napojach i pustymi paczkami po papierosach. Wszystko, co się nie ruszało, służyło za popielniczki. Linoleum miało podwijające się rogi, a poczerniała plama przy drzwiach sugerowała, że kiedyś coś się tam paliło.

Pośrodku pomieszczenia stał stół z blatem z laminatu. Jego czerwoną powierzchnię pokrywały okrągłe poprzepalane plamy i ślady po nożu. Pośrodku stołu znajdował się laptop, aktualnie zamknięty. Wiło się na nim mnóstwo kabli niczym elektryczne spaghetti, a obok nich leżał złożony trójnóg i cyfrowa kamera rozmiarów portfela. Kiedyś, aby dotrzeć do świata, trzeba było całego budynku pełnego sprzętu, ale „kiedyś” było innym określeniem na dawne czasy. Przy stole stały cztery krzesła, każde z innego kompletu. Trzy z nich były zajęte. Czwarte przechylało się pod niemożliwym kątem, podtrzymywane tylko przez parę obutych stóp, które równomiernie nim kołysały. Co chwilę mogło się wydawać, że krzesło zaraz się przewróci, ale nigdy się tak nie działo.

Właściciel stóp mówił:

– Powinniśmy tam zamontować kamerkę.

– Po co?

– Wrzucić to do intranetu. Zamiast tych klipów. Żeby cały świat mógł patrzeć, jak sra pod siebie, od początku do końca.

Dwóch pozostałych wymieniło spojrzenia.

Wszyscy trzej to byli faceci-buldogi; różnych kształtów i rozmiarów, ale z jedną wspólną cechą – byli buldogami. Do żadnego z nich nie wyciągnęłoby się ręki bez obaw, czy dostanie się ją z powrotem. Niżej, w piwnicy, Hassan Ahmed nazywał ich Larry, Curly i Moe, i gdyby ustawili się przed nim w szeregu, wyglądałoby to tak:

Larry był najwyższy i cieszył się największą ilością włosów, choć konkurencja nie była zbyt silna: podczas gdy dwaj pozostali byli ogoleni na zero, czaszke Larry’ego

porastała krótka szczecina, w jakiś sposób dodając mu autorytetu, jakby nosił kapelusz w pokoju, w którym wszyscy pozostali mają gołe głowy. Twarz miał chudą, oczy niespokojne i wciąż zerkał na drzwi i okno, jakby te w każdej chwili mogły gwałtownie się otworzyć. Nosił białą koszulę z podwiniętymi rękawami, czarne dżinsy i nowiutkie sportowe buty. Tymczasem Moe był pod każdym względem średniakiem – niższy niż jeden, wyższy niż drugi i ubrany w czarny T-shirt, który ani trochę nie maskował brzucha. Kozia bródka była głupim dodatkiem – nieustannie ją skubał, jak gdyby sprawdzał, czy ona wciąż tam jest.

Jeśli chodzi o Curly'ego, właściciela stóp, wydawał się najgłupszy z nich.

– Nie chcemy kamerki – powiedział mu Larry.

– Czemu nie?

– Bo nie i już.

– Zasmroził tę piwnicę jak szczur w pułapce. Powinniśmy pokazać światu, jacy są, kiedy nie włączają do autobusów z semtexem w plecakach.

– Jeśli ustawimy kamerkę, podwoimy szansę na to, że nas złapią – wyjaśnił Moe tonem wskazującym, że nie pierwszy raz prowadzą tę rozmowę.

– Przecież już wrzuciliśmy tam filmiki.

Można było spędzić cały dzień, próbując wbić Curly'emu do głowy najprostsze rzeczy, pomyślał Larry, ale prędzej czy później człowiek musiał się poddać. Jeśli chciało mu się wytłumaczyć cokolwiek bardziej skomplikowanego niż wyścig dwóch koni, trzeba mu to było narysować albo po prostu dać papierosa i liczyć na to, że zapomni o temacie.

Ale Moe uparcie próbował dalej.

– Te rzeczy, co je wrzuciliśmy do sieci... będą próbowali ustalić, skąd wyszły. Są sposoby, żeby zatrzeć ślady, i już to zrobiliśmy. Ale jeśli wejdziemy na żywo, jeśli zamontujemy tam na dole kamerkę, będzie nas łatwiej namierzyć.

– A tak w ogóle to się nazywa internet – powiedział Larry.

– Co?

– In-ter-net. Intranet to coś innego.

– Jeden pies.

Larry znów spojrział na Moe i zrozumieli się bez słów.

– W każdym razie – podjął Curly – wydaje wam się, że teraz się boi? Jutro o tej porze będzie parującą kupą gówna.

Powiedział to stanowczym tonem, jakby to było zwieńczeniem jakiejś wyważonej argumentacji.

– Idę się wysrać – dodał.

Wstał i oba krzesła uderzyły o podłogę.

Kiedy sobie poszedł, Larry zapalił papierosa i rzucił paczkę Moe.

– Myślisz, że da radę?

– Nie jest taki głupi, jakiego udaje.

– No cóż. Ta pizda umie chodzić i oddychać równocześnie. Jasne, że nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

– Powiedziałem „udaje”.



– Słyszałem.

Po drugiej stronie kuchennych drzwi Curly stał bez ruchu i nasłuchiwał, dopóki się nie upewnił, że skończyli, a potem bezszelestnie przekradł się korytarzem, wszedł po schodach i zamknął się w łazience, by cicho zadzwonić z telefonu, którego nie powinien mieć.

Lamb siedział przy biurku, a przed nim leżała teczka – analiza anomalii w opłatach za wjazd do centrum Londynu albo wpisów na Twitterze, albo gotówkowego zakupu nieruchomości w Beeston – ale wydawało się, że jego uwaga jest skupiona na korkowej tablicy, do której przypięte były najróżniejsze kupony rabatowe: z miejscowego lokalu z pizzą na wynos, zniżki w Costcutter’s na paszteciki z kiełbasą. Catherine obserwowała go przez drzwi. Zamierzała wejść, położyć swój raport na stercie i wyjść, ale coś przykuło jej uwagę. Lamb nie wyglądał jak ten Lamb, którego wszyscy znali i nienawidzili. Pojawiło się w nim coś, czego wcześniej nie było.

Zabawne, że kiedyś Catherine Standish bardzo chciała poznać Jacksona Lamba. Wszystko przez Charlesa Partnera. Wieki temu Lamb był jednym z jego ludzi. I pewnego dnia zjawił się we współczesnym świecie; był umówiony z Partnerem na dziesiątą rano. „Jackson Lamb jest jedyny w swoim rodzaju” – powiedział Partner. „Polubisz go”. I biorąc pod uwagę źródło, pomyślała, że pewnie tak będzie.

Lamb miał wtedy okres przejściowy; przeniósł się z zagranicznego urlopu – jak nazywali to agenci – do gaszenia pożarów w domu. To było w tym błogim okresie, kiedy świat wydawał się bezpieczniejszym miejscem, między zakończeniem zimnej wojny a tym, co się stało jakieś dziesięć minut później. Catherine wiedziała, że spędził jakiś czas za żelazną kurtyną. Kiedy znało się taki szczegół, to zabarwiało twoje oczekiwania. Może człowiek nie spodziewał się nie wiadomo czego, ale rozumiał, z jaką odwagą się to wiązało.

A więc nie spodziewała się tego otyłego, rozmemłanego faceta, który wtoczył się do jej biura spóźniony o godzinę i dwadzieścia minut, skacowany albo wciąż pijany. Partner był już wtedy na innym spotkaniu i jeśli go zaskoczyło, że Lamb się nie zjawił, dobrze to ukrywał. „Kiedy przyjdzie, daj mu kawy”. Dała więc Lambowi kawę i posadziła go na krześle dla gości, które zajął tak, jak leniwiec zajmuje gałąź. Zasnął albo udawał, że śpi. Za każdym razem, gdy spoglądała w jego stronę, miał zamknięte oczy, a na jego ustach tworzył się bąbel śliny, ale mimo wszystko – przez cały czas, kiedy tam był, czuła się obserwowana.

Parę lat później świat stanął na głowie. Partner nie żył; pojawił się Slough House, a Jackson Lamb był tam królem.

I z jakiegoś powodu Catherine Standish była przy nim. Odkryła, że Lamb prosił właśnie o nią, ale nigdy nie dał jej żadnej wskazówki dlaczego. A ona nigdy go o to nie spytała. Jeśli miał wobec niej jakieś plany, to spóźnił się o wiele lat; był taki czas, kiedy przespałaby się z nim, niewiele się nad tym zastanawiając, albo potem by o tym zapomniała, ale od czasu odwyku była w tych sprawach bardziej konkretna i nie sypiała absolutnie z nikim. I jeśli to się kiedyś miało zmienić, to nie dla Jacksona Lamba.

Ale teraz tu był i pojawiło się w nim coś, czego nie było wcześniej. Być może złość, ale złość z zaciągniętym hamulcem; powstrzymywana tą samą bezsilnością, która hamowała wszystkich w Slough House. Lamb spędził większość kariery za linią wroga, teraz wróg przeniósł się tutaj, a on mógł guzik z tym zrobić. Mógł tylko siedzieć i patrzeć. Dziwne, ale to sprawiało, że Catherine miała ochotę powiedzieć mu coś pocieszającego. Coś w stylu: „Dorwiemy ich”.

„Dorwiemy ich”. Ludzie mówili to teraz w biurach w całym kraju; w pubach, w klasach, na rogach ulic. „Tu coś takiego nie może się wydarzyć. Dorwiemy ich”, i mówiąc „my”, wszyscy mieli na myśli to samo: tych, którzy wykonywali taką pracę jak ona i Jackson Lamb; tych, którzy w ten czy inny sposób pracowali dla służb bezpieczeństwa. Tych, którzy nie dopuszczali do takich wydarzeń, choć ogólnie udawało im się je powstrzymywać dopiero za pięć dwunasta. I Catherine przyszło do głowy, że gdyby ktoś, kto tak myśli, mógł się rozejrzeć po Slough House, musiałby mocno zrewidować swoje poglądy. „Ten dzieciak w piwnicy? On nie ma żadnych szans”.

A więc cofnęła się od drzwi i wróciła do swojego pokoju, wciąż ściskając pod pachą raport.

Księżycyca prawie nie było, ale to nie miało większego znaczenia. River znów był naprzeciwko mieszkania Roberta Hobdena. Niecałe czterdzieści osiem godzin temu lało jak z cebra, a River stał na chodniku i próbował się schronić pod okapem. Dziś w nocy nie padało i siedział w samochodzie – gdyby zjawił się parkingowy, przestawiłby auto. Przez zasłonę w oknie Hobdena przechodziło słabe światło. Co jakiś czas padał na nią cień. Hobden należał do ludzi, którzy nie potrafili zbyt długo usiedzieć w miejscu. Choć River niechętnie przyznawał, że mają ze sobą cokolwiek wspólnego, to akurat ich łączyło. Żaden z nich nie potrafił zbyt długo spokojnie spoczywać we własnej skórze.

A teraz River prawie wyskoczył ze swojej. Co do...

Pukanie w szybę; nie widział, żeby ktoś się zbliżał.

Ktokolwiek to był, pochylił się i zajrzał do samochodu.

– River – szepnęła.

Jezu, pomyślał. Sid Baker.

Otworzył drzwi. Wsunęła się do środka, zamknęła je, a potem strząsnęła z głowy kaptur. Trzymała dwie kawy na wynos.

– Sid? Co tu, u diabła, robisz?

– Mogłabym cię spytać o to samo.

– Śledziłaś mnie?

– Masz nadzieję, że nie, co? – Podała mu jedną kawę i musiał bezsilnie ją przyjąć. Zdjęła polistyrenowe wieczko ze swojej i buchnęła para. – Bo to by oznaczało, że szłam za tobą przez pół Londynu, a ty nic nie zauważyłeś. – Delikatnie podmuchała na kawę. – Pieszko. A to by znaczyło, że jestem dość wyjątkowa.

Otworzył swój kubek i ochlapał sobie uda gorącą kawą. Podała mu serwetkę. Męczył się z nią, próbując się wytrzeć i nie rozlać przy tym więcej.

– Czyli co, domyśliłaś się, że tu będę?

– To nie było aż takie trudne.

No świetnie, pomyślał. Uwielbiał, kiedy można go było przejrzeć na wylot.

– I pomyślałaś, że mogę tęsknić za towarzystwem?

– Szczerze ci powiem, że nic takiego nie pomyślałam. – Spojrzała nad jego głową. – Które jest Hobdena?

River jej pokazał.

– I jest sam?

– Z tego, co wiem. Dlaczego tu jesteś?

– Słuchaj – powiedziała – pewnie się mylisz. Gdyby Hobden miał coś wspólnego z Hassanem...

– Ujawnili jego imię?

– Nieoficjalnie. Ale MI5 je ma i Ho dogrzebał się do tego jakieś dwie godziny

temu. Niezły z niego spryciarz. Dobrze, że dla nas pracuje.

– I kim on jest?

– Nazywa się Hassan Ahmed. Ho pewnie już zdążył ustalić, jaki nosi numer buta, ale kiedy wychodziłam, miał tylko tyle. W każdym razie, gdyby Hobden był w to zamieszany, na pewno nie byłby już na wolności. MI5 by go zgarnęło.

– Przyszło mi to do głowy – powiedział River.

– I?

Wzruszył ramionami.

– Wiem, że coś kombinuje.

– To, co przeglądałeś w pubie. Jesteś już gotów mi powiedzieć, o co w tym chodziło?

Równie dobrze mógł to zrobić. Nie zdołałby jej przecież przekonać, że liczba pi była jego hobby.

– To były pliki Hobdena – powiedział. – Te, które ukradłaś.

– Że co proszę?

Najkrócej, jak potrafił, opowiedział jej, co zrobił.

Kiedy skończył, Sid milczała przez pełną minutę. Cieszył się z tego.

Mogła przecież zacząć tłumaczyć mu, jakim jest skończonym idiotą; wyjaśniać, że kradzież mienia rządowego to jedno, a kradzież tajnych informacji to już coś zupełnie innego. Nawet jeśli te informacje okażą się bezużyteczne. Nie musiał tego wszystkiego słuchać. I nie wspomniała też o tym, że ponieważ jej to powiedział, postawił ją w takiej samej sytuacji. Gdyby River trafił na ławę oskarżonych, siedziałaby tam obok niego. Chyba że teraz wysiadłaby z samochodu i zadzwoniła po psy.

Zamiast tego po minucie powiedziała:

– I o co chodzi z tym pi? To szyfr?

– Nie sądzę. Myślę, że jego backup to atrapa. Myślę, że jest paranoikiem, który spodziewa się, że ktoś ukradnie mu pliki, i chce mieć pewność, że ten ktoś niczego nie znajdzie. Nie, nawet więcej. Chce, żeby ten ktoś wiedział, że się tego spodziewał. Chce być tym, który śmieje się ostatni.

River przypomniał sobie coś jeszcze: że Hobden zawijał kuchenne odpadki w strony „Searchlight”, antyfaszystowskiej gazety. W ten sposób mówił każdemu, który grzebał w jego śmieciach: „Wsadź to sobie w dupę”. „Myślisz, że nazywa nas nazistami?” – River spytał Lamba. „Cóż, tak” – powiedział mu Lamb. „Oczywiście. Oczywiście, że nazywa nas nazistami”.

– Nie pomylił się – stwierdziła Sid. – To znaczy rzeczywiście ukradłam mu pliki. A ty przetrząsałaś jego śmieci.

– A tamta lista nie trafiła do internetu przypadkiem – dodał River. – Nie czarujmy się, MI5 solidnie go wydymało.

– I chce się zemścić, planując egzekucję jakiegoś dzieciaka? Wiesz, jakie byłyby reakcje, gdyby naprawdę do tego doszło?

– Potrafię sobie wyobrazić. – Kawa wciąż była za gorąca. Odstawił ją na deskę rozdzielczą. – Wspólnoty muzułmańskie wyległyby na ulice. Liberalna lewica

okazywałyby im mnóstwo sympatii, bo w sumie czemu nie: jakiś niewinny dzieciak został zabity przed kamerą. Ale to nie byłoby tylko demonstranci machający transparentami i domagający się szacunku. Chodziłoby o zemstę. Noże poszłyby w ruch i Bóg wie, co jeszcze.

– O to mi właśnie chodzi. Może i Hobden jest kompletnym świrem, ale jest też patriotą, cokolwiek miałyby to w jego przypadku oznaczać. Naprawdę uważasz, że chciałby chaosu na ulicach?

– Tak. Bo po chaosie następują zdecydowane kroki i o to mu właśnie chodzi. Nie o pierwszą reakcję, tylko o to, co będzie potem, kiedy wszystko zrobi się naprawdę paskudne. Bo nikt nie chce, żeby telewizja pokazywała, jak zabijają dzieciaka, ale ludzie jeszcze bardziej nie chcą zamieszek pod swoimi domami.

– Nie cierpię teorii spiskowych – stwierdziła Sid.

– Kiedy już znajdziesz dowody, to przestaje być teorią. Potem jest już tylko spiskiem.

– I w czym dokładnie ma pomóc siedzenie pod mieszkaniem Hobdena?

– Powiem ci o tym rano.

– Naprawdę planujesz siedzieć tu przez całą noc?

– Nie zdążyłem jeszcze niczego zaplanować.

Pokręciła głową i upiła łyk kawy.

– Jeśli nic się nie będzie działo, stawiasz śniadanie.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, ale zanim to się stało oczywiste, przysła jej do głowy inna myśl.

– River?

– Co?

– Wiesz, że jesteś idiotą?

Uśmiechnął się, ale najpierw odwrócił głowę, żeby tego nie zauważyła.

To było o dziesiątej. Przez następną godzinę wszystko wskazywało na to, że River będzie stawiał śniadanie; na ulicy prawie nie było ruchu i nie działo się nic, co miałyby związek z Hobdenem. W jego oknie dalej paliło się światło. Od czasu do czasu na zasłone padał cień, co świadczyło, że wciąż tam był albo że ktoś tam jest – może River powinien zapukać do drzwi. To by mogło sprowokować jakąś reakcję.

Ale prowokacja nie wchodziła w grę. „To zniekszałca dane”. Słowa Spidera Webba podczas jakiegoś seminarium: „Sprowokowanie celu do działania, którego w przeciwnym razie mógłby nie podjąć, zniekszałca dane”. Spider z pewnością powtarzał to jak papuga po kimś, kto miał pojęcie, o czym mówi. Inna rzecz, że jeśli Spider był przeciw, to River był za.

Już pięć razy zdążył odbyć tę dyskusję z samym sobą i nie zbliżył się do rozwiązania.

Na ile się dało, wyciągnął nogi, starając się, żeby nie było tego za bardzo widać. Był ubrany jak na co dzień: niebieskie dżinsy, biała koszula bez kołnierzyka i szary sweter z dekoltem w szpic. Sid miała na sobie czarne dżinsy i sweter z kapturem. Nie rzucała się w oczy, ale wyglądała dobrze. Odsunęła fotel do tyłu i była prawie ukryta w cieniu, ale raz na jakiś czas jej oczy odbijały w jego stronę światło pobliskiej

latarni. Myślała o nim. Kiedy kobieta o tobie myśli, to zawsze jest albo dobrze, albo źle. W tym przypadku River nie miał pojęcia.

Żeby to zakończyć, powiedziała:

– To dlaczego wstąpiłaś do tajnych służb?

Teraz spojrzała mu w oczy.

– No jak to? Dla chwały.

– No dobra, to na potrzeby show; a tak naprawdę?

– Wiesz, nie jestem głupia.

– Wcale tak nie myślałem.

– Skończyłam orientalistykę.

– To musi być pocieszające.

Przewróciła oczami.

– Byłoby bardziej pocieszające, gdybyś się zamknął.

A więc się zamknął.

Chodnik świecił pustkami, ruch był niewielki.

Przechadzając się po mieszkaniu... Hobden mógł wydawać polecenia przez komórkę albo wysyłać e-maile do współpracowników.

River nie sądził jednak, żeby tak było. Nie sądził, żeby Hobden zrobił cokolwiek, co zostawia elektroniczne ślady. Po prostu przechadzał się jak kot w klatce, czekał, aż coś się wydarzy.

River potrafił to zrozumieć.

– Jesteś z rodziny szpiegów – powiedziała Sid.

Kiwnął głową.

Kiedyś to nie było aż takie rzadkie; tak samo jak w niektórych rodzinach byli sami policjanci albo hydraulicy. Nawet teraz można było spotkać agentów w trzecim, a nawet czwartym pokoleniu; życiowe role przekazywane jak rodowe srebra. Z dziadkiem, który był legendą MI5, River nigdy nie miał szans. Ale to była opowieść Sid, więc nic nie powiedział.

– Ja nie mam takiego rodowodu. Nigdy nie zastanawiałam się nad służbą cywilną, a już tym bardziej nad tym. Chciałam pracować w bankowości. Mama jest adwokatem. Zamierzałam zarabiać jeszcze więcej niż ona. Bo to jest miarą sukcesu, prawda? Zarabiać więcej niż twoi rodzice.

Znów kiwnął głową, choć myśl o tym, że jego matka miałyby zarabiać pieniądze, wydała mu się dość zabawna.

– Ale wciąż byłam na studiach, kiedy wybuchły bomby.

To również nie było niespodzianką. Od czasu, gdy wybuchły bomby, do tajnych służb nie dołączył nikt, dla kogo nie było to przynajmniej jednym z powodów.

Słuchał, nie patrząc na nią. Ludzie opowiadali o tamtym dniu na różne sposoby. Albo to była opowieść o nich, w której pojawiały się bomby, albo opowieść o bombach, a oni akurat byli w pobliżu. Niezależnie od tego, jak miało być w tym przypadku, to będzie dla niej łatwiejsze, jeśli nie będzie patrzył.

– Byłam na stażu w jednym z banków w City. Praca na lato, byłam tam nowa, więc nie wiedziałam, że na dojazd powinno się wkładać sportowe buty. A drugą parę

trzymać w biurze, wiesz? W każdym razie wychodziłam właśnie z Aldgate i wtedy to usłyszałam. To nie był tylko hałas, to było... jakby coś wezbrało. Tak jak wtedy, gdy otwierasz opakowanie próżniowe i wtedy uwalnia się powietrze. Tylko że na większą skalę. I wiedziałam, co się stało; wszyscy to wiedzieli. Jakbyśmy od trzech i pół roku na to czekali. I nie zdawali sobie z tego sprawy aż do tamtej chwili.

Na drugim końcu ulicy pojawił się samochód i jego światła przygwoździły ich do miejsc.

– Zabawne, że było tak mało paniki. To znaczy na ulicy. Zupełnie jakby wszyscy wiedzieli, że to była chwila, kiedy należało się porządnie zachowywać. Nie zgrywać bohatera... tylko pozwolić profesjonalistom wykonywać ich robotę. I przez cały ten czas opowiadano sobie o innych bombach, o wybuchach w autobusach i coś o helikopterze, który uderzył w pałac Buckingham. Nie wiem, skąd się wzięło to ostatnie. Były też inne pogłoski, które błyskawicznie rozprzestrzeniały się w internecie. Nawet dla zimnokrwistych to był moment, gdy można było przejrzeć na wylot tkanę samego miasta i zobaczyć, jak kruche są jego fundamenty. W każdym razie zanim dotarłam na miejsce, moje biuro ewakuowano. Ćwiczyliśmy to wcześniej. Zbieraliśmy się na zewnątrz i każdy z ponurą miną zerkał na zegarek, kiedy strażacy liczyli głowy. Ale tamtego dnia rano nawet nie weszłam do budynku. Można było zrozumieć ich logikę. To byłby cholernie dobry moment, żeby napaść na bank.

Jej głos przybrał ton, w jaki wpadają ludzie, kiedy wiedzą, że nikt im nie przerwie; kiedy historia, którą dotąd powtarzali sobie w głowach, znajduje publiczność. Gdyby nie siedzieli w samochodzie, myślał River, mógłby się po cichu wymknąć, a Sid mówiłaby dalej.

– W każdym razie... często to mówię, prawda? W każdym razie. W każdym razie poszłam do domu. Siódmego lipca wielu londyńczyków tak zrobiło. Wracali do domu pieszo. I zanim dotarłam do domu, moje stopy były we wstążkach... Założyłam do pracy obcasy. Bo byłam nowa, chciałam wyglądać elegancko i czuć się seksowna, bo w końcu to było City... I dlatego że nikt mi nie powiedział, że w drugim tygodniu pracy banda morderców wyleje swoje porąbane żale w metrze, zabijając pięćdziesiąt dwie osoby i na pół dnia unieruchamiając Londyn. – Zamrugała. – Dotarłam do domu i wstawiłam buty do szafki. Od tego czasu tam stoją. Każdy ma swoją pamiątkę, prawda? Moją jest para zniszczonych butów w szafce. Zawsze, kiedy na nie patrzę, myślę o tamtym dniu. – Spojrzała na Rivera. – Nie wyrażam się zbyt jasno, co?

– Byłaś tam. – Zabrzmiało to ochryple. Odchrząknął. – To twoje wspomnienia. Nie muszą być jasne.

– A co z tobą?

Chodziło jej o to, gdzie był, kiedy wybuchły bomby.

Tak się składało, że był na urlopie; ten wyjazd do Włoch miał być ostatnią szansą dla niego i dziewczyny z jego ostatniego poważnego związku. Nie miała nic wspólnego z tajnymi służbami. Tego dnia obserwował więc rozwój wydarzeń na CNN, kiedy akurat nie próbował gorączkowo przesunąć swojego lotu do Anglii na wcześniejszy termin. „Swojego” lotu, bo ona tam została. Nie był pewny, czy w ogóle wróciła.

Czasami River Cartwright czuł się jak zawodowy żołnierz, który nigdy nie był na wojnie. Zamiast odpowiedzieć, stwierdził:

– Czyli dlatego zgłosiłaś się do MI5. Żeby takie rzeczy się więcej nie wydarzały.

– Brzmi to naiwnie, prawda.

– Nie. To część tej pracy.

– Myślałam sobie, że... Nawet jeśli miałabym tylko przerzucać papiery. Przeszukiwać strony internetowe. Nawet jeśli będę tylko robić herbatę ludziom, którzy dbają o to, żeby coś takiego się już nigdy nie wydarzyło, to mi to wystarcza. Po prostu w tym uczestniczyć.

– Uczestniczysz w tym.

– Ty też.

Ale robienie herbaty nie wystarczy. Nie powiedział tego na głos.

Dalej na ulicy inny samochód skręcił z głównej drogi i niemal natychmiast się zatrzymał. Przez chwilę stał z włączonymi światłami i River słyszał pomruk silnika. Potem silnik zgasł.

– River...

– Co?

– Chciałaś wiedzieć, dlaczego przydzielili mnie do Slough House.

– Nie przejmuj się tym – odparł.

– Przejmuję się.

Pokręcił głową.

– Nie muszę znać szczegółów. – Bo jeśli się nad tym zastanowić, wcale nie trzeba być geniuszem. Sid musiała wprawić w zakłopotanie niewłaściwą osobę, albo nie idąc z nim, lub z nią, do łóżka, albo tym, że to zrobiła i rano wciąż tam była. Nie pasowała do Slough House. Ale to nie był powód, żeby musiała mu o tym opowiadać. – Ja sam strasznie nawaliłem – powiedział.

Bomby w metrze skłoniły Sid, by dołączyła do tajnych służb. Nieistniejąca bomba na peronie metra niemal sprawiła, że River z nich wyleciał. Może pewnego dnia będzie w stanie powiedzieć to na głos i usłyszy jej śmiech; może nawet usłyszy własny śmiech. Ale jeszcze nie teraz.

– Ja nie nawaliłam, River.

Samochód stojący przed nimi prawie całkowicie zasłaniał Riverowi widok na ten, który przed chwilą zaparkował, ale widział, że nikt z niego nie wysiadł.

– To znaczy: jest powód, dla którego tu jestem.

Może dzwonił przez komórkę. Albo na kogoś czekał. Może to był rzadki przykład kogoś, kto podjeżdża po zmroku pod dom przyjaciela i powstrzymuje się przed naciśnięciem klaksonu.

– River?

Nie chciał tego słuchać. Równie dobrze mógł się od razu przyznać; nie chciał usłyszeć historii związanej z seksem. Miesiącami udawał, że jej prawie nie zauważa; to był sposób zabezpieczenia się przed odrzuceniem, bo Bóg wiedział, że już był odrzutem. Cały świat wiedział o tym, że zaważył na King's Cross. Używali tych nagrań podczas szkolenia.



– Jezu...

Chyba dostrzegł jakiś ruch dalej na ulicy. Czy jeden cień oderwał się od zaparkowanego samochodu i połączył z większymi cieniami na chodniku? Nie był w stanie powiedzieć. Ale jeśli tak, zrobiono to zbyt dobrze, by mogło być przypadkowe.

– Możesz się, kurwa, skupić?

– Słucham cię – powiedział. – Co to za powód... przez który trafiłaś do Slough House?

– Ty nim jesteś.

I teraz się, kurwa, skupił. Sid z połową twarzy ukrytą w cieniu, a drugą białą jak płótno oznajmiła:

– 009">Przeniesiono mnie, żebym miała cię na oku, River.

– Żartujesz, prawda?

Pokręciła głową.

– Żartujesz.

Jedno oko – to, które widział – spoglądało na niego spokojnie. Spotykał już dobrych kłamców i być może Sid się do nich zaliczała. Teraz jednak nie kłamała.

– Dlaczego?

– Nie powinieneś tego wiedzieć.

– Ale mi o tym mówisz. Prawda? Powiesz mi.

To duszące uczucie nie było niczym nowym. Czuł je co rano, było równie znajome jak sygnał budzika. To ono wyrывało go ze snu. Biała koszula. Niebieski T-shirt. Niebieska koszula. Biały T-shirt... Były takie dni, kiedy nie pamiętał, co powiedział Spider, a jak facet był naprawdę ubrany; wiedział na pewno tylko tyle, że Spider go wystawił, ale pod tym była tylko warstwa zdziwienia. Spider go wydymał, żeby otworzyć sobie drogę do awansu? Nie żeby nie był takim sukinsynem. Spider był dokładnie takim sukinsynem. Ale nie był wystarczająco bystrym sukinsynem. Bo wtedy nie musiałyby tego robić. Od początku miałyby nad Riverem przewagę.

A teraz Sid mówiła mu, że odpowiadał za to ktoś inny – że ktoś pociągał za sznurki jego kariery. Została przeniesiona do Slough House, żeby mieć go na oku. A kto mógł coś takiego zrobić oprócz osoby, która najpierw umieściła tu Rivera?

– Sid...

W tym momencie jej oczy się rozszerzyły i na coś pokazała.

– River? Co to?

Odwrócił się i zdążył dostrzec czarny kształt znikający za półtorametrowym murkiem na prawo od okna Hobdena.

– Sid?

– Wyglądał jak... – Jej oczy się rozszerzyły. – Zadaniowiec?

Ubrany na czarno. Ciężko uzbrojony. Nazywano ich tak, bo potrafili wykonać swoją robotę.

Zanim dokończyła, River wyskoczył z samochodu.

– Pilnuj drzwi. Ja się zajmę murkiem.

Przeliczył się jednak i właściwie się z nim zderzył. Musiał się cofnąć i spróbować

jeszcze raz. W końcu niezgrabnie się na niego wgramolił i spadł do ogrodu po drugiej stronie: głównie trawnik, otoczony wąską rabatą. Tu i ówdzie plastikowe meble; stolik z zapomnianym, ociekającym parasolem. I nikogo w polu widzenia.

Ile minęło czasu, odkąd pojawił się ten kształt? Piętnaście sekund? Dwadzieścia?

Budynek miał na tyłach wspólny hol. Były tu dwuskrzydłowe przeszklone drzwi – teraz szeroko otwarte. Kiedy River wchodził do holu, dalej w korytarzu na lewo od niego zamknęły się inne drzwi, przecinając na pół jakiś hałas. Pół sylaby. Nutka szoku.

Buty Rivera stukały o kafelki w holu.

Miał do wyboru dwoje drzwi, ale jeśli mapa w jego głowie się zgadzała, te Hobdena znajdowały się na lewo. Domyślił się, że facet ubrany na czarno od razu do niego wszedł – klucz uniwersalny albo wytrych. Ale czy to naprawdę był zadaniowiec? A jeśli tak, to co właściwie River wyprawiał... Ale było już za późno, czas uciekał za szybko, był tu i teraz, przywarł do ściany korytarza. Ten sam but, który przed chwilą stukał w holu, z głuchym tąpnięciem uderzył w drzwi, otworzyły się i już był w mieszkaniu.

Krótki korytarz, znów drzwi po obu stronach, jedno i drugie uchylone, łazienka i sypialnia. Korytarz kończył się salonem, na którego tyle były frontowe drzwi – to je obserwował, siedząc po drugiej stronie ulicy. Resztę pokoju zajmowały książki, papiery, przenośny telewizor, sfatygowana sofa, stół zarzucony resztkami jedzenia na wynos, zasłonięte okno, przez które śledził poruszający się cień Hobdena. Niespokojny ruch sugerował, że dziennikarz czegoś się spodziewał. I właściciel cienia też tu był.

River nigdy dotąd nie widział Hobdena, ale to musiał być on: średniego wzrostu, z rzadkimi ciemnoblonde włosami i wyrazem przerażenia na twarzy, gdy odwrócił ją w stronę tego nowego intruza, podczas gdy poprzedni, zadaniowiec, miażdżył go w uścisku. Tyle tylko że to nie był zadaniowiec: ubrany na czarno, nosił kominiarzkę i pas taktyczny, ale w tym wszystkim brakowało jakości, jaką zapewniono by prawdziwemu zadaniowcowi. A poza tym broń, którą trzymał przy głowie Hobdena, była kalibru .22 – mała i nieużywana w tajnych służbach.

A teraz ta broń przesunęła się w stronę Rivera i jej rozmiar stracił znaczenie. River wyciągnął rękę, jakby próbował uspokoić zdenerwowanego psa.

– Może to odłożymy? – Zaskoczył sam siebie tymi banalnymi słowami i spokojnym tonem.

Hobden wyrzucił z siebie pełen emocji bełkot: „Co się dzieje kim jesteście dlaczego”, i ubrany na czarno mężczyzna uciszył go uderzeniem w głowę, a potem pokazał Riverowi, że ma się położyć na podłodze. Myśli w głowie Rivera ucięły sobie chaotyczną pogawędkę. „Ten gość nie jest ze służb. Zdejmij go. Skąd jesteś taki pewien, że jest sam?” A potem się rozproszyły.

River klęknął, mierząc odległość między swoją ręką a ciężką popielniczką na pobliskim stole. Mężczyzna wciąż się nie odzywał. Zacisnąwszy ramię wokół gardła Hobdena, pociągnął go w stronę frontowych drzwi, wciąż mierząc do Rivera. Kiedy je otwierał, na chwilę puścił dziennikarza. Do środka wtargnęło zimne powietrze. Znów

złapał Hobdena i się wycofał, skupiając całą uwagę na Riverze. Jakikolwiek miał plan, nie uwzględnił w nim Sid, która czekała na zewnątrz. Chwyliła rękę Hobdena, a River złapał popielniczkę i rzucił się do przodu, zamierzając przyłożyć nią facetowi z bronią. Hobden upadł na chodnik. River w jednej chwili doskoczył do pozostałej dwójki – trzeci element trójkąta, który bynajmniej nie okazał się trójkątem miłosnym. Broń cicho zakaszłała. Trójkąt się rozsypał.

Jedno z nich upadło na ziemię, lądując dokładnie w kałuży, której jeszcze chwilę temu tam nie było. Rosła, stawała się coraz większa i ciemny jak atrament strumyk popłynął do studzienki, w ogóle nie zważając na odgłosy ucieczki, strachu i popłochu wokół.

CZĘŚĆ DRUGA

**Cwane kurwy**

Teraz, gdy Hassan wiedział już, że umrze, ogarnęło go poczucie spokoju. Było to prawie surrealistyczne, choć słowo to nie do końca oddawało jego stan. Transcendentne – tak, to pasowało najlepiej. Osiągnął wewnętrzny spokój, jakiego nigdy dotąd nie zaznał. Kiedy na to spojrzeć z boku, życie jest jak rollercoaster. Szczegóły tego podniecającego doświadczenia w tej chwili mu umykały, ale musiało ich być mnóstwo, bo w przeciwnym razie uczucie uwolnienia nie byłoby tak wyczekiwane. Czymkolwiek to było, nie będzie musiał znów przez to przechodzić. Śmierć wydawała się niewielką ceną.

I gdyby udało mu się pozostać w tym stanie, mógłby jakoś przetrwać godziny, które mu jeszcze zostały, ale za każdym razem, gdy dochodził do tego punktu i docierało doń paskudne znaczenie słów „śmierć” i „cena”, jego umysł całkowicie pozbywał się spokoju i w jego miejsce pojawiała się panika. Miał dziewiętnaście lat. Nigdy nie jechał prawdziwym rollercoasterem, nie wspominając już o przekonaniu się, że jest nim samo życie. Przeżył bardzo niewiele tego, czego miał prawo oczekiwać. Nigdy nie stał w świetle reflektorów, sypiąc dowcipami przed pełnym uwielbienia tłumem.

Larry, Moe i Curly.

Curly, Larry i Moe.

Kim byli ci ludzie i dlaczego go wybrali?

Oto cała historia: Hassan był studentem, który chciał zostać komikiem. Fakty jednak były takie, że pewnie skończyłby, robiąc coś zupełnie zwyczajnego; coś, co robi się w biurze. Studiował zarządzanie. Pieprzone zarządzanie. Gdyby powiedzieć, że wybrał je za niego ojciec, nie byłoby to do końca prawdą, ale prawdą było, że jego ojciec popierał ten wybór o wiele bardziej niż na przykład szkołę teatralną. Hassan bardzo chciał iść do szkoły teatralnej. Musiałby jednak sam sfinansować studia, więc co szkodzi, że popłynął z prądem? Dzięki temu miał mieszkanie, samochód i – no cóż – pewne poczucie bezpieczeństwa. Tym właśnie było zarządzanie. Czymś, na czym mógłby się oprzeć, gdyby kariera w stand-upie nie wypaliła.

Zastanawiał się teraz, ilu było ludzi, wliczając tych niezagrożonych egzekucją w wilgotnej piwnicy, którzy wcielali w życie swój plan awaryjny, którzy byli biurwami albo sprzętacami, nauczycielami, hydraulikami, ekspedientami, informatykami, pastorami albo księgowymi, tylko dlatego, że rock and roll, futbol, filmy i pisanie nie wypaliły. I doszedł do wniosku, że odpowiedź brzmi: wszyscy. Każdy chciał mieć niezwykle życie. I tylko niewielkiej mniejszości się to udawało, i nawet oni pewnie tego za bardzo nie doceniali.

A więc w pewnym sensie Hassan całkiem nieźle trafił. Teraz miał niezwykle życie. Czekala go sława. Choć to prawda, że za bardzo tego nie doceniał, chyba że w tych transcendentnych chwilach wewnętrznego spokoju, kiedy stawało się jasne, że

przejażdżka rollercoasterem dla niego się skończyła i mógł sobie odejść, odejść, odejść...

Larry, Moe i Curly.

Curly, Larry i Moe.

Kim byli ci ludzie i dlaczego go wybrali?

Straszne było to, że Hassan chyba wiedział.

Wydawało mu się, że wie.

W pubie w pobliżu Slough House – przy tym samym stoliku, przy którym wcześniej tego dnia siedzieli River i Sid – pili Min Harper i Louisa Guy: on tequilę, ona wódkę z red bullem. Już trzecią kolejkę. Pierwsze dwie wychylili w milczeniu, a przynajmniej mogło to uchodzić za milczenie w miejskim pubie. W narożniku po przeciwnej stronie grał telewizor, ale żadne z nich na niego nie zerkąło z obawy, że zobaczą chłopaka w piwnicy; jedyny temat tego dnia, który w końcu wypływał na powierzchnię jak bąbel powietrza uciekający spod kamienia w stawie.

– Biedny dzieciak.

– Myślisz, że to naprawdę zrobią?

– Że mu utną...?

Utną mu głowę, pomyśleli oboje i skrzywili się na to sformułowanie.

– Przepraszam.

– Ale jak myślisz?

– Tak. Tak, myślę, że to zrobią.

– Ja też.

– Bo nie przedstawili...

– ...żadnych żądań. Powiedzieli tylko...

– ...że go zabiją.

Oboje odstawili szklanki i ich brzęk odbił się echem od ścian.

Tego wieczoru Głos Albionu ogłosił na swojej stronie, że Hassan Ahmed zostanie stracony za trzydzieści dwie godziny. „52 ofiary w metrze = 52 ofiary w akcie zemsty” – brzmiało uzasadnienie. I to nie wszystko: był też ten sam co zwykle bełkot o tożsamości narodowej i wojnie na ulicach. Cała witryna składała się z jednej strony, na której nie było żadnych dowodów potwierdzających te stwierdzenia, a trzynaście innych grup transmitowało w tej chwili film z Hassanem, przyznając się do odpowiedzialności za porwanie. Ale Ho przechwycił słowa „Głos Albionu” z notatki służbowej w Regent’s Park, więc wydawało się jasne, kto według MI5 za to odpowiadał. Ho był zdziwiony, że ich strona pojawiła się dopiero dwa tygodnie temu, a w sieci było niewiele innych odniesień do tej grupy.

Ale nazwisko oznaczało postęp.

– Teraz już wiedzą, kim jest, będą wiedzieli, gdzie szukać.

– Pewnie od dawna wiedzieli, kim jest.

– Pewnie wiedzą o wiele więcej, niż powiedzieli.

– Nie żeby mieli ochotę nam o tym mówić.

– Slough House. Za proste rzeczy w życiu.

Takie jak przeczesywanie Twittera w poszukiwaniu zaszyfrowanych wiadomości.

Jak kompilowanie list zagranicznych studentów, którzy opuścili więcej niż sześć wykładów na semestr.

Dokończyli drinki i zamówili kolejne.

- Ho się pewnie rozkręca.
- Ho wie wszystko.
- Tak mu się wydaje.
- Ta jego mina, kiedy odkrył, że to pętla.
- Zupełnie jakby złamał kod Enigmy.
- Jakby to było najważniejsze, że film jest zapętłony.
- I jakby ten dzieciak to były tylko piksele.

A potem po raz pierwszy spojrzeli na siebie, nie udając, że tego nie robią. Alkohol żadnemu z nich się nie przysłużył. Louisa miała tendencję do rumieńców, co byłoby w porządku, gdyby jej policzki różowiły się równomiernie – miała jednak na nich cętki i plamy, a jej skóra zaczęła przypominać źle poskładaną mapę. Jeśli chodzi o Mina, jego twarz obwisła, wzdłuż szczęki pojawiły się fałdki, a uszy były równie czerwone jak oczy. Wszędzie w całym mieście – i na całym świecie – zdarzały się takie rzeczy: koledzy z pracy zaprzepaszczali swoje szanse w pubie i mimo to brnęli dalej.

- Lamb na pewno wie więcej.
- Więcej?
- Więcej niż my.
- Myślisz, że jest w kręgu poinformowanych?
- Bardziej niż reszta z nas.
- Niewiele mówi.
- Znam jego hasło.
- Naprawdę?
- Tak mi się wydaje. Chyba nigdy nie...
- Nie mów mi!
- ...nie zmienił domyślnego na inne.
- Klasyka!
- Jego hasło to „Hasło”!
- Jesteś pewien?
- Ho tak uważa.
- I ci o tym powiedział?
- Komuś musiał. Żeby udowodnić, jaki jest bystry.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w swoje szklanki. Potem ich oczy znów się spotkały.

- Jeszcze po jednym?
- Tak. Może. Albo...
- Albo?
- Albo może wróćmy do biura?
- Już późno. Nikogo tam nie będzie.
- Właśnie o to mi chodzi.

- Myślisz, że powinniśmy...
- Sprawdzić informacje Ho?
- Jeśli Lamb cokolwiek wie, to będzie w jego e-mailach.

Oboje zastanowili się, jakie wady ma ten pomysł, i znaleźli ich całkiem sporo. Oboje postanowili o tym nie wspominać.

- Jeśli nas złapią na przeglądaniu e-maili Lamba...
- Nie złapią nas.

Gdyby ktokolwiek tam był, w oknach paliłyby się światła i byłoby je widać od ulicy. Slough House nie miał najwyższych zabezpieczeń.

- Jesteś pewna, że to ma sens?
- Bardziej niż siedzenie tutaj i upijanie się. To nikomu nie pomaga.
- To prawda.

Każde czekało, aż to drugie zrobi pierwszy ruch.

Koniec końców najpierw wypili jeszcze jedną kolejkę.

Bywał już w szpitalach, ale ostatni raz zdarzyło mu się to w dzieciństwie. Był jeden kiepski rok, kiedy River został tam uwięziony dwa razy: za pierwszym razem na wycięcie migdałków, a potem ze złamaną ręką, gdy spadł z wielkiego dębu dwa pola od domu dziadków. Nie po raz pierwszy wlaź na to drzewo, ale już wcześniej miał problemy z zejściem na dół. Tym razem problemów nie było. Tylko grawitacja. Po powrocie do domu próbował o tym nie wspominać, bo wcześniej obiecywał, że nie zrobi sobie krzywdy, łażąc po drzewach, ale w końcu był zmuszony przyznać, że ledwie jest w stanie utrzymać widelec. S.D. opowiadał mu później, że dopiero gdy River to przyznał, stał się blady, potem jeszcze bledszy i w końcu upadł na podłogę.

Leżąc teraz w ciemności, pamiętał ten epizod głównie dlatego, że gdy był w szpitalu, zjawiła się jego matka. Widział ją po raz pierwszy od dwóch lat; twierdziła, że dopiero tego popołudnia wróciła do Anglii. „Możliwe, że w tej samej chwili, kiedy spadłeś, kochanie. Nie sądzisz, że tak właśnie było. Że wiele kilometrów dalej wyczułeś moje przybycie?”

Nawet w wieku dziewięciu lat River miał problemy z tym scenariuszem i niespecjalnie się zdziwił, gdy później się dowiedział, że Isobel była w kraju już od kilku miesięcy. Ale mniejsza z tym, teraz była przy nim, nie kręcił się w pobliżu jego „nowy ojciec” i nie przejęła się, że River powiedział pielęgniarce, że jest sierotą. Właściwie jedyną rzeczą, jaka ją rozemocjonowała, było niedopatrzenie jej rodziców.

- Chodzenie po drzewach? Jak mogli ci pozwolić na coś takiego?

Wypieranie się winy było jednak tak zakorzenione w jej charakterze, że nawet ludzie wokół niej się na to godzili. River też nie był na to odporny. Z krzywd, jakie mu wyrządziła, niewiele dało mu się we znaki tak bardzo jak jego imię, ale nawet jako dziewięcioletek rozumiał, że mu się upiekło. Po fazie hipisowskiej Isobel Cartwright miała równie krótką fazę germańską i gdyby był o rok młodszy, mógłby dostać na imię Wolfgang. Podejrzał, że dziadka by to wkurzyło. S.D. był mistrzem nie tylko w tworzeniu fałszywych tożsamości, ale i w niszczeniu prawdziwych.

Dawne czasy. Upłynęło wiele wody w rzece. River to była nazwa wody przepływającej pod mostem. Leżąc w innym szpitalu, River zastanawiał się, kim by



był, gdyby urodziła go inna matka; taka, która nie burzyła się tak mocno, choć nieskutecznie, przeciwko swojemu drobnomieszczańskiemu wychowaniu. Wtedy nie wychowaliby go dziadkowie. Nie spadłby z drzewa albo spadłby z nie tego drzewa. I nie oczarowałyby go idea tajnych służb; życia wolnego od monotonii... Ale matka pojawiała się i znikwała w jego życiu jak piosenka. Podczas jej dłuższych nieobecności zapominał słów; kiedy była w pobliżu, zawsze mógł dodać kolejne do listy. Była piękna, ulotna, samolubna, dziecinna. Ostatnio do niego dotarło, jak krucha się stała. Często wyobrażała sobie, że sama go wychowała, i potrafiła całkiem przekonująco się najeżyć, gdy przypominano jej, że było inaczej. Lata buntu nie tylko miała już za sobą; one należały do kogoś innego. Isobel Dunstable – jej ostatnie małżeństwo było udane i szybko przyniosło jej poważanie, majątek i wdowieństwo – potrafiła spojrzeć na fajkę do haszu, jakby nigdy czegoś takiego nie widziała. Nie tylko jej ojciec był mistrzem w niszczeniu prawdziwych tożsamości.

Myślenie o tych znajomych sprawach było lepsze niż druga opcja, czyli myślenie o zupełnie innych rzeczach.

Za drzwiami dobiegło szuranie; jakby ktoś balansował na krześle, opierając się nogami o przeciwległą ścianę.

Jako chłopiec ze złamaną ręką River poznawał, czym było jego otoczenie: w szpitalach światła skupiały się w kątach, zasłony pełniły funkcję ścian. Rzadko miało się tam prywatność, a niepożądani goście zjawiali się o wiele częściej niż ci drudzy.

Usłyszał kroki w korytarzu zbliżające się w jego stronę.

Slough House też tonął w ciemności. W Regent's Park, nawet gdy nic się nie działo, zawsze znalazłoby się dość ludzi, by o północy rozegrać mecz: jedenastu na jedenastu, plus sędziowie liniowi. Ale tu była tylko pustka i smród rozczarowania. Wchodząc po zapomnianych schodach, Min Harper doszedł do wniosku, że to miejsce najbardziej przypomina przykrywkę wysyłkowego sklepu imperium pornograficznego, i wraz z tą myślą pojawiło się zniechęcające poczucie, że należy do firmy, na której nikomu nie zależy; w której niemające żadnego znaczenia zadania są wykonywane przez ludzi, których nic to nie obchodzi. Przez dwa ostatnie miesiące Min badał anomalie w opłatach za wjazd do centrum Londynu: właściciele samochodów, którzy nigdy nie uiścili opłaty za wjazd do tej strefy, a część z nich zaprzeczała nawet, że we wskazanym dniu w ogóle się tutaj znaleźli. I raz za razem sprowadzało się to do tych samych nudnych faktów – ci, których na tym przyłapano, byli winni prowadzenia zwykłego życia. Chcieli się zabawić z dala od domu albo przewozili nielegalne płyty DVD, albo podwozili swoje córki do klinik aborcyjnych tak, żeby ich mężowie nigdy się o tym nie dowiedzieli... Istniały takie obozy jenieckie, w których więźniowie przez całe dni nosili kamienie z jednego końca podwórza na drugi, a potem z powrotem. To mogło być zajęcie przynoszące więcej satysfakcji.

Gdzieś wyżej na schodach coś się poruszyło.

– Słyszałeś to?

– Co?

– Nie wiem. Jakiś hałas.

Zatrzymali się na piętrze. Cokolwiek spowodowało ten dźwięk, drugi raz już go nie usłyszeli.

Louisa przysunęła się bliżej do Mina i poczuł zapach jej włosów.

– Mysz?

– Mamy tu myszy?

– Pewnie mamy nawet szczury.

Alkohol zniekształcał i zacierał sylaby.

Niezależnie od tego, co im się wydało, że usłyszeli, to się już nie powtórzyło. Natomiast zapach włosów Louisy trwał dalej. Min odchrząknął.

– Zrobimy to?

– Mmm?

– Chodzi mi o to, czy wejdziemy na górę.

– Jasne. Bo w dół nie wchodzi w rachubę. To znaczy...

Dobrze, że było ciemno.

Ale gdy zaczęli wchodzić na drugie piętro, ich dłonie musnęły się w ciemności, a ich pijane palce się ze sobą splotły, a potem się całowali, i więcej niż całowali; przywarli do siebie w mroku, każde napierało na to drugie, jakby chciało zająć tę samą przestrzeń, którą okazała się ściana w pokoju Loya, pierwszym, do którego weszli.

Minęły trzy minuty.

Po tym, jak złapali oddech, ich pierwsze słowa brzmiały:

– Jezu, nigdy bym...

– Zamknij się.

Zamknęli się.

Dwa piętra wyżej ubrana na czarno postać znieruchomiła w gabinecie Lamba.

Za drzwiami jeden z ekipy Nicka Duffy'ego siedział na plastikowym krzeselku, odchylając je do tyłu tak bardzo, że oparciem dotykało ściany. Dan Hobbs miał za dwie minuty skończyć pracę, kiedy wysłano go tutaj. Gdy ktoś postrzelił agenta, nie istniało coś takiego jak wolny czas. Nawet jeśli tym agentem był kulawy koń. Nawet jeśli był sam sobie winny, bo zrobił coś głupiego.

Choć Hobbs nie znał szczegółów, był gotów uwierzyć, że tak właśnie było w tym przypadku.

Nazwiska agentów były oflagowane, więc gdy tylko wprowadzano je przy przyjęciu do szpitala, sygnał był już w drodze do Regent's Park. Odebrał go Hobbs; od tamtej chwili zdążył ogłosić alarm w związku ze zranieniem agenta, przekroczyć kilka razy ograniczenie prędkości w drodze do szpitala, ustalić odniesione przez agenta obrażenia i odebrać instrukcje od Duffy'ego. „Zabezpiecz wszystkich, którzy są w stanie ustać na nogach, i czekaj tam”. A więc Hobbs to zrobił, w jedynym dostępnym pokoju. W pomieszczeniu magazynowym, tu na dole, wśród duchów.

To było jakieś pół godziny temu i od tamtej pory nie dostał żadnego sygnału. Kiedy ta myśl przyszła Hobbsowi do głowy, mrużąc oczy, jeszcze raz spojrzął na komórkę i dotarła do niego nieprzyjemna prawda.

Nie miał zasięgu.

Cholera.

Szybka wycieczka na górę. To zajmie niecałą minutę. A im szybciej skontaktuje się znów z Regent's Park, tym mniejsze szanse na to, by ktokolwiek zauważył, że w ogóle stracił z nimi kontakt.

Potem usłyszał pisk gumy oznaczający, że ktoś schodzi po schodach.

Hobbs poprawił się na krześle i oparł stopy o podłogę.

Tym razem nie było żadnych wątpliwości. Hałas był na tyle głośny, by oderwać Louisa i Mina od tego, co akurat robili. Trzy minuty później to by nie wystarczyło, ale właśnie na tych krawędziach balansowały wyniki.

– Słyszysz to?

– Słyszałam.

– Dobiegało z góry.

– Z gabinetu Lamba?

– Albo z pokoju Catherine.

Czekali, ale nic więcej nie usłyszeli.

– Myślisz, że to Lamb?

– Gdyby to było on, paliłoby się światło.

Odsunęli się od siebie, zapięli zamki błyskawiczne i bezszelestnie ruszyli do drzwi. Każdy, kto by ich obserwował, mógłby pomyśleć, że wyćwiczyli te ruchy: poruszanie się ukradkiem w mroku, kiedy nieznany przeciwnik czai się gdzieś w pobliżu.

– Broń?

– Biurko.

Skorzystali ze szklanego przycisku do papierów, który całkiem nieźle układał się w ręce, i ze zszywacza, który mógł zastąpić kastet.

– Jesteś pewna, że chcemy to zrobić?

– Wolałabym robić to, co prawie zrobiliśmy przed chwilą.

– Tak, ale...

– Ale teraz musimy zamiast tamtego zająć się tym.

Albo może najpierw. Nieważne.

Nikt, kto by ich obserwował, nie domyśliłby się, że niedawno pili czy ulegli požądaniu, bo znów, zakradając się na schody, wyglądali na zupełnie trzeźwych; Min ruszył przodem, a Louisa szła za nim, obserwując jego ręce, wyczulona na każdy sygnał, jaki Harper mógłby rzucić w ciągnącą się za nim ciszę.

Zbliżający się mężczyzna był otyły, poruszał się ociężale i zapewne zawędrował na dół przez pomyłkę. Prawdopodobnie operowali mu tu serce albo mieli mu założyć opaskę żołądkową. Hobbs przebiegał dwanaście kilometrów dziennie niezależnie od choroby i uważał, że pozwalanie sobie na brak formy było powolnym samobójstwem. Oznaczało, że jeśli dojdzie do walki, zawsze przegrasz, co jemu jeszcze się nie przydarzyło.

Przygotował się na przelotne spotkanie z obywatelem, któremu – formalnie rzecz biorąc – powinien służyć.

Ale mężczyzna okazał się kimś innym. Nie zapytał nawet Hobbsa, kim jest. Zupełnie jakby już to wiedział i jakby go to nie obchodziło.

– Drobną radą – powiedział. – Komórki, Raspberries, tego typu ustrojstwa? Nie działają za dobrze pod ziemią.

Hobbs przybrał nijaki żargon urzędnika służby cywilnej:

– W czym mogę pomóc?

– Cóż – grubas wskazał na zamknięte drzwi – mógłbyś to otworzyć.

– Najwyraźniej się pan zgubił – odparł Hobbs. – Pomogą panu na górze w recepcji. Niezależnie od tego, czego pan szuka.

Mężczyzna przekrzywił głowę.

– Wiesz, kim jestem?

Jezus zapłakał. Hobbs oblizwał wargi i szykował się, by wstać z krzesła.

– Nie miałem jeszcze przyjemności, sir.

Mężczyzna pochylił się nisko i powiedział Danowi prosto do ucha:

– Dobrze.

Jego ręce się poruszyły.

W ciemności schody wydawały się bardziej strome, a może były bardziej strome po wieczorze spędzonym w pubie i szybkim numerku w ciemnym biurze. Ale ta myśl powstała z innego zestawu doświadczeń. Louisa, która wyszła z pubu, Min, z którym przed chwilą się obściskiwali – oboje zrzucili te skóry, kiedy usłyszeli intruza. Teraz znów stali się prawdziwymi ludźmi; ludźmi, którymi byli, zanim nadeszła katastrofa i zostali skazani na wygnanie w tym wilgotnym budynku, na skraju zapomnienia.

Na razie nie dochodziły ich żadne hałasy. Może to był jakiś drobny wypadek, w którym nikt nie uczestniczył, na przykład obraz, który spadł ze ściany. Kiedy w pobliżu przetaczało się metro, niezakotwiczone przedmioty odczuwały przyciąganie grawitacyjne. Być może Min i Louisa skradali się na górę po schodach uzbrojeni w zszywacz i przycisk do papierów, żeby rzucić się na coś, co przed chwilą spadło.

Chociaż jeśli na górze ktoś był, mógł znieruchomieć, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest tu sam.

Para wymieniała ciche komunikaty:

„W porządku?”

„Oczywiście...”

„Szkolili nas do tego”.

„No to chodźmy...”

Ruszyli na górę.

Cokolwiek się właśnie stało, na końcu było słyhać, jak ktoś właśnie upuszcza coś na podłogę. Przedtem były głosy i River jeden z nich rozpoznał, więc nie był szczególnie zdziwiony, gdy drzwi się otworzyły i zjawiła się w nich znajoma postać.

– Jezu na huśtawce! – Jackson Lamb robił tyle hałasu, co pociąg. Włączył światło. – Wstawaj na nogi, człowieku.

Ponieważ River leżał na podłodze. Pod ścianami stały sterty kartonowych pudeł, których etykiety wskazywały na to, co zawierały. Gumowe rękawiczki; prześcieradła

z gumką; plastikowe kubki; jednorazowe sztucce; inne rzeczy. Przestało go to interesować i wyłączył światło. Było jednak dla niego jasne, że Hobbs zamknął go na klucz w pomieszczeniu magazynowym.

– Od dawna tu siedzisz?

River pokręcił głową. Dziesięć minut? Dwadzieścia? Trzy? Kiedy już przekręcono klucz w zamku, czas płynął inaczej.

Nie stawiał oporu. Dotarcie tutaj go wykończyło; to była koszmarna jazda za pędzącą karetką pełnymi zombie ulicami. Cały był we krwi. „Rany głowy krwawią. Rany głowy paskudnie krwawią”. Uczępił się tego faktoidu. Rany głowy paskudnie krwawią. To, że głowa Sid Baker paskudnie krwawiła, wcale nie musiało oznaczać, że stało się coś poważnego. To mogło być tylko draśnięcie. Ale dlaczego wyglądała na taką martwą?

Obserwował, jak przypinano ją do noszy i jak personel medyczny pędził z nią szpitalnym korytarzem. Nawet nie próbował wymyślać fałszywej tożsamości. Rana postrzałowa oznaczała oczywiście policję, ale cokolwiek by mówić o psach, mieli bardzo krótki czas reakcji. Hobbs dotarł na miejsce pierwszy i zabezpieczył Rivera do czasu przesłuchania.

River podejrzewał, że jakiegokolwiek przesłuchanie po postrzeleniu agenta będzie bardzo długim i nieprzyjemnym procesem.

– No i jak długo zamierzałeś tu tkwić? – spytał Lamb. – Rusz się.

Może to też będzie bardzo długie i nieprzyjemne.

River podźwignął się na nogi i ruszył za szefem w stronę światła.

U szczytu schodów nikt się nie czał. Przycisk do papierów zdążył dobrze się ułożyć w dłoni Mina; okrągła, gładka i ciężka obecność, nawet podobna do... ale odepchnął od siebie tę myśl; wszedł do gabinetu Jacksona Lamba. Żaluzje były opuszczone. Przez szpary przebijały się punkciki światła nocnego nieba nad Londynem; neonowa poświata otaczała miasto jak bańka.

Kształty powoli nabierały substancji. Biurko, wieszak na płaszcze, szafka na akta, regał. Żadnych ludzkich kształtów. Nie czekał tu żaden intruz.

Za jego plecami Louisa sprawdziła kuchnię wielkości biurowego boksu. O ile ten, kto narobił hałasu, nie dał rady zmieścić się w lodówce, zagrożenia nie było.

– Pokój Catherine.

Podobna historia: biurko, półki, szafki. Ale był tutaj świetlik i nad nieobecnością Catherine unosiło się upiorne szare światło. Zostawiła klawiaturę balansującą na szczycie monitora, a teczki ułożyła na samym skraju biurka. Tu również były cienie, ale większość z nich zdawała się pusta.

– Włączę światło.

– Dobra.

Przez chwilę bolały ich oczy, gdy ich nietrzeźwość znów ukazała się w pełnym rozkwicie.

– Nikogo tu nie ma.

– Na to wygląda.

„Nnna to fygłonda”.

W świetle oboje wyglądali na wykończonych. Wrócili do pierwszego biura i teraz zobaczyli, że coś tam stoi oparte o ścianę. To była korkowa tablica Lamba – ta, do której przypinał swoje kupony rabatowe.

– Myślisz...

Czy myśleli, że to ona spadła ze ściany?

Wyczuli ruch za plecami na chwilę przed tym, jak na Mina spadł cios.

Tylko na chwilę, ale to wystarczyło, żeby się przesunął na tyle, by uderzenie otarło tylko jego ucho, wytrącając go z równowagi, ale nie powalając na podłogę. Napastnik był ubrany na czarno; nosił kominiarkę i mały pistolet, którego nie używał. Wyskoczył z cieni w pokoju Catherine. Musiał się schować w jej szafie. Drugi cios trafił Louise w pierś, jęknęła z bólu.

Min rzucił się na nogi napastnika i obaj runęli w dół po schodach.

Hobbs spał na plastikowym krześle albo wyglądał, jakby spał. Na jego podbródku lśniła mała strużka śliny. River przystanął, by wyciągnąć mu z kieszeni swoją legitymację i kluczyki do samochodu, potem ruszył dalej za Lambem.

Na górze dwóch policjantów rozmawiało z dyżurnym pielęgniarzem, który sprawdzał coś w papierach na podkładce do pisania. Lamb przeprowadził obok nich Rivera, nie patrząc w bok. Pielęgniarsz potrząsnął głową i pokazał gliniarzom, w którą stronę do recepcji.

Na zewnątrz było ciemno i znów zaczynało padać. Samochodu, który River zostawił na miejscu dla karetki, nie było. Zastanawiał się, czy Sid też nie było. Po tym, jak ci lekarze i pielęgniarki wieźli ją korytarzem, widać było, że nie jest dobrze. Może nie słyszeli tego samego faktoidu co River. Na pewno nie powiedzieli: „Eee, to rana głowy. One zawsze kiepsko wyglądają”.

– Nie odpływaj, Cartwright.

– Dokąd teraz?

Słowa były jak wata wysysająca wilgoć z jego ust. Czuł się zmęczony i chory.

– Jak najdalej stąd.

– Mój samochód zniknął.

– Zamknij się.

A więc teraz szedł za Lambem przez parking; wszystkie te pojazdy, które nie miały tu stać dziś w nocy i których właściciele byli w budynku za jego plecami. Odsunął od siebie myśli o wszelkich możliwych urazach, jakie mogły ich tu spowodować, o bójkach na noże, przypadkowych napadach, fiutach wetkniętych w wąż od odkurzacza; odsunął też obraz Sid na stole operacyjnym, z kulą w głowie. A może tylko ją drasnęła? Nie potrafił powiedzieć. Było tak dużo krwi.

– Do kurwy nędzy, Cartwright.

W pobliżu stały zaparkowane dwa policyjne wozy. W żadnym nikogo nie było.

Lamb jeździł kanciastym japońskim samochodem. Rivera to nie obchodziło. Wsiadł, opadł na oparcie, poczekał, aż Lamb uruchomi silnik. Nie zrobił tego.

River zamknął oczy. Potem otworzył je i spojrzął na pokrytą kroplami deszczu przednią szybę. W każdej kropelce wody był mały płomyczek pomarańczowego światła.

– Czyli cię zamknęli – stwierdził Lamb.  
– Do czasu... – zaczął River – do czasu... czegoś tam.  
– I twoje nazwisko sprawiło, że rozdzwoniły się wszystkie dzwonki stąd aż do Regent's Park. Masz w ogóle pojęcie, co robisz?  
– Musiałem ją tu przywieźć.  
– Wezwałeś karetkę. Musiałeś za nią jechać?  
– Mogła zginąć. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyje.  
– Wciąż jest na stole operacyjnym – stwierdził Lamb. – Kula urwała jej kawałek głowy.

River nie był w stanie na niego spojrzeć.

– Mówią, że może przeżyje.

Dzięki Bogu. Pomyślał o szarpaninie na chodniku; o tym nagłym dźwięku. „Puf”. A potem była krew, Sid leżała na ziemi, i czarna krew była na chodniku. Roberta Hobdena nigdzie nie było widać. Co do faceta ubranego na czarno, ten był już w połowie ulicy, zanim River zdołał opaść na kolana przy Sid. Bał się jej dotknąć, bał się jej poruszyć, nie był w stanie ocenić obrażeń. Potrzebował trzech prób, żeby wezwać karetkę. Jego palce były jak kciuki, kciuki jak banany.

– Ale może nie przeżyć. A nawet jeśli jej się uda, może zmienić się w warzywo. Czyli w sumie nie popisaliście się tej nocy. – Wyciągnął rękę i strzelił palcami kilka centymetrów od twarzy Rivera. – Obudź się. To ważne.

River odwrócił się w jego stronę. W słabym świetle Jackson Lamb przypominał coś powieszzonego nad ogniskiem. Jego oczy były wściekle czerwone, jakby już udręczone dymem. Nieogolone policzki. Widać było, że pił.

– Kto to był?

Potoczyli się w bezładnej płątaniu rąk i nóg aż na półpiętro. Louisa rzuciła się za nimi; dopadła do nich w dwóch susach. Min leżał na podłodze, mężczyzna w czerni przykrywał go jak kołdra – Louisa chwyciła go, wykręciła i napotkała mniejszy opór, niż się spodziewała.

Jak worek ziemniaków. Jak zepsuty strach na wróble.

– Jezu, czy...

– Gdzie poleciał pistolet? Gdzie on jest?

Broń leżała w kącie.

Gdy Min podźwignął się na nogi, mężczyzna w czerni oklapł jak wyrzucony na plażę szczupak, jak przedziurawiony worek na śmieci.

– Nie żyje?

– Wyglądał na martwego. Wyglądał, jakby wylądował na głowie i wygiął szyję pod niemożliwym kątem.

– Mam, kurwa, taką nadzieję.

Min podniósł broń; kiedy się schylał, strzeliło mu w kościach. Rano będzie cały obolały. Nie rzucał się ze schodów od... cóż... od bardzo dawna. I nie było to coś, co zamierzał w najbliższej przyszłości powtórzyć, tylko że...

Tylko że kiedy tu stał, przez chwilę to było dobre uczucie. Pokonany intruz u jego stóp, broń w ręce. Louisa wpatrująca się w niego z niekłamanym podziwem w oczach.

Cóż, może trochę naginał fakty. Louisa nie patrzyła na niego, tylko na intruza.

– Nie żyje?

Oboje mieli taką nadzieję, choć żadne z nich nie wiedziało, co tutaj robił. To był Slough House i każdy, kto o tym wiedział, zdawał sobie sprawę, że nie warto się tu wdzierać. A ten facet zjawił się uzbrojony, w kominiarce.

Uzbrojony, ale schował się przed nimi.

– Nie ma pulsu.

– Chyba skręcił sobie kark.

– Dlaczego facet z bronią miałby się chować przed parą uzbrojoną w przycisk do papieru i zszywacz?

– Zobaczmy, co to za sukinsyn.

– Kto to był? – spytał Lamb.

– Miał wyposażenie. Sprzęt bojowy, komi...

– Tak, domyśliłem się. Ale poznałeś go?

– Miałem myśleć, że to jeden z naszych – powiedział River. – Zadaniowiec. Ale coś się nie zgadzało. Oprócz tego, że był sam.

– Jakie coś?

– Coś... nie wiem.

– Do kurwy nędzy, Cartwright...

– Zamknij się! – River znów zamknął oczy, przeżywał jeszcze raz te gorączkowe chwile. Facet, który postrzelił Sid, był w połowie ulicy, zanim River opadł na kolana... Potrzebował trzech prób, żeby zadzwonić po karetkę. Nie, to nie to, to było wcześniej. To coś, czymkolwiek było. Co to było?

– Nie odezwał się – powiedział.

Lamb też się nie odezwał.

– Przez cały czas – ciągnął River. – Nawet nie mruknął.

– No i?

– Bał się, że poznam go po głosie.

Lamb czekał.

– Myśle, że to był Jed Moody – stwierdził River.

Louisa ściągnęła mężczyźnie kominiarkę.

Z punktu widzenia Mina odsłonięta twarz była do góry nogami, ale wiedział, na kogo patrzy.

– Cholera.

– No...

Nie powinno ich tu nawet być.

Musieli się zastanowić, jaką wersję opowiedzą.

Kiedy Lamb wyjeżdżał z parkingu, deszcz przestał padać. River patrzył prosto przed siebie przez kształt litery M utworzony przez ostatni ruch wycieraczek i nie musiał pytać, dokąd jadą. Jechali do Slough House. Bo gdzie indziej?

Miał krew na koszuli. Skrwawione myśli.



– Co wyście tam, u diabła, wyprawiali? – spytał Lamb.

Jakiegokolwiek przesłuchanie po postrzeleniu agenta będzie bardzo długim i nieprzyjemnym procesem...

– Obserwowaliśmy Hobdena – powiedział.

– Tyle załapałem. Po co?

– Bo ma coś wspólnego z tym dzieciakiem. Tym, który...

– Wiem, o którego dzieciaka ci chodzi. Dlaczego tak myślisz? Bo zadaje się z naziolami?

River czuł, jak wszystko, czego był pewny, znika w zetknięciu z wojowniczą postawą Lamba.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał.

Musieli się zatrzymać na przejściu dla pieszych. Ulicą przed nimi wlokła się grupka młodych ludzi w kapturach.

– Tak jak mówiłem, rozdzwoniły się wszystkie dzwonki – odparł Lamb. – Kiedy nazwisko kogoś z MI5 pojawia się w systemie, na policji, w szpitalu, gdziekolwiek, od razu robi się cyrk na kółkach. Tak sobie wyobrażasz pracę tajnego agenta? Na litość boską, masz na imię River. W całej Wielkiej Brytanii jest was pewnie ze czterech.

– I ci z Regent's Park dali ci znać? – spytał River.

– Jasne, że nie. Wyglądam, jakbym był w kręgu poinformowanych?

– To co?

– Może Slough House jest zacofany, ale parę rzeczy jednak mamy. – Zmieniły się światła, Lamb pojechał dalej. – Już ropucha byłaby lepsza w podejściu do ludzi niż oni, ale potrafią się odnaleźć w eterze.

Podejście do ludzi gorsze niż u ropuchy. Zupełnie jakby gdzieś istniał inny świat, w którym Jacksonowi Lambowi nie przychodziło do głowy, że ktoś mógłby tak powiedzieć o nim.

– Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Ho wyświadczył ci przysługę. – I gwoli sprawiedliwości River dodał: – Ani komukolwiek innemu.

– Och, to nie była przysługa. Miałem coś, czego chciał.

– Czyli?

– Czego zawsze chce Ho? Informacji. Odpowiedzi na pytania, które doprowadzają go do szału.

– To znaczy?

– Jak to się stało, że trafił do Slough House.

River od czasu do czasu sam się nad tym zastanawiał. Nie bardzo go to obchodziło. Mimo to się zastanawiał.

– I ty mu to powiedziałaś?

– Nie. Ale powiedziałem mu drugą rzecz, którą najbardziej chciał usłyszeć.

– Czyli?

Twarz Lamba zdradzała jeszcze mniej niż twarz Bustera Keatona.

– Powiedziałem mu, dlaczego ja tam trafiłem.

River otworzył usta, żeby zapytać. Zamknął je.

Lamb sięgnął ręką, którą nie prowadził, szukając papierosa.

– Wydaje ci się, że Hobden to jedyny prawicowy świr w całym kraju? A może tylko on przyszedł ci do głowy, kiedy wychodziłeś z roboty?

– Jest jedynym, o którym wiem, że w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin poszczuto na niego dwóch agentów.

– Czyli teraz jesteś agentem? Gratulacje. Wydawało mi się, że zaważyłeś ocenę sprawności.

– Odpierdol się, Lamb – powiedział River. – Byłem tam. Widziałem, jak ją postrzelił. Wiesz, jak to jest?

Lamb odwrócił się i przyjrzał mu się spod przymkniętych powiek. Riverowi przypomniało się, że hipopotam jest jednym z najniebezpieczniejszych zwierząt na świecie. Niby beczkowaty i niezdatny, ale jeśli chcesz takiego wkurzyć, zrób to lepiej z helikoptera. A nie siedząc z nim w tym samym samochodzie.

– Nie tylko to widziałeś – rzekł. – To się stało przez ciebie. I myślisz, że to było mądre?

– Uważasz, że specjalnie do tego dopuściłem?

– Uważam, że nie byłeś dość dobry, żeby to powstrzymać. A jeśli nie byłeś na to dość dobry, nikomu się nie przydasz. – Lamb wściekle zmienił biegi. – Gdyby nie ty, ona leżałaby w łóżku. W swoim albo cudzym. I niech ci się nie wydaje, że nie zauważyłem, jak na nią patrzysz. – Silnik warknął i wóz skoczył do przodu.

River powiedział głosem, którego sam nie poznawał:

– Powiedziała mi, że była podstawiona.

– Co?

– Że umieszczono ją w Slough House w konkretnym celu. Żeby miała mnie na oku.

– To było przed czy po tym, jak oberwała w głowę?

– Ty skurwielu...

– Daj sobie spokój, Cartwright. Tak ci powiedziała, co? Że jesteś centrum wszechświata? Wiadomość z ostatniej chwili: nawet przez chwilę tak nie było.

W oszołomieniu River przez chwilę zdawał sobie sprawę tylko z dzwonienia w uszach. Z pulsowania dłoni, w którą wczoraj się oparzył. Wszystko to się wydarzyło. Słowa Sid też: „Przeniesiono mnie, żebym miała cię na oku, River. Nie powinienes tego wiedzieć”. To się wydarzyło. Te słowa zostały wypowiedziane.

Ale teraz można było się tylko domyślać, co znaczyły.

Chińska restauracja, która nawet w godzinach otwarcia wyglądała na opuszczoną, była zdecydowanie zamknięta.

Lamb zaparkował naprzeciwko i gdy przechodzili przez ulicę, River dostrzegł migoczące światło w jednym z okien na piętrze.

Pewnie to było odbicie z wieżowców w Barbican.

– Dlaczego tu jesteśmy?

– A wolałbyś być gdzie indziej?

River wzruszył ramionami.

– Obaj wiemy, że nic nie wiesz, Cartwright – powiedział Lamb. – Ale to nie

znaczy, że ci z Regent's Park nie będą cię szukać. – Ruszył przodem, przechodząc na tyły budynku do znajomych odrapanych drzwi. – Nie powiem, że to absolutnie ostanie miejsce, w którym będą szukać, ale na pewno nie będzie na szczycie ich listy.

Weszli i natrafili na ciszę, która dopiero co zapadła.

River nie był pewny skąd, ale wiedzieli to obaj. W ciemności powietrze drżało jak widelec. Ktoś dopiero co przestał się poruszać; ktoś czekał wyżej na schodach.

– Zostań – ostro szepnął Lamb.

A potem ruszył do góry, cicho jak szept. Jak on to robił? To było niczym obserwowanie, jak drzewo zmienia kształt.

River poszedł za nim.

Piętro wyżej się z nim zrównał i było tam to, co przeoczyli: na schodach leżał Jed Moody, ze ściągniętą z twarzy kominiarką, martwy jak kamień.

Odpowiednio trzy i pięć stopni wyżej siedzieli Min Harper i Louisa Guy.

– Jeśli mieliście z nim problem, trzeba było pogadać z działem kadr – rzucił Lamb. – Załatwić interwencję. – Stuknął ramię Moody'ego butem. – Ale skręcić mu kark, nie zwracając się najpierw do bezpośredniego przełożonego? Takie gówny zostanie wam w aktach.

– Nie wiedzieliśmy, że to on.

– Nie wiem, czy to się liczy jako linia obrony.

– Miał broń.

– To już lepiej. – Lamb im się przyjrzał. – Jeśli to pomoże, wcześniej jej użył. Postrzelił nią Sid Baker.

– Sid?

– Jezu, czy ona...

River zdołał wydobyć głos:

– Żyje.

– A raczej żyła dwadzieścia minut temu – poprawił go Lamb. Ugiął kolana i zaczął przeszukiwać kieszenie Moody'ego. – Kiedy to się stało?

– Dziesięć minut temu.

– Może piętnaście.

– I co zamierzaliście: czekać tu, aż to wszystko zniknie? Co właściwie tu robiliście?

– Byliśmy po drugiej stronie ulicy.

– W pubie.

– Nie stać was na pokój? – Lamb wyciągnął z kieszeni Moody'ego komórkę. – Gdzie broń?

Harper wskazał za jego plecy.

– Wyglądał, jakby zamierzał jej użyć?

Harper i Guy wymienili spojrzenia.

– Wyjaśnijmy coś sobie – rzucił Lamb. – Nie jesteście w sądzie. Wyglądał, jakby zamierzał jej użyć?

– Nosił ją.

– Właściwie to z niej nie mierzył.

– Powinniście sobie przemyśleć swoje stanowisko w tej sprawie. – Lamb wydobyl z wewnętrznej kieszeni kurtki Moody’ego spłowiałą brązową kopertę. – A to sukinsyn!

– Był w twoim gabinecie.

– Doszliśmy do wniosku, że to było włamanie.

Obserwując, jak oboje wpadli w naprzemienny rytm, River zorientował się, że dzieje się tu coś nowego – jakiś wspólny spisek, którego wcześniej nie było widać. Miłość albo śmierć, pomyślał. Miłość w swojej najbardziej banalnej postaci – szybki numerki na schodach albo obściskiwanie się po pijanemu – i śmierć w swojej normalnej szacie. Jedna z tych dwóch rzeczy połączyła tę parę. I znów zobaczył przebłysk tamtej chwili na chodniku przed mieszkaniem Hobdena, kiedy skończyło się to, co zaczęło się rozwijać między nim a Sid Baker.

Wciąż miał jej krew na koszuli. I pewnie we włosach.

– Był w kominiarce.

– Nie wyglądał jak ćpun, który chce coś ukraść.

– Ale nie chcieliśmy go zabić.

– Tak – powiedział Lamb. – Czyż to nie fajne, że jest wam teraz przykro?

– Co jest w tej kopercie? – spytał River.

– A ty wciąż tu jesteś?

– Zabrał ją z twojego gabinetu, prawda? Co w niej jest?

– Plany – odparł Lamb.

– Że co?

– Tajne plany. – Lamb wzruszył ramionami. – Mikrofilm. Mniejsza z tym. – Znalazł coś jeszcze. Czarne ubranie Moody’ego skrywało więcej kieszeni niż strój magika. – Sukinsyn – powiedział jeszcze raz, ale tym razem nie było w tym tyle jadu; w jego głosie słyhać było niemal podziw.

– Co to?

Przez chwilę wydawało się, że Lamb schowa znalezisko w połach płaszcza. Jednak uniósł je do światła: niewielki kawałek czarnego drutu długości rozprostowanego spinacza z główką wielkość ziarna soczewicy.

– Podśluch?

– Założył podśluch w twoim gabinecie?

– A może dopiero szedł do twojego gabinetu, żeby założyć podśluch – powiedział River.

– Po tym, co robi tego wieczoru, wątpię, żeby zakładanie podśluchu w moim gabinecie było na samym szczycie jego listy – odparł Lamb. – Nie, sprzątał po sobie. A potem chciał się ulotnić. – Nie skończył jeszcze przesłuchiwać zwłok. – Dwie komórki? Jed, Jed, Jed. Dziwi mnie, że miałeś dość przyjaciół, by mieć powody do noszenia jednej.

– Z kim rozmawiał?

– Dzięki Bogu, że tu jesteś. Czy sam bym na to wpadł? – Trzymając komórki w obu rękach, Lamb naciskał przyciski kciukami; jak na przeciwnika postępu technicznego robił to zaskakująco zręcznie. – A to dziwne – rzekł tonem sugerującym,

że nie ma w tym nic dziwnego. – Tej prawie nie używał. Tylko jedno połączenie przychodzące.

River miał ochotę powiedzieć: „Oddzwon”, i tylko absolutna pewność, że Lamb też chce, by to powiedział, pomogła mu utrzymać język za zębami.

Min i Louisa wciąż siedzieli i się naradzali.

Po chwili namysłu Lamb nacisnął jeszcze kilka przycisków i uniósł telefon do ucha.

Ktoś niemal natychmiast odebrał.

– Obawiam się, że w tej chwili nie może podejść do telefonu – oznajmił Lamb. A potem dodał: – Musimy pogadać.

Robert Hobden szedł spokojną uliczką w Islington, a nocny wiatr szarpał poły jego płaszcz. Frontowe drzwi domów mieściły się u szczytów kamiennych schodów; przy niektórych stały na warcie filary, nad innymi widać było witrażowe okna. Minęła północ. Część domostw spowijała ciemność, z innych zza grubych zasłon sączyło się światło; Hobden potrafił sobie wyobrazić brzęk sztućców i kieliszków wznoszonych w toastach. W połowie uliczki znalazł dom, którego szukał.

Wciąż paliły się w nim światła. Znowu wychwycił wymyślony gwar udanego przyjęcia – o tej porze pewnie pili już brandy. Ale to nie miało znaczenia: nawet gdyby w oknach było ciemno, i tak zamierzał nacisnąć dzwonek. Właściwie to opierał się o niego, dopóki drzwi się nie otworzyły. Trwało to niecałą minutę.

– Tak?

Powiedział to elegancki mężczyzna o zaczesanych do tyłu ciemnych włosach i wysokim czole. Spojrzenie jego przenikliwych brązowych oczu skupiło się na Hobdenie. Ciemny garnitur, biała koszula. Kamerdyner? Być może. To nie miało znaczenia.

– Jest pan Judd?

– Już bardzo późno, sir.

– Zabawne, ale tak się składa, że wiem o tym. Jest w domu?

– Kogo mam zapowiedzieć, sir?

– Hobdena. Roberta Hobdena.

Drzwi się zamknęły.

Hobden odwrócił się i popatrzył na uliczkę. Domy naprzeciwko wydawały się pochylać ku jego spojrzeniu; to był efekt ich wysokości i chmur przemykających w górze na tle czarnego aksamitu. Dopiero co otarł się o śmierć i jeszcze nigdy nie był jej tak blisko, a mimo to ogarnął go spokój. A może był spokojny właśnie dlatego, że otarł się o śmierć. I było mało prawdopodobne, że tej nocy to się powtórzy. Kwestia statystyki.

Nie był pewny, czy tamten intruz zamierzał go zabić. To był jeden wielki chaos – w jednej chwili Hobden przechadzał się w tę i z powrotem po pokoju, czekając na telefon; w następnej intruz w kominiarce natarczywym szeptem zażądał jego laptopa. Musiał użyć wytrycha, żeby sforsować drzwi. Był tylko hałas i strach, facet wymachiwał bronią, a potem zjawił się drugi intruz, drugi nieznamy, a potem w jakiś sposób wszyscy byli na zewnątrz, na chodniku była krew i...

Hobden uciekł. Nie wiedział, kto został postrzelony, i nie obchodziło go to. Biegł. Ile minęło czasu, odkąd ostatni raz to robił? Ostatnimi czasy jeśli pilnie musiał gdzieś dotrzeć, brał taksówkę. Po chwili miał więc wrażenie, że pękną mu płuca, ale mimo to biegł dalej, stopy uderzały o chodnik jak o szeroką płaską rybę, wstrząsy czuł aż w zębach. Skręcił za róg, potem znowu. Mieszkał w tym paskudnym zakątku

Londynu dłużej, niż miał ochotę pamiętać. Mimo to w ciągu paru minut się zgubił. Nie miał odwagi obejrzeć się za siebie. Nie był w stanie powiedzieć, gdzie kończył się odgłos jego własnych kroków, a zaczynał się pogłos tego drugiego; dwie pętle dźwięku przeplatające się jak olimpijskie koła.

W końcu, ciężko dysząc, zatrzymał się zgięty wpół w wejściu do jakiegoś sklepu; czaiły się tu zwyczajne zapachy miasta: brud, stary tłuszcz, niedopałki papierosów i zawsze, zawsze woń szczyń jakichś pijaczków. Dopiero wtedy do niego dotarło, że nikt go nie goni. Że wokół są tylko duchy londyńskiej nocy, które wychodzą dopiero wtedy, kiedy obywatele śpią w łóżkach, i każdy, kto wciąż włóczy się po ulicach, jest łatwym łupem.

– Masz ognia, kolego?

Zaskoczyła go ostrość własnej reakcji.

– Po prostu się odpierdol, dobra? Odpierdol się!

W nocy można to było powiedzieć szalonym; potrafili rozpoznać bardziej szalonego. Mężczyzna chyłkiem się oddalił, a Hobdenowi wrócił oddech – napełnił płuca tą obrzydliwą mieszanką zapachów i ruszył dalej.

Nie mógł wrócić do swojego mieszkania. Na pewno nie teraz; może nigdy. To była dziwnie pocieszająca myśl. Dokądkolwiek pójdzie, tam na pewno nie wróci.

W rzeczywistości niewiele było miejsc, do których mógł się udać. Każdy potrzebuje takiej przystani, gdzie drzwi się zawsze otworzą. Hobden jej nie miał – drzwi w jego życiu zatrasnęły się, kiedy jego nazwisko pojawiło się na tamtej liście; kiedy po raz pierwszy czuł dreszcze, widząc je w gazetach, nie brzmiało już prowokacyjnie, ale wręcz nieakceptowalnie – ale mimo wszystko wciąż były skrzynki na listy, przez których szpary mógł szeptać. Przesługi, które byli mu winni ludzie. Wtedy, w czasie gdy szalała burza, Hobden trzymał język za zębami. Byli tacy, według których oznaczało to, że cenił ich przetrwanie bardziej niż własne. Żaden z nich nie skojarzył prostych faktów: że gdyby musieli znosić taki sam ostracyzm jak on, cofnęłoby to ich sprawę o całe lata.

To nie miało nic wspólnego z rasizmem, niezależnie od tego, jak chciała to przedstawiać liberalna elita. Nie miało nic wspólnego z nienawiścią ani wstrętem na widok różnic. To była kwestia charakteru i potrzeby wyrażania narodowej tożsamości. Zamiast położyć się na plecach i zaakceptować tę niedziałającą wielokulturowość; tę receptę na katastrofę...

Nie miał jednak czasu na wymyślanie niezbitych argumentów. Potrzebował schronienia. Będzie też musiał przekazać wiadomość; i jeśli Peter Judd nie zamierzał odbierać jego telefonów, to Peter Judd będzie musiał podejść do drzwi.

Ale Peter Judd nie otwierał oczywiście drzwi u siebie w domu. Na pewno nie o tej porze i prawdopodobnie o żadnej innej.

Drzwi się otworzyły i znów pojawił się ten elegancik.

– Pan Judd jest nieosiągalny.

Brak „sir” na końcu miał swoją wymowę.

Ale Hobden nie miał oporów, by zablokować drzwi butem.

– W takim wypadku powiedz panu Juddowi, że ma być osiągalny od samego rana.

Brukowce zwykle już do południa mają zaplanowane pierwsze strony. To im daje czas, żeby zorganizować najważniejsze rzeczy. No wiesz, zdjęcia dziewczyn. Rubryka towarzyska.

Cofnął but i drzwi się zamknęły.

Pomyślał: wydaje im się, że kim jestem? Myślą, że położę się na plecach i będę machał rękami i nogami w powietrzu, a oni będą udawać, że jestem jakimś przybłądą, którego nigdy do siebie nie zapraszali?

Minęły dwie minuty, może trzy. Nie liczył. Znow przyglądał się chmurom mknącym po niebie i wysokim dachom domów naprzeciwko, które wyglądały, jakby w każdej chwili miały runąć w dół.

Następnym razem, gdy otworzyły się drzwi, nie padły żadne słowa. Pan elegant po prostu go przepuścił, a jego zachowanie wskazywało, że w szaradach po kolacji wylosował słowo „urazony”.

Hobdena zaprowadzono na dół. Minął salon, zza którego zamkniętych drzwi dobiegał cichy gwar szczęścia. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni był na jakimś przyjęciu, choć od tamtego czasu na kilku pewnie o nim wspomniano.

Na dole znajdowała się kuchnia, mniej więcej rozmiarów jego mieszkania i staranniej wyposażona: drewno i lśniąca emalia, pośrodku marmurowy blok wielkości trumny tworzący wysepkę. Bezlitosne oświetlenie sufitowe powinno ukazywać smugi tłuszczu lub plamy po sosie, ale tu nawet teraz nie było nic takiego: szumiała zmywarka, a na jednej z powierzchni ustawiono kieliszki, ale wszystko to wyglądało jak na zdjęciu z katalogu poświęconego kulturalnemu stylowi życia – schludna aranżacja pozostałości po przyjęciu. Na drążku na stalowych haczykach wisiały garnki i patelnie, każde z naczyń przeznaczone tylko do jednego celu; jedno do gotowania jajek, inne do robienia jajecznicy i tak dalej. Na półce stał szereg butelek z oliwą ustawionych według regionów, z których pochodziły. Robert Hobden wciąż miał dziennikarskie oko. W zależności od tego, czyj profil by pisał, potraktowałby te rzeczy jako dowód poczucia bezpieczeństwa klasy średniej albo jako zamówione rekwizyty pozwalające podtrzymać taki obraz. Z drugiej strony nie pisał już profili. A gdyby nawet jakiś napisał, nikt by go nie wydrukował.

Elegant stał przy drzwiach, ostentacyjnie dając do zrozumienia, że nie zostawi Hobdena samego. Hobden przeszedł na drugą stronę pomieszczenia; oparł się o zlew.

Nie pisywał już profili osobowych, ale gdyby to robił i gdyby miał coś napisać o swoim obecnym gospodarzu, na pewno zaczęłyby od nazwiska. Peter Judd. Dla przyjaciół i całej reszty PJ. Wciąż młodzieńczy w wieku czterdziestu ośmiu lat, z puszystymi włosami i słownictwem pełnym archaicznych wyrażen – „Banialuki!”, „Dyrzymały!!”, „Jak ciotunię kocham!!!” – Peter Judd od dawna był rozpoznawany jako niegroźna twarz oldskulowej prawicy, na tyle popularna wśród brytyjskich widzów (którzy uważali go za sympatycznego idiotę), by poza parlamentem być w stanie zarabiać drugie tyle jako ulubieniec moderowanych show w stylu rzuć-cytatem-medialna-kurwo i by uchodziły mu na sucho drobne grzeszki, takie jak bzykanie niani swoich dzieci, dymanie fiskusa i doprowadzanie do szału przywódcy partii ozdobnikami, których nie było w scenariuszu. („Przepiękne miasto – zauważył



podczas wycieczki do Paryża – pewnie następnym razem warto będzie go bronić”). Nie wszyscy, którzy z nim pracowali, uważali go za skończonego błazna, a ci nieliczni, którzy byli świadkami, jak tracił panowanie nad sobą, podejrzewali go o polityczny pomyślunek, ale ogólnie PJ wydawał się zadowolony z wizerunku, który albo wypielegnował, albo też się z nim urodził: nieobliczalny typ z oklapniętą fryzurą i rowerem. A teraz właśnie tak skwapliwie wparował przez kuchenne drzwi, że pan elegancik musiał szybko usunąć się na bok, żeby nie zostać rozplaszczonym.

– Robert Hobden! – zawołał.

– PJ.

– Robert. Rob, Rob! Co u ciebie?

– Nie najgorzej. A co u ciebie, PJ?

– Och, wspaniale. Seb, zechciałbyś odebrać płaszcz Roberta?

– Nie zostanę długo...

– Ale na tyle długo, żeby zdjąć płaszcz! W porządku, naprawdę w porządku. – Te ostatnie słowa skierowane były do Seba, o ile tak miał elegancik na imię. – Możesz nas teraz zostawić. – Kuchenne drzwi się zamknęły. Ton PJ-a się nie zmienił. – Co ty tu, kurwa, robisz, ty pierdolona durna cipo?!

To mu przypominało mroczniejsze dni; misje, z których można było nie wrócić. Oczywiście zawsze z nich wracał, ale znał takich, którzy nie wrócili. Nie było sposobu, by się dowiedzieć, czy różnica polegała na trudności misji, czy na ludziach.

Dziś w nocy spodziewał się wrócić. Ale już miał zwłoki na podłodze i jedną osobę w szpitalnym łóżku, sporo ofiar jak na operację, której nawet nie prowadził.

Mieli się spotkać nad kanałem w pobliżu miejsca, gdzie kończył się tor żeglugowy, a woda znikiała w długim tunelu. Lamb wybrał tę lokalizację, ponieważ ograniczała kierunki, z których można się było tam zbliżyć, a nie ufał Dianie Taverner. Z tego samego powodu zjawił się tam pierwszy. Dochodziła druga. Księżyc od czasu do czasu przesłaniały przepływające chmury. W domu po drugiej stronie wody paliły się światła na wszystkich trzech piętrach; słyszał gwar rozmów i od czasu do czasu śmiech ludzi palących papierosy w ogrodzie. Niektórzy urządzali imprezy w środku tygodnia. Tymczasem Jackson Lamb liczył straty.

Nadeszła od strony Angel, już z daleka było słychać stukanie jej obcasów na ścieżce.

– Jesteś sam? – spytała.

Rozłożył ręce, jakby chciał zmierzyć głupotę jej pytania. Koszula wysunęła mu się przy tym ze spodni i nocne powietrze połaskotało go po brzuchu.

Spojrzała nad jego ramieniem na porośnięty drzewami stok prowadzący do drogi. Potem z powrotem na niego.

– W co ty sobie pogrywasz?

– Pożyczyłem ci agentkę – odparł. – Teraz jest w szpitalu.

– Wiem. Przykro mi.

– Mówiłaś, że to stopień Lloyd-Webber. Niewiele trudniejsze od ostrzenia ołówków. A teraz ma kulę w głowie.

– Lamb, ta robota była parę dni temu. Cokolwiek jej się stało od tego czasu, to już

nie...

– Nawet nie próbuj. Postrzelono ją pod mieszkaniem Hobdena. Zrobił to Jed Moody, umyślnie albo nie. Kiedy nie wypożyczasz sobie ludzi z mojej ekipy, korumpujesz ich. Dałaś Moody’emu komórkę. Co jeszcze mu dałaś? Mnóstwo obietnic? Bilet do jego przyszłości?

– Zjrzyj do regulaminu, Lamb – powiedziała Taverner. – Kierujesz Slough House i dobrze wiesz, że nikt nie chce ci tego odbierać. Ale ja jestem szefową operacji, co znaczy, że cały personel mi podlega. Twój i wszystkich innych.

Jackson Lamb pierdnął.

– Boże, ale z ciebie obrzydliwy typ.

– Tak słyszałem – odparł. – W porządku. Powiedzmy, że masz rację i że to nie moja sprawa. Co mam zrobić ze zwłokami na moich schodach? Wezwać psy?

O ile wcześniej nie poświęcała mu należytej uwagi, od teraz zaczęła uważnie słuchać.

– Moody?

– Mhm.

– Nie żyje?

– Zimny trup.

Po drugiej stronie kanału pałacy papierosy usłyszeli jakiś niezwykle zabawny dowcip. Wiatr marszczył powierzchnię wody.

– Jeśli chciałaś mieć podwykonawcę, mogłaś staranniej go wybrać – powiedział Lamb. – Jezu, naprawdę? Jed Moody? Nawet w czasach, kiedy się do czegoś nadawał, był do niczego. A te czasy minęły dawno temu.

– Kto go zabił?

– Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Potknął się o własne nogi.

– To zabrmi świetnie przed komisją. Choć może wolałbyś opuścić ten fragment o tym, jakie to zabawne.

Lamb odrzucił do tyłu głowę i cicho się zaśmiał. Liście rzucały cienie na jego rozedrganą twarz. Wyglądał jak coś, co mógłby namalować Goya.

– Niezłe. Naprawdę niezłe. Komisja, tak. Czyli wzywamy psy? Cholera, to w końcu zgon. Czemu by nie wezwać policji? Tak się składa, że mam przy sobie komórkę. – Uśmiechnął się do niej szeroko. Jego zęby, prawie każdy w innym kształcie, lśniły wilgocią.

– Dobra.

– Koroner. To jego działka, prawda?

– No dobra, Lamb, jasno wyraziłeś, czego chcesz.

Zaczął grzebać w kieszeniach i przez chwilę z przerażeniem myślała, że rozepnie rozporek, ale zamiast tego wyjął marlboro. Wyciągnął jednego zębami i po namyśle machnął paczką w jej stronę.

Taverner wzięła papierosa. Zawsze przyjmuj przyjazne gesty, to wytwarza więź. Pomaga ci znaleźć sojuszników.

Oczywiście ten, kto ją tego uczył, nie miał na myśli Jacksona Lamba.

– Mów – powiedział.

– Ciebie też miło widzieć, PJ.

– Kompletnie ci, kurwa, odjechało?!

– Nie odbierałeś moich telefonów.

– Pewnie, że nie odbierałem, jesteś, kurwa, toksyczny! Ktoś wiedział, jak przyjechałeś?

– Nie wiem.

– Co to ma być za odpowiedź, do chuja pana.

– Jedyna, jaką mam! – krzyknął Hobden.

Wysoki ton jego głosu sprawił, że coś metalicznie zadzwoniło.

PJ się zastanawiał, albo tak to przynajmniej wyglądało.

– No tak – powiedział. – No tak, cóż. O rety. Zakładam, że masz jakiś powód.

– Ktoś próbował mnie zabić – odparł Hobden.

– Zabić cię? No cóż. Fanatyków nie brakuje. Cóż, nie cieszysz się największą popularnością...

– To nie był fanatyk, PJ. To był agent.

– Agent?

– Mówimy o zamachu na moje życie.

Powrót Judda do swej publicznej wersji samego siebie nie przetrwał tego słowa.

– No, do kurwy nędzy! Co to było, bliskie spotkanie na przejściu dla pieszych? Mam gości, Hobden. Na górze siedzi pieprzony minister kultury, a koncentrację ma jak jakiś komar, więc muszę...

– To był agent. Śledzili mnie. Włamał się do mojego mieszkania, wymachiwał bronią i... kogoś postrzelił. Jeśli mi nie wierzysz, włącz wiadomości. Albo w sumie nie włączaj, na pewno to ocenzurowali. Ale zadzwoń do ministra spraw wewnętrznych, on będzie wiedział. Krew na chodniku. Przed moim mieszkaniem.

PJ to rozważył: prawdopodobieństwo tego, że cokolwiek z tych rzeczy się zdarzyło, w zestawieniu z pojawieniem się Hobdena w jego kuchni.

– No dobra – powiedział wreszcie. – Ale mieszkasz na skończonym zadupiu, Robert. Włamania do mieszkań pewnie są tam na porządku dziennym. Dlaczego myślisz, że w tym przypadku było inaczej?

Hobden pokręcił głową.

– Nie słuchasz, co do ciebie mówię. – I jeszcze raz pokręcił głową; nie opowiedział mu całej historii. O tej sprawie w Max's parę dni temu, o rozlanej kawie. Wtedy się wydawało, że to nic ważnego, ale po tym, jak zjawił się facet z bronią, Hobden odtworzył ostatnie wydarzenia i doszedł do wniosku, że ten wieczór był kulminacją, a nie jednorazowym epizodem. Kiedy sięgał po klucze, żeby wyjść z kawiarni, karta pamięci wypadła na stół. Wcześniej nigdy coś takiego się nie zdarzyło. Dlaczego wtedy nie rozdzwoniły się wszystkie dzwonki alarmowe?

– Próbowali ukraść moje pliki. Chcą sprawdzić, ile wiem.

Teraz PJ spowaźniał; od tej strony widzowie nigdy go nie widywali.

– Twoje pliki?

– Nie dostali ich. Skopiowali moją kartę pamięci, ale...

– A co, kurwa, masz w tych swoich plikach, Hobden?

– ...to atrapa. Same liczby. Przy odrobinie szczęścia pomyślą, że to szyfr, i będą tracić czas na to, żeby...

– Co dokładnie masz w tych plikach?

Hobden uniósł ręce do oczu; przyglądał im się przez dłuższą chwilę.

Trzęsły się.

– Widzisz to? Mogłem zginąć. Mogli mnie zabić.

– Boże, daj mi siłę.

Peter Judd zaczął przetrząsać swoją kuchnię przekonany, że gdzieś musi być alkohol. Bo w przeciwnym razie po co by to robił? Pojawiła się butelka wódki. Czyżby to była wódka do gotowania? Czy ludzie dodają wódki do potraw? Czy PJ mrucał to wszystko na głos? A może krzyczała o tym jego mowa ciała? W każdym razie znalazł szklanę i hojnie do niej nalał.

– No – podał szklanę Hobdenowi. – Co zawierają twoje pliki? Nazwiska? – Nagle szczerknął śmiechem, który tak lubili telewidzowie. – Mojego nazwiska nigdzie tam nie ma. – Śmiech, przy którym obnażał kły. – Prawda?

– Żadnych nazwisk, nic w tym stylu.

To była dobra wiadomość, ale wymagała uściślenia.

– No to o co ci chodzi?

– MI5 prowadzi operację – odrzekł Hobden. – Wiem o tym od jakiegoś czasu. Albo w sumie nie wiem o tym, coś się miało zdarzyć, ale nie wiem dokładnie co.

– Och, na litość boską, zacznij gadać do rzeczy.

– Byłem we Frontline. Pewnego wieczoru w zeszłym roku.

– Wciąż cię tam wpuszczają?

Rozbłysk gniewu.

– Opłacałem składki. – Dopił wódkę i wyciągnął szklanę po więcej. – Była tam Diana Taverner z jednym z tych jej zaprzyjaźnionych lewackich dziennikarzy.

– Nigdy nie byłem pewny, co mnie bardziej niepokoi – powiedział Peter Judd, dolewając Hobdenowi – fakt, że MI5 kierują kobiety, czy to, że wszyscy wydają się o tym wiedzieć. Czy nie nazywano ich kiedyś tajnymi służbami?

Hobden był pewien, że już to kiedyś słyszał, prawdopodobnie w jakimś moderowanym show, więc to zignorował.

– To był wieczór wyborów do Parlamentu Europejskiego i Brytyjska Partia Narodowa zdobyła więcej mandatów. Pamiętasz to?

– No oczywiście.

– I to było tematem rozmowy. Ten pismak, Spencer, spił się jak świnia i jak zwykle zaczął pleść bzdury o tym, jak to faszyści przejmują kontrolę i kiedy Taverner i jej podobni w końcu coś z tym zrobią. A ona powiedziała... – Hobden mocno zacisnął oczy, przywołując wspomnienia. – Coś w stylu: tak, panujemy nad tym. Albo: mamy to w planach. Jezu, nie pamiętam dokładnie jej słów, ale dała mu do zrozumienia, że to się już dzieje. Że planuje coś nie tylko przeciwko Brytyjskiej Partii Narodowej, ale temu, co nazwała skrajną prawicą. A wszyscy wiemy, kogo to obejmuje.

– Powiedziała to przy tobie?

– Nie wiedziała, że tam byłem.

– Drugie Biurko w MI5 ogłasza, że zamierza dobrać się do Brytyjskiej Partii Narodowej, dobrać się do prawicy, i to wszystko dzieje się w barze?

– Byli pijani, rozumiesz? Słuchaj, to się stało. Dzieje się w tej chwili. Nie oglądałeś wiadomości? – PJ przyglądał mu się uważnie. – Ten dzieciak w piwnicy?

– Wiem, do czego pijesz. I mówisz, że to jest to? Operacja tajnych służb?

– Cóż, cholernie duży zbieg okoliczności, nie uważasz? Że interesują się mną w tym samym tygodniu, kiedy to się dzieje; że ktoś próbuje mnie zabić w tym samym dniu...

– Jeśli rzeczywiście tak jest – odparł PJ – to mamy do czynienia z najbardziej spierdoloną akcją wywiadu, o jakiej kiedykolwiek słyszałem, i to wliczając pieprzoną Zatokę Świń. – Zerknął na butelkę, którą trzymał w rękach, i poszukał drugiego szkła. Najbliżej stojącym kandydatem okazał się nieopłukany kieliszek przy zlewie. Nalał sobie do niego solidną porcję i odstawił butelkę. – To dlatego wydzwaniałeś?

– A jak ci się wydaje?

PJ mocno uderzył go w twarz. Płaśnięcie odbiło się echem od ścian pustej kuchni.

– Nie odszczekuj mi się, ty mała mendo. Pamiętaj, kto jest kim. Ty jesteś spalonym dziennikarzem, którego nazwisko śmierdzi stąd do Timbaktu. A ja jestem członkiem lojalnego gabinetu Jej Wysokości. – Przyjrzał się swojemu mokremu mankietowi. – A teraz przez ciebie rozlałem drinka.

Hobden głosem drżącym niczym kulka w gwizdku powiedział:

– Uderzyłeś mnie!

– Tak, no cóż. Zrobiło się nerwowo. Och, na litość boską! – Dolał Hobdenowi wódki. Hobden był paskudnym typem, ale nie ignorantem. Błędem było o tym zapominać. Mimo to PJ wciąż był wściekły. – Wydzwaniałeś do mnie, bo myślisz, że ta... ta... ta szopka została zorganizowana przez MI5, żeby zdyskredytować prawicę? Dopiero co wyjaśniłeś, że jesteś pod obserwacją, i dzwonicz do mnie? Czy ciebie do reszty pojebało?

– Musiałem komuś powiedzieć. Do kogo miałem zadzwonić?

– Nie do mnie.

– Znamy się od lat...

– Nie jesteśmy przyjaciółmi, Robert. Nie popełniaj tego błędu. Zawsze dobrze mnie traktowałeś w swoich artykułach i szanuję to, ale nie ulegaj złudzeniom, jesteś pieprzoną przeszłością i zadawanie się z tobą nie jest już mile widziane. A więc idź z tym do kogoś innego.

– Kogo byś sugerował?

– Na przykład twoich koleśi z Brytyjskiej Partii Patriotycznej.

Czerwone ślady, które dłoń PJ-a zostawiła na policzku Hobdena, pociemniały.

– Koleśi? Moich koleśi? Jak myślisz, kogo obwiniali, kiedy ta lista pojawiła się w internecie? Połowa gróźb, jakie dostaję, pochodzi od ludzi, których popierałem! Jeśli o nich chodzi, to uważają, że gdyby nie ja, zostawiliby ich w spokoju. Bo wszyscy świetnie wiemy, kto odpowiadał za opublikowanie tej listy. Ta sama banda lewackich kryminalistów, która teraz mnie prześladowuje!

– Może i tak. Ale wciąż nie jestem pewien, dlaczego uważasz, że musisz się zjawiać u mnie w środku nocy...

– Bo trzeba to powstrzymać – odparł Hobden.

– Mów – powiedział Lamb, a potem podsunął zapalniczkę do jej twarzy, jakby jej groził.

Pochyliła się, żeby odpalić papierosa. Siódmego tego dnia: zaczynała się już przyzwyczajać do wciągania dymu w płuca. Wypuściła obłoczek.

– Zastanawiasz się czasem, dlaczego robimy to, co robimy? – spytała.

– Taverner, jest po drugiej, a mój zespół jest mniejszy niż wczoraj. Przejdźmy do rzeczy, dobra?

– Od siódmego lipca było piętnaście udaremnionych planowanych zamachów, Jackson. To musi być prawda. Czytałam o tym w gazecie.

– No to mamy szczęście.

– To było na jedenastej stronie, u dołu.

– Jeśli chciałaś być sławna, to może nie trzeba było wybierać tajnych służb – stwierdził Lamb.

– Tu nie chodzi o mnie.

Jackson Lamb podejrzewał, że jak najbardziej chodziło o nią.

– Nasze porażki są bardziej nagłaśniane niż sukcesy. Akurat ty powinienes o tym wiedzieć. Tamto podejrzane dossier? Broń masowego rażenia? Dobra, to było MI6, ale myślisz, że kogoś to obchodzi? – Mówiła teraz szybciej, a każde słowo pozostawiało ślad dymu w powietrzu pomiędzy nimi. – Niedawno przeprowadzono sondaż. Czterdzieści parę procent ankietowanych uważa, że MI5 maczało palce w śmierci Davida Kelly’ego. Czterdzieści parę procent. Jak myślisz, jak się z tym czuję?

– Czujesz, że chciałabyś coś z tym zrobić – odparł Lamb. – Pozwól, że zgadnę. Przyszedł ci do głowy jakiś nedorobiony plan, w którym grupka neofaszystów porywa muzułmańskiego dzieciaka i grozi, że odrąbie mu głowę na YouTube. Tyle tylko że do tego nie dojdzie, bo masz w tej grupce swojego człowieka. A więc kiedy MI5 wkroczy w ostatniej chwili, żeby go uratować, wszystkie stacje telewizyjne na świecie będą podkreślać, jaka to bezlitośnie skuteczna organizacja. – Wypuścił dym. – Blisko?

– Nedorobiony?

– Och, na litość boską! Mamy jednego trupa i agentkę na oddziale intensywnej terapii, i to przy twoich staraniach, żeby to wszystko nie trafiło do gazet. I na wypadek gdybyś zapomniała: oboje są moi. Albo byli.

– Przykro mi z powodu Sid Baker.

– No to świetnie.

– Wygląda na to, że Moody potknął się o własnego fiuta, a za to nie odpowiadam. Ale przykro mi z powodu Baker.

– Zapiszę to na jej karcie pacjenta. No wiesz, tej przypiętej do łóżka. Notują na niej, kiedy zmieniają jej cewnik. Jezu! Naprawdę myślałaś, że to się uda?

– Wciąż się może udać.

– Pieprzenie. Koła zaczęły odpadać, jeszcze zanim je przykręciłaś. Opowiedz mi o Hobdenie. Dlaczego stanowi zagrożenie?

– Nie jestem pewna, czy je stanowi.

– Nie przyszedłem tutaj, by przerzucać się słowami. Kazałaś ukraść mu pliki i przejrzeć jego śmieci. Dlaczego?

Na chwilę dotknęła dłonią czoła. Kiedy znów spojrzała na Lamba, miał wrażenie, że widzi na wylot przez jej skórę. Żyły napięte na lśniących kościach. Wystarczyłoby stuknąć ją palcem, a rozpadłaby się na kawałki.

– Znasz Dave’a Spencera? – zapytała.

– Tego pismaka z „Guardiana”?

– Kiedyś tam pracował. Wywalili go. Ale tak. Przyjaźnimy się. Wydaje ci się to dziwne? Żebym przyjaźniła się z dziennikarzem, który trzyma z komuchami?

Lambowi nic nie wydawało się dziwne, może z wyjątkiem tego, że ludzie mają przyjaciół.

– Wieczorem w dniu eurowyborów byliśmy we Frontline Club. To było wtedy, gdy Brytyjska Partia Narodowa zdobyła dwa mandaty, pamiętasz?

Lamb kiwnął głową.

– Oglądaliśmy, jak spływają wyniki; i jak można się było spodziewać, Dave’owi odwaliło. Lubi sobie wypić. To kolejny powód, dla którego go zwolnili. W każdym razie zaczął pomstować, jakby to była moja wina. Powtarzał: Co z wami? Najwyższa pora, żebyście wykluczyli z gry tych faszystowskich gnojków.

– O Jezu! – jęknął Lamb.

– Nie wiem, co mu powiedziałam. Cokolwiek, byle tylko się przymknął. Ale tak, mówiłam różne rzeczy. Że mamy to w planach. Coś w tym stylu. Nic konkretnego. Nic, co można by komuś przypisać.

– I Hobden to wszystko słyszał.

– Przecież nie wiedziałam, że tam był! Czał się. Starał się nie rzucać w oczy.

– Jasne, kurwa, że się starał. Jest pieprzonym pariasem. – Lamb pokręcił głową. – Czyli dziennikarz sympatyzujący ze skrajną prawicą spodziewa się wymierzonej w nią operacji. Jest wkurzony, bo ujawniono jego ekstremistyczne poglądy, a MI5 maczało w tym palce, zgadza się? Nic dziwnego, że chciałaś sprawdzić, ile wie, zanim kopnęłaś piłkę. Co było w jego plikach?

– Jedno wielkie gówno. Pi, chyba do milionowego miejsca po przecinku. A myślałaś, że to my mamy paranoję.

Lamb uważał po prostu, że Hobden jest ostrożny. Sam też by tak zrobił, podobnie jak turysta nosi atrapę portfela: parę dolców dla miejscowych kieszonkowców, a karty kredytowe i czek podróżny chowa w skarpetce.

– I wysłałaś Moody’ego żeby co, jeszcze raz to sprawdził? Ukraść mu twardy dysk? – Milczał przez chwilę. – Miał broń.

– Na litość boską, Lamb, myślisz, że wydałam na to zgodę?

– Na tym etapie nic mnie już nie zaskoczy.

– Miał zabrać jego laptop – powiedziała. – To miało wyglądać, jakby zrobił to jakiś ćpun.

– W takim razie dodajmy to do listy sukcesów Moody’ego. – Lamb bez ostrzeżenia głośno splunął. Potem dodał: – A teraz Sid Baker jest na stole operacyjnym, usuwają jej kulę z głowy. A co do Moody’ego, nawet on musiał się zorientować, że wszystko się popierdoliło. A więc próbował posprzątać, co obejmowało usunięcie podsłuchu, który założył w moim gabinecie. I po ciemku potknął się o własnego fiuta, tak jak mówiłaś.

– Był wtedy sam?

– Na końcu wszyscy jesteśmy sami, nie uważasz? W tych ostatnich chwilach. – Jackson Lamb rzucił dogasający niedopałek do ciemnego kanału. – Tak czy inaczej, to już koniec. Dla niego i dla ciebie. Dla całej tej operacji.

– Wciąż może się udać.

– Nie, nie może. Jeśli Hobden wcześniej nie miał pojęcia, co się dzieje, teraz już ma. A, i nikt go nie pilnuje. Wspominałem o tym? Nie masz wyboru, musisz to przerwać.

– Hobden to błazen. Jedyne szmatławce, jakie go drukują, mają takie nazwy jak „UK Watch” i trafiają tylko do tych, którzy już mają pianę na ustach.

– Nie mówię o tym, co będzie potem. Mówię o dzisiejszej nocy. Te różne odłamy, Brytyjska Partia Patriotyczna, brytyjscy naziści i inne pojeby może i się nawzajem nienawidzą, ale nawet nie w połowie tak bardzo, jak nienawidzą wszystkich innych. Hobden da im znać, o ile już tego nie zrobił. Wycofaj swojego agenta. Natychmiast. Albo Moody i Baker nie będą jedynymi ofiarami dzisiaj w nocy.

Odwróciła się.

– Taverner?

– To hermetyczna grupa. Nie dostają informacji z zewnątrz.

– Chciałabyś. Ale zobacz, co dotąd osiągnęłaś. Wszystko nie mogłoby posypać się szybciej, gdybyś kupiła to w Ikei, a przecież jesteś profesjonalistką. Uważasz, że te błazny, których twój agent wciągnął w tę farsę, trzymały język za zębami? W każdej chwili do któregoś z nich może zadzwonić ktoś, kto zna kogoś, kto zna Hobdena, i powie mu, że zostali wrobieni, a to znaczy, że w tej chwili dwie osoby są w wielkim niebezpieczeństwie. Twój agent i ten dzieciak. – Lamb zamrugał. – To tylko jakiś biedny sukinsyn, który miał niewłaściwy kolor skóry, prawda?

Nie odpowiedziała.

– O, do kurwy nędzy! – jęknął Lamb. – Jak to możliwe, że może być jeszcze gorzej?

– Bo trzeba to powstrzymać – mówił Hobden. – Nie widzisz tego?

– Jeśli to operacja MI5, to oczywiście, że zostanie wstrzymana – odparł Peter Judd. – Służby nie pozwolą, żeby komuś odrąbano głowę w internecie. W tym wszystkim chodzi o to...

– Wiem, o co chodzi. O to, żeby wszyscy zapomnieli o bombach w metrze i o wszystkich tych nalotach o świcie, które kończą się uniewinnieniami. Nie, dostaniemy gorący materiał o naszych dzielnych agentach ratujących jakiegoś biednego śniadego chłopaka, a przy okazji prawica zostanie przedstawiona jako banda szalonych, morderczych skurwysynów. To właśnie chcę powstrzymać. A ty? Chcesz



pozwolić, żeby im to uszło na sucho.

– Biorąc pod uwagę ich osiągnięcia, raczej w to wątpię. Ale wciąż nie wyjaśniłeś, czemu przychodzisz z tym do mnie.

– Bo obaj wiemy, że nastroje się zmieniają. Przyzwoici ludzie w tym kraju mają już serdecznie dość bycia zakładnikami stukniętych liberałów w Brukseli i im szybciej przejmiesz kontrolę nad naszą przyszłością, naszymi granicami...

– Naprawdę próbujesz mnie pouczyć?

– To się stanie, w dodatku za kadencji twojego rządu. Obaj o tym wiemy. Nie za tego parlamentu, ale pewnie za następnego. I obaj wiemy, gdzie spodziewasz się już wtedy mieszkać, i to nie będzie w Islington, prawda? – Hobden znowu ożył. Miał błysk w oczach. Oddychał normalnie. – Tylko przy Downing Street.

– Tak. No cóż... – Rzucający przekleństwami PJ sprzed dziesięciu minut, ten, który spoliczkował Hobdena, wyszedł z pokoju; w jego miejsce pojawiła się czarująco nieporadna postać, znana z niezliczonych programów i filmików na YouTube. – Naturalnie, jeśli obowiązek będzie wzywał, odejdę od mojego pługa.

– I będziesz chciał pchnąć swoją partię dalej na prawo, ale co, jeśli ten teren będzie już zajęty? I co, jeśli jedna z zajmujących go grup będzie znana głównie z próby przeprowadzenia egzekucji w czasie najwyższej oglądalności?

– Nie bądź śmieszny. Nawet najgorsze szumowiny z twojej profesji nie będą porównywać rządu Jej Królewskiej Mości do...

– Cóż, mogą to zrobić, jeśli dowiedzą się o twoich powiązaniach z jedną z takich grup.

I teraz dotarli do sedna sprawy.

– Nie wyobrażaj sobie, że nigdy nie wspomniałem o tym w druku, bo uważałem, że to był jeden z twoich błędów młodości – powiedział Hobden. – Po prostu nie chciałem usłyszeć, jak temu publicznie zaprzeczasz. Jesteś materiałem na premiera. Z tobą u steru ten kraj może znów być wielki. A ci z nas, którzy wierzą w silny rząd, nie chcą słyszeć, jak przepraszasz za sprawy, które tak naprawdę popierasz.

PJ bardzo ostrożnie odstawił swoją szklankę na blat.

– Nigdy nie miałem żadnych związków z ekstremizmem – oświadczył spokojnie. Teraz był Peterem Juddem, głosem ludu: używał dokładnie takiego tonu jak w telewizji, kiedy zamierzał kogoś naprostować, dając mu do zrozumienia, że niewielu ludzi aż tak bardzo się myliło. – Tak się składa, że na początku lat dziewięćdziesiątych napisałem raport o działalności kilku skrajnie prawicowych grup i w ramach badań poszedłem na jedno czy dwa spotkania. – Pochylił się w stronę Hobdena tak, że ten poczuł jego oddech. – I naprawdę ci się wydaje, że masz jakąś wiarygodność? – Jego głos był jak aksamit. – Będzie ci się wydawało, że ta katastrofa, w którą zmieniło się twoje życie, to pierdolone puchowe łożo. W porównaniu z tym, co może się stać.

– Nie chcę wywołać skandalu. To ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. Ale gdybym... – Powoli, starannie Hobden dopił wódkę ze szklanki. – Ale gdybym to zrobił, nie potrzebowałbym wiarygodności. Mam coś o wiele pożyteczniejszego. – Postawił pustą szklankę obok szklanki PJ-a. – Mam zdjęcie.

– O, do kurwy nędzy! Jak to możliwe, że może być jeszcze gorzej?  
– Nie chodzi tylko o poprawienie reputacji MI5 – odparła Taverner. – Trwa wojna, Jackson. Nawet siedząc w Slough House, musiałeś to zauważyć. I potrzebujemy wszystkich sojuszników, jakich możemy zdobyć.

– Kim on jest?

– Nie chodzi o to, kim on jest, tylko kim jest jego wuj.

– O Chryste, nie mów mi!

– Bratem jego matki jest Mahmud Gul.

– Słodki Jezu!

– Generał Mahmud Gul. Obecnie Drugie Biurko pakistańskiego wywiadu.

– Tak, wielkie dzięki. Wiem, kim on jest. Jezu Chryste!

– Pomyśl o tym jak o zbliżeniu do siebie wspólnot – powiedziała Taverner. – Kiedy uratujemy Hassana, zdobędziemy przyjaciela. Uważasz, że nam się nie przyda? W pakistańskim wywiadzie?

– A zastanowiłaś się nad drugą możliwością? Jeśli to nie wypali, a jak dotąd nic nie poszło tak, jak trzeba, zabijesz jego siostrzeńca.

– Wypali.

– Twoja wiara byłaby wzruszająca, gdyby od twojej głupoty nie chciało mi się rzygać. Przerwij to. Natychmiast.

Znad kanału znów dobiegł śmiech, ale tym razem brzmiał mniej autentycznie; jakby wynikał bardziej z alkoholu niż z dowcipu.

– Dobra, założmy, że to zrobimy – odparła. – Dziś w nocy. – Na chwilę skupiła wzrok na czymś nad ramieniem Lamba, a potem znów spojrzała mu w twarz. – O dzień wcześniej. To nie znaczy, że się nie uda.

– Kiedy słyszę, jak ktoś to mówi... – zaczęła Lamb, ale weszła mu w słowo.

– W sumie wyjdzie jeszcze lepiej. To nie będzie ratunek w ostatniej chwili. Odbijemy dzieciaka na dwadzieścia cztery godziny przed tym, jak mieli odrąbać mu głowę. A dlaczego? Bo jesteśmy świetni. Bo wiemy, co robimy. Bo ty wiesz, co robisz.

Lamb wyglądał, jakby się zakrztusił.

– Straciłaś rozum – orzekł, gdy już był w stanie mówić.

– To zadziała. Dlaczego miałoby nie zadziałać?

– Cóż, po pierwsze, nie ma śladu na papierze. Żadnego śledztwa. Niby jak go znalazłem, Bóg mnie natchnął? Porwali go w pieprzonym Leeds.

– Przywieźli go tutaj. Są niedaleko.

– Są w Londynie?

– Są niedaleko – powtórzyła. – A jeśli chodzi o ślad na papierze, wszystkim się zajmujemy. Do diabła, już jesteśmy w trakcie. Naszym punktem zaczepienia jest Hobden. To wasz zespół go zdekonspirował i wykradł mu pliki.

– Które okazały się kupą gówna – przypomniał jej.

– Niekoniecznie. Nie, kiedy już zdecydujemy, co tak naprawdę w nich jest.

Na twarz Taverner padało dość światła, by Lamb widział, że mówiła poważnie. Pewnie oszalała. To nie byłby pierwszy raz, kiedy ta robota zrobiła z człowiekiem coś

takiego; a w dodatku była kobietą, co zapewne nie pomagało. Gdyby myślała jasno, zauważyłaby błąd w swoim rozumowaniu, który polegał na tym, że on, Jackson Lamb, miał głęboko w dupie wszystko, co mogła mu zaoferować.

A może i zauważyła.

– Pomyśl przez chwilę. Pomyśl, co by to mogło oznaczać.

– Myślę, że mam zwłoki na klatce schodowej.

– Spadł ze schodów. Pusta butelka to jedyny rekwizyt, jakiego będziesz potrzebował. – Jej szept stał się natrętny; rozmawiali o śmierci, o śmierci innych ludzi. Rozmawiali też o chwilach, które mogły zakończyć karierę, i może o czymś jeszcze. – Odkupienie.

– Że co, kurwa, proszę?

– Rehabilitację.

– Nie potrzebuję rehabilitacji. Jest mi dobrze tu, gdzie jestem.

– No to jesteś jedynym. Chryste, Jed Moody oddałby lewe jajo, żeby wrócić do gry.

– I tylko popatrz, do czego go to doprowadziło.

– A więc udowodnił, że był kulawym koniem. Pozostali też są tacy kiepscy?

Lamb udał, że się nad tym zastanawia.

– Tak – odparł. – Prawdopodobnie.

– Nie musi tak być. Zrób to, a będziesz bohaterem. Znowu. Chłopacy i dziewczyny tak samo. Pomyśl tylko, kulawe szkapy znów wśród koni czystej krwi. Nie chcesz dać im tej szansy?

– Niespecjalnie.

– No dobra, a co z drugą stroną? Czy Moody naprawdę był sam, kiedy skreślił sobie kark? – Przekrzywiła głowę. – A może miał towarzystwo?

Lamb odsłonił zęby.

– Rozmawialiśmy już o tym. Wezwij psy. Kiedy skończą rozszarpywać cię na kawałki, może będą miały siły dobrać się do nas. – Przepastnie ziewnął, nawet nie próbując tego ukryć. – Tak czy inaczej, mnie to wisi.

– Bez względu na to, komu się oberwie.

– Ty to powiedziałaś.

– A co, jeśli to będzie Standish?

Lamb pokręcił głową.

– Rzucasz strzałkami i patrzysz, w co uda ci się trafić. Standish nie ma z tym nic wspólnego. I jest w domu, śpi. Gwarantuję ci to.

– Nie mówię o dzisiejszej nocy. – I tym razem odniosła wrażenie, że strzałka trafiła blisko. Widziała to po mowie ciała Lamba; mięśnie wokół jego ust się rozluźniły, sygnał, który miał pokazywać, że mu nie zależy. – Catherine Standish? Była o włos od oskarżenia o zdradę. Myślałeś, że to zniknęło?

W blasku księżycy jego oczy były czarne.

– Nie chciałybyś otwierać tej puszkii Pandory.

– A wyglądam, jakby mi się do tego paliło? Masz rację, ten wieczór wymknął się spod kontroli. Chcę, żeby się skończył. Szybko i po cichu. Z kimś zaufanym u steru.

I czy ci się to podoba, czy nie, teraz Slough House jest tego częścią. Wszystkim wam się oberwie. A biedna Catherine... ona nawet nie wie, w jakie kłopoty się prawie wpakowała, prawda?

Lamb spoglądał na kanał. Na powierzchni wody kołysały się światła, odbicia z różnych źródeł. Ciemność spowijała kilka mieszkalnych barek z roślinami w donicach na dachach kabin, wyciągnięte palce zieleni sięgające aż do powierzchni wody i starannie odstawione rowery. Ślady alternatywnego stylu życia albo kryjówka na alternatywne weekendy. Kogo to obchodziło?

– To było przed twoimi czasami – powiedział. – Ale wiesz, dlaczego jestem w Slough House.

To nie było pytanie.

– Słyszałam trzy wersje – stwierdziła Diana Taverner.

– Ta najgorsza? To ta jest prawdziwa.

– Tyle się domyślałam.

Pochylił się do przodu.

– Wykorzystujesz Slough House jak swoją prywatną piaskownicę i to mnie wkurza. Rozumiemy się?

Znów rzuciła strzałką.

– Zależy ci na nich, prawda?

– Nie, uważam, że to banda pieprzonych nieudaczników. – Zbliżył się do niej. – Ale to moi nieudacznicy. Nie twoi. A więc to zrobię, ale mam warunki. Moody ma zniknąć. Baker była ofiarą ulicznej strzelaniny. Każdy, kto dziś w nocy będzie ze mną, jest nietykalny. Och, będziesz moją dozgonną dłużniczką. I zapewniam cię, że to się na zawsze odbije w rozliczeniach wydatków.

– Wszyscy możemy z tego wyjść okryci chwałą – powiedziała niemądrze.

Ale Jackson Lamb odrzucił siedem czy osiem potencjalnych replik; po prostu w niemym niedowierzaniu pokręcił głową i znów spojrział na powierzchnię kanału, gdzie spokojnie, chaotycznie kołysały się łamane fałą okruchy światła.

– Mam zdjęcie – rzekł Hobden. – Widać na nim, jak hajlujesz, obejmując ramieniem Nicholasa Frosta. Teraz oczywiście nikt o nim nie pamięta, ale w tamtym czasie był światłem przewodnim Frontu Narodowego. Zadźgali go nożem podczas zlotu kilka lat później, i w sumie niewielka strata. To przez takich jak on prawica ma złą sławę.

Po długiej chwili PJ odparł:

– To zdjęcie zostało zniszczone.

– Potrafię w to uwierzyć.

– Tak bardzo zniszczone, jak gdyby nigdy nie istniało.

– W takim razie nie masz powodów do zmartwień.

Różne twarze PJ-a, które do tej pory się pojawiały – ten obyty, ten czarująco nieporadny, ten gwałtowny i okrutny – stopiły się w jedno i na chwilę z przerośniętego uczniaka wyłonił się prawdziwy Peter Judd. I robił to, co zawsze: oceniał swojego rozmówcę w kategorii zagrożenia, jakie ten stanowił, i oceniał, jak można się czysto tego zagrożenia pozbyć. „Czysto” oznaczało bez reperkusji. Jeśli to

zdjęcie wciąż istniało i było w posiadaniu Hobdena, konsekwencje mogły być katastrofalne. Hobden mógł blefować. Ale w ogóle wiedział o tym zdjęciu, co oznaczało, że zrobiło się naprawdę groźnie.

Najpierw zneutralizować skutki.

Potem uporać się z zagrożeniem.

– Czego chcesz? – spytał.

– Chcę, żebyś przekazał wiadomość.

– Wiadomość?

– Że cały ten plan, ta rzekoma egzekucja to oszustwo. Że Głos Albionu, który nigdy nie był niczym więcej niż grupką wykrzykującą swoje hasła na ulicach, został zinfiltrowany przez wywiad. Że zrobiono z nich narzędzie PR-owych działań i że dobrze na tym nie wyjdą. – Hobden przerwał. – Nie dbam o to, co się stanie z tymi idiotami. Ale mogą wyrządzić naszej sprawie kolosalne szkody.

PJ nie skomentował tego „naszej”. Naszej sprawie.

– I co mam zrobić? Ogłosić to w Izbie Gmin?

– Nie mów mi, że nie masz swoich kontaktów. Twoje właściwe słowo szepnięte do właściwego ucha dotrze o wiele dalej niż moje. – W jego głosie było słychać przejęcie. – Nie mieszałbym cię w to, gdybym sam mógł sobie z tym poradzić. Ale tak jak mówiłem, to nie są moi koleś.

– Pewnie już na to za późno – stwierdził PJ.

– Musimy spróbować. – Hobden nagle poczuł się wykończony. Potarł ręką twarz. – Mogą powiedzieć, że to był dowcip, który wymknął się spod kontroli. Że nigdy nie zamierzali przelewać krwi.

Na zewnątrz zrobiło się zamieszanie, od strony schodów rozległy się głosy: „PJ? Cholera, gdzie ty się podział?”. I jeszcze: „Kochanie? Gdzie jesteś?”. Te ostatnie z wyraźnym rozdrażnieniem.

– Zaraz będę! – odrzyknął PJ. I dodał: – Lepiej już idź.

– Zadzwonisz tam, gdzie trzeba?

– Zajmę się tym.

Coś w jego spojrzeniu odwiodło Hobdena od dalszego drażnienia.

Lamb sobie poszedł. Taverner patrzyła za nim, póki jego zwalisty kształt nie połączył się z większymi cieniami, a potem jeszcze przez kolejne dwie minuty, zanim pozwoliła sobie na to, by się odprężyć. Zerknęła na zegarek. Druga trzydzieści pięć.

Szybko obliczyła w głowie: Hassanowi zostało jeszcze około dwudziestu sześciu godzin.

W idealnej sytuacji Diana Taverner grałaby dłużej na tej strunie; odczekałaby, aż każdy telewizor w kraju będzie pokazywał zegar, i dopiero wtedy wysłałaby ratunek. Ale dzisiejsza noc musi wystarczyć. A poza tym genialny obrót, jaki temu nada – że to nie jest ratunek w ostatniej chwili, lecz kontrolowana, wolna od paniki operacja – też będzie dobrze wyglądać. Nigdy nie było zagrożenia. Takie będą wnioski w raporcie – że MI5 od początku miało wszystko pod kontrolą. A więc rano Hassan bezpiecznie wróci do domu, jej agent wynurzy się z głębokiej konspiracji, a ona sama będzie odbierać gratulacje i patrzeć, jak prestiż tajnych służb łśni w pełnej chwale.

A na dodatek nie było szans na to, by Ingrid Tearney zdążyła wrócić z Waszyngtonu i zgarnęła jej sprzed nosa całą zasługę.

Była jednak niepokieszona, że teraz sprawy były w rękach Jacksona Lamba. Lamb był kimś znacznie gorszym niż nieudacznicy z MI5; był nieobliczalny i już raz umyślnie zerwał się ze smyczy. Kiedy ją zapytał, czy wie, dlaczego jest w Slough House, groził jej; pytał ją, czy wie, co kiedyś zrobił. Jeśli dziś w nocy coś pójdzie nie tak, Lamb nie zostawi sprzątaniam psom. Sam zetrze tablicę.

A tym wypadku wskazany był plan awaryjny.

Wyciągnęła z kieszeni komórkę; wybrała numer. Minęło pięć sygnałów, nim osoba po drugiej stronie odebrała.

– Taverner – powiedziała. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie odbyłam bardzo dziwną rozmowę z Jacksonem Lambem.

Wciąż rozmawiając, ruszyła wzdłuż toru żeglugowego i wkrótce pochłonęły ją cienie.

Było późno, naprawdę późno, ale przyjęcie wciąż trwało w najlepsze. Pomogło w tym parę ścieżek koki. PJ postanowił, że przymknie na to oko, ale nim tydzień się skończy, zamierzał zamienić z winnymi parę słów, mocnych słów. Były szaleństwa, na które można sobie pozwolić, będąc w opozycji, i większe szaleństwa, które uchodziły na sucho, gdy było się w rządzie, ale jako członek gabinetu trzeba już było przestrzegać pewnych zasad. Oczywiście żaden z biorących w tym udział szczeniaków nie był na poziomie PJ-a, ale okazali mu wielki brak szacunku, wyobrażając sobie, że tego nie zauważą.

To jednak mogło poczekać. W ciągu pół godziny, jaka upłynęła od wyjścia Hobdena, PJ ocenił mocne i słabe punkty jego historii i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie jest prawdziwa. Nawet w dobie internetu, w którym teorie spiskowe rozprzestrzeniały się szybciej niż trądzik na twarzy blogera, PJ bez problemu potrafił uwierzyć, że pewne elementy w MI5 mogły wyreżyserować ten horror, i nawet mu to trochę zaimponowało. Nieco mniej płaszcza i szpady, a więcej reality TV: to był sposób, by poruszyć wyobraźnię widzów. A nic nie mogło być bardziej realne niż rozlew krwi.

Przy czym nie podjął jeszcze decyzji, jaka powinna być jego reakcja. Mimo wszystkich katastroficznych wizji Hobdena PJ wyczuwał, że elektorat potrafiłby rozróżnić między oficjalną wersją prawicy a wersją typów spod ciemnej gwiazdy. Poza tym, przyjmując rozumowanie Hobdena, nie było żadnej różnicy, czy ten spiszek by się powiódł, czy nie – w obu przypadkach skrajna prawica wyszłaby na skurwieli o morderczych zapędach.

A biorąc pod uwagę, że PJ-a nie obchodziło, czy jakiś obywatel – i to w najlepszym razie w kolejnym pokoleniu – przeżyje czy zginie i że zamierzał pewnego dnia znaleźć się na stanowisku, na którym siła służb wywiadowczych będzie go osobiście dotyczyć, wszystko przemawiało przeciwko temu, by podjął jakiegokolwiek działania.

Ale było jeszcze to zdjęcie. O ile istniało. W zaciszu własnej głowy nie warto było udawać, że nigdy go nie było, ale czy nadal można by to opisać w takich

kategoriach – to inna kwestia, którą teoretycznie rozwiązała już spora kwota, kilka obietnic i jeden akt przemocy. Na tym etapie istniała bardzo niewielka szansa na to, że przetrwała jakaś kopia, ale jeśli dopuścić taką możliwość, istniało niewielu lepszych kandydatów na jej odnalezienie niż Robert Hobden. Nawet pomijając powiązania Hobdena ze skrajną prawicą, jego kariera była niezwykła, bo potrafił ujawniać polityczne grzechy, ale również dlatego, że tak bardzo się tym puszył – zanim wypadł z łask, ludzie u władzy obchodzili się z nim ostrożnie. A fakt, że najwyraźniej nie wiedział wszystkiego, świadczył o tym, że nie blefował – gdyby miał jakiekolwiek podejrzenia, że śmierć Nicholasa Frosta na zlocie Frontu Narodowego była czymś innym, niż się wydawała, poruszyłby tę sprawę. A więc założmy, myślał PJ, że to zdjęcie istnieje; założmy, że Hobden ma kopię. W jakimś świetle stawiało to sprawy? Sprawy, czyli PJ-a?

W takim, że musiał załatać nieszczelności. Odsunął krzesło i przeprasząc machnął ręką w stronę żony; bezgłośnie pokazał jej ruchem ust: „Telefon”. Pomyśli, że to ma coś wspólnego z tą sytuacją z zakładnikiem, i oczywiście tak było. Tak było.

Został Sebastiana piętro wyżej. Siedział i wyglądał na spokojną ulicę. Jednym ze słów, jakim go określano, było „totumfacki”; PJ słyszał też określenia „majordomus”, a nawet „Batman”. To ostatnie było nawet całkiem niezłe. Krzyżowiec w pelerynie. Mroczne czyny w imię prawości. Prawość oczywiście również oznaczała PJ-a.

Jeśli to zdjęcie istniało, no cóż. Na poziomie gabinetu oczywiście należało przestrzegać pewnych zasad, ale jedna z tych zasad była oczywista i mówiła po prostu, że nie pozwala się, by ktoś trzymał ci nóż przy gardle.

Ludzie u władzy kiedyś obchodzili się ostrożnie z Robertem Hobdenem. Obecnie jednak przejechanie go walcem wchodziło w grę. Najpierw jednak załata te nieszczelności; przekaze wiadomość, tak jak chciał Hobden. PJ nie utrzymywał osobistych kontaktów z tymi, którzy przekraczali wszelkie przyjęte granice, ale przecież nie musiał tego robić. Od czego ma się Batmana?

– Seb – powiedział – chcę, żebyś zadzwonił w kilka miejsc.

Zwłoki Jeda Moody'ego wciąż leżały na półpiętrze w posępnym blasku nagiej żarówki. Lamb nie poświęcił im wiele uwagi, wchodząc na górę do swojego gabinetu. Tam podniósł z podłogi korkową tablicę i odwiesił ją na ścianę. Potem otworzył zamykaną na klucz szufladę biurka i wyjął pudełko po butach. W środku, owinięty w materiał, leżał heckler & koch. Przyjrzał mu się szybko w świetle biurkowej lampki, po czym wsunął go do kieszeni płaszcza, który ciężko obwisł po jednej stronie. Zostawił pudełko po butach na biurku i nie gasząc lampki, wrócił na dół.

– Co się stało z bronią? – spytał.

– Ja ją mam – powiedział mu River.

Lamb wyciągnął mięsistą rękę i River oddał mu broń, która natychmiast zniknęła w kieszeni Lamba. Co ciekawe, według Rivera to jakby poprawiło coś w jego sylwetce.

Lamb zerknął na Moody'ego.

– Popilnuj tutaj, co?

Trup nie odpowiedział.

Lamb ruszył przodem i zanim wyszli na ulicę, zapalił papierosa. Na zewnątrz chmurka dymu była niemal biała.

– Ktoś jeszcze ma samochód?

Zgłosiła się Louisa Guy.

– Któryś z was jest w stanie prowadzić?

– Tak.

– To jedźcie za mną.

– Dokąd? – spytał River.

– Ty jedziesz ze mną. – Do pozostałej dwójki Lamb powiedział: – Roupell Street.

Wiecie, gdzie to jest?

– Na południe od rzeki.

– O tej porze?

– To miało być zabawne? – spytał Lamb.

– Co zrobimy, kiedy już tam będziemy? – chciał wiedzieć River.

– Uratujemy Hassana Ahmeda – odparł Lamb. – I wszyscy zostaniemy bohaterami.

River, Min i Louisa wymienili spojrzenia.

– To wam pasuje? – spytał Lamb. – A może macie inne plany?

Nie mieli innych planów.

Larry, Moe i Curly.

Curly, Larry i Moe.

Kim byli ci ludzie i dlaczego go porwali?



010">„Myślisz, że nas obchodzi, coś ty za jeden?”

Od dłuższego czasu Hassan był przekonany, że przestał myśleć. Że stał się samymi uczuciami bez żadnych myśli. Ale mylił się: było raczej tak, że jego myśli stały się uczuciami i teraz tłukły mu się po głowie jak motyle. Jego myśli były roztrzępotałe, nieuchwytnie. Prowadziły do jednej rzeczy, potem do kolejnej i jeszcze kolejnej, i to mogła być znów ta pierwsza rzecz, choć trudno było mieć pewność, bo do tego czasu zapominał tej pierwszej. Nie wiedział, co było przyczyną: strach, głód czy samotność. Ale, co ciekawe – i interesowało go to w taki sam sposób, w jaki kiedyś interesowało go, co robią mrówki – odkrył w sobie talent do podróży w czasie. Na ułamek sekundy mógł znaleźć się poza tą piwnicą, w przeszłości, w której żadna z tych rzeczy się nie wydarzy.

Na przykład przypomniał sobie, jak pierwszy raz zapytał matkę o mężczyznę na zdjęciu, które stało na szafce przy jej łóżku; było widać, że to żołnierz o pięknych, stanowczych rysach i spojrzeniu, które sugerowało, że on też zna sekret podróży w czasie i spogląda poprzez obiektyw w samą przyszłość; przyszłość, w której jeszcze nienarodzone dzieci będą patrzeć na jego zdjęcie i zastanawiać się, kim jest.

– To twój wuj Mahmud – powiedziała mu.

Hassan miał wtedy jakieś pięć lat.

– Gdzie on jest? – spytał.

– W domu. W Pakistanie.

Ale Pakistan nie oznaczał dla Hassana domu. Dom to było miejsce, gdzie mieszkał; budynek, w którym budził się codziennie z rodzicami, braćmi i siostrami, a także ulica, przy której stał ten budynek; miasto, w którym znajdowała się ta ulica, i tak dalej. Miał mętlik w głowie, bo dla jego matki słowo „dom” oznaczało coś innego. Jeśli słowa mogą oznaczać różne rzeczy dla różnych ludzi, to jak można im ufać?

I jeśli ten mężczyzna był jego wujem, to dlaczego Hassan go nigdy nie poznał?

– Dlaczego nas nie odwiedza?

Bo jego wuj był bardzo zajęтым i ważnym człowiekiem i obowiązki trzymały go na drugim końcu świata.

Informacje dostarczone nam wcześniej trwale zapisują się w mózgu i ta odpowiedź nie tylko zadowoliła Hassana, ale też wydawała się jedyną rzeczą, jaką warto na ten temat powiedzieć. Kiedy wiele lat później zobaczył w wiadomościach BBC mężczyznę, który wyglądał tak samo, jedną z postaci w szeregu mężczyzn przedstawianych prezydentowi USA, który właśnie realizował jedną ze swych „witajcie w moim świecie” wizyt, było to tylko potwierdzeniem tego, co wcześniej powiedziała mu matka: że jego wuj jest bardzo zajęтым i ważnym człowiekiem.

A potem ten przeblysłk przeszłości zniknął i Hassan znów był w piwnicy.

Jego wuj był bardzo zajęтым i ważnym człowiekiem. Zbyt zajęтым i ważnym, żeby przyjechać do Anglii; tak mu powiedziano, kiedy był młodszy. Prawda, którą znacznie później powiedział mu ojciec, rzucała nieco inne światło na tę sprawę; wuj nigdy ich nie odwiedzał, bo nie pochwalał małżeństwa siostry; nie pochwalał ich świeckiego stylu życia. Chociaż rzeczywiście był zajęтым i ważny – to pozostało

prawdą. Jego wuj piastował wysokie stanowisko oficerskie w pakistańskiej armii.

Czy to, że był zajęty i ważny, wystarczało? – zastanawiał się teraz Hassan. Czy było dostatecznie ważne dla Larry’ego, Curly’ego i Moe?

„Myślisz, że nas obchodzi, coś ty za jeden?”

Tak powiedzieli, ale może kłamali. Bądź co bądź, zaatakowali go, odurzyli i porwali; uwięzili go w wilgotnej piwnicy; chłodno poinformowali, że obetną mu głowę. Dali mu tylko butelkę wody i banana, nic więcej. Żli ludzie. Niewykluczone, że również kłamcy. A ponieważ bycie zajęтым i ważnym często utożsamiano z bogactwem, może tak naprawdę był to najzwyczajniejszy rodzaj porwania. Może mimo wszystkich grózb i przechwałek prawdziwym celem Moe, Curly’ego i Larry’ego było tylko wyciągnięcie pieniędzy od jego zajętego, ważnego wuja. To miało więcej sensu niż domaganie się okupu od jego rodziców, którzy byli zajęci, ale nie ważni; dobrze sytuowani, ale nie bogaci. Hassan był niemal pewny, że tak musi być.

„Ty pierdolony Pakistańcu”.

Tak, zgadza się, mówili tak, ale tylko żeby go wystraszyć.

„Utniemy ci głowę. Pokażemy to w internecie”.

Ale chcieli przez to powiedzieć: chyba że twój wuj zapłaci okup.

Hassan widział dość filmów, by wiedzieć, co to oznacza; okazję dla policji, żeby śledzić pieniądze, obserwację z helikoptera. Dyskretne śledzenie, a potem akcja: krzyki i migające światła. A następnie drzwi piwnicy się otworzą, promień latarki oświetli schody...

Pomyślał: nie. Poddaj się. Tak się nie stanie.

A potem pomyślał: ale co zaszkodzi tak myśleć? Na czym miałyby spędzać czas – czekając, aż spadnie siekiera?

I kiedy te myśli walczyły jak motyle w jego skołowanej głowie, coś walnęło w sufit nad nim i rozległy się krzyki złości albo zaskoczenia – czy słyszał odgłosy walki? Uznał, że właśnie tak. Krótki wybuch, a potem znów głuchy odgłos i w jego głowie pojawiły się nowe obrazy...

Do środka wdziera się oddział antyterrorystów... Uzbrojeni policjanci zdobywają dom.

Jego wuj, żołnierz, go odnajduje...

Którekolwiek z powyższych...

I Hassan pozwolił sobie na nadzieję.

Ruch był niewielki, głównie taksówki i nocne autobusy. Londyn był miastem, w którym życie toczyło się dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale tylko, jeśli liczyć rzeczy, których nikt nie chciał robić, jak dotarcie do domu w środku nocy czy wyjście do pracy przy sprzątaniu miasta wcześniej rano, kiedy jeszcze jest zimno i ciemno. Spoglądając przez okno, River usiłował ogarnąć to, co powiedział im Lamb, zanim wsiedli do osobnych samochodów: że było trzech porywaczy. Że jeden był „nasz”, ale nie wiadomo który i nie wiadomo, jak zareaguje.

– Są uzbrojeni?

– Zakładam, że mają jakąś broń sieczną. Wyszliby na pieprzonych idiotów, gdyby próbowali uciąć temu dzieciakowi głowę korniszonem.

– A dlaczego my? – spytał River. – Czemu nie antyterroryści? Czemu nie zadaniowcy?

Lamb nie odpowiedział.

Przez boczną szybę River zobaczył jakąś postać skuloną w wejściu do sklepu pod piramidą kartonów, ale zdążyła już zniknąć; nie została nawet wspomnieniem. Znow skupił się na własnym odbiciu. Miał rozczochrane włosy, a na podbródku pojawił się jednodniowy zarost. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był u fryzjera. Przypuszczał, że najpierw ogolili Sid głowę. Jej głowa musiała się wydawać małeńka bez włosów. Wyglądałaby jak obcy z hollywoodzkiego filmu.

Jego odbicie się zamazało i pojawiło się znow, gdy zamrugął.

To wszystko były elementy tej samej całości. Hobden, Moody, Hassan Ahmed, to, że Sid została postrzelona – wszystko było częścią czyjejś gry, którą Lamb najwyraźniej przejrzał. Był na spotkaniu z Lady Di. Nie powiedział tego, ale o kogo innego mogło chodzić? River nie widział Diany Taverner od czasu, gdy wiele miesięcy temu śledził ją przez dwa dni. Lamb jednak, choć był kulawym koniem, spotykał się z nią, żeby pertraktować w środku nocy...

Minęli sklep papierniczy, jego znajome logo świeciło na niebiesko i biało, i skojarzył fakty, które wcześniej mu się wymykały.

– To pieniądze, prawda? – zapytał.

– Co?

– W tamtej kopercie. Tej, którą Moody zabrał z twojego gabinetu. To pieniądze. Twój „fundusz awaryjny”.

Lamb uniósł brew.

– Fundusz awaryjny? Dawno tego nie słyszałem.

– Ale to jest to.

– Ano tak. Twój dziadek. To od niego to usłyszałeś.

Pokiwał głową, jakby rozwiązał jakiś problem.

I oczywiście miał rację; River usłyszał to od dziadka. „Każdy agent potrzebuje funduszu awaryjnego” – powiedział mu S.D. „Parę tysięcy, parę stów, ile się da. Normalni ludzie powiedzieliby, że potrzebujesz tej kasy, żeby móc wszystkim powiedzieć »pierdolcie się«. A niech mnie, nie powinienem być tego mówić. Nie mów o tym babci”. River wciąż pamiętał ten dreszczyk podniecenia, jaki poczuł, gdy usłyszał to jako dwunastolatek. Nie z powodu tego brzydkiego słowa, tylko dlatego, że dziadek mógł powiedzieć: „Nie mów o tym babci”, i ufał, że River tego nie zrobi. To im dawało wspólny sekret. Czyniło z nich szpiegów.

Fundusz awaryjny był czymś, czego człowiek potrzebował, kiedy żył na krawędzi i w każdej chwili mógł się z niej ześliznąć. To było coś, co amortyzowało upadek. Dawało ci środki, żeby zniknąć.

– Tak – przyznał Lamb, zaskakując River. – To fundusz awaryjny.

– No tak.

– Żadna fortuna, jeśli myślisz, że uśmiechnęło się do ciebie szczęście.

– Nie myślałem tak.

– Półtora tysiąca, paszport i klucz do skrytki.

– W Szwajcarii?

– Jasne, kurwa, w Szwajcarii! W banku na francuskim zadupiu, cztery godziny jazdy od Paryża.

– Cztery godziny – powtórzył River.

– Dlaczego ci to mówię?

– Żebyś miał pretekst, by mnie zabić?

– Tak, pewnie dlatego.

Lamb nie wyglądał inaczej, wciąż był tłustym chamskim sukinsynem, wciąż ubierał się tak, jakby ktoś wrzucił go przez szybę do lumpeksu, ale Jezu, pomyślał River, Lamb był agentem. Miał fundusz awaryjny za korkową tablicą, którą poobwieszał kuponami rabatowymi i nieaktualnymi ofertami specjalnymi i nikomu by nie przyszło do głowy, co tam ukrywa. Wprowadzanie w błąd. S.D. zawsze powtarzał Riverowi, że tak właśnie robi szpieg: „Bo ktoś zawsze obserwuje. Zadbaj, żeby widział tylko to, co mu się wydaje”.

Przejechali przez Tamizę i River zobaczył świat wysokich szklanych budynków.

Większość była spowita ciemnością: wieże nieoświetlonych okien odbijających punkty światła z ulic w dole lub z nieba w górze, ale tu i ówdzie jakaś szyba była ostro oświetlona i ukazywały się za nią postacie pochylone nad biurkami albo po prostu stojące w pokojach, a ich uwagę pochłaniało niepoznawalne. Zawsze coś będzie się działo.

I patrząc z zewnątrz, nie zawsze da się zrozumieć co.

Oczywiście w końcu dopada cię nadzieja.

Gorsza od hałasu była cisza, która po nim nastąpiła.

Hassan wstrzymywał oddech, jakby się ukrywał, a nie był ukrywany. Przyszło mu do głowy, że gdyby te skurwiele wiedziały, jak bardzo jest Anglikiem, jak nie chce zwracać na siebie uwagi, zapomniałyby o kolorze jego skóry i uznały go za jednego ze swoich... Ale nie, te sukinsyny nigdy nie zapomną o kolorze jego skóry. Hassan Ahmed miał nadzieję, że teraz, gdy już namierzili ich antyterrorysty, uzbrojeni policjanci, jego wuj żołnierz, nie okażą tym skurwielom żadnej litości.

Larry, Moe i Curly.

Curly, Larry i Moe.

Hassana też nie obchodziło, co z nich za jedni, no nie?

Ale to nie jego wuj wpadł do piwnicy minutę później.

– Ty!

Chodziło im o niego.

– Wstawaj, kurwa!

Ale Hassan nie mógł wstać. Grawitacja przygwoździła go do krzesła. A więc musieli mu pomóc. Złapać go. Pociągnąć. Popychali go brutalnie na trzęsących się nogach, przeciągnęli przez drzwi i w górę po schodach. Hassan nie był pewny, jak bardzo przy tym hałasował. Może się modlił. Bo zawsze znów odnajdujesz swoich bogów. Odkąd tkwił w tej piwnicy, błagał Allaha o uwolnienie. Prowadził pertraktacje i dobijał targów, tak jak zawsze w takiej sytuacji. Może gdyby Hassan w Niego wierzył, On nie porzuciłby Hassana na pastwę losu, żeby zginął za to, że

w Niego wierzy. Ale chłopak nie miał zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanawiać. Popychano go w górę wąskich schodów, u których szczytu czekał jego los.

Myślał, że do egzekucji dojdzie w tamtej piwnicy.

Ale doszło do niej w kuchni.

Dom miał taras, który pamiętał lepsze czasy, zapewne przed wojną. Okna na górze były zabite deskami, a te na dole szczelnie zakryte zasłonami, przez które nie padało żadne światło. Na fasadzie dostrzegli plamę wilgoci.

Lamb rzucił ostrym szeptem:

– Ręka do góry, kto dziś w nocy nie pił.

Min i Louisa wymienili spojrzenia.

– Masz – Lamb podał Riverowi dwudziestkę dwójkę Moody’ego. – Spróbuj wycelować gdzieś w pobliżu mnie, a ci ją zabiorę.

River po raz pierwszy był na ulicy z bronią. Powinna więcej ważyć.

– Myślisz, że tam są? – spytał.

Bo ten dom nie wyglądał, jakby po prostu spał. Wydawał się wymarły.

– Zachowujcie się tak, jakby tam byli – powiedział Lamb.

Wcześniej przejechali obok tego domu i zaparkowali dwadzieścia metrów dalej. Min i Louisa trzymali się tuż za nimi; teraz wszyscy czworo przyczaili się za wozem Lamba. River zerknął na zegarek. O ile Lamb się nie mylił, mieli jakieś pięć minut, zanim zjawią się zadaniowcy. Licząc dokładnie, siedem.

– Wchodzimy? – spytał.

– Wchodzimy – odparł Lamb. – Ty i ja. Ty możesz zająć się drzwiami. – To ostatnie skierowane było do Louisy. – W bagażniku jest łom. A ty pilnuj tyłów. – To do Mina. – Jeśli ktoś wyjdzie, nie daj się zobaczyć. Ale nie zgub go. Wszystko jasne?

Wszystko było jasne. Miesiącami czekali na prawdziwą robotę, nie zamierzali tego schrzanić.

– Dobra. Niech nikt nie da się postrzelić i tak dalej. To idzie na mój rachunek.

Louisa przyniosła łom i gęsiego zbliżyli się do domu; Min poszedł dalej prosto i zniknął za rogiem, by pilnować tyłów. Przy drzwiach Louisa wsunęła łom na wysokości zamka jak urodzona włamywaczka. Napała na niego mocno i drzwi odskoczyły. A potem Lamb poruszał się szybciej, niż powinien przy tej tuszy, trzymając oburącz H&K. Po dwóch krokach błyskawicznie obrócił się w prawo, kopniakiem otworzył drzwi. Prowadziły do pustego pokoju.

– Policja! – krzyknął. – Jesteśmy uzbrojeni!

River w trzech susach pokonał schody. Było ciemno; spod żadnych drzwi nie padała żółta smuga światła. Nisko na nogach szybko wszedł do pierwszego pokoju, obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni z wyciągniętą bronią.

– Policja! Jesteśmy uzbrojeni!

Nic. Tylko dwa materace na podłodze i rozpięty śpiwór zwinięty jak zrzucona skóra. Z dołu dobiegł krzyk. River wycofał się, otworzył kopniakiem drugie drzwi. To samo. Znow krzyk: Lamb wołał go po imieniu. Ostatnie drzwi prowadziły do łazienki. Zapalił światło. Pod jednym z kranów w wannie wykwitła zielona plama, z drążka prysznicza zwisała koszula. Była wilgotna. Lamb znow zawołał go po imieniu. River

zbiegł na dół.

Lamb stał na końcu korytarza i patrzył na coś na podłodze w kuchni. Ręka trzymająca broń zwisała wzdłuż boku.

– Na górze czysto – oznajmił River.

– Musimy spadać – rzucił Lamb.

Jego głos był upiorny. Zniekształcony.

Louisa Guy podeszła od tyłu do Rivera. Trzymała oburącz łom.

– Co to?

– Musimy spadać. Natychmiast.

River zrobił kilka kroków i wszedł do kuchni.

Ciało rozciągnięte na podłodze kiedyś było wyższe. Teraz leżało w kałuży krwi, przy której natrętnie brzęczała tłusta mucha.

– Słodki Jezu – powiedziała za jego plecami Louisa.

Na kuchennym stole tkwiła głowa nieumiejętnie oddzielona od reszty ciała.

River się odwrócił i przepchnął obok Louisy. Ledwie zdołał wybiec na zewnątrz i zwymiotował do rynsztoka.

Przejechali czarną rzekę w niebieskim samochodzie, a w ich myślach tłoczyły się czerwone wspomnienia. Mieli tyle krwi na mankietach i butach, że zatrzymano by ich na pierwszy rzut oka, a co dopiero po badaniach kryminalistycznych.

Ten, który prowadził, powiedział:

– Musiałeś...

– Tak.

– Był...

– Co?

– Po prostu...

– Co po prostu?

– Po prostu nie byłem na to gotowy.

– No tak.

– Nie byłem.

– No cóż, on też nie był, prawda? Ale wiesz co? W sumie, kurwa, nie ma różnicy.

I tak jest, kurwa, martwy.

Był. Był martwy. Zostawili jego głowę na stole w kuchni.

Czy mógłby być jeszcze bardziej martwy?

Telefony, już!

Drętwo zaczęli szukać komórek.

– Gdzie Harper?

Właśnie zbliżał się do nich truchtem.

– Co się stało?

– Twój telefon – rzucił Lamb.

– Mój telefon?

– No już, do cholery!

Min Harper wyciągnął komórkę; dodał ją do trzech, które Lamb już trzymał. Patrzył ze zgrozą, jak Lamb wrzuca wszystkie cztery do studzienki kanalizacyjnej.

– Dobra, ruchy! Zgarnijcie Ho, Loya i White. Ja pojedę po Standish.

Wszystko to było dla Rivera jak sen; docierały do niego głosy, po czym znów stawały się wytlumione; najbliższa latarnia wydawała się rozmazywać. Czuł się tak, jakby jego nogi były puste w środku; jakby mógł go przewrócić podmuch wiatru i nie chciał się oglądać na ten dom z wciąż otwartymi drzwiami, z kuchnią, w której na stole siedziała odcięta głowa. O ile głowa może siedzieć. O ile głowa może siedzieć.

– Do kurwy nędzy, Cartwright, nie teraz.

– Widziałem go już wcześniej – powiedział River.

– Wszyscy widzieliśmy go wcześniej – odparł Lamb.

Louisa Guy drżącą ręką przeczesła włosy. Min Harper dotknął jej łokcia, a ona go odrzuciła.

– Był jednym z nas, Cartwright. Był kulawym koniem. A teraz ruchy. Sprowadźcie pozostałych. Nie jedźcie do domu.

River zerknął na Mina i Louise i trafnie odczytał wyraz ich twarzy.

– Nie wiemy, gdzie oni mieszkają.

– Boże, daj mi siłę! – Lamb wyrecytował adresy: Balham, Brixton, Tower Hamlets.

– Gdzie się potem spotkamy?

– Przy grobie Blake’a. Wkrótce.

Odjechali osobnymi samochodami.

Niecałą minutę później podjechały dwie czarne furgonetki i wysypali się z nich ludzie.

– Był tajniakiem.

– Ale...

– Ale pierdolić to. Był tajniakiem. Koniec.

Wykonał ręką gest, jakby coś odrąbywał.

W wyobraźni obu na podłogę potoczyła się głowa.

– Ja...  
– Co?  
– Jestem tylko...  
– Boisz się.  
– Zabiłeś go.  
– My go zabiliśmy.  
– Nawet nie wiedziałem, że zamierzasz to zrobić.  
– Myślałeś, że to zabawa?  
– Ale to wszystko zmienia.  
– Ale z ciebie ciota. Nic się nie zmieniło.  
– Nic się nie zmieniło? Zabiliśmy gliniarza...  
– Szpiega.  
– Szpiega, gliniarza, co za różnica? Myślisz, że to tak zostawiać? Myślisz, że... Co jest?

Bo Curry odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął ponurym śmiechem.

Diana Taverner siedziała w swoim gabinecie. Było parę minut po trzeciej i już niemal wszyscy opuścili centralę; tylko kilku dzieciaków pochylało się nad konsolą, koordynując obserwację jakichś aktywistów na rzecz praw zwierząt. Dopiero co odłożyła telefon. Taktyczna grupa bojowa – zadaniowcy – wkroczyła do domu w pobliżu Waterloo. Był pusty, z wyjątkiem zwłok. Odrąbali mu głowę. Dobre w tym wszystkim – o ile można tak powiedzieć – było tylko to, że kiedy do tego doszło, już nie żył.

Trwała identyfikacja odcisków palców, ale Diana Taverner już wiedziała, czyje to zwłoki. Nie były Hassana Ahmeda, więc musiały być Alana Blacka. Jackson Lamb i jego ludzie zniknęli. Sprawdziły się jej najgorsze przeczucia, że może być jeszcze gorzej. Dobrze, że uruchomiła już swój plan awaryjny.

Niczym echo tej myśli zadzwonił telefon. Ingrid Tearney, jej szefowa. Rozmawiały już wcześniej; Taverner zadzwoniła do niej znad kanału. Tearney była gdzieś nad Atlantykiem, bliżej Nowego Jorku niż Londynu.

– Ingrid – zaczęła.  
– Słyszałam plotki. Co się dzieje, Diano?  
– Tak jak ci wcześniej mówiłam, to Jackson Lamb.  
– Jesteś pewna?  
– Na to wygląda. – Pochyliła się do przodu; podparła ręką czoło. Zaangażuj się w to, co robisz, a głos sam przybierze odpowiedni ton. – Te zwłoki na Waterloo to Alan Black. Był kiedyś jednym z ludzi Lamba. Odszedł w zeszłym roku, ale najwyraźniej jednak nie do końca. Wygląda na to, że Lamb przez cały czas utrzymywał go w grze.

– O Jezu, to nie może się naprawdę dziać.  
– Wygląda mi na to, że Lamb zaaranżował to spotkanie, żeby się wybić. Albo... ktoś to może wiedzieć... żeby MI5 dobrze wypadło. Tak czy inaczej, wszystko wzięło w łeb. Jego agent zginął, a pozostali zniknęli razem z Hassanem Ahmedem. I teraz nie mają już żadnego powodu trzymać się własnego terminu.



– Chryste, Diano, to się stało na twojej warcie...

– Na mojej? Slough House nie podlega pod moją jurysdykcję, prawda? Powiedzmy to sobie jasno, zanim zaczniemy się obrzucać oskarżeniami. I spójrzmy prawdzie w oczy. To zwłoki jednego z ludzi Lamba. Lamb wiedział, dokąd jechać, na litość boską.

– Czyli tam był – stwierdziła Ingrid Tearney. – Na Waterloo.

– Tak. Nie wiem, gdzie teraz jest. Ale namierzemy go.

– Na czas?

– Ingrid, jeśli chodzi o to, gdzie jest Hassan Ahmed, to na tym etapie Lamb wie tyle co my. Jego operacja się posypała. Mówimy o ograniczeniu strat. Wiem, że jesteś w szoku. Ale zawsze był nieobliczalny. A od czasu tej sprawy z Partnerem...

– Uważaj.

– Oficjalnie nie wiem, co się wtedy stało, ale mam swoje domysły. I każdy, kto potrafiłby zrobić to co Lamb, uważa pewnie, że jest ponad nadzorem. Martwiłam się o niego od jakiegoś czasu. To dlatego umieściłam tam Sid Baker.

– I co zgłaszała?

– Że Lamb prowadzi to miejsce jak szalony pustelnik. Siedzi w swojej jaskini na najwyższym piętrze, z opuszczonymi żaluzjami. Nic dziwnego, że odleciał, Ingrid.

Za często używała jej imienia. Będzie musiała na to uważać.

– Co powiedziała Baker o dzisiejszej nocy?

– Nie jest w stanie nic powiedzieć. Była jedną z dzisiejszych ofiar.

– Niech to szlag. Przegapiłam spotkanie, na którym wypowiedziano wojnę?

– Jesteśmy w trakcie sprzątnia. Mam na dole jednego z ludzi Lamba. Wkrótce będziemy mieli niezbity dowód. Potrzebujemy tylko czegoś, co powiąże Lamba z Blackiem po tym, jak Black odszedł ze służb. Nie czarujmy się, Jackson Lamb nie jest typem człowieka, który lubi spotykać dawnych przyjaciół.

– Bardzo ci spieszno do roli sędziego.

– No cóż, powstał naprawdę niezły bajzel! Mamy zwłoki zbuntowanego agenta w domu, w którym przetrzymywano Hassana Ahmeda. Jak na to zareaguje wuj chłopaka? Możemy do końca świata przysięgać, że mamy czyste ręce, a i tak wyczuje, że MI5 maczało w tym palce. A rząd Jej Królewskiej Mości liczy na to, że ten człowiek opowie się po stronie umiarkowanych. Musimy to posprzątać.

– Jest tam w tej chwili ekipa?

– Tak, ale to są śledczy i nie zajmują się analizą śladów. Jeśli coś jest wyraźną wskazówką, zbiorą to. Ale jeśli nie...

– Mogą przeoczyć coś, co pomogłoby gliniarzom znaleźć Hassana – dokończyła Tearney.

Obie umilkły.

Mrugające światełko na telefonie Taverner pokazało, że ma połączenie oczekujące. Zignorowała to. Słuchawka była gorąca, ale ścisła ją tak mocno, że aż drżała jej ręka.

– Dobra. Zgarnijcie go.

– Lamba?

– Lamba. Zobaczmy, co ma do powiedzenia na swoją obronę.

– A co z Hassanem Ahmedem?

– Myślałam, że się tym zajęłaś.

Londyńskie zasady, pomyślała. Londyńskie zasady.

– Muszę usłyszeć, jak to mówisz, Ingrid.

Od początku potrzebowała śladów, że niektóre decyzje związane były z innymi ludźmi.

– O Jezu! To, że siostrzenic Mahmuda Gula zginie na naszej ziemi, to jedno. Ale fakt, że zginął za naszym cichym przyzwoleniem, to już zupełnie inna sprawa. Zostaw to policji i módl się, żeby dotarła do niego na czas. Tak czy inaczej, nie chcę, żeby MI5 pojawiło się w ich papierach.

– Lamb nie da się zgarnąć po cichu.

– Nie jest idiotą. Niech Duffy się tym zajmie. I zgarnij też resztę.

– Resztę?

– Ekipę ze Slough House. Kulawe konie. Ściągnij ich z ulicy i dowiedz się, kto o czym wiedział, zanim zrobi się jeszcze gorzej. Nie chcę, żeby do MI5 przykleiło się błoto. I tak jesteśmy pod ostrzałem.

– Załatwione. Bezpiecznego lotu.

Przez chwilę Diana Taverner siedziała zupełnie bez ruchu, spoglądając przez szybę na dzieciaki w centrali. Na wszystkie te puste miejsca, które za kilka krótkich godzin zajmą kolejne dzieciaki wykonujące kolejne niewdzięczne zadania. Gdy tylko zgłosili się do MI5, ostrzegano ich, że tak będzie, i oczywiście udawali, że w to wierzą, ale tak naprawdę nikt nie dawał wiary, nie na początku. Każdy z nich w głębi ducha liczył na to, że zostanie doceniony. Tak się jednak nie stanie. Chciała im podarować spektakularne zwycięstwo. Tak też się nie stanie. Ale przynajmniej mogła zadbać o to, by do katastrofy doszło jak najdalej stąd i by uszkodziła tylko martwe drewno.

Potem zadzwoniła do ekipy w domu przy Waterloo. To była krótka jednostronna rozmowa. „Ciało ma zniknąć. Posprzątajcie dom”.

Sprzątanie domów, jeśli chciało się to zrobić porządnie, wymagało mocnych środków. Najbezpieczniejszy był ogień. Potem oddzwoniła do Nicka Duffy’ego. Wrócił już do Regent’s Park, ale był sporo pięter niżej.

– Którego... Dobra. Pięć minut.

– Kto to był?

– Black. Alan Black.

River nigdy go nie poznał. Black odszedł ze Slough House na kilka miesięcy przed przybyciem Rivera; jeden z tych, u których płomień, jaki zagnał go do tajnych służb, został zgaszony codziennymi, niewdzięcznymi zadaniami. River nie miał pojęcia, co takiego zrobił Black, by trafić do nich. Pytanie o to byłoby jak wyciąganie grzechów przodków; dowiadywanie się, który nikczemny wuj uwiódł którą pokojówkę. Poza tym Rivera musiałoby to obchodzić, a nie obchodziło go.

Tylko dlaczego twarz Blacka wydawała mu się znajoma?

Siedział z tyłu, Louisa prowadziła; Min Harper był obok niej. W świetle ulicznych

latarni ich twarze wyglądały na blade i zmęczone, ale przynajmniej ich głowy były przytwierdzone do ciał. Gryzący posmak wymiocin piekł Rivera w gardło. Wiele ulic dalej głowa na kuchennym stole łypała na niego złowrogo – i pewnie już zawsze tak będzie.

Ponieważ River widział już wcześniej tę twarz. Ostatnim razem ona również była przytwierdzona do ciała. Przez chwilę nie był w stanie tego poskładać: głowy z człowiekiem, pamiętanego człowieka. Ale to przyjdzie. River miał dobrą pamięć. Już w tej chwili analizował różne możliwości, wychytując je jak kule z bulgoczącej maszyny do losowania. Nie było jeszcze zwycięzcy, ale trzeba było dać temu czas.

– Jesteś pewien?

– Że to był Black?

– Tak. Jestem pewien. Dlaczego ten sukinsyn wyrzucił nasze telefony?

– Żeby nikt nas nie mógł namierzyć.

– Wielkie dzięki, tyle wiedziałem. Chodziło mi o to, dlaczego się martwi, że mogą nas namierzyć.

River próbował to rozgryźć na bieżąco.

– Ktoś nas wrabia. Mieliśmy uratować Hassana Ahmeda. Zamiast tego znajdujemy zwłoki byłego agenta. Ta cała sprawa z Hassanem to musi być jakaś operacja. I jest grubo spierdolona.

– Skąd Lamb wiedział, dokąd jechać?

– To z Lady Di poszedł się spotkać, tak?

– I mówisz, że mu powiedziała?

– Powtarzam to, co on mówił – odparł River.

– Lamb prowadzi operację?

– Nie wiem – odrzekł River. Może.

Z drugiej strony jednak, gdyby on ją prowadził...

– Gdyby ją prowadził, to co?

River zapatrzył się za okno.

– Gdyby ją prowadził, nie wydaje mi się, żeby tak ją spierdolił.

Na przednich siedzeniach zapadło milczenie. Min Harper i Louisa Guy nie byli wielkimi fanami Jacksona Lamba.

– Trzyma przy sobie swój fundusz awaryjny – powiedział im. – Gdyby wszystko się posypało, ma środki, żeby zniknąć. Nie wysyłałyby nas po pozostałych...

To akurat skojarzył później niż jego koledzy.

– No tak.

– I dlatego nie mamy telefonów.

– I zapierdalamy po całym Londynie. A tymczasem gdzie on jest?

– Nie musiał mnie wyciągać – odparł River. – Ze szpitala.

– Musiał, jeśli chciał wiedzieć, co się dzieje.

– A chciałby. Gdyby prowadził operację.

– No to co robimy? – spytał River. – To, co nam kazał? Czy jedziemy do Regent's Park i zaczynamy sypać?

Odpowiedziało mu milczenie; odgłosy dwóch ciał, w których wciąż syczał

alkohol, ale szok je otrzeźwił.

Obok nich z wyciem syreny przemknęła niebiesko-żółta plama. Być może zmierzała do domu, z którego dopiero co wyszli. Ale River przypuszczał, że nie. Przypuszczał, że akurat ten bałagan zostanie uprzątnięty po cichu.

Potem usłyszał odpowiedź.

– Jeśli nie będzie go na grobie Blake’a, to chyba się przekonamy, że zostaliśmy wydymani.

– A jeśli mamy zostać wydymani, to równie dobrze wszyscy naraz.

– To pozwoli nam zaoszczędzić czas.

River poczuł wdzięczność, choć nie był do końca pewny dlaczego.

– Dobra. Ktoś z was ma te adresy?

Louisa Guy wyrecytowała je, nie odrywając wzroku od drogi.

– Nieźle – stwierdził River. Zaimponowała mu.

– Cóż, jeśli okażą się niewłaściwe, to będzie jakaś wskazówka, prawda?

– Lepiej się rozdzielimy – zaproponował. – Wy jedźcie po Loya i Ho. Wysadźcie mnie tutaj. Zajmę się White.

– Dasz sobie radę z transportem?

– Proszę – powiedział River. Samochód zwolnił i się zatrzymał. River wysiadł. – Do zobaczenia później.

W innym samochodzie Curly wybuchnął ponurym śmiechem.

– Co? Co cię tak bawi?

– A myślisz, że gdyby nie to, to daliby sobie spokój? Kiedy już byśmy odrąbali Pakistańcowi głowę?

– Plan był taki, żeby tego nie robić.

– To twój plan był taki, żeby tego nie robić – odparł Curly. – Twój plan.

Hassan leżał w bagażniku. Naciągnęli mu na głowę worek i związali nadgarstki. „Jeśli zaczniesz krzyczeć albo hałasować, obetnę ci, kurwa, język”.

– Skąd wiedziałeś?

– Co wiedziałem? – spytał Curly.

– Że był... tajniakiem?

Curly poklepał kieszeń na piersi dżinsowej kurtki, w której trzymał komórkę.

– Ktoś do mnie zadzwonił.

– Miałeś nie mieć telefonu.

– Całe szczęście, że go miałem. Inaczej wciąż byśmy tam tkwili z tym pieprzonym zdrajcą. Czekając na SAS.

Nie powinien mieć telefonu, to prawda. Telefony można było namierzyć, zasada Larry’ego. Ale zanim zdołają cię namierzyć przez telefon, muszą wiedzieć, że jest twój. W przeciwnym razie to tylko sygnał komórki, a każdy jakąś ma. Kupił więc telefon na kartę i co kilka godzin dzwonił do Gregory’ego Simmondsa z Głosu Albionu. Bo gdyby Simmonds przestał odbierać, oznaczałoby to, że policja jest na ich tropie.

Curly poznał Simmondsa przez stronę internetową Brytyjskiej Partii Patriotycznej, na której zamieszczał wpisy jako Excalibur88 – osiemdziesiąt osiem oznaczało HH,

*Heil Hitler*. To było tuż po tym, jak zamachowiec z Lockerbie został odesłany do domu. W telewizji pokazywali sceny z ludźmi witającymi go jak bohatera: szczęśliwe tłumy wymachujące flagami. Tymczasem Brytyjską Partię Narodową pozwano do sądu, bo istnienie partii tylko dla prawdziwych Anglików było wbrew prawu, zaś nazwiska jej członków opublikowano w internecie – zaproszenie dla lewackich zbirów, żeby rzucali cegłami w okna i grozili ich żonom i rodzinom.

Sprawa jest prosta, napisał Curly. Biały człowiek ginie w zamachu? Trzeba powiesić muzułmanina na latarni. Tu i teraz. Nieważne kogo.

Zamachowcy z metra też wcześniej nie sprawdzali swoich ofiar, nie upewniali się, że w pociągu nie będzie dzieci czy pielęgniarek. Wieszasz jednego, a potem kolejnego, żeby im pokazać, z kim mają do czynienia. Kopnij mnie raz, ja cię kopnę dwa razy. A potem jeszcze skoczę na twoją głowę. To tak się wygrywa wojnę, a to była wojna.

Potem skontaktował się z nim Gregory Simmonds, Głos Albionu. Niski koleś z wysokim mniemaniem o sobie. Simmonds dorobił się na firmie dostawczej, głównie na przeprowadzkach. Założył Głos Albionu, bo miał już dość patrzenia na to, jak ten dumny niegdyś kraj schodzi na psy przez obrzydliwych polityków służących obcym interesom – rozmowa z nim była jak słuchanie partyjnego programu, ale nie był typem, który tylko gada. W Głosie Albionu chodziło o czyny. Simmonds znał paru innych facetów i pojawił się pewien plan. Czy Curly byłby zainteresowany udziałem?

Curly był zainteresowany. Curly kiedyś chciał być żołnierzem. Nie wyszło mu, więc przez większość czasu był bezrobotny, ale raz w tygodniu dorabiał sobie na czarno jako koordynator wejść w klubie. Kiedyś kogoś takiego nazywano po prostu bramkarzem. To było w Bolton. Istniały ciekawsze miasta, istniało ciekawsze życie.

No i tyle. Oficerowie nie walczyli w pierwszym szeregu, ale Simmonds wdrażał plan przy pomocy tych facetów: Moe i Larry'ego.

Zamierzali przeprowadzić egzekucję transmitowaną w internecie.

Słyszac coś takiego, większość ludzi by stchórzyła. Większość ludzi uznałaby, że Simmonds zwariował. Ale Curly tylko pił piwo, które Simmonds przez cały czas stawiał, i czekał. Wiedział, że Simmonds oczekuje od niego, że coś powie, a on nie znosił robić tego, czego od niego oczekiwano.

Aż do chwili, gdy Simmonds odpowiedział: chodzi o to, że tak naprawdę wcale nie muszą ucinać nikomu głowy. Wystarczy, jeśli będzie to tak wyglądało, jakby zamierzali. Pokażą światu, że tak można. O to właśnie chodziło. O pokazanie, że gdyby chcieli, mogliby to zrobić. I że jeśli dojdzie do wojny, to ludzie będą w niej walczyć po obu stronach. Czy Curly w to wchodzi?

Curly się zastanowił, ale niezbyt długo. Wchodził w to.

Jedyny problem, jaki miał, to skrawek przekonania, by tak naprawdę tego nie robić. A ponieważ nie znał Larry'ego ani Moe, co oznaczało, że im nie ufał, udawał przy nich głupiego i za ich plecami pozostawał w kontakcie z Simmondsem. I właśnie czterdzieści minut temu odebrał telefon. Tym razem, dla odmiany, to Głos Albionu do niego dzwonił, zasapany i przerażony. Powiedział, że są spaleni. Dotarło to do niego przez jego kontakty w Brytyjskiej Partii Patriotycznej. Misja była spalona. Powinni

uciekać. Powinni zniknąć.

Simmonds nie wymienił imienia Larry'ego. Nie było takiej potrzeby. Jeśli ktoś z nich był szpiegiem, to przecież musiał nim być Larry, któremu w jakiś sposób udawało się sprawić, że każda decyzja wyglądała na jego własną.

– Którędy?

Narastająca panika w jego głosie. Curly odparł beznamyślnie:

– Po prostu jedź.

Wciąż byli na południe od rzeki. Ale najważniejsze, żeby nie zawracać.

Po telefonie od Simmondsa mógł uciec. Mógł zbiec po schodach i na ulicę. Pozostali nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywa. W ciągu paru minut mógłby się wtopić w nocne życie kilka kilometrów dalej.

Zamiast tego stał i przesuwiał palcem po brudnej ścianie w sypialni. Dostosowywał się do tej chwili; czekał, aż te nowe okoliczności do niego dotrą. A potem wyszedł z sypialni, zszedł na dół i ruszył korytarzem do kuchni.

Siekiera stała oparta o ścianę jak zwykle domowe narzędzie. Drewniana rękojeść, czerwono-szare ostrze, jak na kreskówkach. Curly, przechodząc, chwycił ją lewą ręką; nawet nie zwalniając, przerzucił ją do prawej. Przyjemny ciężar. Gładka rękojeść w ręce. Żołnierze musieli czuć się podobnie, prezentując broń.

Moe siedział w kuchni przy stole i słysząc korki, odwrócił się w jego stronę. Larry opierał się o zlew z puszką coli w ręce. Obaj byli tacy jak zawsze: Moe w czarnym T-shircie, z tą głupią kozią bródką łaskoczącą go w podbródek; Larry z rozbieganymi oczami i krótką szczecinią na głowie, z podwiniętymi rękawami, w eleganckich dżinsach i nowych sportowych butach. Wyglądał, jakby odgrywał jakąś rolę. Jakby to była gra, „tak naprawdę wcale nie obetniemy mu głowy”; do ust Larry'ego przyklejony był ważniacki uśmiech przełożonego. Ten uśmiech zgasł, kiedy zobaczył Curly'ego.

Padły słowa:

„Co”, „Dlaczego”, „Do kurwy nędzy”.

Spłynęły po Curlym; nieważne chwile wypełnione tym, co go zajmowało.

Zamachnęła się siekierą; prawie zahaczyła o sufit, ale zamiast tego wdzięcznie przecięła powietrze i zatrzymała się z impetem w plecach jego celu.

Siła ciosu wstrząsnęła ramieniem Curly'ego.

Moe zakaszła krwią i runął twarzą na stół.

Larry zawsze był tym, który gadał. Ale to Moe był tym, który myślał.

Teraz Curly powiedział do Larry'ego:

– Nie za wolno. Nie przyciągaj uwagi.

Larry trochę przyspieszył. Ten ważniacki uśmiech przełożonego pewnie nieprędko wróci na jego twarz.

Curly wciąż czuł to w mięśniach ręki. Nie zamach siekierą, ale to, jak gwałtownie się zatrzymała. Potarł łokieć, który zdawał się promieniować ciepłem jak dopiero co zgaszona żarówka.

W bagażniku samochodu Hassan, związany i zakneblowany, mocno napiął całe ciało, jakby to mogło zatrzymać w nim życie.

„Na dole” w Regent’s Park oznaczało różne rzeczy w zależności od kontekstu. Na dole znajdowały się archiwa; na dole mieścił się parking. Ale istniało też inne na dole, znacznie niżej, i w tym kontekście na dole było głębiej pod ziemią niż wysokość całego budynku. To na dole nie było miejscem, w którym chciałbyś się znaleźć.

W centrum Londynu jest niemal tyle samo miasta poniżej poziomu ulic co powyżej. Niektóre z tych miejsc są publicznie dostępne: oczywiście samo metro i pewne szczególne lokalizacje, między innymi pomieszczenia Wojennego Gabinetu Churchilla i różne schrony przeciwlotnicze.

A poza tym są też wszystkie inne miejsca. Czasem ich nazwy przeciekają do publicznego obiegu – Bastion, Rampart, Citadel, Pindar – ale pozostają poza zasięgiem. To części Twierdzy Londyn, kompleksu podziemnych przejść i tuneli – „ośrodków zarządzania kryzysowego” – które istnieją nie tyle po to, by bronić samej stolicy, lecz aby chronić jej systemy zarządzania. Jeśli dojdzie do najgorszego – jak bomba atomowa, skażenie chemiczne, klęska żywiołowa czy rozruchy – są to reduity, z których przywracana będzie kontrola. Punkty te mają fundamentalne znaczenie dla geografii Londynu i nie pojawiają się w żadnym przewodniku.

I są też jeszcze inne, mniej znane, ukryte miejsca, tak jak to pod Regent’s Park.

Winda jechała powoli i był to zamierzony efekt. Długa, ślamazarna jazda w dół osłabiała każdego, kto był tu wbrew swojej woli; u tych, którzy byli przytomni, wywoływała podenerwowanie i poczucie bezradności. Diana Taverner spędziła ten czas, sprawdzając swoje odbicie w lustrze. Uznała, że jak na kobietę, która w ciągu ostatnich trzydziestu godzin przespała niecałe cztery, wygląda całkiem nieźle. Choć najlepiej się czuła na krawędzi. Nawet kiedy życie biegło spokojniej, brała zakręty na dwóch kołach: biuro/siłownia/biuro/winiarnia/biuro/dom. To był jej typowy dzień, a sen nigdy nie znajdował się na szczycie jej listy priorytetów. Sen oznaczał przekazywane kontroli innym. Kiedy się spało, mogło zdarzyć się wszystko.

Kiedy się nie spało, również. Jej agent Alan Black zginął; zabiły go zbiry z Głosu Albionu. Podczas każdej innej operacji to byłby koniec: runąłby cały domek z kart. Wszczęto by śledztwo. Kiedy ginął agent, zmarszczki rozchodziły się po wodzie. Czasem fala była tak wielka, że zmywała całe kariery.

Tę operację prowadzono jednak na zasadach moskiewskich, tak jak te w głębokiej konspiracji na obcym terenie. Z akt Blacka wynikało, że odszedł z MI5 w zeszłym roku i od kiedy zaczął działać pod przykrywką, Taverner tylko raz spotkała się z nim twarzą w twarz. Głos Albionu był niewychylającą się grupką małomiasteczkowych faszystów, która do czasu, gdy Black ich rozruszał, składała się z jednego faceta i jego psa. Żadne szczegóły operacji – adres bezpiecznej kryjówki, dane współników Blacka, używane przez nich pojazdy – nie istniały nigdzie na papierze ani (uchowaj Boże) w sieci. A wczorajszy raport przed komisją był bardzo skąpy w szczegóły; „pozwolenie na obserwację” oznaczało znacznie mniej niż inwigilacja i gdyby Głos Albionu zerwał się ze smyczy, nikt nie mógłby winić o to Taverner... Wszystko to było szyte grubymi nićmi, ale Taverner łątała już bardziej zawałone operacje. Jeden niepodważalny raport był wart każdej ceny.

Winda powoli się zatrzymała. Taverner wyszła na korytarz, który wyraźnie różnił

się od tych nad poziomem ziemi; odsłonięte cegły i nagie betonowe podłogi, z dziurami i kałużami jak na tymczasowym chodniku. Kapała woda. Utrzymanie tej atmosfery wymagało starannej konserwacji. Taverner uważała to za zbyt oklepane, ale testy potwierdzały, że działa.

Nick Duffy czekał na nią oparty o drzwi. W drzwiach był wizjer, ale w tej chwili przesłonięty klapką.

– Jakież kłopoty?

Jego mina była odpowiedzią na to pytanie, ale i tak odparł:

– Absolutnie żadnych.

– Dobrze. Teraz zgarnij pozostałych.

– Pozostałych?

– Kulawe konie. Wszystkich.

– Dobra – powiedział, ale się nie poruszył. Dodał: Wiem, że nie mnie o to pytać, ale co się dzieje?

– Zgadza się. Nie tobie o to pytać.

– No tak. A więc biorę się do roboty.

Skierował się w stronę windy, ale obejrzał się, gdy go zawołała.

– Nick, przykro mi! Wszystko się spierdoliło. Pewnie zauważyłeś. – Ta wulgarność zaskoczyła Taverner niemal tak bardzo jak Duffy’ego. – To całe porwanie... nie jest tym, na co wygląda.

– I Slough House jest w to zamieszany?

Nie odpowiedziała.

– Jezu Chryste – westchnął.

– Zgarnij ich. Osobno. I Nick... przykro mi. Był twoim przyjacielem, prawda? Jed Moody.

– Pracowaliśmy razem.

– Według wersji Lamba potknął się o własne nogi i skręcił sobie kark. Ale...

– Ale co?

– Jest za wcześnie, żeby można było coś powiedzieć – odparła Taverner – ale zgarnij Lamba osobiście. I uważaj na niego, Nick. Jest groźniejszy, niż się zdaje.

– Wiem wszystko o Jacksonie Lambie – zapewnił ją Duffy. – Wcześniej załatwił jednego z moich ludzi.

– To pamiętaj też o tym. – Zawahała się. – Jeśli jest zamieszany w to porwanie, prędzej zniknie, niż da się złapać. A umie poradzić sobie na ulicy.

Duffy czekał.

– Nie mogę wydać ci polecenia, Nick. Ale jeśli komuś ma się stać krzywda, wolę, żeby stała się im, a nie nam.

– My i oni?

– Nikt się tego nie spodziewał. Idź już. Królowe dadzą ci namiary ich komórek. Zgłoś się szybko.

Duffy złapał windę.

Gdy Diana Taverner wstukiwiała kod na panelu dotykowym na drzwiach, o które wcześniej się opierał, myślała przez chwilę o Hassanie Ahmedzie, który przestał być



priorytetem. Z Hassanem stanie się jedna z dwóch rzeczy. Albo zjawi się na rogu jakiejś ulicy cały i zdrowy, albo jego zwłoki wylądują w rowie. Bardziej prawdopodobna była ta druga możliwość. Po zabiciu Blacka Głos Albionu raczej nie pozwoli Hassanowi żyć. Na ich miejscu Taverner by nie czekała. Ale może tylko ona taka była. Pilnowanie własnych pleców znajdowało się na szczycie jej listy priorytetów.

Panel wydał dźwięk.

Drzwi się otworzyły.

Weszła do środka gotowa złamać kulawego konia.

Z bagażnika nie dobiegał żaden dźwięk. Znów odurzili dzieciaka, ale chloroform należał do Moe, i jeśli miał jakiś zapas, nie udało im się go znaleźć. Moe odpowiadała za większość rzeczy: wybór celu, znalezienie domu, wszystko, co wiązało się ze stroną internetową. Larry'emu wydawało się, że to on tu rządzi, ale od samego początku robił to Moe. Pierdolony tajniak.

– Moglibyśmy się go pozbyć – powiedział nagle Larry.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek. Moglibyśmy zaparkować i sobie pójść.

– I co potem?

– Zniknąć.

No tak. Tylko że nikt nigdy nie zniknął. Szedł po prostu w jakieś inne miejsce.

– Jedź dalej – polecił mu Curly.

Wciąż czuł w ramieniu siłę tamtego ciosu. Ostrze zatopiło się do połowy w plecach Moe – wyglądało to, jakby wyrosła mu dodatkowa kończyna – a potem wszędzie była krew i krew dudniła Curly'emu w uszach. Usta Larry'ego się poruszały, może krzyknął, a może nie. Trudno było powiedzieć. Pewnie trwało to tylko sekundę. Moe wykaszlał resztę życia na kuchenny stół, a w całym ramieniu Curly'ego śpiewała moc.

Ale odrąbanie mu głowy, zostawienie jej tam... Dlaczego to zrobić?

Bo to było legendarne.

Na zewnątrz przesuwali się powoli rzędy sklepów. Nawet jeśli ich nazwy nie wydawały się znajome, były podróbniami tego, co kiedyś: Kansas, Fried Chicken, JLL Sports. Każde miejsce było jak wszystkie inne – i to był świat, w którym się wychował. Kiedyś było inaczej. Gregory Simmonds z Głosu Albionu wypowiadał się na ten temat bardzo jasno. Kiedyś było inaczej i jeśli naturalne dzieci tych wysp miały cieszyć się prawami przysługującymi im z urodzenia, to znów musiało być po staremu.

Obejrzał się za siebie. Leżały na tylnym siedzeniu: cyfrowa kamerka i trójnóg, laptop ze wszystkimi kablami. Nie był pewny, jak to działa, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, żeby to nagrać. Potem się dowie, jak to zamieścić w sieci.

Siekiera też tam była, owinięta w koc. Na filmikach, które oglądał, używali mieczy; zajebicie wielkich ostrzy przecinających kości, jakby to było masło. Curly miał angielską siekierę. Co kto lubi.

Wyrwał mu się chichot.

- Co jest?
- Nic.
- Patrz na drogę.

Staliby się legendą. W pubach i na osiedlach, w internecie, we wszystkich miejscach, gdzie ludzie wciąż mówią to, co myślą, i nie boją się, że trafią za to za kratki, byłoby bohaterami. To byłoby życie w ukryciu, zawsze o krok przed policją. Byłby zwycięzcą, bohaterem, Robin Hoodem słynącym z tego potężnego ciosu. Z tego, że pokazał obcym fanatykom, że nie tylko oni potrafią przelewać krew, że nie wszyscy Anglicy są zbyt przerażeni, by nie odpowiadać na atak. Że potrafią stawić opór. Że ten opór zwycięży.

Zerknął w bok i rozpoznał strach, który Larry usiłował ukryć. Nic nie szkodzi. Larry miał tylko robić, co mu każe, i będzie to robił, ponieważ na razie nie był zdolny do samodzielnego myślenia.

Gdyby był do niego zdolny, przyszłoby mu do głowy, że lepsze szanse na wyjście z tego cała miałyby w sytuacji, gdyby został tylko jeden z nich.

Ale Larry jechał dalej.

Ta ciemność była ciśniejsza niż poprzednia. Hassan leżał z workiem na głowie, z chusteczką w ustach, kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej i związanymi rękami. Kiedy je zginał, sznur wrzynał mu się w nadgarstki. Ale nawet gdyby pękł, to co by zrobił? Tkwił w bagażniku jadącego samochodu. Wciąż był w rękach porywaczy. Dwóch porywaczy, bo jeden nie żył. Jego głowę zostawili na stole w tamtym domu.

Wyprowadzili go z piwnicy do kuchni. Leżała tam na stole. Ludzka głowa. W kałuży krwi. Co jeszcze mógł o niej powiedzieć? To była głowa, a Hassan oglądał filmy, w których pokazywano odcięte głowy, i śmiał się z tego, jak bardzo są „nierealistyczne”, ale nigdy nie przyszło mu na myśl, że nie ma żadnego punktu odniesienia co do poziomu realizmu. A teraz już miał. I jedyne, co mógł sobie pomyśleć, to że prawdziwa odcięta głowa niewiele różni się od filmowej, z jedną zasadniczą różnicą – była prawdziwa. Krew była prawdziwa. Włosy i zęby były prawdziwe. Wszystko było prawdziwe. Co oznaczało, że to, co mu powiedziano, 011">„Utniemy ci głowę i pokażemy to w internecie”, też było prawdziwe. „Ty pierdolony Pakistańcu”.

Zmoczył się, kombinezon przylegał do nóg. Chciałby móc go zdjąć i się wytrzeć. Chciałby wziąć prysznic, przebrać się i pójść spać, gdzieś, gdziekolwiek, byle nie w bagażniku jadącego samochodu. Jeśli miałby wypowiadać życzenia, to może właśnie od tego powinien zacząć. Powinien życzyć sobie, żeby był wolny i bezpieczny i żeby mógł się martwić o zmianę spodni w chwili, gdy będzie miał na to ochotę.

Komediowy głos w jego głowie zamilkł. Istniały rzeczy, które nie nadawały się do komedii. Ten argument obalano w druzgocący sposób co tydzień w studenckim klubie stand-upowym; spróbuj przedstawić ten punkt widzenia, a oskarżą cię o faszyzm. Wolność słowa liczyła się bardziej niż pojęcia smaku i przyzwoitości. Hassan Ahmed zgadzał się z tym. Jak mógłby się nie zgadzać? Kiedy już przyszłaby ta chwila i stanąłby przed mikrofonem, wszystko wyszłoby na jaw. Śmiało, naprawdę ostre rzeczy. Nie istniały żadne granice. Na tym polegała umowa między stand-uperem a publicznością: musieli wiedzieć, że obnażasz swoją duszę. Tyle że teraz Hassan zobaczył odciętą głowę na kuchennym stole i od razu zrozumiał, że to nie jest coś, co mogłoby być przedmiotem żartu. A nawet gdyby mogło, nie był to żart, który Hassan mógłby opowiedzieć. Bo to dowodziło, że ludzie, którzy go przetrzymywali, byli zdolni do odcinania głów.

Uderzenia, wstrząsy i trzaski nie ustawały. Sznur wiążący jego nadgarstki się nie strzępił. Hassan nie uwolni się; będzie leżał, cierpiąc, dopóki samochód nie dotrze do celu, a wtedy i on dotrze do celu. To była jego ostatnia podróż.

No więc nawet gdyby mógł. Nawet gdyby mógł opowiedzieć najlepszy dowcip

w historii. Nawet jeśli mógłby opowiedzieć najlepszy dowcip w historii, którego tematem byłaby dekapitacja człowieka, to nie byłby dowcip, który Hassan mógłby kiedykolwiek opowiedzieć, ponieważ Hassan już nigdy więcej nie będzie opowiadał dowcipów. Nie żeby miał ich aż tak wiele, by coś z tym zrobić. Bo gdyby miał być bezkompromisowo surowy wobec samego siebie – gdyby miał mówić prawdę, przestrzegając umowy między stand-uperem a publicznością – Hassan musiałby przyznać również to, że nigdy nie był szczególnie zabawny. Potrafił żartować, o tak. Potrafił nawijać. Potrafił rozwinąć komediowy wątek i powiązać go z codziennymi sytuacjami: dowcipy o starych ludziach robiących zakupy, o nastolatkach piszących SMS-y, o tym, że nikt nie uśmiecha się w autobusach. Tyle tylko że w swojej głowie. Ale nigdy sam nie występował publicznie. I teraz już nigdy nie będzie. To na zawsze pozostanie na liście rzeczy, które Hassan zamierzał zrobić przed trzydziestką; liście, która nigdy się nie wydłuży i nigdy nie skróci, bo te lata w życiu Hassana nigdy nie miały się wydarzyć.

Bo ci ludzie nigdy go nie wypuszczą. Zabiją go. „Utniemy ci głowę i pokażemy to w internecie. Ty pierdolony Pakistańcu”.

Samochód podskakiwał i miotał Hassanem Ahmedem, a ten próbował się skurczyć. W wyobraźni uciekał na siedemdziesiąt różnych sposobów, ale jego ciało pozostało w bagażniku.

Ponoć kradzież samochodu daje ci kopa, ale pewnie tylko wtedy, gdy twój wieczór nie zawiera krwi, broni i odciętej głowy. Samochód to był zdezelowany austin zabrany z bocznej uliczki i River przypuszczał, że gdy jego właściciel zorientuje się, że go nie ma, odetchnie z ulgą. W schowku ani za wstecznym lusterkiem nie było zapasowych kluczyków, ale w tym pierwszym była za to komórka; masywny szary przedmiot, który wyglądał jak daleki przodek komórki Rivera. Uruchomienie silnika przez zwarcie kabli zajęło mu siedem minut, więc pewnie przekroczył rekord o sześć minut i pięćdziesiąt sekund. Pojechał z powrotem w stronę, z której przybyli, przekroczył rzekę przez most Blackfriars, a potem spróbował użyć telefonu, by znów zadzwonić do szpitala tylko po to, by przekonać się, że urządzenie jest na kartę i nie ma na nim środków.

To przynajmniej dało mu kopa, ale niezbyt przyjemnego. Poczłby ulgę, gdyby wyrzucił telefon przez okno, ale zamiast tego siarczyście zaklął. Przekleństwa były dobre. Przekleństwa pomagały. Dzięki nim nie myślał o tym, że być może Sid nie żyje. I dzięki nim nie miał przebłysków wspomnień o tej głowie na kuchennym stole tak niestarannie odciętej właścicielowi.

Tylko dlaczego była znajoma?

Nie chciał tego rozpamiętywać, ale wiedział, że musi... Odpowiedź kryła się w jego podświadomości i powinna być w zasięgu ręki. Przestał przeklinać. Przypomniał sobie, że ma misję, zatrzymał się na skrzyżowaniu i próbował się zorientować, gdzie jest. Znajdował się na Commercial Road; jechał to Tower Hamlets, skąd miał zabrać Kay White. Ponieważ przez dłuższą chwilę nie ruszał z miejsca, samochód za nim zaczął trąbić, a potem go ominął. River znów zaklął. Czasami dobrze było mieć widocznego wroga.

Bo tylko Bóg jeden wie, pomyślał z goryczą, że miał już dość tych niewidocznych.

Odepchnął od siebie myśli o odciętych głowach i ruszył dalej. Po jakichś dwóch minutach znalazł właściwe skrzyżowanie; po lewej stronie znajdował się szereg dwupiętrowych budynków z cegły, a identyczne framugi okien i orywnowanie świadczyły o tym, że wszystkie należą do jednej spółdzielni mieszkaniowej. Jakies dwadzieścia metrów dalej, mniej więcej pod mieszkaniem Kay, stał samochód, który trzy minuty temu na niego trąbił: miał włączone światła, silnik pracował. Za kierownicą siedziała zwalista postać. River wycofał wóz na miejsce parkingowe i rozłączył kable. Wysiadł i wrócił na główną ulicę. Skręcił za róg, opadł na jedno kolano i rozejrzał się dokładnie w chwili, gdy jakiś mężczyzna wyprowadził z domu Kay White i wsadził ją do czekającego samochodu.

Nie była zakuta w kajdanki ani brutalnie traktowana. Mężczyzna prowadził ją za łokieć, gdyby ktoś nie wiedział, na co patrzy, mógłby uznać, że ją podtrzymuje. Wsadził ją na tylne siedzenie, a potem sam wsiadł. Samochód odjechał. Chwile, w których River mógłby zrobić coś, by temu zapobiec, minęły, zanim tutaj dotarł, a i tak nie był pewien, jak by je wykorzystał. Kiedy ostatnio próbował interweniować, Sid skończyła, leżąc na ulicy.

Samochód dojechał do następnego skrzyżowania, skręcił i zniknął.

River wrócił do austina i ukradł go raz jeszcze.

Wieczór Struana Loya zaczął się obiecująco. Był umówiony na randkę – pierwszą od trzech lat – i zaplanował to jak zdobywanie Everestu. Kolejnymi bazami miały być winiarnia, włoska restauracja i jej mieszkanie. Pierwsza baza okazała się ogromnym sukcesem, ponieważ kobieta się zjawiła; druga baza była mniej imponująca, bo wyszła w połowie kolacji, zatem lokalizacja trzeciej bazy pozostała nieznaną.

Loy wrócił do domu, położył się w nieposłanym łóżku i postanowił przespać się trzy godziny. Przerwało mu przybycie Nicka Duffy'ego.

Teraz Struan siedział w pomieszczeniu pod ziemią i mrugał w ostrym świetle. Ściany były wyściełane, pokryte czarnym syntetykiem, który śmierdział wybielaczem. Na samym środku stał stół z prostymi krzesłami po obu stronach. Jedno z nich – to, na którym kazano usiąść Loyowi – było przyśrubowane do podłogi.

– No i? – powiedział do Diany Taverner. – Co się dzieje?

Chciał, żeby to zabrzmiało swobodnie i beztrudnie, ale wyszło mu mniej więcej tak jak Gordonowi Brownowi.

– Dlaczego coś by się miało dziać, Struan?

– Bo sprowadzono mnie tu w środku nocy.

Rzeczywiście wygląda, jakby ubierał się po ciemku, pomyślała Taverner.

– Nick Duffy sprowadził cię tutaj, bo go o to prosiłam – odparła. – Jesteśmy na dole, bo nie chcę, żeby ktoś wiedział, że tutaj jesteś. I nie rozmawiamy dlatego, że zrobiłeś coś złego. Rozmawiamy, ponieważ jestem prawie pewna, że nic takiego nie zrobiłeś.

Lekko zaakcentowała „prawie”, tylko na tyle, żeby to wychwylił.

– Miło mi to słyszeć – odrzekł.

Taverner milczała.

– Bo w sumie jestem pewien, że nic nie zrobiłem.

– W sumie?

– To tylko takie wyrażenie.

Milczała.

– To znaczy wiem, że nic nie zrobiłem.

Milczała.

– To znaczy od czasu... no wie pani...

– Od czasu tamtego e-maila, w którym sugerowałeś, że twoja i moja szefowa, Ingrid Tearney, została podstawiona przez Al-Kaidę.

– To przez to, jak była ubrana w *Question Time*, no wie pani... Przez tamtą pustynną szatę...

Milczała.

– To był dowcip.

– A my pokazaliśmy, że mamy poczucie humoru. W przeciwnym razie od tamtego dnia nie oglądałbyś słońca. – Loy zamrugął. – Żartowałam – dodała.

Niepewnie pokiwał głową, jakby po raz pierwszy do niego dotarło, że dowcipy wcale nie muszą być zabawne.

Diana Taverner zerknęła na zegarek, nie przejmując się tym, że to widział. Dostanie tylko jedną szansę na powrót do gry. To nie będzie decyzja, nad którą będzie mógł się zastanawiać i powiedzieć jej rano, na co się zdecydował.

– Czyli teraz jesteś w Slough House – stwierdziła. – Jak ci się tam pracuje?

– No cóż, wie pani...

– Jak ci się tam pracuje?

– Nie za dobrze.

– Ale nie oszedłeś.

– Nie. Cóż...

Czekała.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewny, co innego miałbym robić.

– I wciąż się zastanawiasz, czy kiedyś pozwolimy ci wrócić na górę.

– Na górę?

– Do Regent's Park. Chcesz usłyszeć coś naprawdę zabawnego, Struan? Chcesz usłyszeć, ile osób wróciło ze Slough House do Regent's Park?

Zamrugął. Znał już odpowiedź na to pytanie. Każdy ją znał.

Mimo to mu powiedziała.

– Nikt. To się jeszcze nie zdarzyło.

Znów zamrugął.

– Oczywiście to nie znaczy, że to się nigdy nie zdarzy – powiedziała. – Nie ma rzeczy niemożliwych.

Tym razem nie zamrugął. Zobaczyła w jego oczach, jak zaczynają się obracać trybiki; jak możliwości wskazują na właściwe miejsce.

Nie odezwał się, ale poruszył się na krześle. Pochylił się do przodu, jakby to nie było przesłuchanie, tylko rozmowa, w której bierze udział z własnej woli.

– Zauważyłeś ostatnio w Slough House coś niezwykłego? – spytała.

– Nie – odparł z całkowitym przekonaniem.

Milczała.

– Nie wydaje mi się – dodał.

Znów zerknęła na zegarek.

– Co niezwykłego miałbym zauważyć?

– Aktywność. Aktywność znacznie wykraczającą ponad normę.

Zastanowił się nad tym. Kiedy to robił, Diana Taverner sięgnęła do torebki, którą wcześniej powiesiła na oparciu krzesła. Wyjęła z niej czarno-białe zdjęcie rozmiarów dziesięć na piętnaście centymetrów i położyła je na stole między nimi. Odwróciła je w stronę Loya.

– Poznajesz go?

– To Alan Black.

– Twój dawny kolega.

– Tak.

– Widziałeś go ostatnio?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Nie widziałeś go ostatnio w towarzystwie Jacksona Lamba?

– Nie.

– Cóż, no to mamy problem.

Rozsiadła się wygodnie i czekała.

– Problem – powtórzył w końcu.

– Tak. Problem – potwierdziła. – Powiedz mi, Struan, czy chciałbyś stać się częścią rozwiązania?

W oczach Struana Loya znów zaczęły się obracać trybiki.

– Nie powinniśmy wejść od tyłu?

– A da się przejść na tyły?

– Może jest tam alejka.

Min Harper i Louisa Guy byli pod mieszkaniem Ho; wjechali na ostatnie wolne miejsce parkingowe na chwilę przed tym, nim zjawił się inny samochód, który zwolnił, a potem wjechał dalej w ulicę i zaparkował. Para bez słowa obserwowała wysiadającego z niego mężczyznę.

Byli w Balham, o rzut kamieniem od linii kolejowej. Brixton, gdzie zatrzymali się po Struana Loya, okazało się niewypałem: albo nie było go w domu, albo umarł we śnie. Podobnie jak wszystkie kulawe konie, Loy mieszkał sam. Wydawało się, że wynika to z jakiejś statystyki. Min Harper zdziwił się, że do tej pory nie przyszło mu to do głowy. Nie wiedział, czy Loy był singlem z wyboru, czy też zmusiły go do tego okoliczności; czy był rozwiedziony, w separacji i tak dalej. Ta niewiedza o życiu kolegów wydała mu się niezadowalająca i zastanawiał się, czy nie poruszyć tego tematu z Louisą, ale w tej chwili prowadziła. Po całym tym alkoholu, jaki wcześniej wypili, uznał, że będzie dobrze pozwolić jej się na tym skupić. I właściwie, gdyby się

nad tym zastanowić, to powinni przedyskutować inne sprawy, ale z tym też lepiej będzie poczekać. Ni stąd, ni zowąd brali udział w operacji. Jak to się stało?

– No...

Mężczyzna, którego obserwowali, zniknął z pola widzenia.

– Dobra. Spróbujmy.

Przechodząc przez ulicę, Min poczuł, że kurtka uderza go o biodro. Przycisk do papieru. Wciąż nosił przycisk do papieru, użył go wcześniej, gdy walczył z zamaskowanym intruzem, którym – jak się okazało – był Jed Moody. Potarł powierzchnię przedmiotu kciukiem, nie wyjmując go z kieszeni. Nie uderzył nim Moody’ego. Nie musiał. Runęli ze schodów i tylko Min się podniósł. Przypuszczał, że to powinno trafić do jakiejś księgi rachunkowej, do przeciwległej kolumny niż ta, w której zapisano, że wysiadł z metra bez twardego dysku i jego kariera odjechała, gwizdząc w ciemnym tunelu.

Nie lubił Jeda Moody’ego, ale nie podobała mu się świadomość, że był przyczyną jego śmierci. Podejrzewał, że to jeszcze nie było sedno tego uczucia. Potem wszystko potoczyło się tak szybko, że jeszcze do końca to do niego nie dotarło.

Na razie to zostaw, pomyślał. Można było kawałek ujechać na tej mantrze. „Na razie to zostaw”.

– I jak uważasz?

– Powinno nam się udać.

Znaleźli wąskie niewybrukowane przejście między tyłem jednego rzędu domów a tymi przy następnej ulicy. Było nieoświetlone i zarośnięte. Żadne z nich nie miało latarki, ale Ho mieszkał tylko cztery domy dalej. Louisa ruszyła przodem. Krzaki były mokre i obwieszane pajęczynami. Szli po śliskim błocie na tyle blisko siebie, że gdyby jedno się przewróciło, oboje wylądowaliby na ziemi. Każdej innej nocy to mogłoby być nawet zabawne.

– To ten?

– Tak mi się wydaje.

Na piętrze paliło się światło. Wyglądało na to, że Ho ma własną oranżerię na górze. Przeszli przez walący się drewniany płot i gdy Min zeskoczył do ogródka, za jego plecami pękła deska z takim dźwiękiem, jaki wydaje kula. Zamarł, spodziewając się alarmu albo odgłosu syren, ale hałas po prostu rozpląnął się w mroku. Nie drgnęła żadna zasłona w oknie; nikt nie zareagował. Louisa Guy zeskoczyła obok niego.

Czekali jeszcze przez chwilę. Min znów wsunął rękę do kieszeni i pogłaskał kciukiem gładką powierzchnię przycisku do papieru. Potem ruszyli w stronę drzwi na tyłach.

Gdy podeszli bliżej, Minowi wydało się, że słyszy muzykę.

Z któregoś pokoju na górze dochodziła muzyka, a przez świetlik światło krwawiło w stronę nieba. Która była? Po czwartej? A Dan Hobbs słyszał tę muzykę aż tu, na ulicy.

Pomyślał: gdybym był jego sąsiadem, skreśliłbym temu chuchru kark. Wrzuciłbym mu przez okno pojemnik na śmieci, żeby zwrócić jego uwagę, a potem złapałbym go za kołnierz i dusił, aż oczy wyszłyby mu z orbit.



To nie była najlepsza noc w życiu Dana Hobbsa.

Oparł się o dzwonek.

Po spotkaniu z Jacksonem Lambem w szpitalu ocknął się na podłodze; nie miał żadnych poważnych stłuczeń, ale czuł się tak, jakby ktoś go podeptał. Drzwi pomieszczenia magazynowego były otwarte. River Cartwright zniknął. Hobbs się podźwignął i ruszył po schodach na górę, gdzie pierwszą osobą, którą napotkał, był Nick Duffy. Dopiero co przyjechał na miejsce.

I Hobbs nauczył się na własnej skórze, że gówno zawsze idzie na dół.

„To był tylko jakiś grubas. Skąd miałem wiedzieć...”

„Pamiętasz Sama Chapmana? Złego Sama?”

Hobbs go pamiętał.

„Zły Sam kiedyś powiedział, że nie boi się nikogo oprócz otyłych facetów z nieświeżym oddechem i w opiętych na brzuchu koszulach. Wiesz dlaczego? – Hobbs nie wiedział. – Bo raz na ruski rok jeden z nich okaże się Jacksonem Lambem. I zanim zdążysz się połapać, nie będziesz miał już lunchu, butów i większości zębów. A teraz wypierdalaj z powrotem do Regent’s Park”.

Przez kilka godzin kipiał ze złości, a potem dostał nowe instrukcje; miał sprowadzić kolejnego kulawego konia.

„Nazywa się Roderick Ho”. – Duffy przeczytał mu adres. „Maniak komputerowy ze Slough House. Myślisz, że poradzisz sobie sam?”

Hobbs nabrał powietrza. Struktura służb była, delikatnie rzecz ujmując, hierarchiczna, ale nie zostawało się psem, potulnie przestrzegając protokołów.

„Kurwa, z zamkniętymi oczami” – zapewnił szefa. „Sam mówiłeś, że nawet Chapman nie mógł poradzić sobie z Lambem, a ja nie wiedziałem, że to on. Więc się mnie nie czepiaj, dobra?”

Nastąpiło dwanaście sekund ciszy. Potem Duffy powiedział:

„Tyle z ciebie pożytku co z ekspandera, wiesz? Ale nawet moja czteroletnia siostrzenica poradziłaby sobie z Ho, więc chyba ci zaufam”.

Starannie ukrywając ulgę w głosie, Hobbs spytał: „Jak mam go sprowadzić?”.

„DZ”.

W slangu psów oznaczało to dyskretnie zgarnąć. Czyli tak, żeby nie zaniepokoić przypadkowych świadków.

„A, Dan? Jeśli to spieprzysz, cała twoja rodzina wyleci z roboty”.

Nie zamierzał. Nie naprawi już tamtego, ale przynajmniej pokaże, że wciąż jest w grze. I że zamierza w niej pozostać.

A następnym razem, kiedy spotka Jacksona Lamba...

Odsunął jednak od siebie tę myśl. Nic tak nie wkurza, jak myślenie w kółko o tym samym.

Teraz był pod mieszkaniem Ho. Wszedłby od tyłu, ale ta muzyka wszystko zmieniała. Ho nie spał. Pewnie miał towarzystwo. Maniacy komputerowi mają życie towarzyskie, kto by pomyślał.

Ale towarzystwo czy nie, nikt nie otwierał drzwi. Hobbs znów oparł się o dzwonek i tak już został.

Po tym, jak tego wieczoru dał plamę, odrobił pracę domową, a raczej zwrócił się do Królowych Bazy Danych, żeby odrobiły ją za niego. Akta Rodericka Ho trafiły na jego blackberry na długo, zanim tutaj dotarł, i z wyników testów sprawności fizycznej jasno wynikało, że gdyby Ho nie był genialnym informatykiem, już dawno zwolniono by go z przyczyn zdrowotnych, żeby wszystkim zaoszczędzić żenady. Wyglądał na takiego typu, co to zakłada maseczkę antysmogową, jadąc metrem. A jeśli się okaże, że akta kłamią i Ho jest zapomnianym kuzynem Bruce'a Lee, to również nie żaden problem. Hobbs też potrafił to i owo.

Czy muzyka na chwilę się zacięła? Coś się stało.

Nie zdejmując ręki z dzwonka, Hobbs zajrzał przez mleczną szybę w drzwiach. Do drzwi zbliżał się niewyraźny kształt.

Roderick Ho nie poszedł spać. Roderick Ho i tak niewiele sypiał, ale dziś w nocy miał sprawę do załatwienia. Dziś w nocy zamierzał spłacić dług.

Dziś wracając do domu, kupił dwa wielkie opakowania chipsów kukurydzianych i upuścił je oba, kiedy jakiś ciul w lexusie zatrąbił na niego na przejściu dla pieszych... Kiedy się po nie pochylił, zsunęły mu się okulary, a ten ciul w lexusie zatrąbił znowu i wyraźnie było widać, że sprawia mu to przyjemność, że po prostu uprzyjemnia sobie te nudne chwile, kiedy musi czekać na skrzyżowaniu przez jakiegoś pieszego, do kurwy nędzy. Bo przecież droga należała do zmotoryzowanych. Należała do SI 123, jak wynikało z jego tablicy rejestracyjnej. Ho podniósł okulary, pozbierał chipsy. Ledwie udało mu się nie wpaść pod ruszającego lexusa i wiedział, że nie jest już dla tego faceta nawet wspomnieniem. W najlepszym razie będzie tematem dowcipów. „Szkoda, że nie widziałeś, jak ten żółtek podskoczył”.

To było wtedy. A teraz:

SI 123 należał do Simona Deana z Colliers Wood i Ho nie ślęczał przed komputerem do czwartej, bo potrzebował tyle czasu, żeby do tego dojść, ale dlatego że demontował kawałek po kawałku życie Simona Deana. Simon Dean był telemarketerem w firmie oferującej ubezpieczenia na życie albo tak mu się przynajmniej wciąż wydawało, choć według rygorystycznie strzeżonych back-upów systemu poczty elektronicznej w jego firmie jednym z ostatnich poczynań Simona Deana przed odejściem z pracy było wysłanie rezygnacji szefowi połączone ze szczegółowym opisem jego zamiarów wobec nastoletniej córki wspomnianego szefa.

Potem Simon wyczyścił wszystkie swoje karty kredytowe, anulował stałe zlecenia zapłaty, przekazał swoją hipotekę nowemu kredytodawcy za boleśnie niską stawkę, zmienił swój numer telefonu i wszystkim w swojej książce adresowej wysłał ogromne bukiety kwiatów z wiadomością o swoim coming oucie. Przekazał wszystkie oszczędności Partii Zielonych i został scjentologiem; sprzedał lexusa na eBayu; a w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin przekona się, podobnie jak wszyscy mający ten sam kod pocztowy, że ma status rejestrowanego przestępcy seksualnego.

W sumie Simona Deana nie czekał najszczęśliwszy okres w życiu, ale pozytywna strona była taka, że Roderick Ho dawno nie czuł się taki radosny. Poza tym okazało się, że jego chipsy kukurydziane nie pokruszyły się tak bardzo przy upadku.

Nic dziwnego, że stracił poczucie czasu; odtwarzacz CD zmieniał płyty i wciąż

ryczała z niego muzyka. Natomiast zaskakujące było, że w ogóle przerwał buszowanie w internecie i spostrzegł, że coś domaga się jego uwagi. Ktoś był pod drzwiami. I prawdopodobnie stał tam już od dłuższego czasu.

Jezu, pomyślał Ho. Człowiek nie może mieć chwili spokoju? Nie znosił, kiedy ludzie byli tacy niewrażliwi. Wyłączył muzykę i szedł na dół sprawdzić, kto mu przeszkadza.

Louise Guy zaczynała boleć głowa i być może wynikało to z bliskości śmierci. Dwa zgony jednej nocy. Obaj byli kolegami z pracy, choć Alan Black przestał nim być na długo przed tym, nim stracił głowę. Poczła zapach krwi, jeszcze zanim weszła do kuchni; wiedziała, że zaraz zobaczy coś odrażającego. Ale zakładała, że to będzie ten zakładnik, Hassan. A to był on, Alan Black, jego głowa. Nie myślała o tym człowieku od czasu, gdy ostatni raz go widziała. Szczerze mówiąc, wcześniej też o nim nie myślała.

Kiedy go zobaczyła, jakby uszło z niej powietrze. Wszystko zwolniło. Nie straciła jednak kontroli, nie straciła głowy i nie wymiotowała tak jak Cartwright. Zastanawiała się, co to o niej mówi: że mogła zobaczyć coś takiego i nie wymiotować... Niespodziewana wrażliwość Cartwrighta sprawiła, że zmieniła o nim zdanie. Jak dotąd właściwie unikała większości kolegów, ostatnio z wyjątkiem Mina Harpera. I właściwie to samo dotyczyło ich wszystkich. Pchnął ich ku sobie los i nieumiejętna ocena sytuacji; nigdy dotąd nie działali jako zespół. Była w tym pewna ironia, że zaczęli to robić dopiero teraz, gdy ten zespół znacznie się skurczył.

A teraz znów była w ciemności, tym razem w ogródku na tyłach domu, w którym mieszkał Ho. Zastanawiała się, jak to możliwe, że Ho ma ogródek, gdy wszyscy inni, których znała, mieszkają w pudełkach na buty. Ale nie było sensu się zastanawiać, dlaczego sukinsynom dobrze się powodzi. Z Minem u boku ruszyła w stronę tylnych drzwi Ho, zmuszając się, żeby nie zgrzytać zębami. W domu paliły się światła i słyszała muzykę. Zabawne, jak Ho w niektórych sprawach potrafił być ostrożny, a w innych okazywał się skończonym kretynem. Tak bardzo starał się nie wychylać, a tutaj wkurzał sąsiadów niepotrzebnym hałasem po zmroku.

Ona i Min spojrzeli po sobie i równocześnie wzruszyli ramionami.

Louisa wyciągnęła rękę i załomotała do drzwi.

– Co jest?

Gburowaty chuderlawy chłopak, dwadzieścia parę lat, ubrany w T-shirt z Che Guevarą i hawajskie szorty.

Którerekolwiek z powyższych wystarczało, by dla Dana Hobbsa stać się wrogiem, ale zdecydowanie najgorsze było to, że nie był Roderickiem Ho.

– Szukam Ho\* – powiedział Hobbs.

– Czego szukasz?

– Rodericka Ho.

– Człowieku, twojej dziwki tu nie ma. Jest chyba czwarta nad ranem. Pojechało cię, że dzwoniś ludziom do drzwi?

Drzwi się zatrzasnęły, albo raczej zatrzasnęłyby się, gdyby Hobbs nie zablokował

ich butem. W głowie weryfikował informacje i potwierdzał, co wie: że nie nawalił, że to jest adres, który podał mu Duffy, potwierdzony przez Królowe Bazy Danych. Opryskliwy facet znów szeroko otworzył drzwi z miną sugerującą, że zamierza protestować. Był to czek, którego nie udało mu się spieniężyć. Hobbs uderzył go szybkim krótkim prostym w gardło. Do cywila można by było najpierw zadzwonić i powiedzieć, że zaraz mu przyłożysz, a to i tak nic by mu nie pomogło. Hobbs zamknął drzwi, przeszedł nad nim i ruszył szukać Ho.

Kiedy Roderick Ho dopiero wyczuwał systemy tajnych służb (a wydawało mu się, że to było dawno temu), wszedł do swoich akt personalnych i zmienił swój adres. Gdyby ktoś go zapytał, dlaczego to zrobił, nie zrozumiałby pytania. Zrobił to z tego samego powodu, dla którego nigdy nie podawał prawdziwego nazwiska, wyjmując kartę lojalnościową: bo nieznanym nigdy nie należy podawać takich informacji. Wystarczy spojrzeć na Simona Deana. Pieprzona spersonalizowana tablica rejestracyjna. Równie dobrze mógłby rozdawać wizytówki ze słowem „debil” wydrukowanym nad danymi jego konta bankowego. Szczerze mówiąc, wystarczyłaby jakakolwiek tablica rejestracyjna, ale po co ułatwiać życie drugiej stronie? A dla Rodericka Ho każdy był drugą stroną, dopóki nie dowiedziono inaczej.

A więc jak to możliwe, że Min Harper i Louisa Guy stali na jego tylnym podwórku?

– ...co?

– Zawsze puszczasz tak głośno muzykę o tej porze?

– Sąsiedzi są studentami. Kto by się przejmował. – Ho podrapał się po głowie.

Był ubrany tak samo jak wtedy, gdy dziesięć godzin wcześniej opuszczał Slough House, tylko że teraz miał okruszki chipsów kukurydzianych na swetrze. Co do tych dwojga, nie pamiętał, co wtedy mieli na sobie. Ale wyglądali, jakby od tego czasu nie zmrúżyli oka. Ho nie za bardzo radził sobie z ludźmi, ponieważ ich nie lubił, ale nawet on widział, że ci dwoje byli tej nocy jacyś inni. Przede wszystkim byli we dwoje. Zapytałby ich, co się dzieje, ale najpierw musiał zadać ważniejsze pytanie.

– Jak mnie znaleźliście?

– A co, ukrywasz się?

– Jak? – powtórzył.

– Lamb podał nam twój adres.

– Pieprzony Lamb – stwierdził Ho. – Nie lubię go.

– Nie wiem, czy on ciebie lubi. Ale przysłał nas po ciebie.

– No to jesteśmy.

Ho pokręcił głową. Zastanawiał się, skąd Lamb wiedział, że zmienił swoje dane. A tym bardziej skąd wiedział, gdzie mieszka. Wiedza Lamba o cyfrowym świecie zmieściłaby się w jednym pikselu. Nie było mowy, żeby poznał sekrety Ho w honorowy sposób: używając komputera. A to mu nasuwało straszliwą możliwość, że istnieją inne sposoby dobrania się do czyjegoś życia. I że bycie cyfrowym wojownikiem niekoniecznie zapewnia niezniszczalność.

Ale Ho nie chciał żyć w świecie, w którym coś takiego jest możliwe. Nie chciał wierzyć, że to się może stać. Potrząsnął więc jeszcze raz głową, by pozbyć się tej

myśli i posłać ją trzepoczącą w noc, która dość szybko zmieniała się we wczesny poranek.

Potem powiedział:

– Pójdę po laptop.

– Co? – spytał Duffy.

– Nie ma go tu.

– To gdzie jest?

– Nie wiem – powiedział Hobbs.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Dan Hobbs słyszał, jak pozostałości jego kariery toczą się niczym gnany wiatrem pustynny krzew po korytarzach Regent's Park.

Potem Duffy się rozłączył.

---

\* Słowo „ho” w slangu ulicznym oznacza dziwkę (przyp. tłum.).

Nigdy nie był w jej mieszkaniu ani nie marnował czasu na zastanawianie się, jakie by mogło być, więc jego wygląd ani go nie zaskoczył, ani nie uspokoił: budynek w stylu art déco w St John's Wood, o zaokrąglonych krawędziach i metalowych ramach okiennych. W pobliżu mieszkał Orwell i pewnie podkradł nieco miejscowych szczegółów, gdy tworzył swoją faszystowską przyszłość, ale wcześniej rano ten konkretny budynek wyglądał całkiem zwyczajnie ze wspólnym wejściem i ciągle migającym domofonem. Tylko znak zapewniający, że wszystko jest monitorowane przez kamery, nasuwał na myśl świat *Big Brothera*, ale znaki były tańsze niż prawdziwy sprzęt. Może i Wielka Brytania jest najbardziej inwigilowanym społeczeństwem świata, ale jest to finansowane z publicznej kieszeni, a firmy zarządzające budynkami ogólnie wolą tańszą opcję, czyli powieszenie atrapy. Jacksonowi Lambowi jakąś minutę zajęło sforsowanie zamka, który był nowszy niż budynek, ale nie za wiele. Jego buty stuknęłyby na kafelkach w lobby, gdyby im na to pozwolił. Tylko pod jednymi z drzwi, które mijał na parterze, widać było jasną smugę światła.

Wszedł schodami: rozwiązanie cichsze i bardziej niezawodne niż winda. Taka ostrożność była jego drugą naturą. To było jak włożyć stary płaszcz. Moskiewskie zasady, doszedł do wniosku, gdy spotkał się z Dianą Taverner nad kanałem. Teoretycznie była po jego stronie, teoretycznie była jego szefową, ale prowadziła brudną grę, więc obowiązywały moskiewskie zasady. A teraz jej gra była wszędzie, rozsypała się jak scrabble, więc zasady były londyńskie.

O ile moskiewskie zasady oznaczały pilnowanie własnych pleców, londyńskie mówiły: kryj własną dupę. Moskiewskie zasady pisano na ulicach, zaś londyńskie stworzono w korytarzach Westminsteru, a ich skrócona wersja brzmiała: ktoś zawsze musi zapłacić. Zadbaj, żebyś to nie był ty. Nikt nie wiedział tego lepiej niż Jackson Lamb. I nikt nie grał w to lepiej niż Di Taverner.

Zatrzymał się na piętrze, na którym mieszkała Catherine Standish. Żadnego dźwięku oprócz miarowego elektrycznego szumu oświetlenia. Catherine miała narożne mieszkanie. Gdy przysunął oko do wizjera, nie zobaczył światła. Znów wyjął wytrych. Nie był zaskoczony, gdy się przekonał, że zamknęła drzwi na dwa zamki i dodatkowo zabezpieczyła je łańcuchem. Właśnie miał uporać się z tą trzecią przeszkodą, gdy odezwała się zza uchylonych na centymetr drzwi.

– Kimkolwiek jesteś, cofnij się. Mam broń.

Był pewny, że nie narobił hałasu, ale mimo wszystko: Catherine Standish była dość nerwowa. Pewnie budziła się, gdy w górze przelatywały gołębie.

– Nie masz broni – powiedział jej.

Na chwilę zapadła cisza. A potem:

– Lamb?

- Wpuść mnie.
- Czego chcesz?
- Natychmiast.

Nigdy go nie lubiła i nie mógł mieć o to do niej pretensji, ale przynajmniej wiedziała, kiedy go nie drażnić. Odsunęła łańcuch, wpuściła go do środka, a potem zamknęła drzwi i tym samym ruchem zapaliła światło w przedpokoju. Trzymała w ręce butelkę. To była tylko woda mineralna, ale gdyby naprawdę był intruzem, mogłaby faktycznie go uszkodzić.

Sądząc po jej minie, być może nim był.

- Co się dzieje?
- Ubierz się.
- Mieszkam tu. Nie możesz...
- Po prostu się ubierz.

W tym niespodziewanym świetle wyglądała staro. Siwiejące włosy opadały jej luźno na ramiona. Nocna koszula mogłaby pochodzić z ilustracji w jakiejś książce z bajkami. Sięgała jej do kostek i była z przodu zapinana na guziki.

Coś w jego głosie zmieniło dla niej kontekst. To wciąż był jej dom, ale wciąż też pracowała w MI5, a on wciąż był jej szefem. Jeśli zjawił się tu w środku nocy, to działy się rzeczy, które dzieć się nie powinny.

– Poczekaj tam – powiedziała, pokazując Lambowi otwarte drzwi, i znikła w swojej sypialni.

Zanim Catherine Standish odkryła, że to Lamb manipuluje przy jej frontowych drzwiach, pomyślała o oczywistych możliwościach: że ktoś chce się do niej włamać albo ją zgwałcić. Chwycenie butelki stojącej na szafce przy łóżku było automatyczną reakcją. I Boże dopomóż, kiedy już zobaczyła, kto to, zastanawiała się, czy nie przyszedł złożyć jej nieprzyzwoitej propozycji. Zakładała, że był pijany; zastanawiała się, czy nie zwariował.

Teraz, pospiesznie się ubierając, myślała o tym, czemu nie sięgnęła po telefon zamiast po butelkę; dlaczego jej pierwszą reakcją na tę ostatnią straszną chwilę nie był wyłącznie strach. Krążąca w jej żyłach adrenalina wydawała się bardziej rozładowaniem napięcia niż paniką. Jakby czekała na to od wielu lat i jakby to ciche skrobanie przy drzwiach było po prostu drugim nieuniknionym wydarzeniem.

Pierwszym było znalezienie zwłok Charlesa Partnera.

Włożyła sukienkę, którą przygotowała sobie na rano. Związała z tyłu włosy i zerknęła na swoje odbicie. „Mam na imię Catherine i jestem alkoholiczką”. Rzadko zdarzało jej się spojrzeć na swoje odbicie i nie słyszeć w głowie tych słów. „Mam na imię Catherine i jestem alkoholiczką”. Przez długi czas uważała się za tchórza. Minęło sporo czasu, nim zrozumiała, że wytrzeźwienie wymagało odwagi, podobnie jak powiedzenie tego publicznie. Gdy sięgnęła po broń zamiast po telefon, powodowała nią ta sama odwaga. Odbudowanie swojego życia kosztowało ją wiele wysiłku po tym, jak odebrano jej tak wiele podpór, i choć najczęściej uważała, że to życie jest niewiele warte, było jedynym, jakie miała, i nie zamierzała go oddać bez walki. To, że jedyną bronią pod ręką była butelka wody, można było uznać za jeden z jego

drobnych ironicznych aspektów.

„Mam na imię Catherine i jestem alkoholiczką”. O mantrze anonimowych alkoholików jedno można powiedzieć: nie grozi ci, że zapomnisz, kim lub czym jesteś.

Gotowa stawić czoła monstrualnemu szefowi, dołączyła do niego w drugim pokoju.

– Co się dzieje?

Stał przy jej regale, zbierając dane.

– Później. Chodź.

Ruszył w stronę drzwi, nie oglądając się. Spodziewał się, że będzie tuż za nim.

Może lepiej było mu jednak przyłożyć tą butelką.

– Jest środek nocy – powiedziała. – Nigdzie się nie wybieram, dopóki mi nie powiesz, co się dzieje.

– Ubrałaś się, prawda?

– Co?

– Ubrałaś się, więc jesteś gotowa do wyjścia. – Miał tę minę, do której przywykła, spodziewał się, że będzie po prostu robiła to, co jej każe. – Możemy już ruszać.

– Ubrałam się, bo nie mam zamiaru stać w nocnej koszuli, kiedy naruszasz moją osobistą przestrzeń. Jeśli chcesz, żebym dokądkolwiek poszła, zacznij mówić.

– Jezu, myślisz, że liczyłem, że przyłapię cię w bieliźnie? – Wyciągnął z kieszeni papierosa i włożył go do ust. – Gówno uderzyło w wentylator. I to grubo. Możesz teraz wyjść ze mną albo wkrótce z mniej przyjaznymi ludźmi.

– Nie zapalisz tego tutaj.

– Nie, zapalę, jak tylko wyjdę na zewnątrz, czyli za niecałą minutę. Chodź ze mną albo zostań. Twój wybór.

Catherine zeszła na bok, żeby go przepuścić.

Zawsze była świadoma fizycznej obecności Lamba. Zajmował mnóstwo przestrzeni. Czasem, gdy była w kuchni w Slough House, dochodził do wniosku, że on też koniecznie musi tam być: zanim miała czas się połapać, co się dzieje, była przyciśnięta do ściany i próbowała nie wpaść w jego orbitę, gdy wygrzebywał z lodówki cudze jedzenie. Uważała, że nie robił tego umyślnie. Po prostu go to nie obchodziło. Albo za bardzo przywykł do życia na wygnaniu w swojej własnej skórze i zakładał, że inni zrobią mu miejsce.

Dziś w nocy była tego świadoma bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Przede wszystkim dlatego, że Lamb był u niej w domu, śmierdząc papierosami, wczorajszym alkoholem i jedzeniem na wynos; nosił ubrania, które wyglądały, jakby miały się rozpuścić; przyglądał jej się badawczo. Ale kryło się w tym coś więcej. Dziś w nocy sprawiał wrażenie, jakby ktoś deptał mu po piętach. Zawsze był skryty, ale jeszcze nie widziała, żeby wyglądał na zmartwionego. Zupełnie jakby paranoja Lamba się opłacała. Jakby znalazł wroga, który nie krył się tylko w jego przeszłości, czając się w cieniu rzucanym przez jego zwaliste ciało.

Wzięła klucze z miseczki, zdjęła płaszcz z wieszaka, złapała torebkę, która była cięższa, niż się spodziewała, zamknęła za sobą drzwi na oba zamki i ruszyła na dół.



Czekał w holu z niezapalonym papierosem w ustach.

– Co to za kłopoty? I dlaczego dotyczą mnie?

– Bo jesteś ze Slough House. A od dzisiejszej nocy Slough House jest oficjalnie po uszy w gównie.

Catherine szybko przejrzała w myślach wydarzenia z ostatnich kilku dni; nie znalazła w pamięci nic prócz zwykłego sporządzania list i przesiewania danych.

– Niech zgadnę – powiedziała – Cartwright się wkurzył i teraz wszystkim nam się oberwie.

– Całkiem blisko – przyznał Lamb. Pchnął drzwi i przeszedł przez nie pierwszy, omiatając wzrokiem parking. – To te same samochody co zwykle?

– Myślisz, że zwracam na to uwagę? – spytała. A potem dodała: – Tak. Te same co zwykle.

Posłał jej szybkie spojrzenie.

– Baker jest ranna – oznajmił. – Moody nie żyje. Pewnie wydali DZ na nas wszystkich. I wolałbym nie spędzać kolejnych kilku dni, odpowiadając na głupie pytanie pod Regent's Park.

– Sid jest ranna?

– A Moody nie żyje.

– Jak poważnie ranna?

– Nie tak bardzo jak on, który jest trupem. Umknęło ci to?

– Zawsze wiedziałam, że Jed Moody źle skończy. Ale Sid lubię.

– Jesteś pełna niespodzianek, wiesz o tym? – rzucił Lamb.

Wyprowadził ją poza teren dla mieszkańców z parkingiem, niskim murkiem i wysokimi zielonymi krzakami i dostrzegł SUV-a zaparkowanego na chodniku naprzeciwko.

Widząc reakcję Lamba, Nick Duffy powiedział:

– Mam nadzieję, że źle tego nie odbierze.

– A jak źle może być? – spytał Webb. James „Spider” Webb: w jego słowach było coś równie nieuniknionego jak w ksywie, którą mu nadano. Webb był przed trzydziestką i był absolutnie przekonany, że każdy o dwadzieścia lat starszy od niego ma szczęście, że udało mu się przeżyć potop.

Duffy stłumił westchnienie. Przez całą noc korzystał z ludzi, którzy na niewiele się zdawali; był zmuszony wysłać Dana Hobbsa, żeby sam zgarnął tego komputerowca ze Slough House. To nie skończyło się dobrze: Hobbs przyłożył cywilowi. Ho zniknął, a pozostałe kulawe konie albo wyrzuciły swoje komórki, albo zbierały się w kanale pod Roupell Street. Tymczasem Duffy musiał korzystać z nieswoich ludzi, takich jak Spider Webb, bo własnych mu zabrakło.

Do pozytywów należy zaliczyć, że Lady Di miała rację. Lamb sam przyszedł po Standish. A więc zakładając, że nie zrobi nic niezwykłego, Duffy zaliczy przynajmniej jeden sukces.

– Zdziwiłbyś się – odpowiedział Webbowi.

Wysiedli z SUV-a i przeszli na drugą stronę ulicy.

Lamb i ta kobieta obserwowali, jak się zbliżają. Duffy wiedział, że mają do

wyboru niewiele opcji. Mogli zawrócić do środka, co nic by im nie dało, albo rzucić się do ucieczki. Lecz jeśli nieschludny wygląd Lamba skrywał jakieś jego zdolności, to szybkość nie była jedną z nich. Duffy wątpił, by spróbował ucieczki.

Dwa metry od czekającej pary Duffy powiedział:

– Długa noc.

– Chcesz wyciągnąć nadgodziny? – spytał Lamb. – Rozmawiasz z niewłaściwą osobą.

– Muszę wiedzieć, czy któryś z was ma broń – odezwał się Spider.

– Nie – odparł Lamb, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

– Będę musiał sam to sprawdzić.

Wciąż nie patrząc na Webba, Lamb odrzekł:

– Nic nie mam, Nick. Ani pistoletu, ani noża, ani nawet wybuchającej szczoteczki do zębów. Ale jeśli twój fagas ma ochotę mnie obszukać, to niech lepiej najpierw obszuka moją koleżankę. Bo trudno mu to będzie zrobić z dwoma złamanymi nadgarstkami.

– Jezu – powiedział Duffy. – Nikt nie będzie nikogo obszukiwał. Webb, wsiadaj do samochodu. Pani Standish, proszę z przodu. Jackson, my wsiadziemy z tyłu.

– A zakładając, że się sprzeciwimy?

– Gdybyś chciał się sprzeciwiać, nie zadałbyś tego pytania. Chodźcie. Wszyscy już zbyt długo to robimy. Jedźmy do Regent's Park.

Później przyszło mu do głowy, że Lamb sobie z nim pogrywał. Zwrócił się do niego „Nick”? Znali się, jasne, ale przecież nie byli kumplami. Duffy był szefem psów i pochlebstwa rzadko robiły na nim wrażenie. Ale Lamb, w przeciwieństwie do niego, działał jako zakonspirowany agent i czegoś takiego nie dało się zignorować. Dzieciaki takie jak Webb widziały tylko wypalonego człowieka, ale starsze pokolenie pamiętało, dlaczego się wypalił... Jezu, myślał Duffy, to musiało być dla niego tak trudne jak nakręcenie zegarka. Ale te myśli przyszły dopiero później, gdy już wrócił do Regent's Park, a wtedy Lamb i Standish już dawno zdążyli zniknąć.

Teraz wszyscy czworo wsiedli do samochodu i Webb uruchomił silnik.

Lamb dwa razy kichnął, potem pociągnął nosem i... – Catherine tego nie widziała, patrzyła prosto przed siebie – wydał taki odgłos, jakby wycierał nos w rękaw. Cieszyła się, że nie siedzi obok niego.

Ruch z naprzeciwka był niewielki – właściwie nic w porównaniu ze strumieniem, a potem falą powodziową, która zaleje te ulice za godzinę czy dwie. Miasto wciąż spowijała ciemność, ale słyhać było pierwsze szepty świtu, a od ulicznych latarni światło nie biło już tak ostro. Spędziła wiele poranków mniej więcej o tej porze dnia, czekając, aż do jej pokoju wpadną pierwsze promienie światła. Przez pierwszych kilkaset usiłowała nie myśleć o picciu. Teraz przytrafiało jej się to znacznie rzadziej i czasem nawet spała do chwili, gdy dzwonił budzik, ale mimo wszystko dobrze znała wczesne ranki. Tyle tylko że zwykle nie siedziała wtedy w samochodzie i nie była aresztowana. Bo jakkolwiek by to ująć, właśnie to się tutaj działo. Ona i Lamb byli aresztowani. Choć właściwie powinno to spotkać tylko ją, a Lamb powinien być gdzie indziej. Dlaczego po nią przyszedł?

– Loy, zgadza się? – odezwał się za jej plecami.

Duffy nie odpowiedział.

– Stawiam na Loya. Najłatwiej byłoby go przekabacić. Taverner zajęłoby to jakieś trzy minuty.

Catherine siedząca z przodu obok Webba spytała:

– Co by jej zajęło trzy minuty?

– Skłonienie go, żeby zgodził się na wszystko, co ona powie. W tej chwili tworzy nową wersję zdarzeń. Wrabia Slough House.

– Ta podróż minie nam o wiele szybciej, jeśli odłożymy tę rozmowę do czasu, gdy dotrzemy na miejsce – stwierdził Duffy.

– W co wrabia? – spytała Catherine.

– W egzekucję Hassana Ahmeda. – Lamb znowu kichnął. Potem dodał: – Taverner stosuje taktykę spalonej ziemi, ale to nie zadziała. Na koniec tuszowanie faktów cię dopada, Nick. Ona o tym wie, ale myśli, że jest wyjątkiem. Wszystkim tak się wydaje. I wszyscy się myślą.

– Kiedy ostatnio byłem w Regent’s Park, Diana Taverner wciąż dowodziła. Dopóki to się nie zmieni, robię to, co mi mówi.

– To świetnie zabrmi przed komisją. Jezu, myślałem, że jesteś szefem psów. Że masz dbać, żeby nikt nie przekraczał uprawnień.

Catherine zerknęła w bok. Webb, tak Duffy nazwał kierowcę. Był w tym samym wieku co River Cartwright i wyglądał na ten sam typ, ale gdyby kazano mu skakać, szybciej by zapytał, jak wysoko. Zauważył jej spojrzenie. To był tylko rzut oka, jego wzrok był skupiony na drodze. Uśmiechnął się pod nosem.

Ledwie się orientowała, co się tutaj dzieje, ale świadomość, po czyjej stała stronie, była pewnym pocieszeniem.

– Słuchaj – powiedział w końcu Duffy – wiem tylko, że mam cię dostarczyć do Regent’s Park. I tyle. Marnujesz czas, próbując się ode mnie dowiedzieć, co się dzieje.

– Wiem, co się dzieje. Taverner kryje własną dupę. Tyle tylko że jest tym zbyt zajęta, żeby przejmować się Hassanem Ahmedem. Pamiętasz Hassana, Nick? – Duffy nie odpowiedział. – Taverner prędzej pozwoli, żeby mu odrąbali głowę, niż przyzna się do winy. To dlatego chciała Loya, który na pewno się już podpisał pod jej wersją wydarzeń. A ponieważ Moody nie żyje, to cóż, może go pomalować na taki kolor, na jaki jej się spodoba. On raczej nie będzie zaprzeczał.

Catherine doszła do wniosku, że ulice znów zaczynają siebie przypominać; znów wyglądają jak miejsca, gdzie ludzie poruszają się swobodnie, zamiast przeskakiwać z cienia do cienia. Zachowują się tak, jakby byli we właściwym miejscu.

– Ale to wszystko się posypie, Nick – ciągnął Lamb. – Najrozsądniejszą rzeczą byłoby zapomnieć o londyńskich zasadach Lady Di i skupić się na znalezieniu dzieciaka, zanim z nim skończą. O ile jeszcze tego nie zrobili. – Znowu kichnął. – Jezu, masz tutaj kota czy co? Standish, masz jakieś chusteczki w tej torebce?

Catherine postawiła sobie torebkę na kolanach, rozpięła ją i wyjęła broń Lamba, którą włożył tam, gdy się ubierała. Bezpiecznik był wyraźnie oznaczony i przesunęła go, po czym wymierzyła pistolet w wybrany cel.

– Wszyscy wiemy, że cię nie zastrzelę – powiedziała do Webba. – Ale jeśli będę musiała, wpakuję ci kulę w stopę. A to zetrze ten krzywy uśmiech z twojej twarzy, prawda?

– Wy dwaj możecie dalej iść na piechotę – powiedział Lamb. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Grób Blake'a znajduje się jakieś osiemset metrów od Slough House, na cmentarzu Bunhill Fields. To niewielki kamień nagrobny, na którym widnieje też imię jego żony Catherine, na końcu wybrukowanej alejki z ławkami osłoniętymi niskimi drzewami. Nagrobek nie znajduje się dokładnie w miejscu spoczynku pary; wskazuje, że ich szczątki są niedaleko. Obok jest pomnik Defoe; grób Bunyana – tylko kilka metrów dalej. Wszyscy byli nonkonformistami. Nikt nie czuł się na siłach zgadywać, czy Lamb dlatego wybrał to miejsce na spotkanie, ale właśnie tutaj się zebrali.

Riverowi nie udało się zgarnąć Kay White i przyjechał sam. Przeszedł przez bramę, która była zamknięta na kłódkę, i usiadł na ławeczce pod drzewem. W tle powoli narastały odgłosy ruchu ulicznego. Miasto nigdy nie spało. Zapadało tylko w niespokojne drzemki. Jego śniadaniem były papierosy, czarna kawa i aspiryna, i jeszcze przez wiele godzin miało wyglądać jak odgrzewana śmierć.

Stukanie przy bramie oznaczało, że przybyli inni.

W polu widzenia pojawili się Min, Louisa i Roderick Ho, ten ostatni ścisnął laptop. Min i Louisa wyglądali blado, a sam River też nie czuł się najlepiej. Ale szli wyprostowani. Coś się działo. Nie stali już na bocznym torze.

– Moody naprawdę nie żyje? – spytał Ho.

River kiwnął głową.

– No tak – powiedział Ho i usiadł na ławeczce naprzeciwko. Otworzył laptop, odpalił go i podłączył adapter wi-fi. Nikt go nie spytał, co robi. Gdyby siedział i słuchał albo próbował prowadzić rozmowę, zapytaliby go o to, ale Ho nurkujący w sieci stanowił normę.

– White?

River pokręcił głową.

– Za późno.

– Chyba nie...?

– Nie. Jezu, nie! Właśnie ją wywozili. Co z Loyem?

– Ani śladu.

Louisa usiadła obok Rivera. Min stał. Nagle się wyciągnął, uniósł na palcach i rozłożył ręce na boki, jakby był ukrzyżowany.

– To psy, tak?

– Na to wygląda.

– Myślą, że zabiliśmy Jeda?

– Chyba myślą, że zabiliśmy Alana Blacka – odparł River. – Jak dobrze go znaliście?

Oboje wzruszyli ramionami.

– Był sobie. Ale nie za wiele mówił.

– Powiedzmy to sobie wprost: nikt w Slough House zbyt często się nie odzywa.

- Mówił, dlaczego odszedł?
- Ja nie słyszałem. Nie znałeś go?
- To było, zanim trafiłem do Slough House – powiedział River.
- Dlaczego mieliby myśleć, że go zabiliśmy?
- Bo ktoś nas wrabia – odrzekł River. – To samochód?

To był samochód. Zwolnił, zaparkował i silnik zgasł; wszystko to poza ich polem widzenia, za drzewami rosnącymi wzdłuż zachodniego skraju cmentarza. River i Louisa wstali. Ho, pochłonięty tym, co się działo na ekranie, nie zwrócił na nic uwagi. Od strony końca ścieżki dał się słyszeć jakiś brzęk i odgłos przesuwanej zasuwki.

- To Lamb – twierdził River.
  - Ma klucz?
  - Cóż, to by wyjaśniało, dlaczego chciał się spotkać tutaj.
- Chwilę później pojawili się Lamb i Catherine Standish.

Oto, do czego doszło: Curly był w obcym kraju, pod przykrywką, i trwała wojna. To był jego własny kraj, a czuł się w nim obco.

Przejeżdżali obok meczetu – pierdolonego meczetu. Tutaj, w stolicy Anglii. W głowie się nie mieści.

Przez wiele lat można było usłyszeć ostrzegawcze głosy, ale co to dało? Kochany rząd. Każdy, kto tylko ma ochotę, może przyjechać i przejąć ten kraj: daliśmy im miejsca pracy, domy, pieniądze, a jeśli nie chcą pracować, i tak dajemy im kasę. Państwo opiekuńcze? Śmiechu warte. Cały ten kraj żyje z zasiłków.

A do tego się zgubili. Nie mieli pojęcia, gdzie są. Jedź za znakami: „Północ”. To aż takie trudne?

Ale Larry był w rozsypce. Tchórz i tyle. „Mieliśmy go tylko nastraszyć”. Jasne, bo tak się właśnie wygrywa wojnę, nie? Zamachowcy z siódmego lipca nie otworzyli plecaków, nie pokazali swoich bomb i nie powiedzieli: „Widzicie, co moglibyśmy zrobić, gdybyśmy mieli ochotę?”. Po prostu to zrobili. Bo jedno im trzeba przyznać: wiedzieli, że to jest wojna. A nie da się toczyć wojny, jeśli nie biorą w niej udziału obie strony.

Nie zorientował się, że to meczet, do chwili, gdy byli tuż obok niego, ale teraz, gdy już dobrze go widział, nie było mowy o pomyłce. Obce, cebulowate kształty. Jakby znaleźli się gdzieś poza mapą i trafili w ostatnie miejsce, w jakim chcieli być. Panika ścisnęła go za gardło: myśl, że ten dzieciak jakoś się zorientuje, gdzie są – wychwyci zapachy i dźwięki i zacznie kopać w klapę bagażnika. Curly zobaczył w wyobraźni tłum otaczający samochód; kołyszący nim z boku na bok. Uwolnią dzieciaka, a potem co? Podpalą ich. Wyciągną na ulicę i ukamienują. Pierdolone średniowiecze. Właśnie dlatego to robił – żeby dać im posmakować własnego lekarstwa.

Zdusił panikę. Pakistaniec był w bagażniku. Nie mógł wiedzieć, gdzie są.

Żaden z nich tego nie wiedział.

- Masz w ogóle pojęcie, gdzie próbujesz dojechać?
- Mówiłeś, żeby się oddalić, tak? Próbuję...

– Nie chciałem, żebyś nas przywiózł do pieprzonych Indii.

Meczet był za nimi. Wszędzie wokół budynki z betonu, z kratami w oknach. Jedynym śladem zieleni były metalowe rolety Poundshop.

– Musimy wyjechać z miasta.

Lamb usadowił się na barierce wokół grobu Bunyana i jadł kanapkę z bekonem. W drugiej ręce trzymał drugą kanapkę zawiniętą w papier pergaminowy. Kulawe konie zebrały się wokół niego.

– Black został zrekrutowany przez Taverner – powiedział. – To porwanie było ściemą. Tylko że teraz to dzieje się naprawdę, więc Taverner szuka kozłów ofiarnych. – Przerwał, żeby przełknąć. – A to będziemy my.

– Dlaczego? – spytał Min.

– Cóż, nikt nie będzie za nami tęsknił – stwierdziła Catherine.

– I już wcześniej zwerbowała Blacka – dodała Louisa. – To już jeden wrobiony kulawy koń.

– I to taki, który teraz niczemu nie zaprzeczy – zgodził się z nią Lamb. – Z tego, co wiemy, Taverner ma już ślady na papierze. Powie, że Black pracował dla Slough House, nie dla niej. Nie dla Regent's Park.

– Zadaje sobie cholernie dużo trudu – stwierdził River. – Dobra, są już dwa trupy i dla dzieciaka też to nie wygląda za różowo, ale przecież wcześniej też sypały się różne operacje. Dlaczego wpadła w panikę?

– Nazwisko Mahmud Gul coś wam mówi? – spytał Lamb.

– Generał – odparł automatycznie River. – Z Inter-Services Intelligence. Z pakistańskich tajnych służb.

Lamb spojrzał na niego.

– Założę się, że grywałeś z dziadkiem w Top Trumps. Z agentami zamiast samochodzików.

Ho tulił do siebie laptop jak sprzedawca lodów tacę.

– Gul jest z Joint Intelligence Department. Odpowiednik naszego Drugiego Biurka.

River szukał w pamięci dalszych szczegółów. Nie przychodziło mu do głowy nic, co nie byłoby szyte grubymi nićmi.

– Jest trochę twardogłowy.

– A nie wszyscy tam tacy są?

– W przełomowym punkcie wojny sądzono, że w Inter-Services są elementy, które ostrzegały talibańskich bojowników przed atakami raketowymi. Gul był jednym z podejrzanych. Nikomu nie postawiono zarzutów, ale analityk z Regent's Park napisał o nim, że różnie z nim może być.

– Chociaż publicznie zawsze popierał rząd – powiedział River. – I zwykle się o nim wspomina, gdy mowa o nowym szefie wywiadu. – Teraz wykorzystał już wszystko, co wiedział o Gulu. – Co on ma z tym wspólnego? – Ale zanim Lamb zdążył odpowiedzieć, dodał: – Nie, czekaj. Nie mów mi.

– No świetnie – stwierdziła Catherine. – Gra w dwadzieścia pytań.

Louisa spojrzała na nią. Ta uwaga do niej nie pasowała. Ale nie wyglądała też jak

dawna Catherine. Jasne, z zimna zaczerwienił jej się czubek nosa i policzki miały ten sam kolor, ale blasku w oczach nie widziało się u niej na co dzień. Może podobała jej się ta przygoda. Potem ich spojrzenia się spotkały i Louisa szybko odwróciła wzrok.

Lamb dokończył kanapkę i z zadowoleniem beknął.

– To było, kurwa, mistrzostwo świata – powiedział. – Pięć gwiazdek.

– Gdzie mają tak wcześnie otwarte? – spytała Louisa.

Machnął w stronę Old Street.

– Całodobowy lokal. Właściwie prawie po drodze. Pomyślałem, że możecie chwilę poczekać.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się River. – Hassan Ahmed. Jest człowiekiem Gula?

– Nie jest agentem.

– Na pewno?

Lamb powoli wypuścił powietrze.

– No dobra, czyli... O Jezu. – Prawda niemal poraziła Riverę. – Jest z rodziny?

– Jest synem jego siostry.

– Kazaliśmy... Taverner kazała faszystowskiemu zbirom porwać siostrzeńca Mahmuda Gula? Cholera, co ona wyprawia?

– Myśli, że jest strasznie mądra. „Pomyśl o tym, jak o zbliżeniu do siebie wspólnot” – zacytował Lamb. – To jej słowa. „Kiedy uratujemy Hassana, zdobędziemy przyjaciela”.

– Są blisko? – spytał Min Harper.

Ho wciąż przewijał dossier Gula z Regent's Park.

– Matka i ojciec Hassana poznali się w Karaczi, ale on już tutaj mieszkał. Przyjechała do Anglii jako jego żona. Od tej pory tam nie bywała i nie ma tu nic o tym, żeby Gul ich odwiedzał.

– Ale jest agentem – powiedział Min. – Nie można tego wykluczyć.

– Tak czy inaczej, można założyć, że miałyby obiekcje, gdyby odrąbali dzieciakowi głowę przed kamerą – stwierdził Lamb. Odwinął drugą kanapkę. Wokół rozszedł się aromat ciepłej kiełbaski.

River spróbował to zignorować.

– To jaki był plan? – spytał. – Zdobyć względy Mahmuda Gula, ratując jego siostrzeńca z rąk bandy fanatyków?

– Naszych fanatyków – zauważył Lamb. – To było najistotniejsze.

– Czyli miałyby u nas dług – dodała Louisa. – A potem, kiedy zostałyby następnym dyrektorem Inter-Services Intelligence, byłby bardziej skłonny iść nam na rękę.

– Genialne – stwierdził River. – Tylko co będzie, jeśli nie uratujemy Hassana? Brała to w ogóle pod uwagę?

– Jak widać, nie – odparł Lamb. – I w tej chwili wygląda na to, że za jakieś dwadzieścia cztery godziny brytyjskie tajne służby zamordują siostrzeńca Drugiego Biurka z wywiadu mniej czy bardziej przyjaznego mocarstwa.

– Tylko jeśli porywacze będą trzymać się swojego terminu – zauważyła Catherine. – A czemu mieliby to robić? Z tego, co wiedzą, są spaleni.



– Czyli zabiją dzieciaka – powiedział Min. – Jezu. Wypowiadano już wojny z mniej ważnych powodów.

– I dlatego Lady Di wychodzi z siebie, żeby zrzucić winę na nas – podsumował Lamb. – Jeśli Hassan zginie, to jedno. Ale jeśli Hassan zginie i wyjdzie na jaw, że odpowiadało za to MI5, to nie skończy się na popsuciu jej wspaniałego CV. – Mały kawałek kielbaski odpadł, pozostawiając ślad majonezu na jego nogawce. – Cholera. Nienawidzę tego! – Przez chwilę wpatrywał się ze złością w żółtą plamę, niewiele większą niż inne plamy na tej nogawce, a potem podniósł wzrok. – Taverner nie dołączy do nas w Slough House. Będzie oglądać celę od wewnątrz. O ile najpierw nie trafi do czarnego worka.

– Drugie Biurko w czarnym worku? Jakie są na to szanse?

– Prawdopodobnie istnieje precedens – stwierdził Jackson Lamb. – Może podpytasz dziadka? A tymczasem nikt nie szuka Hassana. Taverner od początku wiedziała, gdzie przebywał, ale nie było w jej interesie, żeby wiedział o tym ktoś jeszcze, więc policja działała bez pomocy MI5. I zanim Black zinfiltrował Głos Albionu, ta grupka nie wzbudzała niczyjzego zainteresowania.

– Nie wzbu... – zaczął Ho.

– Zamknij się.

– Jeśli są takimi amatorami, to jakie mają szanse? – spytała Catherine. – Może potkną się o własne...

– Fiuty?

– Coś w tym jest – stwierdziła Louisa.

– Nie do końca. To, że nikt nie zwracał na nich uwagi, działa na ich korzyść. Wcześniej nikt ich nie zauważał, więc teraz nikt nie wie, skąd się wzięli.

– Ale Alan Black ich znalazł.

– Tak – przyznał Lamb. – Zrobił to, prawda?

River słuchał jednym uchem; jego mózg przetwarzał nowe fakty, dodając je do tego, co wiedział już wcześniej, albo do tego, co wydawało mu się, że wie, albo wiedział i o tym zapomniał. A poza tym umierał z głodu. Ten sukinsyn Lamb mógł przywieźć wszystkim kanapki – zrobiłby tak każdy szef wybierający się na spotkanie przed śniadaniem. Oczywiście zakładając, że jakikolwiek szef zwołałby spotkanie przed śniadaniem na cmentarzu... River już nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł albo pił. Pewnie pod mieszkaniem Hobdena, kiedy był z Sid, a ona wciąż chodziła o własnych siłach, zamiast leżeć w szpitalnym łóżku albo na stole operacyjnym, albo z prześcieradłem naciągniętym na głowę. Wciąż nie wiedział, co się z nią dzieje. Nie pogodził się jeszcze z tym, co się jej stało, nie wspominając już nawet o informacji, że została umieszczona w Slough House, żeby miała go na oku. Przypuszczalnie przez Taverner. O co w tym wszystkim chodziło?

Lamb mówił coś o kurczakach bez głowy i River nagle poczuł, jak ulatuje z niego resztką energii. Potrzebował cukru. Czegoś gorącego.

Boże, byłby gotów zabić za filiżankę kawy... Z tyłu jego głowy coś zaskoczyło.

Lamb odgryzł spory kawałek kanapki z kielbaską. Przeżuwał, powiedział:

– Chodzi o to, że z Blacka był taki sam świetnie wyszkolony tajny agent co z was. Czyli pierdoła. A więc popełniał błędy.

– Dzięki – rzuciła Louisa.

– A co za różnica? – odezwał się Min Harper. – On nie żyje. Pozostali przy pierwszej okazji załatwią Hassana, a potem znikną tam, skąd wypęzli.

– Gdyby mieli przy pierwszej okazji... załatwić Hassana – powiedziała Catherine – znaleźlibyście jego zwłoki obok Blacka.

Min się zamyślił, a potem pokiwał głową.

– Może Black był pierdołą – odezwał się Ho – ale wywiózł ich z Leeds tej nocy, kiedy porwali młodego. Kamery na drogach nie działały przez wiele godzin.

– Pewnie robota Lady Di – stwierdził Lamb. – Ale teraz już nikt nie pociąga za sznurki, żeby im pomagać, i nie mają Blacka, który podejmowałby za nich decyzje. Będą jak kurczaki bez głowy trzymające się resztek pierwotnego planu. Możemy zakładać, że jego planu. No dobra... – Spojrzał na nich kolejno. Wszyscy odwzajemnili spojrzenie prócz Rivera Cartwrighta: River wpatrywał się w niebo, jakby spodziewał się, że zobaczy helikopter. – Jesteście Alanem Blackiem. Co byście zrobili?

– Cóż, na początek... – odezwał się Min.

– Tak?

– ...nie wpakowałbym się w taki potworny bajzel.

– Czy ktoś ma jeszcze coś pożytecznego do dodania?

– Nigdy go nie lubiłem – powiedział Ho.

– Kogo?

– Blacka.

– Parę godzin temu odrąbali mu głowę – stwierdził Lamb. – I zostawili ją na stole.

– Tak tylko mówię.

– Jezu, na tyle was stać?

– Właśnie sobie przypomniałem, gdzie go widziałem – oświadczył River.

W każdym horrorze prędzej czy później następuje scena z korytarzem. Długim korytarzem z oświetleniem sufitowym, które wyłącza się sekcja po sekcji – bum, bum, bum. A potem otacza cię ciemność.

I tam był teraz Hassan.

W ciemności.

Ostatnim kolorem, jaki widział, było jasnoczerwone piekło kuchni, pośrodku której na stole głowa Moe leżała jak halloweenowa dynia. Taka, w której nigdy nie będzie lśniło światło. Potrzeba by było czegoś więcej niż świeczki, żeby w tych oczach pojawił się blask.

Bum, bum.

Szkarłatna kałuża na podłodze; ściany zbryzgane krwią. „Utniemy ci głowę i pokażemy to w internecie”. Takie rzeczy już się zdarzały. Teraz zdarzą się jemu.

Światła w jego umyśle gasły.

Nawet bez chustki w ustach Hassan nie byłby w stanie krzyczeć. Nie zostały mu już żadne słowa. Jego ciało zmieniło się w kości i płyn.

Bum.

Różne rzeczy wydają różne odgłosy. Hassan był poniżej kuchni, kiedy zrobili to z Moe, ale słyszał tylko egzotyczne dźwięki, które mogły oznaczać cokolwiek. Nie takiego dźwięku by się po czymś takim spodziewał. Spodziewałby się głuchego odgłosu, a potem stukania czegoś, co się powoli toczy.

Ale te mroczne myśli teraz mu umykały, a światła w jego umyśle gasły, bum, bum, bum. A potem był Hassanem już tylko w takim sensie, w jakim każdy musi kimś być, i tkwił w tym stanie do chwili, gdy zgasło ostatnie światło, bum, bum.

A potem był bagażem.

Bum.

Gdy River skończył, przez chwilę stali w milczeniu. Niedaleko zaświergotał ptak. Musiał mieć poufne informacje o zbliżającym się świcie. Od City Road padała wielokolorowa poświata, a z drugiej strony migotało już przefiltrowane przez gałęzie słabe światło dnia.

– Jesteś pewien? – spytał Lamb.

River kiwnął głową.

– Dobra. – Wyglądał na zamyślonego.

– To nam nie pomoże znaleźć Hassana – stwierdził Min Harper.

– Z ciebie to taki prawdziwy promyczek nadziei, co?

– Tak tylko mówię.

– Czy jest tu coś otwarte o tej porze? – spytał Ho. – Z wi-fi?

– I ze śniadaniem? – dodała Louisa.

– Boże – westchnął Lamb. – Nie potrafisz myśleć o niczym prócz własnego brzucha? – Przełknął ostatni kęs kanapki i rzucił zmięty w kulkę papier do pobliskiego kosza. – Tam jest dzieciak, który dzisiaj umrze. Możecie się trochę skupić? – Wyciągnął papierosa.

– Taverner to nie może ujść na sucho – powiedział River.

– Miło wiedzieć, jakie masz priorytety – stwierdził Lamb.

– Nie mówię o tym, co mi zrobiła. To ona za tym wszystkim stoi. Jeśli mamy uratować Hassana, musimy ją przycisnąć.

– My?

– Nikt inny tego nie robi.

– Do tego czasu dzieciak będzie trupem.

– Mogłeś pozwolić, żeby psy nas zgarnęły – odezwała się Catherine Standish. – Nie zrobiłeś tego. O co w tym chodziło?

– Myślisz, że po cichu jestem fanem waszych talentów?

– Myślę, że niczego nie robisz bez powodu.

– W dniu, w którym pozwolę, żeby ci z Regent's Park mnie dymali, zostanę abstynentem – oświadczył Lamb. – Gdyby psy próbowały mi ukraść temperówkę, tobym ją schował. A nawet nie mam temperówki.

– Co to jest temperówka? – zapytał Ho.

– Bardzo zabawne.

Ho miał zaintrygowaną minę.

– To w czym rzecz? – spytała Louisa. – Po co tu jesteście?

Lamb zapalił papierosa. Przez chwilę, z twarzą spowitą dymem, wyglądał jak coś, co zmaterializowało się z głębi grobu, o który się opierał.

– Nie czarujmy się. Psy was zgarną, zanim zamówicie śniadanie. Ale przynajmniej wiecie, co jest grane. Taverner ma Loya i White i na pewno zdążyła ich już przekabacić. Podpiszą się na ślepo pod każdą wersją, jaką im podsunie. A w tej wersji cały ten bajzel został zaplanowany przez Slough House. Czyli przeze mnie.

– Miło wiedzieć, jakie masz priorytety – rzekł River.

– Cóż, różnica między nami polega na tym, że ja mam za sobą jakąś karierę. I nie zamierzam pozwolić, żeby Taverner to obsikała.

– I to wszystko? – spytał Min Harper. – Mamy po prostu siedzieć z założonymi rękami, aż zgarną nas psy.

– A masz lepszy plan?

– Hassan wciąż gdzieś tam jest – rzekła Louisa. – Może niedaleko stąd. Nie możemy po prostu siedzieć i czekać, aż ktoś znajdzie jego ciało.

– Wydawało mi się, że strasznie chciałaś iść na śniadanie.

– Próbujesz nas nakręcić, prawda?

– Tak, jasne. Żebyście odkryli w sobie bohaterów. – Milczał przez chwilę. – Słuchajcie. Normalnie nie mówię takich rzeczy, ale chcę wam coś powiedzieć. – Zaciągnął się papierosem. – Jesteście, kurwa, do niczego. Wszyscy razem wzięci.

Czekali na „ale”.

– Nie, mówię poważnie. Gdybyście nie byli pierdołami, wciąż bylibyście w Regent's Park. Jeśli jesteście wszystkim, na co Hassan Ahmed może liczyć, to mam nadzieję, że dzieciak jest religijny. – Rzucił papierosa na ziemię i wdeptał go butem w wilgotne liście. – A teraz, ponieważ tylko Cartwright miał coś pożytecznego do zaoferowania, idzie ze mną.

– Dokąd? – spytał River.

– Spuścić Taverner powietrze z opon – odrzekł Lamb. – A wy róbcie, co chcecie.

Gdy szli w stronę bramy, Lamb o pół kroku z przodu, River spytał:

– Próbowałeś ich nakręcić, prawda?

– Nie – odparł Lamb. – Powiedziałem, co myślę.

– Ale to może w efekcie ich nakręcić.

– Wątpię, żeby mogło zaszkodzić – powiedział Lamb. – Ale cholernie dużo dobrego też raczej z tego nie wyniknie. – Wyjął klucz i rzucił go Riverowi, który otworzył bramę, przepuścił Lamba, a potem wyszedł za nim na chodnik.

Lamb przechodził już na drugą stronę ulicy. Naprzeciwko, w połowie zaparkowany na chodniku, stał wielki czarny SUV.

– Skąd masz ten wóz? – spytał River.

– Standardowe wyposażenie – odparł Lamb. – Byłeś w pobliżu Slough House?

– Nie. Od czasu, kiedy wszyscy razem wyszliśmy.

– Czyli nie wiemy, czy byli tam sprzątacze.

Przez chwilę River myślał, że chodzi mu właśnie o to: o sprzątaczy. Nie wiedział nic o tym, by Slough House było kiedykolwiek sprzątane. Potem przypomniał sobie

o Moodym.

– Minęło kilka godzin. Mogli już tam być i odjechać.

– Albo to wciąż tam jest. – To, czyli zwłoki Jeda Moody’ego. Lamb uruchomił silnik. – Przekonajmy się.

Pozostali patrzyli, jak Lamb i Cartwright znikają między drzewami.

– Sukinsyn – rzuciła Louisa.

– Powiedział, że jesteśmy do niczego, bo chce, żebyśmy mu udowodnili, że się myli – odezwała się Catherine Standish.

– Wcale nie. Kryje własną dupę, to wszystko.

– A zakładając, że nie? – powiedziała Catherine.

– Co za różnica?

– To by znaczyło, że chce, żebyśmy mu udowodnili, że się myli.

– Niespecjalnie mi zależy na jego uznaniu.

– Ale Hassan Ahmed mógłby to docenić.

– Wszyscy w tym kraju od dwóch dni szukają Hassana Ahmeda – rzekł Min. – Jak niby mamy go znaleźć?

– Wiemy, gdzie niedawno był. A poza tym to nie jego szukamy – stwierdziła Catherine. – Szukamy ludzi, którzy go porwali.

– To jakaś różnica?

– Jesteście Alanem Blackiem – odparła. – To nam mówił, zanim przerwał mu Cartwright. No to jesteśmy Alanem Blackiem. Co byśmy zrobili?

– Masz rację – powiedziała Louisa. – To nam daje przewagę.

– Tak myślisz? – spytał Ho.

– Czemu nie?

Wzruszył ramionami.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek z nim rozmawiał.

– To jak to możliwe, że go nie lubiłeś?

– Otwierał okna.

– Rozumiem, jakie to musiało być dla ciebie irytujące – stwierdziła Catherine.

Ho wysunął adapter wi-fi z laptopa i go zamknął.

– W każdym razie nie możemy tutaj zostać. Jest zimno i wilgotno. Gdzie ta kawiarnia?

– Przy Old Street.

– No to chodźcie.

– My wszyscy?

– Ktoś musi iść ze mną. Nie wziąłem kasy. Zauważyliście, czy mają tam wi-fi?

Louisa spojrzała na Mina, a potem znów na Ho.

– Chcesz spróbować poszukać Hassana?

Ho wzruszył ramionami.

– Co mi tam.

– Tylko nie mów, że zależy ci na uznaniu Lamba.

– Na uznaniu? Kurwa, gdzie tam. Chcę tylko udowodnić temu kutasowi, że się myli.

Samochód się zatrzymał i ciało uderzyło o klapę bagażnika. Hassan ledwie to zauważył. Kolejne siniaki wydawały się bez znaczenia.

Czekało go przecież coś znacznie gorszego.

Lamb zatrzymał się przy przystanku naprzeciwko Slough House. Jeden z punktów kontrolnych Moody’ego, przypomniał sobie River; Moody ciągle sprawdzał, czy nie kręcą się tam jacyś włóczędzy.

– No to co robimy? – spytał.

– Widzisz gdzieś światło?

– Na trzecim piętrze.

– Zostawiłeś je włączone?

– Nie pamiętam.

– Pomyśl.

River pomyślał. Nie pomogło.

– Nie pamiętam. Ty też tam byłeś. Czemu to moja wina, że zostało zapalone światło?

– Bo ja mam ważniejsze zmartwienia.

W oknach nie pojawiła się żadna postać; nie zapaliły się inne światła. Może sprzątacze byli w środku i zabierali właśnie Jeda Moody’ego. Albo tu byli i już pojechali, zostawiając włączone światło; a może w ogóle ich tu nie było.

Może zjawią się w ciągu kolejnych kilku minut.

Jakby czytając Riverowi w myślach, Lamb rzekł:

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– Wchodzimy?

– Ty wchodzisz. – powiedział mu Lamb. – Nie ma sensu, żebyśmy obaj ryzykowali.

– Zakładając, że mnie nie złapią? Co mam zrobić?

Lamb mu wytłumaczył.

– Czyli co, próbujemy wymyślić, co byśmy zrobili na ich miejscu?

– Próbujemy wymyślić, jaki byłby plan awaryjny Blacka. Na wypadek gdyby kryjówka została spalona.

– Ale to Black zamierzał ją ujawnić.

– Tak – odpowiedziała cierpliwie Catherine. – Ale zakładając, że pewnie by im o tym wcześniej nie powiedział, mogli pytać, czy ma jakiś plan awaryjny.

– Zabili Blacka, bo odkryli, że był tajniakiem – zauważyła Louisa. – Raczej mało prawdopodobne, żeby teraz ufali jego planom.

– Zgadza się – przyznał Min Harper. – Ale przecież to banda kretynów.

– Skąd to wiemy?

– Cóż, przyłączyli się do grupy o nazwie Głos Albionu. Potrzebujesz lepszej definicji kretyna?

– Rozgryźli Blacka.

– No cóż, tak, nie był Jamesem Bondem.

– To nas donikąd nie prowadzi – stwierdziła Catherine.

Siedzieli w kawiarni przy Old Street: długiej, wąskiej, z ladą wzdłuż okien i stolikami przy ścianie wyłożonej lustrami. Dostali kawę i zamówili śniadania. Ho zdążył już otworzyć laptop i dogoniło go znajome uczucie: że świat na ekranie staje się bardziej rzeczywisty i mniej irytujący niż ten, który go otacza.

– Mogli go już załatwić – powiedział. – Po co mieliby się teraz trzymać terminu?

– Choćby dla treningu poudawajmy, że jest szansa uratowania mu życia – rzekła Catherine. – Inaczej możemy równie dobrze wracać do łóżek.

– A co z kamerami monitoringu? – spytała Louisa. – Myślałam, że w Wielkiej Brytanii cała powierzchnia objęta jest kamerami. Zwłaszcza na drogach.

Ho spojrział na nią ze zbolałą miną.

– Pomijając wszystko inne, nie wiemy, jaki mają samochód.

– To jak się tego dowiemy?

Umilkli.

– Mało prawdopodobne, żeby użył karty kredytowej – odezwał się w końcu Min.

– Ale coś powinno być w papierach.

– Ślad.

– W tajnej operacji?

– Tajne operacje kosztują. O ile Taverner nie sfinansowała tego z własnej kieszeni, będzie jakiś...

– Ślad – powtórzył Ho. – Nie coś w papierach.

– Mniejsza z tym.

– To nie jest tajna operacja – stwierdziła Catherine. – Ta jest brudna. To zupełnie coś innego.

– Na czym polega różnica?

– Istnieniu tajnej operacji można oficjalnie zaprzeczyć. Brudna nigdy nie miała miejsca.

– To jak w takim razie działa finansowanie przy brudnej operacji?

Catherine zastanawiała się przez chwilę.

– Słyszałam kiedyś o operacji, w trakcie której wyposażano kryjówkę. Chyba w Walsall. Niezbędne przedmioty, podatek od nieruchomości, wszystko było na stałych zleceniach. Ale ten dom nie istniał. Pieniądze szły z Działu Wydatków na konto nieruchomości, z którego była finansowana operacja.

– Namierzenie czegoś takiego trwałoby całą wieczność – stwierdził Ho.

– Nie, ale... – zaczęła Louisa. Zwróciła się do Catherine: – Tamta kryjówka nigdy nie istniała. Ale my wiemy o takiej, która istnieje, prawda?

– Roupell Street – podpowiedział Min.

Popatrzyli na Ho.

– Już się za to biorę.

– Musimy wyjechać z miasta – oświadczył Curly.

– Powinniśmy porzucić samochód. I odejść – stwierdził Larry.

Od jakiegoś czasu to w sobie dusił. Curly to widział. Aż w końcu te słowa stały



się dla niego niczym zwycięski argument: właśnie tak powinniśmy zrobić, bo ja tak powiedziałem.

– Zabiliśmy szpiega – oświadczył.

– Ty go zabiłeś.

– On nie żyje, a ty tam byłeś. Chcesz się spierać o szczegóły?

– W sądzie...

– Co byś zrobił? Co byś, kurwa, zrobił?

– Bo...

– Jeśli myślisz, że trafimy do sądu, to jesteś jeszcze gorszą cipą, niż można sądzić po tych twoich dżinsach.

– A co im dolega? – spytał Larry.

– Zabiliśmy tajniaka. Myślisz, że nas aresztują?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zastrzelą nas. Koniec. Żadnego aresztowania, żadnego procesu, żadnego pokrętnego gadania o tym, jak to tylko patrzyłeś, kiedy ja uciałem mu głowę. – Wypowiadając te słowa, czuł krew pulsującą w ręce, którą to zrobił. To było jak erekcja aż po czubki palców. – Dwie kulki na każdego. Bam, bam.

Larry się trząsł.

– Więc nawet nie myśl o sądzie. Nie trafimy przed sąd. Rozumiesz?

Larry nie odpowiedział.

– Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Dobrze. – Postanowił dać Larry’emu spokój. – Ale i tak do tego nie dojdzie. Nie złapią nas.

– Był wśród nas szpieg. Myślisz...

– Wiem, że był szpiegiem. Ale to nie znaczy, że nas złapią. Myślisz, że siedzimy w tym sami? Nie. Ludzie są po naszej stronie. Uważasz, że się od nas odwrócą?

– Może i nie – odparł Larry.

– Może i nie. Może i nie. Jeśli to jest wszystko, w co wierzysz, to trzeba było dalej siedzieć w pubie i narzekać, że zabierają ci ten kraj. Kolejny pieprzony mięczak bez jaj.

– Jestem tu. Potrafię nie tylko gadać. Wiesz o tym.

– Tak, jasne. – Curly chciał powiedzieć więcej, wyjaśnić Larry’emu, jaka ich czeka przyszłość: że będą bohaterami, banitami, Robin Hoodami. Symbolami walki z islamem. A gdy zacznie się wojna, będą przywódcami ludu. Ale tak nie zrobił, bo Larry nie miał w sobie tego czegoś. Larry uważał się za żołnierza, lecz był tylko kolejnym tchórzem; lubił gadać, jednak za bardzo się bał, żeby coś zrobić. Nie było sensu opowiadać mu o przyszłości, która będzie należeć tylko do Curly’ego.

Larry jeszcze o tym nie wiedział, lecz wkrótce się przekona.

Dom przy Roupell Street jednak donikąd nie prowadził.

– Własność komunalna od lat pięćdziesiątych – powiedział Ho, przeglądając dane na ekranie. – Najpierw skarb państwa, potem jakieś „cele poboczne”.

– Kryjówka – stwierdziła Catherine.

– A teraz jest wystawiony na sprzedaż.

– Co dokładnie to właśnie oznacza. – Catherine potrząsnęła głową. – Nie będzie nic w papierach. Przepraszam, to znaczy nie będzie śladów. Taverner musiała tylko zajrzeć do ofert sprzedaży, znaleźć jakąś pustą nieruchomość i ją wykorzystać.

– Czyli siedzieli na squacie – stwierdził Min.

– W zasadzie tak.

– Byliby w niezłym szoku, gdyby zjawił się potencjalny nabywca.

– W tym klimacie?

– Dobra, to nas nigdzie nie prowadzi. To na czym stoimy? – spytała Louisa.

– Zbijamy baki – stwierdził Ho. – Już po dzieciaku.

– Zamknij się – warknęła Catherine.

Ho zerknął na nią nieufnie.

– Wbij to sobie do głowy: dopóki nie dowiemy się, że nie żyje, szukamy dalej. Nie mamy pojęcia, jaki mają plan. Może będą chcieli trzymać się pierwotnego terminu, bo... no nie wiem... są wtedy urodziny Hitlera albo coś w tym stylu. To może być dla nich ważne. Może wciąż mamy czas.

Ho otworzył usta, jakby chciał powiedzieć, kiedy są urodziny Hitlera, ale ugryzł się w język.

– Nikt z nas się nie poddaje – powiedziała Louisa.

Podano im zamówienie.

Trzy pełne angielskie śniadania i omlet z pieczarkami. Ho przestawił laptop na kolana, nabrał fasolę na widelec i zgarnął ją do ust.

– Nikt cię nie nauczył jeść? – spytała Louisa. – A może wciąż się uczysz?

Szybko przeżuając, Ho kiwnął do niej głową, jakby chciał pokazać, że za parę minut odpowie coś inteligentnego.

– Dobra, dom mieli za darmo – stwierdził Min. – Ale i tak potrzebowaliby pieniędzy. Jeśli nie na coś innego, to przynajmniej na transport.

– Mogli ukraść samochód.

– Z ofiarą porwania? Zbyt ryzykowne.

– Mogli użyć własnego wozu.

– Black był zawodowcem. Chciałby nowy wóz.

Catherine przyznała mu rację.

– I zapłaciłby gotówką – dodał Min.

– Najprawdopodobniej – zgodziła się z nim Louisa.

– A jeśli płacili gotówką, to już przeszłość.

Catherine kroić swój omlet na identyczne kawałki. Pozostali przyglądali się temu zafascynowani.

Kiedy skończyła, w milczeniu zjadła dwa kąski, a potem upiła łyk kawy.

– Niekoniecznie – powiedziała. – Black posługiwał się fałszywym nazwiskiem. Kiedy tworzysz przykrywkę, jedną z pierwszych rzeczy jest karta kredytowa. Łatwo to załatwić. A kiedy już ją masz, czemu by jej nie używać? To dodaje autentyzmu.

– Czego dodaje? – spytał Ho.

Spojrzała na niego.

– Brzmi nieźle – stwierdził Min – ale co nam to daje? Nie wiemy, jakiego nazwiska używał.

– Lamb nie sprawdził mu kieszeni? Nie znalazł portfela?

– Gdyby znalazł, chyba by nam powiedział. Bo to przecież... no wiesz... wskazówka.

– Cofnijmy się – zaproponowała Louisa. – Prowadzicie operację. Czego potrzebujecie?

– Legendy – odrzekł Ho.

– I co najmniej trzech backupów.

– Backupów?

– To coś jak referencje w CV – wyjaśniła Catherine. – Co najmniej dwa numery kontaktowe albo adresy. Gdyby ktoś je sprawdzał, znajdzie tam potwierdzenie, że jesteście tym, za kogo się podajecie.

– A jak to działa w przypadku brudnej operacji?

– Robisz to na własną rękę.

Zastanowili się nad tym.

– Coraz drożej.

– Lewa kasa – stwierdziła Louisa.

– A z czymś takim jest cholernie trudno od tej sprawy z Miro Weissem.

To było wtedy, gdy wyparowało ćwierć miliarda funtów przeznaczonych na odbudowę Iraku.

– Dobra, jak by można to zrobić, żeby było taniej?

– Przyjaciele.

– Nikt nie ma aż tak dobrych przyjaciół – zaprotestował Ho.

– W twoim świecie może nie – przyznała Louisa. – Ale muszą być ludzie, którzy wiszą Taverner jakąś przysługę. A poza tym o czym my mówimy? Dostajesz telefon od jakiegoś porąbanego nacjonalisty, który cię pyta, czy możesz poświadczyć, że Black jest tym, za którego się podaje? Dwie minuty i potwierdzasz.

– Nie – powiedziała Catherine. – Potrzebujesz dedykowanej linii telefonicznej i kiedy zadzwoni telefon, musisz odgrywać rolę i być na to gotowym dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przy oficjalnych operacjach takimi rzeczami zajmują się Królowe. Kiedy ktoś dzwoni, system im podpowiada, kim mają być.

Min przypomniał sobie, że Catherine Standish była osobistą asystentką Charlesa Partnera. To było w czasach, zanim Min dołączył do MI5 – ale Partner był legendą.

– No cóż... – zaczął, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej.

– O kurwa! – zaklęła Catherine.

Żadne z nich jeszcze nie słyszało, żeby tak się wyrażała.

– Chyba wiem, co zrobili.

– Wydawało mi się, że mieliśmy wyjechać z miasta – powiedział Curly.

– Staram się.

Ale nie wyglądało na to. Właśnie minęli kolejny meczet, chyba że kręcili się w kółko przy tym samym.

– Jak duże jest to pieprzone miasto?

– Londyn? – spytał Larry. – Dość duży.

Curly zerknął na niego, ale Larry nie robił sobie jaj. Szczerze mówiąc, sprawiał wrażenie, jakby ledwie się trzymał. Wyglądał jak ktoś, kogo zatrzymałby policjant, żeby sprawdzić, czy kierowca nie dostanie udaru za kółkiem.

– Myślałem, że jedziesz według znaków.

– Myślałem, że masz ich wypatrywać.

– Jest tu gdzieś mapa? – A potem sam odpowiedział na swoje pytanie: otworzył schowek i nie znalazł w nim nic prócz umowy najmu i paru instrukcji obsługi.

– Zobacz to – rzekł Larry.

– Co?

– To – pokazał mu.

Curly załapał.

– No dobra. Wreszcie do czegoś dochodzimy – powiedział.

River wszedł przez drzwi i się zatrzymał. Docierał do niego słaby blask z trzeciego piętra, upiorna poświata, ale nic nie było słycać. Co mogło oznaczać, że był sam. Albo że ktoś inny w budynku zachowywał się bardzo cicho.

Cóż, mógł stać przy drzwiach na tyłach i się nad tym zastanawiać. Albo pójść na górę i sprawdzić.

Na pierwsze piętro wszedł powoli, trochę z ostrożności, a trochę ze zmęczenia. Dawały mu się we znaki minione godziny: fale adrenaliny, wstrząsające widoki. Coś takiego wykańczało. „Nie chodzi o to, czy jesteś w stanie poradzić sobie z tym, co się dzieje” – mówił S.D. „Chodzi o to, czy poradzisz sobie później, kiedy to już się stanie. Kiedy jest po wszystkim”.

To się jeszcze jednak nie skończyło. I znów poczuł adrenalinę na myśl o tym, co zrobiła mu Taverner.

Wejście na drugie piętro przyszło mu łatwiej; zanim dotarł na trzecie, niemal miał nadzieję, że ktoś tam będzie – jeden ze sprzątaczy; jeden z psów. Kilka godzin temu dałby się po cichu zgarnąć. Ale nie tym razem.

Nie było tam jednak nikogo prócz Moody’ego, który zimny i martwy leżał na półpiętrze. River go minął i poszedł na górę do gabinetu Lamba. Na biurku stało pudełko po butach, tak jak obiecał mu Lamb. River zrobił, co mu zlecono, po czym zabrał pudełko na dół.

Kiedy znowu mijał Jeda Moody’ego, przyklęknął przy zwłokach. Przypuszczał, że powinien się przejmować nieboszczykiem, ale przede wszystkim uderzyło go, jakie to wszystko dziwne – Moody, podobnie jak River, był pionkiem w grze rozgrywanej przez innych ludzi. Tylko że dla Moody’ego ta gra się skończyła. Granie w awanturę arabską to jedno. Schody okazały się bardziej śmiercionośne.

Moody miał jednak broń i nie musiał być tym, którego usunięto z planszy. Gdyby był gotów jej użyć, być może River pochyłałby się teraz nad martwym Minem Harperem albo Louisą Guy, a Moody ulotniłby się z funduszem awaryjnym Lamba w kieszeni.

Ale Moody nie chciał do nich strzelać, więc może mimo wszystko kulawe konie były wobec siebie lojalne. Zanim zaczęła się ta długa noc, nie byli przyjaciółmi, nawet

nie zachowywali się wobec siebie przyjaźnie. Ale Moody nie potrafił się zmusić, żeby do nich strzelać.

A w każdym razie, żeby strzelić do kolejnego. Choć postrzelenie Sid to był wypadek.

Z tego czy innego powodu River dał Moody'emu jeszcze chwilę spokoju. Potem rozebrał zwłoki.

– Legendy nigdy nie umierają – powiedziała Catherine. – W przeciwnym razie nie byłyby legendami. Kiedy jakiś agent długo działa w głębokiej konspiracji, dostaje wszystko. Paszport, metrykę urodzenia, cały pakiet. Karty kredytowe, karty biblioteczne, wszystkie te rzeczy, które nosi się w portfelu.

– Pewnie.

– Wiemy o tym.

– I to kosztuje.

Ho przewrócił oczami. Dziś rano gadał już z ludźmi więcej niż przez ostatnie dwa miesiące i zaczynało być tak jak zwykle.

– To już ustaliliśmy. Do czego zmierzasz?

– Chcieliby to zrobić tak, żeby było taniej.

– Dzięki, geniuszu. Czyli co? Kupiliby jakieś podrobione papiery na bazarze? Może Oxfam...?

– Zamknij się, Ho.

– Właśnie, zamknij się, Ho. Jak to taniej, Catherine?

– Użyliby papierów, które już istniały – odparła. – Czy Black kiedykolwiek pracował pod przykrywką?

Wszystko wreszcie zaczynało mieć ręce i nogi. Teraz mieli nawigację.

*Skręć w lewo za sto jardów.*

– To ta szykowna babka – stwierdził Larry.

– One wszystkie są szykowne.

– Wiesz, o którą mi chodzi.

– Wiesz co? Nie wiem. Naprawdę nie wiem. I naprawdę mam to gdzieś.

Była piąta, co oznaczało, że błędzili przez godzinę i z bagażnika nie dobiegały żadne hałasy. Curly się zastanawiał, czy Pakistaniec zasnął czy umarł – miał atak serca albo coś w tym stylu. To by było tak, jakby oszukał kata. Zastanawiał się, czy to by coś zmieniło, gdyby musieli to zrobić z martwym chłopakiem, i doszedł do wniosku, że nie za bardzo. Moe już nie żył, a odrąbanie głowy to była poważna sprawa. Świat i tak by się bacznie temu przyglądał.

Zaśmiał się. Nagłe, ostre szczeknięcie wystraszyło Larry'ego, który gwałtownie szarpnął kierownicą i prawie uderzył w jakiś samochód na poboczu... Takie drobne szczegóły miały znaczenie. Walniesz w jakiś samochód, wywołasz alarm, dalej na drodze zatrzyma cię policjant: proszę wysiąść z samochodu, a co to takiego na tylnym siedzeniu?

A co to za łomotanie z bagażnika?

Larry odzyskał jednak kontrolę nad wozem i nie walnęli w ten samochód, nie było

alarmu.

– Co cię tak bawi?

Curly już zapomniał. Ale zrozumienie pozostało – że wystarczy tylko chwila, żeby wszystko się posypało. Jeden błąd mógł wszystko zepsuć.

A więc trzeba zapomnieć o terminie. Znaleźć jakieś bezpieczne miejsce i po prostu to zrobić.

Zrobić to, nagrać i zniknąć.

Ho dogrzebał się do akt personalnych Blacka, które po jego odejściu z tajnych służb miały obniżony poziom tajności, ale pozostały aktywne, w przeciwieństwie do aktualnego stanu Blacka, jednak Ho nie powiedział tego na głos. Nie lubił Blacka, ale mimo wszystko wszyscy byli kulawymi końmi i dziś rano wyglądało na to, że to coś znaczy.

– To naprawdę takie proste zajrzeć do akt?

– Nasze też tak łatwo możesz sobie obejrzeć?

– Nie – odparł na pierwsze pytanie i – tak – na drugie.

Gdyby to było takie proste, każdy by mógł to zrobić. Ale dla samego Ho, owszem, to bułka z masłem.

– Myślałem, że regularnie zmieniają ustawienia zabezpieczeń.

– Bo zmieniają.

Ale ponieważ Ho zhakował zabezpieczenia, a nie samą bazę danych, i zostawił sobie furtkę, nie miało znaczenia, jak często zmieniali kody. To było tak, jakby co miesiąc wymieniali zamki, ale zostawiali otwarte drzwi.

– Alan Black – powiedział. – Proszę bardzo. Pracował głównie przy inwigilacji ambasady.

– Fajna fucha.

– Jakaś robota pod przykrywką?

– Dajcie mi chwilę!

– Po prostu wydawało nam się, że nieżyły z ciebie przechuj.

Ho zerknął znad laptopa i zobaczył spojrzenia trojga ludzi, których rozbawił ten sam dowcip.

– Tak, jasne – odrzekł. – A może tak odpierdolcie się ode mnie, co?

A jednak to było całkiem fajne uczucie. Jakby nazwali go Clintem.

– Skoro już tam jesteś – powiedziała Catherine – zobacz, jak trafił do Slough House.

– Puknął żonę ambasadora Wenezueli.

– Tak tam napisali?

– Trochę inaczej to ujęli.

Catherine pomyślała o Alanie Blacku, który przetrwał w Slough House pół roku. Nie pamiętała zbyt wyraźnie jego samego, jedynie wypalającą go powoli frustrację wynikającą z tego, że trafił w ślepy zaułek, ale to dotyczyło ich wszystkich, może z wyjątkiem Struana Loya. No i oczywiście jej samej. Black miał nadwagę, był średniego wzrostu, wyglądał przeciętnie – i tak naprawdę był przeciętniakiem. Nie potrafiła go sobie wyobrazić jako uwodziciela. Choć tak naprawdę nie odszedł –

Taverner zrekrutowała go do swojej supertajnej operacji. Więc najwyraźniej coś tam w sobie miał.

Ale to i tak nie skończyło się dla niego szczęśliwie.

– Dobra, mam. – Ho podniósł wzrok. – Miał papiery na nazwisko Dermot Radcliffe, pełna przykrywka.

– Jeśli pracował w inwigilacji, to po co mu była inna tożsamość?

– Inwigilacja może być osobista i odbywać się z bliska – wyjaśniła Catherine.

– Jasne, powiedz to ambasadorowi Wenezueli.

Catherine zignorowała uwagę.

– A kiedy pracuje się z ludźmi z ambasady, trzeba mieć papiery. Jesteś przecież na terenie innego państwa.

– Lepiej nie używać własnego nazwiska, kiedy idziesz na całość.

– Będziecie się z tego podśmiewać przez cały ranek?

– Przepraszam.

– Dobra, mamy karty kredytowe – oświadczył Ho. – I numer konta.

– Są wciąż aktywne?

– Tak jak mówiłam, legendy nie umierają – stwierdziła Catherine. – Nie są kasowane z systemu. Jeśli miał dość rozumu, zachował kartę kredytową i całą resztę, gdy odchodził z Regent's Park. Na wszelki wypadek.

– To znaczy na wypadek gdyby kiedyś musiał być kimś innym?

– Albo gdyby musiał sobie przypomnieć, jak to było być nim – odparła Catherine.

– No to jak, sprawdzimy zdolność kredytową pana Radcliffe'a? – spytał Ho, szybko stukając w klawiaturę.

„Hassan?”

Głos przebił się przez ciemność.

Hassan!

Wiedział, czyj to był głos. Po prostu nie mógł w to uwierzyć.

„Otwórz oczy, kochanie”.

Nie chciał.

Hassan się rozpląwał.

Wolne miejsce przy mikrofonie w jego głowie zniknęło, światło reflektorów poszarzało. Zamiast nich była ciemność, szum silnika i wibracje tej metalowej trumny, do której go wcisnęli.

„Hassanie – otwórz oczy!”

Nie był pewny, czy potrafi. To inni dokonywali wyborów. Hassan Ahmed nie miał już woli albo sił i z każdą chwilą stawał się coraz mniejszy. Wkrótce nic z niego nie zostanie. To będzie ulga.

Ale czy mu się to podobało, czy nie, coś ciągnęło go z powrotem w stronę światła.

„Hassanie! Otwórz oczy! No już!”

Nie otworzył. Nie mógł. Stawiał opór.

Ale głęboko w ciemności zastanawiał się: dlaczego mówi do mnie Joanna Lumley?

W Catherine Standish coś się zmieniło. Do takiego wniosku doszła Louisa Guy, obserwując, jak Ho śmiga w wirtualnej dżungli niczym Tarzan z second handu. Zapewne coś się zmieniło w nich wszystkich, ale to Catherine weszła w rolę przywódcy. Dotąd była duchem Slough House; przerzucała papiery, narzekała na bałagan, zawsze na miejscu, ale tak naprawdę nieobecna. Dochodząca do siebie alkoholiczka, bo jakoś wszyscy o tym wiedzieli. Coś w niej mówiło o utracie – o brakującym elemencie. Jak wypalona żarówka. Louisie nigdy dotąd nie przyszło jednak do głowy, jaka musiała być Catherine, gdy świeciła pełną mocą. Była asystentką Charlesa Partnera, prawda? Jezu, to oznaczało, że musiała być Miss Money Penny.

Louisa powinna się jednak skupić na robocie. Lamb uważał, że są do niczego. Jeśli miał rację, Hassan zginie. Jeśli się mylił, może i tak zginie. Szanse były marne.

Ale obserwując Ho, Louisa zdała sobie sprawę, że on wcale nie jest do niczego – może i dupek z niego, ale świetnie wie, do czego służy klawiatura. I gdy wykradał informacje z sieci, a potem zerkał na nich troje przez okulary w grube czarnej oprawce, Louisie Guy przyszło na myśl, że nie chciałaby, żeby ten haker grzebał w prywatnych zakamarkach jej życia i kariery.

Choć oczywiście pewnie już to zrobił.

Budynek Regent's Park był oświetlony: niebieskie reflektory na poziomie ulicy rzucały wielkie owale na jego fasadę, wskazując na to, że w środku dzieją się ważne rzeczy. Kiedyś niewiele osób wiedziało, czym był. Dziś można było ściągnąć formularze podania o pracę ze strony internetowej ozdobionej jego zdjęciem.

Jackson Lamb zaparkował ukradzionego SUV-a na parkingu pod budynkiem i czekał. Nie trwało to długo. W ciągu piętnastu sekund wóz był otoczony.

– Mógłby pan wysiąść z samochodu, sir?

Nie było widać żadnej broni. Nie zachodziła taka potrzeba.

– Sir?

Lamb opuścił szybę. Patrzył na młodego mężczyznę, który ewidentnie spędzał dużo czasu na siłowni: silne mięśnie pod ciemnografitowym garniturem. Z jego lewego ucha do kłapy marynarki wił się biały kabel.

– Proszę wysiąść z samochodu, sir – powtórzył.

– Przeprowadź twojego szefa, synku – poprosił ładnie Lamb i zamknął okno.

– Wypożyczył samochód – stwierdził Ho.

– Chyba sobie żartujesz?

– Bez jaj. Triple-D, wypożyczalnia samochodów. Adres w Leeds.

– Działał w terenie? I wypożyczył samochód?

– Nie. To ma sens – powiedziała Catherine.



Czekali na to, co ma do powiedzenia. To świadczyło, że relacje między nimi się zmieniają.

– Jasne, działał w terenie. Ale nie zapominajmy, że to miała być operacja bez przyszłości. Chłopak miał zostać uratowany. Black nie musiał się martwić o zacieranie śladów.

– Więc najprościej było wypożyczyć samochód.

– Właśnie.

– Ktoś ma telefon? – spytał Ho.

– Lamb kazał nam je wyrzucić.

– Przy kiblach jest automat – poinformowała Catherine. – Jaki numer?

Zapisała go sobie, gdy odczytał go z ekranu. Chwilę później ruszyła w stronę automatu.

– Ledwie świta. Myślisz, że wypożyczalnia będzie otwarta?

– „Triple-D zapewnia dwudziestoczterogodzinny serwis” – zacytował Ho.

– Pewnie dzieciak z furgonetką i kluczem francuskim – stwierdził Min.

– Stawiam dychę, że to zawali.

– Wchodzę w to – powiedziała Louisa.

– Ja też – dodał Min.

Ho wyglądał na zaniepokojonego.

– Co się stało od wczoraj? Wszyscy dziwnie się zachowują.

– Slough House ożył – rzekł Min. – Wróci z czymś, co nam się przyda.

– Ta pani wymiata – stwierdziła Louisa.

James Webb, którego bezowocną życiową misją było zniechęcenie wszystkich do nazywania go Spider, siedział w swoim biurze. Po tym, jak Jackson Lamb wysadził jego i Nicka Duffy’ego na chodnik, po tym, jak Webb otrząsnął się już z szoku, bo kobieta w średnim wieku wycelowała w niego broń – „Wpakuję ci kulę w stopę. A to zetrze ten krzywy uśmiech z twojej twarzy” – wrócili do Regent’s Park. Duffy prawie się do niego nie odzywał. Hej, miał ochotę powiedzieć mu Webb, to nie była moja wina. A teraz znowu siedział w swojej kanciapie, bo Duffy’emu nie był już na nic potrzebny.

Ale przecież Webb nie był jednym z psów Duffy’ego. Trafił do MI5 przez nabór absolwentów; przetrwał dwuletnią rotację; chodził na seminaria, zdawał egzaminy. Spędzał noce na różnych wrzosowiskach na zadupiu, przy paskudnej pogodzie; przeszedł testy w terenie, zaliczył kluczowe punkty na szybkiej ścieżce kariery: aresztowanie domniemanego zamachowca pod Tate Modern i robota kontrolera, kiedy River Cartwright spektakularnie oblał swój test. Po drodze Taverner wzięła go pod swoje skrzydła; i dlatego to on, nie Cartwright, wciąż był w Regent’s Park.

I w przeciwieństwie do Rivera nigdy nie chciał pracować w terenie. Tacy faceci byli pionkami na planszy; Webb miał ambicję, by zostać graczem. Jego obecna rola, przeprowadzanie rozmów kwalifikacyjnych z absolwentami – dział kadr, jak pokpiwał sobie River – była krokiem na drodze do stania się powiernikiem tajemnic, i choć było to mniej prestiżowe niż robota na ulicy, to nie wiązało się też z niewygodami i możliwością przekonania się o tym, jak dobrze te zajęcia z opierania

się technikom przesłuchań sprawdzają się w terenie. I teoretycznie wiązało się też z mniejszą szansą na to, by jakaś kobieta w średnim wieku celowała do niego z broni. Garniturki i ci od roboty w terenie byli w wiecznej opozycji wobec siebie, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat zasady gry uległy zmianie i wywiad stał się biznesem jak każdy inny. Zawsze będą pola bitew, na których będzie lała się krew, ale na poziomie dyirekcji dzisiejsze wojny wywiadów przebiegały w taki sposób, w jaki Coca-Cola walczyła z Pepsi. I tocząc taką wojnę, Webb czułby się dobrze.

Ale w tej chwili wyglądało na to, że River jest w centrum wydarzeń, bo dziś w nocy to kulawe konie spędzały wszystkim sen z powiek. Sid Baker była na stole operacyjnym, ktoś inny zginął i krążyły plotki, że Jackson Lamb zaaranżował porwanie tego dzieciaka z internetu. Bez względu na to, jaka była prawda, ogólna atmosfera wskazywała, że zaraz gównem wpadnie w wentylator. Ale to wszystko działo się tylko w MI5. Nic nie trafiło do ministerstwa. Spider wiedziałby, gdyby było inaczej: kiedy minister był w budynku, fale rozchodziły się też na zewnątrz.

Wszystko jedno, garniturek czy nie, Webb czuł się odstawiony na boczny tor. Taverner nie lubiła, kiedy nieproszony zjawiał się w centrali – to była ta gorsza strona tego, że wzięła go pod swoje skrzydła; nie chciała, by ktokolwiek się o tym dowiedział – ale nie mógł dalej tu siedzieć otoczony aktami i teczkami, bo zaczynał czuć, że to on, a nie River, oblał jakiś ważny test.

W każdym razie wydawało mu się, że już tak nie może. Zastanowił się jednak przez chwilę, czy bardzo by mu zaszkodziło, gdyby wkurzył Lady Di, i doszedł do wniosku, że jeszcze trochę wytrzyma.

– I jak ci poszło?

– Dermot Radcliffe trzy tygodnie temu wypożyczył volvo – poinformowała ich Catherine Standish. – Twierdził, że na wakacje z rodziną. Chciał mieć dużo miejsca w bagażniku.

Kiedy do Louisy to dotarło, poczuła, że jej serce zaczyna szybciej bić.

– I tak po prostu ci to powiedzieli?

– A czemu nie? Jestem jego siostrą i desperacko próbuję się z nim skontaktować. Nasza matka trafiła do szpitala. – Catherine usiadła i sięgnęła po filiżankę z kawą. Napój był już całkiem zimny. Odstawiła ją i wyrecytowała z pamięci numer rejestracyjny samochodu. – Oczywiście nie wiemy, czy w tej chwili go używają.

– Opuszczali dom przy Roupell Street w pośpiechu – stwierdził Min Harper. – Czyli albo wzięli ten samochód, albo ukradli inny. A to znaczy, że ten wóz wciąż stoi w pobliżu, a wkrótce ktoś zgłosi zaginięcie nowego.

– W Londynie nigdzie się nie ruszysz, tak żeby nie było cię widać na kamerach monitoringu.

– Byłoby świetnie, gdybyśmy byli w Trocadero – powiedział Ho. Chodziło mu o samo serce miejskich systemów monitoringu, z wieloma rzędami monitorów ukazujących każdy centymetr stolicy. – Ale ja mam tylko laptop.

– Mimo wszystko – odparła Catherine – wciąż może się udać.

Spojrzały na nią trzy pary oczu.

– Każdy samochód z wypożyczalni Triple-D jest wyposażony w nawigację

satelitarną.

Joanna Lumley była wybawczynią Gurkhów, których kilka kolejnych brytyjskich rządów paskudnie traktowało. Joanna Lumley była niesamowitą kobietą. Gurkhom odmówiono prawa do mieszkania w kraju, któremu służyli w czasie wojny, i Joanna Lumley ubolewała nad tym stanem rzeczy. A więc Joanna Lumley w jednym z tych jakże angielskich zwrotów akcji postawiła rząd na głowie i nagięła go do własnej woli. Zmuszony poddać się jej urokowi rząd nadał Ghurkom prawo pobytu na terenie Wielkiej Brytanii. W zamian Ghurkowie czcili Joannę Lumley, jakby była bogiem.

A więc jak Hassan miał zignorować jej polecenia?

„Hassan. Otwórz oczy, kochanie. Grzeczny chłopczyk”.

Nie chciał otwierać oczu.

„Więcej nie będę cię prosić”.

Otworzył oczy.

Oczywiście nic nie było widać. Ale przynajmniej owo nic naprawdę tu było, w przeciwieństwie do bezkresnej nieistniejącej pustki, przez którą jeszcze przed chwilą spadał.

Coś się zmieniło. Wciąż był wciśnięty do bagażnika, z workiem na głowie, zakneblowany i związany. Wciąż rzucało nim na wszystkie strony jak kulka w gwizdku. I wciąż słyszał Joannę Lumley, choć nie mówiła już do niego; wyglądało na to, że wskazywała drogę komuś innemu. „Jedź prosto przez dwieście jardów”. Do Hassana dotarło, że słyszy system nawigacji satelitarnej z wprogramowanym głosem Joanny Lumley. Droższy od standardowej wersji, ale istnieli ludzie, którzy uważali, że był wart swojej ceny.

Joanna Lumley wcale nie mówiła do Hassana.

Ale przynajmniej na chwilę Hassan wrócił do krainy żywych.

– To ma być dowcip? – spytał Nick Duffy.

– Zwracam ci samochód. Martwiłem się, że potrąca ci to z pensji.

– Mierzyłeś do mnie z broni.

– Nie, zrobiła to moja podwładna. I nie mierzyła do ciebie, tylko do twojego chłoptasia. – Jackson Lamb, który wciąż siedział na miejscu kierowcy, oparł zwałisty łokieć o brzeg otwartego okna i szepnął kpiąco: – Wciąż mam tę broń w kieszeni. Zastrzegam się na wypadek, gdybyś pomyślał, że mi stanął.

– Wsiadaj z wozu.

– Chyba nie każesz mnie zastrzelić, co?

– Nie, nie tutaj.

– To dobrze. Chciałem tylko zamienić parę słów z Lady Di.

Lamb rozsiadł się wygodnie i wcisnął przycisk zamykający okno. Duffy otworzył drzwi i wyciągnął do niego rękę. Dysząc z wysiłku – teatrzyk, na który Duffy nie zamierzał się nabrać – Lamb wygramolił się na chodnik i wyjął broń z kieszeni płaszcza.

Na krótką chwilę wszyscy wokół zamarli.

Lamb włożył broń w wyciągniętą rękę Duffy’ego, po czym głośno pierdnął.

– Kanapka z kielbaską – oświadczył. – Będę tak miał przez cały ranek.

Za jego plecami wysportowany młody mężczyzna w ciemnografitowym garniturze wśliznął się za kierownicę SUV-a. Wyprowadził samochód zgrabnie jak baletmistrz z powrotem na ulicę i pojechał nim za róg, gdzie zjechał po rampie i zniknął w podziemnym królestwie Regent's Park.

– No dobra – stwierdził Lamb, kiedy mieli to już za sobą. – Byłbym gotów zabić za kawę. To jak, zajrzemy do środka?

– Skręć tutaj.

– Tutaj?

– A co, gadam do siebie?

Larry zjechał z głównej drogi. Joanna Lumley zaprotestowała.

– Zmiana planów, kochanie – powiedział Curly i wyłączył GPS.

– Na jakie? – spytał Larry.

Znajdowali się teraz na jednej z pobocznych dróg na obrzeżach Epping Forest. Gdyby pojechali prosto na północ, byłoby wiele kilometrów stąd, ale fakt, że zabłądzili, miał swoje dobre strony. Curly nigdy tu nie był, ale słyszał tę nazwę. Każdy ją słyszał. Tu były płytkie groby; w programach dokumentalnych o przestępczości regularnie wspominało o tych terenach. To tutaj gangsterzy zakopywali swoich wrogów. A czasem nawet nie zadawali sobie aż tyle trudu: po prostu podpalali samochód, w którym ich zastrzelili, i szybko zmywali się z powrotem do betonowej dżungli. Epping Forest widziało pewnie więcej morderstw niż pikników. I było tu mnóstwo miejsca na kolejne. W razie potrzeby nawet dwa.

Droga była po obu stronach gęsto porośnięta drzewami i niebo nikło za kopułą gałęzi. Zbliżający się z naprzeciwka samochód przełączył światła z długich na mijania. Gdy przemknął obok, ten odgłos dotarł do uszu Curly'ego, jakby znajdowali się pod wodą.

– Wreszcie przejdziemy do rzeczy – powiedział.

Coś w nim nabrzmiewało i wyrwał mu się krótki chichot.

Larry zerknął na niego z ukosa, ale nie odważył się nic powiedzieć.

Wkurzenie Lady Di nie byłoby dobrym posunięciem, co w znacznej mierze ograniczało Spiderowi Webbowi wybór. Ale nie musiał iść do centrali. Mógł zamiast tego przespacerować się na dół. Pod tym względem Regent's Park przypominał każdy inny biurowiec: kolesie z recepcji pierwsi wiedzieli, co jest grane. A więc jak każdy garniturek, który lubi mieć przewagę nad innymi, Spider zawsze zwracał uwagę, by być dla nich miłym.

Wyszedł z biura, ruszył korytarzem, minął drzwi przeciwpożarowe i znalazł się na klatce schodowej. Tu na chwilę przystanął, bo jego uwagę przykuł ruch za oknem. Dwa piętra niżej czarny SUV zjeżdżał właśnie po betonowej rampie na parkiet pod budynkiem. SUV jak każdy inny, ale mimo wszystko: Webb zastanawiał się, czy to może być ten sam samochód, który wcześniej ukradł im Lamb. Jeśli tak, to Lamba albo znów zgarnęli, albo sam się zgłosił. Spider miał nadzieję, że to pierwsze i że nikt się z nim nie patyczkował. I z tą kobietą też. „Wpakuję ci kulę w stopę”. Nieprędko

o tym zapomni. Głównie z powodu absolutnej szczerości w głosie tej kobiety.

Samochód zniknął. Z tego miejsca nie sposób było dojrzeć, kto prowadził, a to pozostawiało możliwość, że był to sam Lamb. Bez zgody Regent's Park nie powinien przejść przez zabezpieczenia, ale Webb słyszał legendy o Jacksonie Lambie. Może tylko inni potrzebowali zgody. A w tym wypadku niepilnowany Lamb mógł znajdować się w budynku.

Było to mało prawdopodobne, ale dawało Webbowi pretekst, którego potrzebował, żeby pójść i wypytać, co się dzieje.

Gdy Catherine Standish obserwowała, jak Roderick Ho wyczynia dalsze cyfrowe akrobacje, znów poczuła dreszcz podekscytowania. To nie miało nic wspólnego z Ho. Catherine niespecjalnie podziwiała zdolności techniczne; przydawało się, gdy inni je mieli, bo wtedy sama nie musiała ich posiadać, ale nie uważała, by taka cecha była istotniejsza niż posiadanie jakiejś konkretnej marki samochodu.

Nie, to podekscytowanie pojawiło się wcześniej tego ranka, kiedy wyjęła z torebki broń Lamba i wycelowała ją w tego młodego mężczyznę, który siedział obok niej. „Jeśli będę musiała, wpakuję ci kulę w stopę. A to zetrze ten krzywy uśmiech z twojej twarzy, prawda?” Czasem straszne chwile przytrafiały się innym.

Min Harper coś powiedział, a może to była Louisa Guy.

– Przepraszam – rzekł Catherine. – Odpłynęłam na chwilę.

– Myślisz, że zdążymy go namierzyć? – spytał Harper.

To też było coś nowego. Zwracali się do niej, jakby znała odpowiedzi. Jakby warto było posłuchać jej opinii. Palce jej prawej ręki ugięły się pod blatem stołu, jak gdyby znów trzymała broń.

– Myślę, że 013" >działamy, jakbyśmy ratowali Hassanowi życie, a nie, jakbyśmy mieli znaleźć jego zwłoki – odparła.

On i Louisa wymienili spojrzenia, z których nie potrafiła nic wyczytać.

Na zewnątrz robiło się coraz jaśniej i ruch stawał się coraz większy. Do kawiarni napływali klienci; ludzie odbierali kawę na wynos i kanapki albo jedli kolację, wracając do domu z nocnej zmiany. Catherine wcześniej wstawała, kiepsko sypiała; dobrze znała to wszystko. Ale dziś rano patrzyła na świat nowymi oczami. Rozprostowała palce. Walka z nałogiem nauczyła ją, jaka moc się w nim kryje, i wiedziała, że trzyma się niezdrowego wspomnienia. W tej chwili jednak to było dobre uczucie i mogła tylko mieć nadzieję, że jej podekscytowanie jest niewidoczne dla innych.

– Teraz czekamy – oświadczył Ho.

– Wiesz, jaki mają system nawigacji satelitarnej? – spytała Louisa.

– Pewnie. Używają RoadWise. To tylko kwestia włamania się do systemu.

– I w czym ma niby pomóc czekanie?

– Właśnie skontaktowałem się z kimś, kto już to zrobił. Tak będzie szybciej, niż gdybym miał to robić sam. – Ho znów pochylił się nad laptopem, ale milczenie kolegów przebiło się przez jego skupienie na sobie.

– Co?

– Mógłbyś to rozwinąć?

Westchnął, ale przesadnie.

– Hakerzy mają swoją wspólnotę, wiecie?

– Jak kolekcjonerzy znaczków.

– Albo obserwatorzy pociągów.

– Albo poeci.

– Trochę tak – zgodził się Ho, zaskakując tym wszystkich. – Tylko że bardziej cool. Hakerzy włamują się do systemów tylko z jednego powodu: bo one istnieją. Niektórzy rozwiązują krzyżówki albo sudoku. – Jego mina wyraźnie dawała do zrozumienia, co o tym myśli. – A my hakujemy. I dzielimy się.

– Czyli ktoś już zhakował ten... jak go nazwałeś? RoadWise?

– RoadWise. Tak, jasne, jeśli istnieje, to został już zhakowany. A ktoś, kto był na tyle cool, żeby go zhakować, na pewno będzie należał do tej społeczności. – Wskazał głową na laptop, jakby krył się w nim cały świat. – I za chwilę się do mnie odezwie. – Dostrzegł chyba powątpiewanie na ich twarzach. – My nigdy nie śpimy – dodał.

– Jest coś, czego nie rozumiem – powiedziała Catherine.

Ho czekał.

– Chcesz powiedzieć, że masz przyjaciół?

– Najlepszy ich rodzaj – odparł Ho. – Takich, których nigdy się nie spotyka.

Jego laptop wydał dźwięk.

– Mam podwózkę.

Catherine patrzyła, jak pochylił się nad klawiaturą. „Działamy, jakbyśmy ratowali Hassanowi życie, a nie, jakbyśmy mieli znaleźć jego zwłoki”. To było jedyne podejście, jakie mogli przyjąć.

Pasowałyby jednak, żeby trochę się z tym pospieszyli.

Czas nie był po stronie Hassana.

Samochód się zatrzymał i silnik zgasł.

Przez chwilę ta cisza i bezruch były gorsze niż hałas i ruch. Serce Hassana waliło, jakby chciało się wyrwać z jego klatki piersiowej. Pomyślał, że nie jest gotowy – nie był gotowy wcielić w życie planu ucieczki, ponieważ go nie miał. I nie był gotowy, bo... no cóż, nie był gotowy. Nie był gotowy na to, by wyciągnęli go z bagażnika i powiedzieli mu, że zaraz umrze. Nie był gotowy.

Zacisnął oczy i spróbował przywołać Joannę Lumley, ale się nie pojawiła. Był sam.

A potem nie był sam, bo bagażnik się otworzył, brutalnie go wyciągnięto i rzucono na zimną ziemię jak wór ziemniaków.

Instynktownie pierwszym, co zrobił, było ściągnięcie z głowy worka; ciężko to zrobić ze związanymi rękami, ale jakoś mu się udało. Z odsłoniętą głową Hassan miał wrażenie, że widzi świat po raz pierwszy. Był w lesie. Samochód zatrzymał się na bitej drodze i wszędzie wokół były drzewa; porośnięte mchem pniaki czaiły się jak gobliny w zagłębieniach terenu. Pod stopami miał ubite błoto, pokryte uschniętymi liśćmi i gałązkami. Powietrze pachniało wczesnym porankiem. Zaczynało świtać; słabe światło przebijało się przez delikatną siatkę nagich gałęzi w górze.

Obaj porywacze stali nad nim, więc pierwszym, co zobaczył, były ich buty. To się

wydawało właściwe. Przypuszczał, że butów używali znacznie częściej niż mózgow. I ta myśl trochę wyzwoliła Hassana. Był zmarznięty, posiniaczony, brudny i śmierdział, ale nie był już w piwnicy. Nie był psem tych skurwieli, gotowym tarzać się u ich stóp. Pod każdym istotnym względem był od nich obu lepszy.

Potem poczuł jeden z tych butów na ramieniu. Wcisnął go w ziemię. Należał do tego, którego Hassan nazywał Curlym. Wysoko nad butem zobaczył jego chłodny, okrutny uśmiech.

– Przystanek końcowy – powiedział Curly.

– Cieszę się, że zmądrzałeś – oznajmiła Taverner.

Lamb ją zignorował. Przyglądał się jej zespołowi. Jego członkowie siedzieli przy swoich stanowiskach pochłonięci bieżącymi zadaniami i bacznie obserwowali każdy jego ruch. Padało na nich łagodne światło i słychać było lekki szum zakłóceń, który wydawał się działać jak bariera dźwiękowa. Nawet bez szklanej ściany Lamb wątpił, czy ktokolwiek by usłyszał, o czym rozmawiają.

Z Nickiem Duffym sprawa wyglądała oczywiście inaczej. Nick Duffy był z nimi w gabinecie Taverner. Słyszał każde słowo.

O ile ktoś kiedykolwiek wątpił, czy Diana Taverner potrafi czytać w myślach, o tyle teraz rozwiała te wątpliwości.

– W porządku, Nick – powiedziała. – Możesz nas zostawić.

Nie spodobało mu się to, ale wyszedł.

– Troje to już tłum – rzucił Lamb do jego oddalających się pleców.

– Chcesz wiedzieć, na czym stoisz? – spytała Taverner.

– Och, nie mogę się doczekać, kochanie.

– Znaleziono zwłoki Blacka. Był jednym z twoich ludzi. To oczywiste, że był zamieszany w porwanie Hassana Ahmeda. Widziano cię, jak spotykałeś się z nim na początku lata, na długo po tym, jak odszedł ze Slough House. Dwie osoby z twojego zespołu podpisały odpowiednie oświadczenia. Mam mówić dalej?

– Tylko to dodaje mi sił – zapewnił ją Lamb. – Te oświadczenia. Loy i White, zgadza się?

– Są wiarygodnymi świadkami i powiązali cię z Blackiem. To i morderczy wypad Moody’ego wczoraj w nocy stawiają Slough House w bardzo złym świetle. Jeśli chcesz, możemy to zmienić. Ale będziesz musiał współpracować.

– Morderczy? – spytał Lamb.

Po twarzy Taverner przemknął jakiś cień.

– Przykro mi – rzekła. – Jeszcze nie słyszałeś.

Uśmiechnął się, ale to nie był prawdziwy uśmiech. Napiął tylko mięśnie twarzy.

– Cóż, no to kolejna niezłałatwiona sprawa z głowy, co?

– Tak patrzysz na swój zespół? „Niezłałatwiona sprawa”?

– Tylko że Baker nigdy nie była w moim zespole, prawda? Przydzieliłaś ją do Slough House nie dlatego, że przespała się z niewłaściwym szefem. Podstawiłaś ją, żeby obserwowała Rivera Cartwrighta.

– Masz jakieś dowody?

– Jej własne słowa.

– Cóż, w najbliższym czasie ich nie powtórzy. – Taverner wpatrywała się w niego spokojnie. – Złożę ci ofertę, Jackson – powiedziała. – Coś, co wszystkich zadowoli. Podpisz zeznania Loya i White i na tym się skończy.

– Nie znam się na subtelnościach. Będziesz musiała mi wyjaśnić, dlaczego miałbym to zrobić.

– Jesteś starej daty, Jackson, i to nie w dobrym sensie. Wypadłeś z obiegu. Muszę dać komisji kozła ofiarnego i wyniki będą się liczyć bardziej niż dowody. Tak to się teraz robi. Jeśli będzie się dało załatwić to po cichu, komisja się pod tym podpisze. Może nawet nazwą to przejściem w stan spoczynku. Nie stracisz swojej emerytury.

Jackson Lamb sięgnął pod płaszcz i z satysfakcją odnotował, że się wzdrygnęła. Ale zaraz jej twarz skrzywiła się z niesmakiem, gdy podrapał się pod pachą.

– Chyba coś mnie ugryzło nad kanałem.

Nie odpowiedziała.

Cofnął rękę i obwąchał sobie palce. Potem schował ją do kieszeni.

– Czyli twój plan polega na tym, że ja mam beknąć za twoje grzechy? A jak nie, to co?

– Zrobi się nieprzyjemnie.

– Już jest nieprzyjemnie.

– Próbuję znaleźć rozwiązanie, które wszystkim nam jak najmniej zaszkodzi – powiedziała. – Czy ci się to podoba, czy nie, Slough House znalazł się na linii ognia. Liczą się pozory. Dobiorą się do was. Do was wszystkich.

– A ty znowu o Standish?

– Myślałeś, że zapomniałam?

– Znasz mnie. Zawsze staram się być optymistą.

– Charles Partner wplątał ją we wszystko. Zostawił szczegółowe zeznania o swojej zdradzie, w których wymienił ją jako współniczkę. Miała szczęście, że jej nie aresztowano.

– To pijaczka – stwierdził Lamb.

– To nie usprawiedliwia zdrady.

– Nie miało jej usprawiedliwiać. To dlatego Partner myślał, że się z tego wywinie. Dlatego dalej ją trzymał po tym, jak się załamała. Pijaczka, która wytrzeźwiała, to wciąż pijaczka. Była wobec niego lojalna, więc ją wykorzystał, próbował przedstawiać to tak, że pomagała mu sprzedawać tajemnice. Ale nikt, kto widział... jak to nazwałaś... te jego szczegółowe zeznania ani przez chwilę w to nie uwierzył. To była czysta fikcja, jego ostatnia rozpaczliwa próba, żeby zrzucić winę na innych.

– I została szybko zatuszowana.

– Oczywiście, że tak, do diabła. MI5 miało dość innych problemów. Przestępstwa Partnera zostały natychmiast zatuszowane i połowa tych kretynów z komisji wciąż o nich nie wie. Jeśli teraz zaczniesz to wywlekać, faktycznie zrobi się nieprzyjemnie. Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

– Tuszowanie zdrady samo w sobie jest przestępstwem. Tym razem przeprowadzą pełną kontrolę. – Z nich dwojga to Diana Taverner była w lepszej formie i o tym wiedziała. Ale z drugiej strony Jackson Lamb mógłby wyjść z sauny, ubrać się



w nowe ciuchy, a i tak prezentowałyby się gorzej niż ona w jej najgorszy dzień. – Gdyby nie to, że znalazłeś jej cichą przystań, dawno zapisałaby się na śmierć w swojej kawalerce. Ale nie uratujesz jej po raz drugi. Proponuję, że zrobię to za ciebie. – Przeniosła wzrok z Lamba na centralę za jego plecami. Jej zespół niespecjalnie starał się udawać, że nie śledzi wydarzeń w gabinecie szefowej. Lekko zniżyła głos. Takiego tonu by użyła, gdyby, uchowaj Boże, próbowała go uwieść. Ten ton rzadko zawodził. – Przyznaj się do tego. To była dobra próba, żeby coś uzyskać, i nie twoja wina, że nie wypaliła. Opinia publiczna nigdy się o tym nie dowie. A w tym budynku będziesz bohaterem.

Umilkła. Potrafiła czytać ludzi. Lamb to był trudny orzech do zgryzienia – nauczył się, jak nie dawać po sobie poznać, co myśli – ale Diana Taverner i tak widziała, że rozważa jej słowa. Jego oczy sugerowały, że pochłaniały go kalkulacje; porównywał konsekwencje taktyki spalonej ziemi ze skutkami kompromisu, jaki mu proponowała. I widząc to, poczuła się tak, jak musieli się czuć wielorybnicy, gdy patrzyli, jak trafia pierwszy harpun: pojedyncza rana, bynajmniej nie śmiertelna, ale to wystarczy, żeby zagwarantować skutek. Teraz pozostawało tylko czekanie. I dalej w to wierzyła aż do chwili, gdy Jackson Lamb się schylił, chwycił metalowy kosz na śmieci stojący przy jej biurku i wykonując zaskakująco wdzięczny niemal piruet, cisnął nim w szklaną ścianę za swoimi plecami.

– Mam go.

– Co masz?

– A czego szukamy? – Na chwilę powrócił znajomy Roderick Ho. Pełna pogardy mina dla analogowego umysłu. – Samochód. Volvo Dermota Radcliffe’a.

Min Harper, szurając krzesłem, przeszedł na drugą stronę stolika, żeby zobaczyć ekran laptopa. Przez chwilę sądził, że Ho mu go zasłoni; że otoczy go ramieniem jak klasowy kujon chowający swoją pracę domową. Ale Ho się powstrzymał, a nawet lekko obrócił laptop, żeby Min lepiej widział.

Jeśli Min spodziewał się zobaczyć mrugające czerwone światełko na stylizowanym planie miasta – a po części tego właśnie oczekiwał – to się zawiódł. Spoglądał zamiast tego na lekko zamazane zdjęcie czubków drzew.

– Jest pod nimi?

– Tak – odpowiedział Ho. A potem dodał: – Prawdopodobnie.

– Mógłbyś to rozwinąć? – poprosiła Catherine Standish.

– W tym miejscu system nawigacji satelitarnej zarejestrowany na samochód wynajęty trzy tygodnie temu z wypożyczalni Triple-D przez Dermota Radcliffe’a znajdował się mniej więcej pięćdziesiąt sekund temu. – Spojrzał na siedzącą naprzeciwko Catherine. – Jest lekkie opóźnienie.

– Dziękuję.

– Oczywiście mogli pozbyć się GPS-a. Mogli wyrzucić go przez okno wiele godzin temu.

– Zakładając, że to Black był mózgiem, pewnie na to nie wpadli – stwierdziła Louisa.

– Nie lekceważmy ich – powiedziała Catherine. – Black nie żyje.

W przeciwieństwie do nich. Gdzie jest teraz ten GPS, Roddy?

Ho lekko się zarumienił i pogłaskał palcem touchpad. Na ekranie pojawiła się mapa OS. Jeszcze dwa stuknięcia palcem i uzyskał dwukrotne powiększenie.

– W Epping Forrest – powiedział.

Curly cofnął but. Hassan wyciągnął sobie chustkę z ust i odrzucił ją najdalej, jak mógł. Leżał na ziemi i wciągał w płuca zimne, wilgotne powietrze. Aż do teraz nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu tego brakowało. Do jakiego stopnia w tym bagażniku dusił się we własnym smrodzie.

Usiadł i całe jego ciało zaprotestowało. Za Curlym stał Larry, wyższy i bardziej barczysty od Curly'ego, ale jakby mniej ważny. Trzymał coś, co wyglądało jak wiązka patyków. Hassan zamrugał. Świat się zamazał, a potem znów wyostrzył. Trójnóg. A pudełko zapalek w jego drugiej ręce – to pewnie była kamera.

Curly trzymał coś zupełnie innego.

Hassan podciągnął kolana, pochylił się do przodu i wcisnął ręce w zimną ziemię. Była pociesząco solidna, a równocześnie zimna i obca. Co właściwie wiedział o lesie? Wiedział wszystko o miejskich ulicach i supermarketach. Chwiejnie podźwignął się na nogi. Trzęsę się, pomyślał. Trzęsę się. Jestem między tymi wielkimi drzewami i jestem mały, obolały i się trzęsę. Ale żyję.

Spojrzał na Curly'ego i powiedział:

– To koniec, tak? – Jego głos zabrzmiał dziwnie, jakby podkładał go jakiś aktor. Ktoś, kto nigdy nie słyszał, jak mówi Hassan, i wymyślił, jak to by mogło brzmieć, korzystając z wyblakłego zdjęcia.

– Tak – odparł Curly. – To koniec.

Siekiera, którą trzymał, wydała się Hassanowi czymś średniowiecznym. I w istocie była czymś średniowiecznym – lekko wygięty kawałek drewna z obuchem z matowoszarego metalu i zabójczym ostrzem. Używano takich przez stulecia, bo rzadko zawodziły. Czasem stylisko się wycierało i trzeba je było wymienić. Czasem ostrze się tępiło.

Joanna Lumley już dawno się ulotniła. Wewnętrzny komik Hassana nie wrócił na scenę. Ale gdy znów się odezwał, wrócił jego własny głos i po raz pierwszy od dawna powiedział dokładnie to, co czuł.

– Ty pieprzony tchórze.

Czy Curly się wzdrygnął? Nie spodziewał się tego?

– Jestem żołnierzem – powiedział Curly.

– Ty? Żołnierzem? To nazywasz polem bitwy? Związałeś mi ręce, zaciągnąłeś do lasu i teraz co? Zetniesz mi głowę? Niezły, kurwa, żołnierz!

– To święta wojna – powiedział Curly. – I to twoi ludzie ją zaczęli.

– Moi ludzie? Moi rodzice sprzedają tkaniny. – Zerwał się wiatr i poruszył drzewami, które wydały odgłos jak zachwycona publiczność. Hassan czuł krew pulsującą w żyłach, strach narastający w piersi. W każdej chwili mógł go rozsadzić. Albo ponieść. Spojrzał na Larry'ego. – A ty co? Będziesz tak stał i pozwolisz mu robić, co chce? Kolejny pieprzony żołnierz, tak?

– Zamknij się.

– No jasne. Albo co? Utniesz mi głowę? Pierdolcie się obaj. Chcecie to nagrywać? Nagrajcie mnie teraz, jak to mówię. Obaj jesteście tchórzami, a pierdolona Brytyjska Partia Narodowa to banda jebanych cieniasów.

– Nie jesteśmy z BNP – powiedział Curly.

Hassan odrzucił do tyłu głowę i się roześmiał.

– Co cię tak bawi?

– Myślisz, że mnie to obchodzi? Myślisz, że mnie obchodzi, kim jesteście? BNP czy EDL, czy jacyś inni głupi naziści? Myślisz, że mnie to obchodzi? Jesteście nikim. Zerem. Spędzicie resztę życia w więzieniu... i wiecie co? Wciąż będziecie nikim.

– No tak – powiedział Larry. – To koniec.

Oczywiście do gabinetu natychmiast wparował Duffy. Nie odszedł daleko. Został kosz na śmieci, który nieszkodliwie toczył się po dywanie, i szklaną ścianę, na której nie było widać ani śladu uszkodzeń. Ale Taverner była blada jak płótno i sądząc po minie Jacksona Lamba, uzyskała zamierzony efekt.

– Prowadzący nigdy nie wystawia własnego agenta – powiedział Lamb. – To najgorszy rodzaj zdrady. To właśnie robił Partner, używając Standish jako tarczy. A teraz ty to robisz. Może jestem starej daty, ale nie będę patrzeć na to drugi raz.

– Partner? – spytał Nick Duffy.

– Dość tego – oznajmiła Taverner. – I dodała: – Zrobił sobie ze Slough House swoją prywatną armię. Prowadził operację, na litość boską. Zabierz go na dół.

Kiedy mówiła, Lamb znalazł w kieszeni płaszcz jakiegoś zapomnianego papierosa i teraz próbował go wyprostować. Jego mina sugerowała, że w tej chwili to jego najważniejszy problem.

Duffy nie miał broni. Nie było takiej potrzeby.

Powiedział:

– Dobra, Lamb. Odłóż to i upuść płaszcz na podłogę.

– Dobra.

Duffy nie mógł się powstrzymać, zerknął na Taverner. Ona też na niego spojrzała.

– Ale najpierw powinniście o czymś wiedzieć.

Oboje spojrzeli na Lamba.

– Pamiętasz tego SUV-a, którego twój człowiek wprowadził na parking pod budynkiem? Na tylnym siedzeniu jest bomba. Całkiem spora.

Minęła sekunda.

– Żartujesz sobie, tak? – spytał Duffy.

– Możliwe, że nie. – Lamb wzruszył ramionami, a potem spojrzał na Taverner. – Mówiłem ci. Nie znam się na subtelnościach.

Faceci z recepcji nie przepadali za Spiderem Webbem tak bardzo, jak myślał, ale każdy lubi być poinformowany. Ktoś postawił pod budynkiem samochód należący do służb i reakcja była taka, jak można się było spodziewać. Drony i paru chłopaków Duffy'ego, którzy niedawno wrócili z różnych zadań. Otoczyli samochód i po chwili pojawił się sam Duffy.

– Kto to był?

- Jackson Lamb – powiedział starszy facet z recepcji.
- Jesteś pewien?
- Pracuję tu od dwudziestu lat. Jacksona Lamba trudno przeoczyć.

Słowo „synku” zabrzmiało tym mocniej, że w ogóle nie padło.

Lamb wszedł pilnowany przez Duffy’ego; w tej chwili był na górze w centrali. Na monitorach w recepcji nie było widać, co się tam dzieje, ale do tej pory się nie pojawił.

Spider zagryzł wargę. Cokolwiek kombinował Lamb, nie dotyczyło to tej wariatki z bronią ani Rivera. Wymruczał podziękowanie do facetów w recepcji i nie zauważył spojrzenia, jakie wymienili, gdy ruszył z powrotem na górę. Na półpiętrze przystanął przy oknie. Na ulicy spokój. Zamrugał. Coś się jednak działo. Pod budynek z piskiem opon podjechała czarna furgonetka i natychmiast, gdy się zatrzymała, przez tylne drzwi wysypały się trzy, cztery, pięć ubranych na czarno postaci, a potem zniknęły, zmierzając w kierunku podziemnego parkingu.

Wszyscy nazywali ich zadaniowcami. Spider Webb zawsze uważał, że to absurdalna nazwa; słowo, które nie powinno się przyjąć w żargonie. To byli antyterrorysty zajmujący się głównie odbijaniem zakładników i likwidacją; widział ich w akcji, ale tylko podczas ćwiczeń. A to mu nie wyglądało na ćwiczenia.

Zaczął się zastanawiać, czy budynek został zaatakowany. Ale gdyby tak było, włączyłyby się alarmy i działałyby się znacznie więcej.

Za oknem znów spokój. Tylko drobne zakłócenia. Wiatr poruszał drzewami po drugiej stronie ulicy; przejechała taksówka; nic.

Webb potrząsnął głową; zbyt dramatyczny gest, jeśli wziąć pod uwagę, że nie było nikogo, kto by to widział. Historia jego życia. Zabawne było to, że kiedy ostatnio był z kimś blisko, tym kimś był River Cartwright. Pewnych kursów, na których razem byli, nie dało się przetrwać, nie tworząc sojuszy – czegoś, co ludzie nazywają przyjaźnią. Często zakładał, że ścieżki ich karier potoczą się równolegle, ale coś to udaremniło. A mianowicie to, że do Spidera zaczęło powoli docierać, że w większości rzeczy River jest od niego lepszy; do tego stopnia, że nawet nie musiał się jakoś bardzo starać. I to była właśnie jedna z tych chwil, kiedy upadają sojusze.

Ruszył dalej po schodach. Piętro wyżej otworzył drzwi prowadzące na korytarz i jeden z zadaniowców przysunął mu broń do skroni.

– To koniec – powiedział Larry. – Mam dość. Jak chcesz to zrobić, zrób to sam.

– Odchodzisz?

– Wszystko się spierdoliło. Nie widzisz? Mieliśmy tylko go nastraszyć. Nagrać to. Pokazać im, że mówimy poważnie.

– Straszanie nic im nie pokaże.

– Ja mam dość. Człowieku, zabiłeś tajniaka. Odchodzę. Wracam do Leeds, może po prostu...

Może schowa się pod łóżkiem. Może wróci do domu i będzie liczył na to, że to wszystko zniknie. Jeśli wystarczająco mocno zaciśnie oczy, może wyda mu się, że nic z tego się nie wydarzyło.

– Nie ma mowy – odparł Curly. – Nie ma mowy. Nigdzie się, kurwa, nie

wybierasz.

Larry upuścił trójnog i rzucił mu cyfrową kamerkę. Upadła przy nogach Curly'ego.

– Wciąż chcesz to nagrać? Nagraj sobie sam.

– A jak mam niby...

– Nie obchodzi mnie to.

Larry się odwrócił i ruszył drogą.

– Wracaj tu!

Nie odpowiedział.

– Larry! Wracaj, kurwa!

– No jasne, żołnierze – powiedział Hassan. – Jesteście żołnierzami.

– Zamknij się!

– Żołnierzy rozstrzeliwują za dezercję, prawda?

– Zamknij ten swój pierdolony ryj!

– Albo co? – spytał Hassan. Coś w nim pękło. Całymi dniami ze strachu robił pod siebie, moczył się, pocił i płakał. Ale teraz wyszedł po drugiej stronie. Najgorsze rzeczy związane z umieraniem miał już za sobą: świadomość, że to się stanie; absolutny wstyd, jaki wiąże się ze świadomością, że zrobiłby wszystko, żeby tego uniknąć. A teraz patrzył, jak plan jego morderców się sypie. – No, pokaż to w internecie, ty jebany naziolu. A, właśnie! Nie potrafisz, co? Bo masz tylko dwie ręce.

Zaślepiiony wściekłością Curly uderzył go siekierą.

Siedzieli we czworo przy stole, ich talerze już uprzątnięto. Od czasu, gdy Catherine wróciła od telefonu, a pozostałych troje w sposób, w jaki czynią to wszystkie grupki ludzi na świecie, potwierdziło to, co już wszyscy wiedzieli – że zadzwoniła na policję, wyjaśniła, kim jest, co wie i w jaki sposób się tego dowiedziała – nikt się nie odezwał. Ale Ho zamknął laptop, a Louisa siedziała pochylona do przodu, podpierając rękoma podbródek i zgrzytając zębami. Min wydał usta w sposób sugerujący, że głęboko się zamyślił. A każdy niespodziewany odgłos przykuwał uwagę Catherine, jakby brzęk filiżanki czy upuszczonej łyżeczki groził katastrofą.

Na Old Street samochody przejeżdżały falami w rytmie narzuconym przez światła na pobliskim skrzyżowaniu.

Min odchrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

– Wiecie co? – spytał Ho.

Nie wiedzieli.

– Mam w kieszeni komórkę. – Wyjął ją i położył na stole. – Przez cały ten czas Catherine biegała do telefonu. A ja miałem w kieszeni komórkę.

Catherine spojrzała na Louise. Louisa spojrzała na Mina. Min spojrzał na Catherine. Wszyscy popatrzyli na Ho.

– Jak na specja od komunikacji to trochę cienko, nie? – powiedział Min.

A potem znów czekali.

Ubrany na czarno mężczyzna – zadaniowiec – pojawił się w centrali. Pod pachą miał kartonowe pudełko, które zaniósł do gabinetu Diany Taverner i postawił na jej

biurku. Głośno tykało.

– Zakładam, że to nie bomba – powiedziała Taverner.

Pokręcił głową, zdjął wieko i postawił na biurku Taverner zegar z gabinetu Lamba. Przyjazny drewniany zegar, który zupełnie nie pasował do tego pełnego elektronicznych gadżetów otoczenia.

– Wcale tak nie myślałam – rzekła Taverner.

Duffy i Lamb wciąż tam stali. W centrali ta sama ekipa wykonywała te same zadania, którymi się zajmowała, zanim oświadczenie Lamba sprowadziło na miejsce zadaniowców; a przynajmniej wciąż udawali, że je wykonują, tyle tylko że mniej przekonująco. Całą ich uwagę pochłaniało to, co działo się za szybą.

– Technicznie rzecz biorąc – powiedział Lamb – ale mogę się mylić, bo dostaję mnóstwo gównianych e-maili z działu kadr, technicznie rzecz biorąc, powinnaś była ewakuować budynek.

– I to właśnie chciałeś uzyskać.

– Gdyby to naprawdę była bomba, byłabyś po uszy w gównie.

– Gdyby ta rzecz tykała na tylnym siedzeniu, kiedy mój człowiek odprowadzał wóz na parking, na pewno by to usłyszał – odezwał się Duffy.

Zadaniowiec już zmierzał w stronę drzwi, mówiąc coś do mikrofonu.

Taverner wskazała na Lamba.

– Wcale nie chciałeś, żebyśmy opuścili budynek. Sprowadziłeś tu kogoś.

– Wciąż myślisz, że wszystko da się zatuszować? – spytał Lamb. – A może wszystko się posypało?

Spider Webb wpadł tyłem do swojego pokoju, potknął się o dywan i runął jak długi na podłogę. River ściągnął z głowy kominiarkę Moody'ego i wsunął broń za pasek spodni. Miał ochotę przywalić Spiderowi, ale tylko przez chwilę. Wyjście z bagażnika SUV-a, położenie na tylnym siedzeniu atrapy bomby i wejście na górę po schodach nie trwały długo, ale nie miał za dużo czasu. Jeśli Lamb wykonał swoją część, wkrótce w budynku zaroi się od prawdziwych zadaniowców.

– Raport z mojego testu – powiedział.

– Cartwright? – zdziwił się Spider.

– Zachowałeś sobie kopię. Gdzie ona jest?

– O to w tym wszystkim chodzi?

– Gdzie ona jest?

– Kompletnie cię pojebało?

River schylił się i złapał Spidera za kołnierz koszuli.

– To nie jest zabawa. – Miał broń i był w Regent's Park ubrany mniej więcej jak zadaniowiec. Gdyby zjawili się prawdziwi zadaniowcy, natychmiast by go sprzątnęli. Te myśli niosły w sobie pewien ciężar. Znów wyciągnął broń Moody'ego. – Może ujmę to tak: raport z mojego testu. Gdzie on jest?

– Nie strzelisz do mnie – rzekł Spider.

River rąbnął go w szczękę rękojęścią broni i Spider jęknął, gdy odłamał mu się kawałeczek zęba.

– Jesteś pewien?

– Ty skurwielu...

– Spider, będę cię bić, dopóki nie dasz mi tego, czego chcę. Rozumiesz?

– Nie mam raportu z twojego ćwiczenia. Po cholere miałbym go trzymać.

– Londyńskie zasady, pamiętasz? – powiedział River. – Sam to powiedziałeś parę dni temu. Grasz według londyńskich zasad. Kryjesz własną dupę.

Spider wypluł trochę krwi na jasny dywan.

– Jak myślisz, ile masz czasu? Zanim twój mózg dołączy do mojego zęba na podłodze?

River znów go uderzył.

– Unieruchomiłeś King's Cross i obaj o tym wiemy. Niebieska koszula, biały T-shirt albo na odwrót. To Taverner kazała ci tak zrobić, bo chciała się mnie pozbyć. Nie wiedziałeś czemu, co? I nie obchodziło cię to, bo dostałeś ładne biuro, spotkania z ministrem i swoją świetlaną karierę. Ale miałeś dość rozumu, żeby zachować sobie kopię raportu, bo grasz według londyńskich zasad i osoba, której wyświadczyłeś przysługę, jest ostatnią, której możesz ufać. A więc gdzie on jest?

– Pieprz się – rzucił Spider.

– Więcej cię nie zapytam.

– Zastrzel mnie, a minutę później będziesz trupem. A wtedy nigdy go nie znajdziesz, co?

– Czyli ustaliliśmy, że go masz.

Na korytarzu rozległy się kroki i Spider otworzył zakrwawione usta, żeby krzyknąć. Ale River znów walnął go rękojęścią bronii i uciszył.

Hassan musiał stracić przytomność. Kto by jej nie stracił uderzony siekierą. Ale Curly walnął go tępym końcem; szybkie brutalne pchnięcie rękojęścią, puknięcie w czoło. To było jakieś pół minuty temu. Na tyle długo, by parę rzeczy w otoczeniu się zmieniło: Larry odszedł kawałek drogą, a Curly za nim pobiegł i go dogonił; wrzeszczał na niego – słowa niosły się w zimnym, pachnącym mchem powietrzu. „Ty głupi, tchórzliwy skurwielu...”

Siekiera zwisała bezwładnie w ręce Curly'ego. Kłócili się – oczywiście nie byli już głupim, głupszym i najgłupszym. Byli Laurelem i Hardym. Flipem i Flapem, którzy znów wpakowali się w niezły bajzel.

A oto, co było zabawne. Czasem uderzenie w głowę sprawia, że ci się w niej rozjaśnia.

To nie była prawda, ale przez chwilę Hassan udawał, że była, i zastanawiał się, co by wtedy zrobił. Doszedł do wniosku, że by wstał. I tak zrobił.

Już. Dużo lepiej.

Chwiejąc się na nogach, uświadomił sobie, że otacza go ogromna przestrzeń. Przestrzeń porośnięta drzewami, ale bez ścian i z niebem nad głową. Teraz je zobaczył. Coraz wyraźniej widział gałęzie. Gdzieś tam musiało być słońce. Hassan nie pamiętał, kiedy ostatnio widział słońce.

Zaczął iść.

Ziemia była gąbkowata i jakaś obca. Częściowo wynikało to z jego stanu, ale przede wszystkim z tego, że był w lesie. Jednak mimo to Hassan był w stanie iść,

powłócząc nogami; mógł prawie biec. Cała sztuka polegała na tym, żeby patrzeć w dół. Uważać, gdzie stawia nogi. Patrzenie w ziemię dało mu złudzenie, że porusza się znacznie szybciej niż w rzeczywistości.

Gdyby się obejrzał za siebie, mógłby zobaczyć, że Curly i Larry przerywają kłótnię; że Curly goni go z siekierą w ręce. A więc zamiast tego skupił się na patrzeniu pod nogi, na tym, jaką pokonuje odległość. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Czy zagłębia się dalej w las, czy może za chwilę wydostanie się na otwartą przestrzeń... Ale to się wydawało mało prawdopodobne. Wszystko wokół było zbyt gęste i zarośnięte, żeby to się miało szybko zmienić. Ale na te rzeczy Hassan nie miał wpływu. Wreszcie jednak kontrolował własne ruchy. I kiedy o tym myślał, potknął się; wyciągnął przed siebie ręce, zanim uderzył o ziemię, i nie był w stanie powstrzymać krzyku, gdy nadgarstki przeszył ostry ból. Jednak to było mniej ważne niż hałas, jakiego narobił.

Teraz się rozejrzał. Pokonał znacznie mniejszą odległość, niż sądził; może połowę tego, na co liczył. Curly i Larry byli tak blisko, że Hassan mógłby rzucić w nich krzesłem. Obaj się na niego gapili.

Hassan byłby gotów przysiąc, że słyszy, jak na twarzy Curly'ego pojawia się szeroki uśmiech.

Odgłos kroków na korytarzu szybko się oddalił i River wypuścił wstrzymywane powietrze oraz kołnierz, za który trzymał Spidera. Spider osunął się na dywan niezdolny do dalszej rozmowy.

River czekał, ale nie usłyszał dalszych hałasów. Przyszło mu do głowy, że gdyby to byli zadaniowcy, w ogóle nic by nie usłyszał: umieli więcej niż tylko groźnie się ubierać. I wraz z tą myślą przyszedł mu do głowy pewien pomysł; stracił na niego dwie minuty, a potem znów zajął się szukaniem.

Akta i teczki zajmowały siedem półek ciągnących się wzdłuż ściany po przeciwnej stronie. Na każdej mogło ich być co najmniej sto, a River miał najwyżej trzy minuty, by znaleźć tę, której szukał, zakładając, że była na regale, a nie na przykład zamknięta na klucz w szufladzie biurka. Sprawdził więc najpierw w szufladach. Większość zawierała jakieś śmieci i tylko jedna była zamknięta. River wyjął kluczyk z kieszeni Spidera, ale w szufladzie znalazł tylko rozliczenia bankowe i paszport na jego nazwisko. River upuścił klucz i podszedł do półek. Pamiętał z zeszłego roku, że oddał raport z testu w czarnej plastikowej teczce, ale mniej więcej jedna trzecia grzbietów była właśnie w tym kolorze; pozostałe były pomarańczowe, żółte albo zielone. Wyciągnął na chybił trafił jedną z czarnych teczek i w prawym górnym rogu znalazł oznaczenie „Ennis”. Założył, że to nazwisko, więc sprawdził pod C; trafił na jakiegoś innego Cartwrighta; potem poszukał pod R, ale nie wytropił żadnych Riverów. Następnie spróbował T jak Test i znalazł kilka teczek, wszystkie czarne, ale żadna nie była jego.

Cofnął się o krok i przyjrzał się ścianie jako całości.

– Spider, Spider, Spider – mruknął pod nosem. – Londyńskie zasady...

Webb sam powiedział, że gra według tych zasad. A więc jeśli wrobił Rivera na King's Cross na polecenie Taverner, to zachowałby dowody, żeby samemu się



zabezpieczyć, gdyby zrobiło się gorąco. Całkiem mądre posunięcie, jeśli wziąć pod uwagę, że Taverner miała wprawę w rzucaniu swoich dawnych sojuszników psom na pożarcie.

– Spider, Spider, Spider...

„Londyńskie zasady” – powiedział Webb, ale mówił też coś jeszcze. Gdy River szukał tego w pamięci, drzwi się otworzyły i do pokoju wśliznął się jeden z prawdziwych zadaniowców, z bronią wymierzoną prosto w głowę Rivera.

To nie był szeroki uśmiech. Gdy Curly usłyszał okrzyk bólu, odwrócił się i wykrzywił twarz, widząc, że Hassan ucieka. Warknął na Larry’ego – coś pomiędzy groźbą a prorocstwem – i rzucił się w pościg.

Wiedział, że Larry będzie tak stał, jakby zapuścił korzenie. Larry cieszył się, że został z tyłu; liczył na to, że uda mu się zniknąć.

„Nie zrobię tego. Wynoszę się stąd”.

Nie miał jaj. Z takimi żołnierzami jak on przegrywało się wojny. Gdzie tam, nawet się w nich nie walczyło. To była tylko czcza gadanina i bujda.

Ale Curly był na wojnie. Jeśli Larry nie wiedział, po której stoi stronie, to jego sprawa. Siekiery na szczęście nie trzeba było przeładowywać.

Pakistańiec znów zerwał się do ucieczki. Biegł jak dziewczyna, z łokciami przy bokach. Za to Curly naprawdę pędził. Tyle dni napięcia, narastającego podekscytowania i wreszcie nadeszła ta chwila.

„Utniemy ci głowę”.

Nazwijmy to wypowiedzeniem wojny.

Potem jego prawa stopa trafiła na coś śliskiego i mokrego i przez chwilę mógł stracić równowagę i przewrócić się na plecy, a siekiera wypadłaby mu z ręki, ale to się nie stało, nie upadł; jego ciało było doskonale dostrojone do naturalnego środowiska, a lewa stopa znalazła solidne oparcie; skręcił biodro na tyle, by utrzymać równowagę, i teraz biegł jeszcze szybciej, a odległość między nim a jego ofiarą malała w oczach.

Żałował, że Pakistańiec nie obejrzał się za siebie, żeby to zobaczyć. Miałby jakieś pojęcie, z kim ma do czynienia.

„Utniemy ci głowę i to pokażemy”.

Ale wciąż uciekał, biegł jak dziewczyna. Przerażony jak mysz. Wystraszonego jak szczur.

Curly zwolnił. To było za dobre. Za dobre, żeby się spieszyć. Pewnie to był ten cały dreszczyk polowania.

„Utniemy ci głowę i pokażemy to w internecie”.

Nick Duffy zasłonił ręką telefon i powiedział:

– Mają go.

– Gdzie?

– W pokoju Webba.

Taverner zerknęła na Lamba, a ten wzruszył ramionami.

– Gdyby moi ludzie do czegoś się nadawali, byłiby twoimi ludźmi.

– Dlaczego Webb? – spytała. A potem stwierdziła: – Mniejsza z tym. – Zwróciła się do Duffy’ego. – Ktokolwiek to jest, powiedz im, żeby zabrali go na dół. I każ Webbowi tutaj przyjść.

– Już jest w drodze.

– Dziękuję. Daj mi chwilę, dobrze?

Duffy wyszedł, rozmawiając przez telefon.

– Cokolwiek się właśnie wydarzyło, to była twoja ostatnia szansa – stwierdziła Taverner. – Mam nadzieję, że miałeś przyjemny poranek, Jackson, bo nie wyjdiesz stąd przez tydzień. I zanim wrócisz na górę, podpiszesz przyznanie się do winy i wszystko, co ci każę.

Lamb, który siedział naprzeciw niej, w zamyśleniu pokiwał głową. Wyglądał, jakby zaraz miał powiedzieć coś ważnego, ale rzucił tylko:

– Wiesz, temu twojemu Spiderowi nie bardzo do twarzy w kolorowych krawatach. – Za jej plecami otworzyły się drzwi. – Oczywiście mój River nie potrafiłby zawiązać krawata, nawet gdyby zależało od tego jego życie.

Minuty spędzone na przebieranie się w koszulę nieprzytomnego Spidera jednak nie poszły na marne. River Cartwright w marynarce i krawacie Webba zamknął za sobą drzwi. Pod pachą trzymał czarną teczkę.

Hassan nie był w stanie obejrzeć się za siebie. Ledwie dawał radę patrzeć przed siebie.

Musiał uważać na korzenie, kamienie i nieoczekiwane dziury; na wszystko, o co mógłby się potknąć, bo to by oznaczało koniec. Jeśli chodzi to, co zagrażało jego głowie – postanowił zaufać szczęściu.

– Dobrze się bawisz, Pakistańcu? – Curly był coraz bliżej. – Zaraz koniec zabawy.

Hassan próbował przyspieszyć, ale nie był w stanie. Wszystkie siły poświęcił na jeden cel: wciąż się poruszać. Nie zatrzymywać się. Dobiec na skraj lasu, a potem dalej; zawsze być o krok przed tym naziolem, który chciał go zabić. Siekierą.

Myśl o siekierze powinna go zmotywować, ale nie był w stanie nic więcej z siebie wyrzesać.

Prawie wywrócił się na dziurze w ziemi, ale mu się udało. Niemal zahaczył stopą o korzeń, ale minął go o jakiś centymetr. Udało mu się dwa razy w ciągu dwóch sekund i na tym skończyło się jego szczęście. Gałąź uderzyła go w twarz i aż się zatoczył. Wpadł na drzewo, choć nie z takim impetem, by coś sobie zrobić. To jednak wystarczyło, żeby go zatrzymać. Nie ugięły się pod nim kolana ani się nie przewrócił, ale zabrakło mu sił. Nie był w stanie znów uruchomić silnika. Jeszcze przez chwilę przytrzymał się drzewa, a potem odwrócił się do swojego mordercy.

Curly stał po drugiej stronie zagłębienia i lekko dyszał. Na jego twarzy malował się psi uśmiech, który nie sięgał oczu. Lekko kołysał siekierą, jakby chciał pokazać, że całkowicie nad nią panuje.

Larry’ego nigdzie nie było widać. Ani cyfrowej kamerki, ani trójnoga; nic. Hassan czuł jednak, że i tak zbliża się koniec. Potrzeba Curly’ego, żeby nagrać ten horror, była niczym w porównaniu z ochotą, by dokonać tej zbrodni. Teraz potrzebował już tylko siekiery. Siekiery i udziału Hassana.

Ale nawet ta świadomość nie dodała Hassanowi sił. Dał z siebie wszystko. Nie był

w stanie zrobić już ani jednego kroku.

Curly pokręcił głową.

– Problem z wami polega na tym – wyjaśnił – że nie potraficie czuć się w lesie jak w domu.

A problem z wami... pomyślał Hassan, problem z wami... Ale z takimi jak Curly tyle było nie tak, że nie potrafił tego ująć w słowa. Problem z takimi jak Curly polegał na tym, że jeden z nich był Curlym i że byli inni tacy jak on. Co tu jeszcze można powiedzieć?

Curly zrobił krok do przodu, wszedł w zagłębienie i wyszedł po drugiej stronie. Przerzucił siekierę z ręki do ręki; wykonał gwałtowny ruch do przodu, drocząc się ze swoją ofiarą; a potem pięknie zahaczył kostką o korzeń, który Hassanowi udało się ominąć, i runął jak długi na twarz. Hassan zafascynowany patrzył, jak Curly nabiera w usta liści i błota; ten spektakl tak bardzo go pochłoniął, że dopiero po sekundzie do niego dotarło, że siekiera leży u jego stóp.

Nawet ze związanymi rękami podniósł ją w niecałą sekundę.

„Błąd? Wolę to nazywać fiaskiem”.

Tak kilka dni temu powiedział Spider Webb. I wspomniał też o londyńskich zasadach. „Wolę to nazywać fiaskiem”. Dzięki za wskazówkę, Spider.

Teczka, którą River trzymał pod pachą, była schludnie opisana słowem „Fiasko”.

– To dlatego kazałaś Spiderowi mnie spalić – powiedział do Taverner.

– Spalić?

– To jeszcze dzieciak – stwierdził Lamb. – Trochę go poniosło z tym żargonem.

– Wołam tu z powrotem Duffy’ego.

– Proszę bardzo – odparł Lamb. Znów majstrował przy pogniecionym papierosie i wydawał się nim co najmniej równie mocno zainteresowany, co zawartością teczki Rivera.

Ale mimo wszystko – River odczekał, aż Lamb dał mu ledwie zauważalny znak głową, i dopiero wtedy ciągnął:

– Ubiegłej zimy podszedłem do testu w terenie.

– Pamiętam – odparła Taverner. – Unieruchomiłeś King’s Cross.

– Nie. Ty to zrobiłaś. Kazałaś Webbowi wprowadzić mnie w błąd i wysłać w pościg za podstawionym facetem. Za udawanym udawaczem. Nie za prawdziwym.

– A czemu miałabym to zrobić?

– Bo wcześniejsza część testu polegała na stworzeniu dossier jakiejś osoby publicznej – odparł River. – Przydzielono mi ministra z gabinetu cieni, ale on poprzedniej nocy miał udar i trafił do szpitala. A więc zamiast tego śledziłem ciebie. Pomyślałem, że to będzie wykazanie się inicjatywą, ale wiesz co? – Otworzył teczkę i wyjął z niej dwa zdjęcia, które zrobił wiele miesięcy temu, na dzień przed zadaniem na King’s Cross. – Widać na nich ciebie w kawiarni. Miło to wspominasz?

Położył zdjęcia na biurku, by wszyscy je widzieli. Zostały zrobione przed Starbucksem i ukazywały Dianę Taverner siedzącą przy oknie i pijącą z kubka. Obok niej siedział ostrzyżony na jeża mężczyzna w ciemnym płaszczu. Na pierwszym zdjęciu trzymał przy nosie chusteczkę i mógł być kimkolwiek. Na drugim zdążył już

opuścić rękę i było widać, że to Alan Black.

– To musiało być na krótko przed tym, nim zaczął działać pod przykrywką. To było wasze ostatnie spotkanie?

Taverner nie odpowiedziała. Lamb i River widzieli w jej oczach, że znów zaczęła kalkulować, jakby nawet teraz w przeszklonym gabinecie wciąż mogła znaleźć rozwiązanie, na które żaden z nich jeszcze nie wpadł.

– Kiedy się dowiedziałaś, co zrobił Cartwright, podjęłaś odpowiednie kroki – powiedział Lamb. – Ta sprawa z King’s Cross powinna była zakończyć jego karierę, powinien wylądować na ulicy. Ale ponieważ miał w rodzinie legendę, udało ci się tylko odesłać go do Slough House, a gdy zaczęła się operacja i do gry wkroczył Głos Albionu, przydzieliłaś też do nas Sid Baker, żeby się upewnić, że Cartwright nie wpadnie na żaden mądry pomysł. A biorąc pod uwagę jego dziadka, istniała możliwość, że tak będzie, prawda?

Pochłonięta własnymi myślami rzekła:

– Kazałam Webbowi pozbyć się tej teczki.

– On też szybko się uczy.

– Czego chcesz, Lamb?

– Nie bez powodu prowadzącymi zawsze są ludzie, którzy pracowali w terenie – rzekł. – To dlatego, że wiedzą, co robią. Nawet gdybyś się bardzo starała, nie udałoby ci się tego bardziej spierdolić.

– Powiedziałaś swoje. Czego chcesz?

– Wiesz, czego ja chcę? – spytał River.

Spojrzała na niego i River zrozumiał fundamentalną różnicę między garniturkami a tymi od roboty w terenie. Kiedy patrzył na ciebie ten drugi, to jeśli był dobry, nawet tego nie zauważałeś. Ale kiedy robił to garniturek, czuło się, jak jego spojrzenie wypala ci dziurę w brzuchu.

Mimo wszystko był jednak wnukiem S.D.

– Jeśli Hassan Ahmed umrze – mówił – nie będzie takiej kryjówki, w której będziesz mogła się schować. Wszystko wyjdzie na jaw. Nie tylko tu, w Regent’s Park, ale w prawdziwym świecie. Jeśli przez twój kretyński plan ten dzieciak zginie, publicznie cię ukrzyżują.

Taverner wydała z siebie dźwięk, coś między parsknięciem a śmiechem.

– Uświadomisz go czy ja mam to zrobić? – spytała Lamba.

– Już go wydymałaś – stwierdził Lamb. – Wydaje mi się, że trochę za późno na teorię. Ale powiem ci, co ja zrobię.

Czekała.

– Jeśli Hassan Ahmed zginie, będę pilnował pleców Cartwrighta, kiedy będzie robił to, co uzna za konieczne.

I River dowiedział się czegoś jeszcze o garniturkach i tych od roboty w terenie: że kiedy ten drugi chce zostać zauważony, to po prostu go zauważasz.

– A co, jeśli chłopaka uda się uratować? – spytała po dłuższej chwili Taverner.

Lamb posłał jej rekini uśmiech.

– Wtedy może to zostanie między nami. Na pewno są jakieś przysługi, które

możemy sobie nawzajem wyświadczyć.

Jego uśmiech jasno dawał do zrozumienia, kto komu będzie je wyświadczał.

– Nawet nie wiemy, gdzie on jest – rzekła.

– Cóż, mój zespół nad tym pracuje, więc stawiam sześćdziesiąt do czterdziestu, że już po nim. – Spojrzał na Rivera. – A ty jak uważasz?

– Nie wydaje mi się, by to był temat do żartów – odparł River.

Ale pomyślał: pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Dawał Hassanowi najwyżej pięćdziesiąt procent szans na to, że dożyje południa.

Curly jęczał. To był przeciągły, zawodzący dźwięk, a jego stopa była wykręcona pod dziwnym kątem. Może jest złamana, pomyślał Hassan. Jedna złamana kostka przeciwko dwóm związanym rękom – to wyrównywało szanse. Albo raczej by je wyrównywało, gdyby nie to, że teraz to Hassan miał siekiere.

W sumie dawało mu to przewagę.

Hassan ciężko postawił stopę na ręce leżącego Curly'ego i oparł ostrze siekiery na jego głowie.

– Daj mi jakiś powód, żeby cię nie zabijać – powiedział.

Odpowiedź Curly'ego zdławiły ziemia w ustach i jęk bólu.

– Daj mi jakiś powód – powtórzył Hassan, unosząc siekiere o centymetr.

Curly obrócił na bok głowę i splunął ziemią i liśćmi.

– Nok oli.

– Mam to niby zrozumieć.

Splunął jeszcze raz.

– Noga mnie boli.

Hassan znów opuścił siekiere i ostrze dotknęło skroni Curly'ego. Przycisnęła ją i zobaczył, jak Curly zamyka oczy, a jego twarz tężeje. Zastanawiał się, czy strach Curly'ego był taki sam jak ten, który on sam wcześniej czuł. Ponieważ wyglądało na to, że ten strach go teraz opuścił, podejrzewał, że pewnie tak. I jak można by to wykorzystać w jakimś dowcipie – zastanawiał się. Jak by na to reagowała publiczność? Że ten sam strach, który Curly wywoływał u Hassana, teraz wgryzał się w jego własne wnętrze. Ale może nie wszyscy by to zrozumieli. Może trzeba było to przeżyć.

Znów docisnęła siekiere i po twarzy Curly'ego spłynęła strużka krwi.

– Mówiłeś coś?

Curly wydał jakiś dźwięk.

– Mówiłeś?

Znów to samo.

Hassan mocno chwycił związanymi rękoma trzonek siekiery i przykucnął. Ostrze silniej napierało teraz na bok głowy Curly'ego.

– Masz coś do powiedzenia? – spytał, akcentując każdą sylabę.

– Z... zrób to – powiedział Curly.

A może powiedział „nie rób tego”.

Hassan czekał, jego oczy znajdowały się jakieś dwadzieścia centymetrów od oczu Curly'ego. Żałował, że nie może zajrzeć do jego głowy; że nie ma sposobu, by

wpuścić trochę światła do jego mózgu bez jakiejś brutalnej operacji chirurgicznej. Ale nie było takiego sposobu. Nie miał co do tego wątpliwości. Pochylił się jeszcze trochę.

– Wiesz co? – rzekł Hassan. – Przez ciebie wstydę się, że jestem Brytyjczykiem. A potem wstał i odszedł.

Wrócił do samochodu, a potem szedł bitą drogą prowadzącą do szosy w oddali. Nie miał pojęcia, jak to daleko. Nie obchodziło go to. Był głodny, spragniony i zmęczony i to wszystko było złe; był zziębnięty i brudny, i to też było złe. Ale nie miał już związanych rąk, bo przeciął sznurek ostrzem siekiery, a strach nie zżerał go od środka, ponieważ zostawił go w lesie. Żył, i nikt go nie uratował. Żył, bo był tym, kim był.

I może też dlatego, że dotarł do niego głos Joanny Lumley.

Nigdzie nie widział Larry’ego, ale to nie miało znaczenia. Nie widział też królików ani nie słyszał żadnych ptaków i dawno temu stracił poczucie czasu. Jednak zanim Hassan dotarł do szosy, rozkwitły przed nim światła: migające owale, które zabarwiły drzewa na niebiesko, a potem na niebiesko i na niebiesko. A po chwili w jego stronę biegli ludzie, rozgorączkowani i głośni.

– Hassan Ahmed?

Ktoś delikatnie odebrał mu siekiere i podtrzymały go czyjeś ręce.

– Jesteś Hassan Ahmed?

To było dość proste pytanie i po chwili znalazł odpowiedź.

– Tak – odparł. – To ja. – A potem dodał: – Żyję.

Gdy zabierali go z powrotem do świata, dowiedział się, że bardzo się z tego cieszą.

Roboty drogowe na Aldersgate Street dobiegły końca. Ruch uliczny znów przebiega płynnie. Gdyby nasza poznana wcześniej dociekliwa pasażerka autobusu miała dziś, przejeżdżając, spojrzeć na Slough House, mogłaby się przekonać, że trwa to zbyt krótko, by można się było uważnie przyjrzeć, choć w londyńskich autobusach zawsze pozostaje możliwość niewytłumaczalnych opóźnień. Jeśli jednak je wykluczymy, to w tych nowych okolicznościach mogłaby jedynie zerknąć do środka; jedno krótkie spojrzenie na młodego Chińczyka w okularach z grubą oprawką, który siedzi przy monitorze, i obraz Slough House już należałby do przeszłości. Cokolwiek się tam kiedyś działo, odbywa się zapewne nadal. Cokolwiek nawiedza ten budynek z łuszczącą się farbą, bez wątpienia wciąż tam jest.

Jednak od czasu pierwszego przejazdu naszej podglądaczki pojawiły się nowe możliwości. Może na przykład wysiąść na przystanku autobusowym naprzeciwko, usiąść na ławeczce i przez cały dzień wpatrywać się we frontowe drzwi Slough House, które nigdy się nie otwierają. Na pewno nie zjawi się wtedy Jed Moody, by skłonić ją do odejścia. Jednak takie przyglądanie się zapewniłoby jej niewiele rozrywki, a poza tym czekają na nią inne widoki: wystarczy "014">przejść przez ulicę, wejść po schodach na stację Barbican, przejść kładką dla pieszych i przespacerować się kawałek ceglanym pasażem, a wówczas – przy sprzyjającej pogodzie – znajdzie suchy, niski murek, na którym będzie mogła przysiąść, być może zapalić papierosa i bez pośpiechu delektować się tym, co uda jej się zobaczyć przez okno.

Z pewnością jest tego o wiele więcej, niż mogłaby dojrzeć z autobusu. Na przykład teraz staje się jasnym, że chybotliwy ziggurat po jednej stronie biurka młodego Chińczyka składa się z kartonów po pizzy, zaś blaszana piramida po drugiej stronie to puszki coca-coli; wyjaśnia się również, że jest jedynym pracownikiem w tym pokoju. Stoi tu jeszcze jedno biurko, ale nic na nim nie ma; jego blat wydaje się niemal antyseptyczny. Zupełnie, jakby jakiś wyjątkowo skrupulatny sprzątac zatarł wszelkie ślady osoby, która kiedyś przy nim siedziała. Ta sterylizacja ewidentnie nie robi wrażenia na jej dawnym koledze, którego pochłania to, co się dzieje na monitorze.

To gruntowne odgracenie pozostaje w wyraźnym kontraście ze stanem sąsiedniego pokoju, który wygląda, jakby opuszczono go w pośpiechu. Na biurkach wciąż są zwykłe rzeczy: terminarze otwarte na przyszłych wydarzeniach, długopisy bez nasadek, budzik, radio i niewielka maskotka. Zwykle po nagłym odejściu pracownika takie rzeczy trafiłyby do najbliższego kartonu i zostałyby dostarczone do jego domu. Tu jednak wciąż pozostają na tym samym miejscu, co sugeruje, że para, która jeszcze niedawno pracowała w tym pokoju, miała ważne powody, by nie wracać. Być może popełnili jakieś wykroczenie, które nie tylko uczyniło z nich *personae non gratae*, ale też ściągnęło na nich wrogość szefostwa.

Ale dalej i w górę, ale dalej i w górę. Barbican daje widok na drugie piętro – panuje tam większy ruch albo w każdym razie jest tam więcej ludzi. W jednym z biur – dla naszej obserwatorce w tym po lewej – dwoje pracowników siedzi przy tym samym biurku, a raczej jedna osoba siedzi przy biurku, zaś jej towarzysz przysiadł na jego skraju. Uwagę obojga pochłania tranzystorowe radio. Tymczasem w sąsiednim pokoju – tym, na którego oknach widnieje napis „W.W. Henderson. Kancelaria notarialno-prawna” – siedzi samotnie młody mężczyzna, który niedawno był u fryzjera. Jest średniego wzrostu, jasnowłosy, szarooki i o bladej cerze; ma dość ostry nos i mały pieprzyk nad górną wargą. Siedzi bez ruchu ze spojrzeniem utkwionym w biurko po drugiej stronie pokoju. Biurko to, podobnie jak jego odpowiednik w zajętej biurze niżej, wyczyszczono najwyraźniej ze wszystkich osobistych przedmiotów; pozostał tylko wszędobylski komputer z klawiaturą, telefon i mocno sfatygowana podkładka pochodząca z zupełnie innej epoki. Jednak po dokładniejszym przyjrzeniu się na blacie tego biurka można dostrzec coś jeszcze: przedmiot, w którym nasza obserwatorce rozpoznaje spinkę do włosów, choć otwartą kwestią pozostaje, czy ten młody mężczyzna zna to słowo. A jednak na razie przedmiot ten całkowicie pochłania jego uwagę: porzucona spinka na podkładce na niczym biurku.

Jak na razie, z punktu widzenia naszej obserwatorce, te spostrzeżenia były dość satysfakcjonujące, ale nawet z miejsca, w którym obecnie się znajduje, nie widać najwyższego piętra; opuszczone żaluzje w oknach gwarantują, że ktokolwiek je nawiedza, pozostaje niewidoczny. A więc na tym powinno się skończyć. Nasza obserwatorce powinna pójść dalej, ponieważ nie ma już nic więcej do zobaczenia. A jednak nie rusza się z miejsca, jakby posiadała jakiś zaawansowany sprzęt do inwigilacji, który pozwala jej nie tylko przyglądać się ludziom przez okna, ale też dotrzeć do ich myśli. W takim wypadku dowiedziałyby się, że Roderick Ho nieustannie przetrząsa tajne bazy danych MI5 w poszukiwaniu tajemnicy, która ciągle mu umyka – a mianowicie: jaka była natura grzechu, za który wygnano go do Slough House – ponieważ jest pewny, że nie popełnił żadnych przestępstw, o których ktokolwiek by coś wiedział. I być może ma rację, pozostaje jednak faktem, że szuka w niewłaściwym miejscu, gdyż wygnano go nie za to, co zrobił, ale po prostu za to, jaki jest. Albowiem nikt, kto spotyka Rodericka Ho, go nie lubi i wynika to z jego własnej, namacalnej antypatii do wszystkich wokół, zaś wydalenie go z Regent’s Park stanowiło administracyjny odpowiednik trzepnięcia muchy packą. I jeśli to wyjaśnienie kiedykolwiek przyjdzie Ho do głowy, olśnienie będzie zapewne wynikało z tamtej chwili w kawiarni przy Old Street, kiedy Catherine Standish nazwała go Roddym.

Tymczasem piętro wyżej Min Harper i Louisa Guy siedzą przy jednym biurku. Jeśli Min nadal ma tendencję do obmacywania kieszeni, by sprawdzić, czy niczego nie zgubił, to na razie panuje nad tym nawykiem; a jeśli Louisa w chwilach napięcia wciąż zgrzyta zębami, to albo nauczyła się to kontrolować, albo obecnie nie przeżywa stresu. I choć między tą parą wciąż istnieją niedokończone sprawy, teraz ich uwagę pochłania radio, które informuje ich o śmierci niejakiego Roberta Hobdena.



Dziennikarz został potrącony przez samochód, a sprawca zbiegł z miejsca wypadku. Naturalnie Hobden był upadłą gwiazdą, ale o tym, że warto było o jego śmierci poinformować w wiadomościach, świadczy chociażby udział Petera Judda, polityka, który pnie się w górę równie pewnie, jak Hobden się staczał. A oto, co Judd ma na ten temat do powiedzenia: choć przekonania Hobdena były oczywiście kompletną bzdurą, w jego karierze było wiele jasnych punktów, zaś jego tragiczne – tak, to jest właśnie to słowo – tragiczne losy powinny posłużyć jako ostrzeżenie przed ekstremizmem, niezależnie od tego, w jaką ubierze się flagę. Jeśli zaś chodzi o jego własne ambicje, to tak, skoro już to pytanie padło, Peter Judd byłby gotów, ach! porzucić swój pług, by piastować ważniejszy urząd dla wspólnego dobra – niezbyt często używany termin, ale o ogromnym historycznym i kulturowym znaczeniu, o ile słuchacze zechcą mu wybaczyć tę dygresję.

Nie rozstrzygając, czy Guy i Harper są we wspaniałym nastroju, nasza obserwatorka skupia teraz uwagę na Riverze Cartwrightcie, który siedzi sam w sąsiednim biurze. River Cartwright myśli o tym, że ulubioną grą MI5 jest pisanie historii od nowa; mógłby to zilustrować setkami przykładów z opowieści snuty nocami przez S.D., lecz najbardziej uświadamia mu to fakt nieobecności Sidonie Baker – nie tylko w tym biurze, lecz również w kartotece szpitala, w którym rzekomo zmarła. Kartoteka ta została tak gruntownie zdezynfekowana, że napawa to optymizmem co do standardów higieny w publicznej służbie zdrowia. Baker nigdy tam nie było, tak samo, jak w tej chwili nie ma jej tutaj. Właściwie, pomijając wspomnienia Rivera oraz jego kolegów, jego jedynym absolutnym dowodem na to, że Baker kiedykolwiek istniała, jest spinka, którą znalazł w swoim samochodzie i położył na jej biurku. Co do dowodu na to, że przestała istnieć – żadnego nie posiada. A to pozwala mu spekulować – choć być może właściwszym słowem byłoby „udawać” – że to, co w jego wyobraźni się z nią stało, nigdy nie miało miejsca. River myśli również o tym, że dziś wieczorem wsiądzie w pociąg do Tonbridge i spędzi trochę czasu z dziadkiem, a może nawet zadzwoni do matki. I że jutro wróci do Slough House, gdzie codzienna nuda nie jest już tak absolutnie gwarantowana jak kiedyś, ponieważ Drugie Biurko w Regent’s Park znalazło się w kieszeni Jacksona Lamba.

Jeśli zaś chodzi o samego Lamba – jeśli chodzi o Lamba, to jego forma i usposobienie niewiele się zmieniły, a w tej chwili siedzi w takiej samej pozycji, jak przez większość poranków: odchyła się do tyłu na krześle w stopniu zagrażającym jego stabilności i przygląda się swojej korkowej tablicy, a na jej odwrocie znów jest przypięty jego fundusz awaryjny, który na krótki czas znalazł się w rękach Jeda Moody’ego. Oczywiście teraz o istnieniu funduszu awaryjnego wie też River Cartwright, ale Lamb ma inne tajemnice, a najważniejsza jest taka: wszyscy agenci pracujący w terenie w końcu się sprzedają. River wzdragałby się, słysząc tę informację, ale Lamb wie, że to prawda: wszyscy agenci pracujący w terenie w końcu się sprzedają i kurwią się za wybraną przez siebie walutę. Na przykład spośród zmarłych kulawych koni Sid Baker chciała wykonać swój obowiązek, Struan Loy i Kay White szukali czyjejs przychylności, a Jed Moody musiał brać udział w akcji.

Lamb zna poważniejsze zdrady. Bądź co bądź, Charles Partner – niegdyś szef MI5 – sprzedał się za pieniądze.

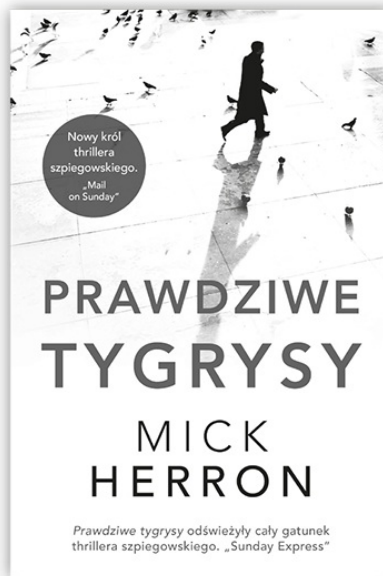
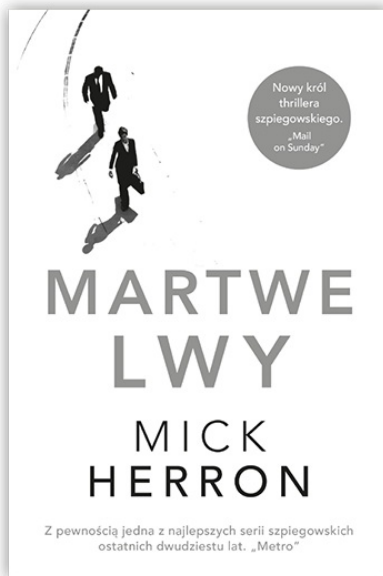
Za plecami Lamba widać jakiś ruch i do pokoju wchodzi Catherine Standish, niosąc filiżankę herbaty. Stawia ją na biurku Lamba, po czym znów wychodzi i przez cały ten czas nie pada między nimi ani jedno słowo. Jednak Standish, choć o tym nie wie, zajmuje pewne miejsce w tym, co Lamb – gdy jest zmuszony to przyznać – uważa za swoje sumienie, bo już dawno zrozumiał coś jeszcze, co bynajmniej nie ogranicza się do sfery wywiadu: działania mają konsekwencje, które szkodzą innym ludziom i ich zniewalają. Kiedyś w zamian za przysługę Lamb zdradził Roderickowi Ho, za co trafił do Slough House, i jego historia – że odpowiada za śmierć agenta – była jak wszystkie najlepsze kłamstwa prawdziwa, choć nieszkodliwa dzięki temu, że ominął pewne szczegóły; na przykład to, że osobą, za której śmierć odpowiadał, był Charles Partner, i że tę egzekucję usankcjonował między innymi dziadek Rivera Cartwrighta. W nagrodę za to Lamb trafił do Slough House. A zatem sprzedał się za ciszę i spokój, za azyl, w którym mógł się oddawać swojemu ironicznemu obrzydzeniu do własnej osoby, i zabicie dawnego przyjaciela i mentora nie spędza mu snu z powiek. Pozostaje jednak faktem, że to Catherine Standish znalazła zwłoki swojego szefa, i to zmusiło go do zastanowienia. W swoim czasie Lamb też znalazł niejedne zwłoki i zdaje sobie sprawę, że takie chwile pozostawiają blizny. Może nie zamierza jej tego w żaden sposób wynagrodzić, ale jeśli to będzie w jego mocy, nie pozwoli, żeby spotkały ją dalsze nieszczęścia.

Na razie jednak zastanawia się nad opcjami, które ma w tej chwili do wyboru. Najbardziej oczywistą z nich jest *status quo*. Slough House jest królestwem Lamba i ostatnie wydarzenia w żaden sposób tego nie zmieniły. Gdyby miały zaistnieć jakieś nieoczekiwane okoliczności, to zawsze ma swój fundusz awaryjny. Nasuwa mu się jednak także trzecia możliwość. A mianowicie że być może wcale nie jest tak znużony światem Regent's Park, z jego słabnącą lojalnością, jak mu się dotąd wydawało? Może zbyt wcześnie umył od tego ręce? Z pewnością przeżył ostatnio niewiele chwil mogących równać się z tą, w której obserwował, jak do Diany Taverner dociera, że ją ograł, a jeśli potrafił ją przechytrzyć, to na pewno mógłby sobie znaleźć bardziej godnych przeciwników. Na razie są to czcze rozważania; coś, co zajmuje mu czas między jedną filiżanką a kolejną. Kto to jednak wie? Kto wie.

Ale dość już tego. Jeśli nasza obserwatorka paliła, gasi teraz papierosa i zerka na zegarek, o ile go nosi. Następnie wstaje i wraca tą samą drogą: idzie ceglany pasażem, kładką dla pieszych, schodzi po schodach na stację Barbican i dociera na Aldersgate Street. Znów zanosz się na deszcz jak chyba zawsze w tym zakątku świata. A ona nie ma parasolki. Mniejsza z tym. Jeśli będzie szła dostatecznie szybko, dotrze do celu, zanim zmoknie.

Jeśli podjedzie jeszcze jeden autobus, to może nawet do niego wsiądzie.

Już wkrótce  
naszym nakładem  
kolejne części serii...



...oraz serial z udziałem  
zdobywcy Oscara  
Gary'ego Oldmana  
w roli Jacksona Lamba!